

ŁUKASZ ORBITOWSKI

NADCHODZI

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Spis treści

Spis treści	2
Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj	36
Cichy dom	65
Zatoka Tęczy	110
Nadchodzi.....	138

Popiel Armeńczyk

Cały się stałem ojczyzną i cały

Stałem się prochem

Niech ludzie zobaczą (...) ten proszek mały.

Juliusz Słowacki, *Król-Duch*

Kiedyś cię znajdę. Znajdę cię.

Reni Jusis, *Kiedyś cię znajdę*

I

Chcę opowiedzieć o Julianie Armeńczyku. Jak żył, jak umarł i dlaczego razem wędrowaliśmy.

Siedzę przy stoliku. Świeci słońce, a ja próbuję nie rozlewać kawy. To lura, przelękam z trudem, z trudem siedzę. W moim wieku nawet patrzenie jest czynnością wymagającą wysiłku, lecz dostępną, więc wodzę wzrokiem za przechodniami. Ech, te ich rybie pyski, niskie czoła, oczka tępe, ramiona bez mięśni, tyłki bez seksu, a wszystko wciśnięte w kolorowe fatalaszki, nastroszone jak kołnierze jaszczurek. Odpływam do dnia, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Pogoda ma różne nastroje. Teraz upał jest otępiały i durny, wtedy, jesienią 1939 roku, powietrze drżało od spraw ostatecznych. Miałem prawie czternaście lat i włóczyłem się bez celu. Nie rozumiałem, czym jest wojna, może dlatego że wuj Schwartz starczał mi za wszystkie działa, fronty, okopy i zasieki; czasem modliłem się nawet, żebym urósł jak najszybciej i mógł się przed nim bronić.

Niewiele pamiętam ze swojej wsi, czasem myślę, że wszystko mi się roi. Jak z krwawej mgły wyłaniają się strzechy i murowana ściana wujowego domu. Dalej kościół o dachu ostrym jak włócznia; wewnątrz, na ścianach i suficie, kłębili się święci. Pośrodku wsi stał pomnik na cześć ofiar pierwszej wojny światowej, a na cmentarzu zapuszczony grób powstańca styczniowego czekał, by go odwiedzić. Mieliliśmy nawet pawilon handlowy, nie większy od dzisiejszych żabek i kolporterów. Prowadził go mój wujek Józef Schwartz.

W wojnie dostrzegłem szansę na Bożą sprawiedliwość - miałem nadzieję, że zawierucha urwie głowę staremu brutalowi. A skąd! Dochodziły do nas same jej pomruki i cienie - samoloty przelatywały nad Cisem, ale grzmot zawsze dobiegał z daleka. Wojna miała

postać łuny na horyzoncie.

Nigdzie nie wyjeżdżałem, nie przejmowałem się, że gdzieś ktoś kogoś zarzyna. Musiałem pomagać wujowi. W wolnych chwilach ciągnęło mnie nad rzekę. Nie lubiłem ludzi i niewiele się odzywałem. Przyjaciół nie miałem, dziewczyny mnie unikały - byłem dziobaty i krępy, a zgarbiona sylwetka i długie ramiona upodobały mnie do małpizona. Nikt nie mącił moich myśli, gdy siadywałem nad rzeką z wędką i łowiłem tak długo, aż zapomniałem, że istnieją ludzie i ich słowa. Wtedy go zobaczyłem.

Miałem ulubione miejsce, na zakolu. Przytargałem tam pieniek, w krzakach chowałem wędkę, a pobliski las był na tyle gęsty, że dawał schronienie, gdy padało. Palilem skręta z tytoniu podprowadzonego wujowi, strzykałem śliną, grzebałem w spodniach - to właśnie po to Bóg stworzył samotność i rzekę. I nagle nie byłem już sam, choć nie wiedziałem - człowiek to czy duch? Duchów bałem się mniej niż ludzi.

Wzdłuż rzeki szedł polski żołnierz, w uprząganym mundurze, z pistoletem w dłoni. Słaniał się na nogach, a przez środek jego czoła biegła krwawa rana. Jucha spływała mu po twarzy, cud, że coś widział, a może i nie, bo lał jak pijany i gdyby nie ja, runąłby do wody. Podtrzymałem go, był bezwładny i ciężki, śmierdział, jakby taplał się w szlamie. Ułożyłem go na brzegu, niezdecydowany, pomóc mu czy go okraść. Co mogłem mu wziąć, pistolet? Ale jak okraść, to i dobić, a na to nie byłem gotowy.

Otarłem mu głowę, przemyłem i spróbowałem obwiązać rozcięte czoło. Od czego mogła wziąć się taka rana? Ziejąca, od linii włosów aż po brwi. Miał też obtarty policzek, płytkie cięcie przez dłoń i chyba potrzaskane żebra. Jęczał, gdy go tam dotknąłem. Ból mu pomógł, żołnierz zdołał usiąść, macał opatrunek. Powiedział, że nazywa się Julian Armeńczyk, jest porucznikiem piechoty, nie pamięta, jak tu trafił i czym dostał w głowę. „Wycofywaliśmy się, a ja upadłem. Było ciemno”.

Pytałem, jak mogę mu pomóc. Nie wiedział - najpierw chciał szukać swojego pułku, a że wstawanie szło mu ciężko, postanowiłem zaprowadzić go do wuja. Nie wiadomo, co będzie z nim, wojskiem i całą Polską, myślałem, niech sobie poleży, w końcu to oficer, nie byle kto.

Wsparty na moim ramieniu, zdołał iść. Koszula, którą przewiązałem mu czoło, powoli nasiąkała krwią. Bez przerwy pluł. Zastanawiałem się, co powie wuj, i miałem nadzieję, że gdy przyprowadzę polskiego oficera, nie będzie mnie bił. Ułożyłem nawet opowieść, jak uratowałem tego żołnierza, ale tuż przed wsią, przy lasku, zobaczyłem dwóch następnych, zajętych gwałceniem. Jeden był chorobliwie szczupły, o żyłastych udach, co rzuciło mi się w oczy, bo spodnie akurat miał spuszczone. Drugi, olbrzymi, dopingował kolegę. Nazywali się

Marek i Adam, tego dowiedziałem się później.

Pod Markiem, tym szczupłym, szarpała się dziewczyna - mówili, że kurwi się za pieniądze, więc nie rozumiałem, czemu tak wrzeszczy. Dziś myślę, że ci dwaj próbowali najpierw po dobroci, ale jeden nakręcił drugiego i skończyło się tak, jak zobaczyliśmy to z Armeńczykiem - spódnica zarzucona na brzuch, klęczący Marek, dziewczyna, niech będzie Basia, próbuje dosięgnąć jego twarzy.

Szeregowy pochylił się, dysząc, ręka dziewczyny wystrzeliła do przodu, przejechała paznokciami po czole i policzku, a kciuk zagłębił się w oku. Żołnierz jęknął żałośnie, poderwał się i zaczął podskakiwać, przyciskając dłonie do rany, prawie płakał. Basia próbowała się podnieść, ale Adam przycisnął ją do ziemi, Marek zaś porwał karabin, spuścił kolbę na jej twarz, raz i drugi, aż zamiast nosa pojawił się czerwony krater. Dziewczyna, pamiętam, wierzgała nogami i wrywała kępy trawy, jakby chciała nakryć się ziemią i zniknąć dla świata.

Marek opadł na kolana, odrzucił karabin, jęcząc, próbował dotknąć rany, lecz zaraz cofał rękę. Adam uklęknął, głaskał go po twarzy jak matka syna i wpatrywał się w tę czerwoną dziurę. Nagle odwrócił się, zobaczył nas, podniósł karabin i zamarł, nie wiedząc, co robić. Przecież nie zastrzeliliby nas obu. Armeńczyk oderwał się ode mnie i przysięgam, nawet jeśli starość pomieszała mi zmysły - to, co wówczas się stało, było prawdą.

Ruszył w ich kierunku, jakby roztańczony, z szeroko rozłożonymi ramionami, na znak, że nie pragnie niczyjej krzywdy. Szedłem ostrożnie za nim. Przyklęknął przy Marku, pocałował go w czoło, szeregowiec zaszlochał. Armeńczyk uniósł dłonie, przypominał mi księdza sięgającego po Najświętszy Sakrament. Złączył palce wskazujące, dotknął oczodołu Marka i zaraz cofnął rękę, na palcach pojawiła się krew. Jęknął, raptem przyłożył do rany całą dłoń, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Odrzuciło go, dosłownie, niewidzialna siła pchnęła Armeńczyka prosto na mnie. Upadliśmy razem. Adam pomógł mi wstać. Obok siedział Marek, a w jego zalanej krwią twarzy łypało dwoje szczęśliwych oczu.

Armeńczyk leżał na plecach, wstrząsany drgawkami, krew z odnowionej rany zalała mu twarz. Nie mógł złapać powietrza. Adam i ja pomogliśmy mu usiąść, wzrok miał półprzytomny, pod skórą palców coś mu się wiło jak robak. To tylko żyła przecież, więc czemu tak się wije? I zaraz się uspokoiła, Armeńczyk podniósł się i poszedł przed siebie, osłaniając twarz od nieistniejącego wiatru. Zaraz upadł. Wzięliśmy go pod ramiona i zaprowadziliśmy do wsi, do domu wuja Schwartza. Marek przeciągnął w krzaki trupa dziewczyny.

Wuj był patriotą, walczył z bolszewikami. Na nasz widok podkręcił elegancko

przystrzyżone wąsy, w jego łysej czaszce odbijało się słońce. Słuchał opowieści Marka o ucieczce na oślep pod ostrzałem i w jego oczach zabłyśły własne wspomnienia. Po chwili się ożywił: trzeba iść, położyć rannego, nakarmić zdrowych. Przecież polskie wojsko zobaczymy dopiero na wiosnę, jak przyjdzie z Francuzami.

Przemyłem Armeńczykowi twarz, oczyściłem ranę, znalazły się i koszula, i świeża pościel, i łóżko w nasłonecznionym pokoju. Marek z Adamem już jedli, wuj dał wódki. Leżąc u siebie, słyszałem, jak opowiada o własnej żołnierskiej dzielności. Gdybyśmy mieli takich żołnierzy, takich oficerów jak w dwudziestym, Hitler połamałby na nas swoje faszystowskie zęby.

Została u nas cała trójka. Armeńczyk wracał do zdrowia, Marek i Adam woleli spędzać czas ze mną niż z wujem. Gdy pytałem, co chcą robić, wzruszali ramionami. Marek nauczył mnie rzucać nożem. Myślałem, że już to umiem, ale nie. Niewiele mówił, lubił spacerować między drzewami i rzucać swoim nożem, wielkim, zdeformowanym od ostrzenia, który leżał w dłoni, jakby był z nią zrośnięty. Adam opowiadał o warszawskich dziewczynach i bez przerwy się śmiał. Chciałem być taki jak on. O Armeńczyku nie rozmawialiśmy wcale.

Czasem zachodziłem do niego na piętro, a gdy mu się polepszyło, służyłem za żywą łaskę podczas spacerów. Wuj prosił, żebyśmy nie odchodzili daleko, ale go nie słuchałem. Pokazałem Armeńczykowi las i rzekę, tam gdzie najlepiej się pływa i łowi ryby. Rozpoznał miejsce, w którym się spotkaliśmy. Prosiłem, by opowiedział o sobie, i byłem zaskoczony banalnością jego historii. Był synem majora wojsk carskich, jego dziad walczył w powstaniu. O matce nie padło ani słowo. Próbowałem ciągnąć go za język - jak to jest w szkole oficerskiej, albo, jeszcze wcześniej, jak bawią się chłopcy z domów w mieście. Patrzył nieobecny wzrokiem, śmiał się i powtarzał, że ludzie prawie się od siebie nie różnią, a chłopcy tacy jak ja to już wcale.

Nie rozumiałem, czemu nie uleczył siebie samego. Teraz wiem, ksiądz też nie udzielił sobie rozgrzeszenia. Rozgrzeszenie rzecz nieważna, ważne, że Armeńczyk zdrowiał, a gdy zdjęliśmy mu bandaż, na czole miał brunatny, mocny strup, od linii włosów do nosa. Dotykał go ostrożnie, jakby w obawie, że pęknie mu głowa.

Wuj też nie umiał z nim rozmawiać. Stawiał wódkę, namawiał na wojenne opowieści. Armeńczyk kiwał głową, zbijał gładkie zdania z obcych słów. Najbardziej lubił siedzieć przed domem i grać się w coraz słabszym jesiennym słońcu. Często zastawałem go, jak wodził patykiem po ziemi, kreśląc bezsensowne linie. Pił dużo mleka i twierdził, że gwiazdy czasem schodzą na ziemię i spacerują między ludźmi. Zastanawiałem się - zawsze taki był czy cios w łeb przestawił mu coś pod czaszką.

Zjawili się Niemcy. Jeszcze nikt się ich nie bał. Najpierw przez Cis przeszła kolumna, potem oddział. Wieś dalej fryce założyły sobie posterunek. Błagałem, żeby zakopać broń, wuj stwierdził, że po jego trupie, Marek z Adamem zajęli postawę wyczekującą, a Armeńczyk miał wszystko w czterech literach. Do piwnicy, gdzie postanowiliśmy schować całą trójkę, zszedł bez protestu. Wuj tymczasem włożył ciemnobrązowy garnitur, błękitną koszulę i zawiązał krawat, tak sztywny, że sprawiał wrażenie blaszanego. Stał przed domem, ćmił cygaro i bawił się łańcuszkiem od zegarka. Niemcy nawet nie spojrzeli w jego stronę, może dlatego że przysłaniały go drzewa, albo mieli co innego do roboty.

Wuj utrzymywał, że goście mogą zostać u nas, jak długo chcą. Też tego chciałem - odkąd się zjawili, lał mnie rzadziej i nie pił na umór. Armeńczyk jakby czekał na szczególne wydarzenie, powiedzmy - aż Bóg sfrunie z chmurki i zabierze wszystkich z bliznami na czole. Marek przebąkiwał o przeczekaniu do wiosny, kiedy wybuchnie powstanie przeciw Niemcom, Adam wołał od razu przebijać się do Francji od południa. Wystarczyło na nich spojrzeć - nigdzie by nie poszli ani nie powalczyli.

Październik przyniósł deszcz i bloko. Nie wiedziałem, czym poza prowadzeniem pawilonu zajmuje się wuj Schwartz. Może interes szedł gorzej i musiał wziąć od kogoś pieniądze, ale raczej odwrotnie - komuś niepotrzebnie pożyczył, a najpewniej wróciły stare zadry, podparte legendami o bogactwach naszego domu.

Przyszło ich czterech. Był wieczór. Wuj chciał wpuścić jednego - dryblasę o pociągłej twarzy, na którego wołali Myszołów. Ten się nie cackał, pchnął wuję w głąb domu. Słyszałem, jak powtarza: „I co teraz? I co teraz?”. Za nim weszli Lisek, Starszy i Dawidek, trzydziestolatek o czarnych włosach i chłopięcej twarzy bez zarostu.

Nie wiem, czego się spodziewali, ale raczej nie trzech kolejnych mężczyzn, z których dwóch natychmiast sięgnęło po broń. Armeńczyk podniósł się znad stołu i znieruchomiał z opuszczonymi dłońmi. Mierzyliśmy ich wzrokiem, a oni nas. Ja, najmniej ważny, za to najbardziej przerażony, próbowałem wycofać się w głąb domu, ale Lisek wymierzył we mnie. Znieruchomiałem.

Wuj zaczął się awanturować. „Trzeba być śmieciem, żeby tak przyjść do mojego domu - wrzeszczał. - Pozabijam was, jak jeszcze raz się zjawicie”. Starszy z Dawidkiem już się wycofywali, za to Lisek pogładził usta i powiedział, że Schwartz ma skrzyneczkę ze złotem, zagrzebaną w ogrodzie albo piwnicy. Rzekł to spokojnie, patrząc w Adamowe oczy, te natychmiast pociemniały. No jasne, że jest taka skrzynka, włączył się Myszołów, po nią tu przyszli, bo wujo Schwartz to bydlę i złodziej, a jest tego tyle, że starczy dla wszystkich.

Marek i Adam zerknęli na siebie, ale wciąż mierzyli do intruzów. Palce wuję

Schwartza aż zbieleły na kolbie. Uśmiechnął się cierpko, to jakiś nonsens, ledwo tu przedziemy i jakby miał skrzynię skarbów, to siedziałby na wyspie z piratami, a nie drżał tutaj przed Niemcem, a już na pewno by nie chował polskich żołnierzy między kartoflami.

Myszołów kiwnął łbem, udając, że rozumie. Podrapał się po brodzie i spytał, co z tym złotem, które przynosił przez lata, które wydrapywał, wydzierał, wrywał z serc i kieszeni, że co, szlag je trafił, tak po prostu? A może wuj ma kobietę wieś obok, a może na Kościół daje albo na dziwki? Nie, Schwartz, bez cudów. Skrzynia jest, bo sam ją widział, patrzył wtedy z ukrycia, to spora kasetka, a w niej papiery i złoto. Gdzie schowana, nie wie, ale wuj tak. Skrzynia skarbów istnieje.

Wuj syknął, potrząsnął głową, zerknął na Marka i Adama. „On ma kasetkę”, powtarzał Myszołów. A ja, cóż, nie wiem, może dlatego że nienawidziłem wuja bardziej niż kogokolwiek, poczułem, że muszę to zrobić. Wzięłem głęboki oddech.

- To prawda - powiedziałem.

Wiedziałem, że wuj ma kasetkę z oszczędnościami, nie trzymał jej jednak w piwnicy ani ogrodzie, lecz pod podwójnym dnem kufra z pościelą. Jego twarz nagle poszarzała, nawet na mnie nie spojrzał, za to Adam skreślił i już mierzył w wujową głowę. Marek stanął z boku, a mnie ogarnął strach - co, jeśli mnie także zabiją? Nie. Wuj wystrzelił, nie wiedziałem, że to robi, Myszołowem szarpnęło, poleciał na plecy, z rozerwaną pierśią i ustami zastygłymi w pytaniu: „Warto było?”. Trudno powiedzieć, co wuj planował, miał jedną kulę zresztą, a nawet gdyby miał więcej, nie pociągnąłby ponownie za spust. Wszyscy strzelili jednocześnie, dostał w szyję, brzuch, kolana, aż runął na ziemię jak worek.

Wuj telepał się w agonii, a ja westchnąłem z podwójną ulgą - on umierał, ja żyłem, żył będę. Adam, Marek i reszta opuścili broń. Myszołów podciągał nogi i badał straszliwą ranę pośrodku klatki piersiowej, dotykał jej, krzywił się, dotykał znowu, jakby wierzył, że takie rany można po prostu schować i udawać, że ich nie ma. Nagle ruszył Armeńczyk. Tamci nie chcieli go puścić, lecz Adam prawie ryknął: „Dajcie mu dojść!”.

I nasz kochany święty oficerek wykonał to, co tylko on umiał, przycisnął dłonie do rany, prawie wbił w nią pięści, Myszołów zawył, skóra Armeńczyka przeszła, od szarości, przez fiolet, w czerń, z jego ust wydobył się obłok pary, wytrzeszczał oczy, jakby mu napuchły. Tym razem widziałem wyraźnie, jak krew Myszołowa przestaje płynąć, rana zachodzi czerwoną siateczką, na którą naciąga się bezwłosa skóra. Tylko kula, tocząca się po podłodze i zakrwawiona, postrzępiona koszula przypominały, co się wydarzyło.

Stałem i wrzeszczałem, że trzeba pomóc Armeńczykowi. Ten trząsł się na podłodze, miał przekrwione oczy i twarz jak u Murzyna, czarną, z szerokim nosem. Pierwszy

oprzytomniał Lisek, uniósł mu głowę, a Adam wepchał drewnianą łyżkę między zaciśnięte zęby. Przyłożyłem mu mokrą szmatę do czoła, oddech mu wrócił, czern odpłynęła z twarzy. Już dobrze, powtarzałem, już dobrze.

* * *

Jesteśmy niewolnikami tego, co nam się przydarzyło, tak myślę o sobie. Kobiety, na które wpadamy, wychodząc z za rogu, zostają na noc i życie, człowiek spotkany w knajpie okazuje się przyjacielem albo podrzyna nam gardło i tak dalej, można mędrkować. Siedzę pod kawiarnianym parasolem i widzę, jak nic się nie zmienia. Przede mną ludzie suną leniwie, przy stoliku obok kobieta strzyże pijaka maszynką elektryczną, kabel, sprzężony z przedłużaczem, niknie we wnętrzu knajpy.

Obok jest siłownia, a schodzący się tam mężczyźni poddawani są ciężkiej próbie - zejść na dół do hantli i wyciągów czy wybrać słońce, piwo, oglądanie dziewcząt z za ciemnych okularów. Czasem starają się to łączyć, wychodzą, jeszcze spoceni, i zaraz łapią za kufel, inni siadają, piją i wracają do ćwiczeń. Jeden patrzy na mnie i przez sekundę wydaje się kimś znajomym, wydaje mi się tobą, ale to tylko moja nadzieja. Ten zdziwiony wzrok - co taki pierdziel robi na słońcu - wygania mnie z Podgórze, wpędza jak szczura z powrotem w kanał, do października trzydziestego dziewiątego roku.

Ciało zrzuciliśmy do piwnicy. Przyniosłem kasetkę ze skrzyni na pościel, otworzyłem, a towarzystwo nie kryło rozczarowania. Było trochę złota i forsy, które natychmiast podzieliliśmy - tamci kleli, ale ja nie widziałem wcześniej tylu pieniędzy. W kasetce leżały też: kieszonkowy walther, umowy spisane po niemiecku, zdjęcia kobiet, których nie znałem, i sygnet z białego złota. Wujko nosił go, kiedy był młodszy. Chciałem go zatrzymać, nie robiono mi kłopotu.

Armeńczyk oprzytomniał po niecałej godzinie. Poprosił o wódkę, co nie zdarzało się wcześniej. Adam uznał, że to świetny pomysł, przyniósł alkohol z kredensu, no i popiliśmy zdrowo. Bardzo mi to imponowało, bo choć pociągałem wcześniej, to nigdy przy prawdziwym stole, z żołnierzami. Spałem się po raz pierwszy w trupa i dlatego nie pamiętam całej rozmowy. Chyba Adam rozpoczął - ciężkie czasy nadchodzą i lepiej trzymać się razem, zwłaszcza że dobrze nam idzie. Tamci przytakiwali, zastanawiając się, co robić, dokąd wędrować, a wszystko szło o to, co powie Armeńczyk. Ten pił szklankami i wydawał się trzeźwy, aż powiedział coś takiego:

- Pójdziemy i będziemy walczyć, jak żołnierzom przystało.

Ludzie Myszołowa próbowali protestować - nie byli żołnierzami, ale Armeńczyk

machnął ręką. „W ostatniej godzinie każdy Polak to żołnierz”, tak powiedział. Zaniemówiliśmy, nikt nie wiedział, czy oficer żartuje, czy nie. Jeszcze trup w piwnicy nie ostygł. Taka ma być ta nasza partyzantka? Znow Adam wyrwał się pierwszy, że rzeczywiście odpowiedzialność ciąży na nas wszystkich i pójdziemy za panem, panie kapitanie, choćby w ogień. Nikt się nie sprzeciwił.

Nigdy nie zrozumiałem prawdziwych powodów tej decyzji. Kiedy Armeńczyk zasnął, tłumaczyliśmy sobie, że powłóczymy się z nim trochę, sytuacja się ustabilizuje, potem wariata się spuści, ale w niebezpiecznych czasach taki Armeńczyk jest cenniejszy niż żywa woda. Oni chcieli coś ugrać na chaosie wojny, ja pragnąłem przygody. Lecz było coś jeszcze, coś, co znikło między słowem a wzniesieniem szklanki - nie wyobrażałem sobie, bym mógł nie powędrować za Julianem Armeńczykiem.

Pamiętam, że gdy zasnął, żartowaliśmy z niego.

Kazał nam przybrać różne pseudonimy na wypadek schwytania. Mam na imię Antoni, ale ogłosiłem się Zygmuntem, nie wiem dlaczego. Adam powiedział, że będzie Żandarmem, pseudonimu Marka nie pamiętam. Armeńczyk słuchał, każdemu przykładął dłoń do czoła i całował w powieki. To było nieprzyjemne. Mnie ścisnął najdłużej, patrzył mi w oczy i szeptał słowa, których nie mogłem zrozumieć, za to czułem się, jakby oblano mi łeb wrzątkiem. Na koniec Armeńczyk nazwał się Popielem.

I tak posnęliśmy, jeden na stole, drugi pod. Potem dowlokłem się do swojego łóżka, a gdy wstałem, poprzednia noc i całe dotychczasowe życie wydało mi się snem. Chcieliśmy wyruszyć przed świtem. Oporządziłem dwa konie wuja i spuściłem psa z łańcucha, żeby nie zdechł z głodu. Zabrałem konserwy, metalowe naczynia, wódkę, morfinę, bandaże, cały tytoń, przypomniałem też sobie, że wuj nosił w kieszonce złoty zegarek, więc zszedłem do piwnicy i go zabrałem. Byliśmy gotowi i tu Popiel dał kontrę - jesteśmy żołnierzami i musimy nosić mundury.

Adam i Marek mieli mundury, sam Popiel też, ale cały zakrwawiony. Wuj miał jeszcze dwa, z czasów poprzedniej wojny, które w miarę pasowały na Liska i Dawidka. Popiel kazał mi przynieść wszystkie ubrania, wybrał po parze płóciennych spodni dla Starszego i Myszołowa, dodał po czarnej marynarce, zaraz wyciął dwa pasy materiału i naszył na ramiona, robiąc dystynkcje. Starszy się krztusił ze śmiechu, a Myszołów salutował. Dla siebie znalazłem płaszcz wojskowy i zieloną koszulę - Popiel śmiał się, że teraz jestem prawdziwym ordynansem. Wyruszyliśmy przed południem. Z daleka widziałem ludzi, krążących przy wujowym pawilonie. Dziwili się, bo o tej porze zawsze był otwarty.

Niewiele zdarzeń w moim życiu okazało się tak nudnych jak pierwsze dni wędrówki.

Oczekiwałem cudów, prawdziwych bitew i krwawych pobojuwisk, ułańskich szarż i stosów pogrzebowych, odpoczynku wojownika, snu między piersiami. Gdzie tam! Przemieszczaliśmy się w ukryciu, żeby nie natrafić na duży oddział, polski albo niemiecki - żadna różnica. Szliśmy dwójkami, Popiel na przedzie jechał konno. Pochód zamykał koń objuczony wszystkim, co zdołałem zabrać z wujowego domu. Prowadził go Dawidek. Czasem zrównywałem się z Popielem i widziałem tę twarz, niby maskę, ze ściągniętymi ku dołowi kącikami ust, bladymi policzkami i wzrokiem wbitym w drogę, cel może, którego żaden z nas nie dostrzegał. Kiedy stawaliśmy na odpoczynek, zsiadał niechętnie, sztywny, kręcił się między nami bez sensu.

Wieczorami przechodził dziwną przemianę, z ponurego milczka stawał się królem gawędy. Raz siedzieliśmy przy ogniu w siódmkę - Marek krążył poza kręgiem światła, słyszeliśmy tylko dźwięk noża wbijającego się w drzewo - Popiel, usadowiony po turecku, z papierosem w ustach, snuł swoje historie. Opowiadał o dziadku, jak wędrował lasami w mroźnym styczniu, walczył pod Małogoszczem, szkolił młodych powstańców, a bił się do końca, z księdzem generałem Brzóska. Mieli wszy, powiedział, wszyscy, od ciury po oficera, co noc wystawiali bieliznę na mróz.

Pił i gadał, prowadził po odnogach swojej rodziny - żołnierzach, kupcach, nawet złodzieju pajęczarzu, który przeciskał się przez kominy. A potem, gdy część posnęła, wędrował w dawne, przedziwne dzieje: słuchałem o królach wydłubujących sobie oczy, chłopach prujących brzuchy rycerzom w poszukiwaniu złota, o obcinaniu dłoni, wojnach i pożogach. Zasnęliśmy z ostatnim jego słowem, w trzasku ognia.

Raz przyjęli nas we wsi Czaniec. Nie znaliśmy drogi, jedzenie się kończyło, zaryzykowaliśmy przemarsz - po prawdzie Popiel polazł przodem i było za późno, żeby zawracać. Ludzie otwierali okna, nieruchomieli przy domach i poniósł się szept: „Wojsko polskie!“. Najpierw zobaczyli Popiela, Marka i Adama, tych trzech w prawdziwych mundurach. Mało nas nie rozerwali, i już ciągną do domów, nakarmić i napoić. Siedliśmy w karczmie, jak prawdziwi panowie. Lało się piwo, przyszedł sołtys, ksiądz, dzieci się tłoczyły - bo kiedy znowu zobaczą polskiego oficera? Cały czas pytali: „Co teraz? Kiedy ofensywa? Jak sobie radzicie?“.

Popiel odpowiadał chłodno i rzeczowo, marszcząc czoło ze świeżą blizną. Nikt nie wydał rozkazu demobilizacji, a on nie szczur, żeby zimować w mysiej dziurze, Francji czy Rumunii. Przed Polską sześć trudnych miesięcy, Niemca trzeba przeczekać. Nas jest tylko ośmiu, z czasem może będzie więcej, ale wystarczy, żeby dać nadzieję. Tu, między wsiami, w lasach, nawet i na bagnach, przyczai się wojsko polskie, będzie wodzić szkopa za nos i

pomagać cywilom. W przyszłym roku zbierzemy ludzi na większą akcję zbrojną, może nawet powstanie dla wsparcia uderzenia z zachodu. Bredził o kontakcie z rodzącym się państwem podziemnym. Rekruci już są, czterech przyjąłem - wskazywał na tych od Myszołowa - dobrzy chłopcy, choć nawet mundurów nie mają.

Rano zjawili się ludzie z darami. Przynieśli górę jedzenia, pieniądze, mundury, jednego visa, trzy polskie mauzery, nawet odkopanego browninga z amunicją, a starsza kobieta o jednym, mlecznym oku zawiesiła mi na szyi srebrny krzyż. Dali też konia pociągowego i przyczepę. Zwierzę ledwo widziało, lecz szło z tępym zacięciem, jakby na końcu naszej drogi rozdawali nowe oczy. Ludzie błogosławili nas nieustannie, a Popiel z miną urzędnika dziękował i wystawiał kwity, obiecując, że Polska po wojnie się zrewanżuje.

Rozochoceni tym przyjęciem, każdy w mundurze, jechaliśmy przez pola. Natknęliśmy się na patrol niemiecki i było to dziwne zdarzenie. Ich sześcioro przeciw naszej ósemce, staliśmy naprzeciw siebie, aż Niemiec uniósł dłoń do hełmu. Popiel odpowiedział tym samym. Minęliśmy się bez słowa. Patrzyli na nas jak na szaleńców albo umarłych.

Trzeciego dnia dotarliśmy do leśniczówki. Nie wiem, w jaki sposób tam trafiliśmy, wędrowaliśmy prowadzeni przez Popiela, a on zachowywał się jak wariat - stawał, wlepił ślepią w ścianę drzew. Z bliska zauważyłem, że nozdrza mu drgają, jakby węszył. Pytaliśmy, dokąd idziemy, a on nic, tylko dalej, w gęstwinę. Ludzie patrzyli po sobie. Myszołów i Dawidek mieli chyba dosyć.

Droga zwężała się, najeżona badyłami, poznawaliśmy siebie po papierosach. Za zakrętem dostrzegliśmy przysadzisty dom z dymiącym kominem. W oknie drżało światło lampy naftowej. Popiel zsiadł z konia, drzwi się otworzyły, gospodyni powitała nas odciążeniem kurków strzelby i pytaniem, kto idzie.

- Wojsko polskie - odpowiedział Popiel.

Kobieta nazywała się Wanda.

Siedzieliśmy przy drewnianej ławie, w kominku tańczył ogień. Przez sufit biegły wsporniki z grubo ciosanego drewna, podłoga trzeszczała przy każdym kroku. Na pobielonych ścianach wisiały łby dziwnych zwierząt - wielkiej jaszczurki o szklanych oczach, jelenia z rogiem pośrodku głowy i barana z czterema rogami. Był też łeb niedźwiedzia z zębami, które przypominały stal. Ładnie odbijał się w nich ogień. Nad drzwiami przybito głowę dzika pokrytą łuską.

Wanda miała lat dwadzieścia kilka, ale praca postarzyła jej dłonie. Ruszała się płynnie, choć jej grube nogi przypominały ożywione pieńki. Plecy jak u mężczyzny biegły w literę V, ale tej przeczył biust, wylewający się na brzuch. Proste, rozpuszczone włosy

zakrywały krępy kark. Wanda nos miała zadarty, obsypany piegami koloru siarki. Nieustannie się śmiała.

Tu znaleźliśmy dom. Wanda zastrzegła, że wszystkich nie wyżywi, za to ludzie ze wsi, owszem, powinni pomóc żołnierzom. To dobre miejsce, mówiła, żeby zostać i nabrać sił. Sama spała na piętrze, dla nas przygotowała na dole dwa pokoje i trzeci, mniejszy, dla oficera. Cieszyłem się perspektywą ciepłej pościeli i polowego łóżka. Wódka znów uderzyła mi do głowy. Tamtej jesieni było mnóstwo wódki.

Póki żyli rodzice Wandy, mieszkała z nimi w Augustowie. Po ich śmierci zaczęła czuć się źle między ludźmi. Wybrała leśniczówkę, do miasta powracała tylko na zimę. Ojciec był tłumaczem i pisarzem, zostawił jej trochę drobiazgu, zresztą nie potrzebowała wiele. Las, jeśli tylko go kochasz, da ci wszystko, czego zapragniesz.

Tamtej pierwszej nocy nie chciałem spać, tylko tańczyć, a potem siedzieć i siedzieć, z kubkiem w dłoniach wpatrywać się w ogień. Niesforne pomarańczowe dzikusy goniące się w kominku pozwalały zapomnieć o tułaczce. Kątem oka dostrzegłem, że Popiel nie idzie do swojego pokoju, ale wspina się po schodach, ku drzwiom, za którymi zniknęła Wanda.

Nie miałem jeszcze kobiety. Oczekałem chwilę, poszedłem na bosaka i przyłożyłem oko do dziurki od klucza. Wanda leżała na łóżku, nogami obejmując szczupłe ciało Popiela. Jej blade piersi poruszały się jak galareta. Im bardziej Popiel parł, naciskał, tym ona mocniej go oplatała, aż niemal w niej przepadł. Nie mógł skończyć, oczy miał takie jak wtedy, gdy prowadził nas w las i szukał drogi.

* * *

Rano zarządził zbiórkę. Na liściach lśniła jeszcze rosa. Staliśmy na baczność w pełnym umundurowaniu, na ciężkim kacu. Oceniał nasz wygląd, a jak ktoś miał brudne buty albo matowe guziki, musiał je wypucować na błysk, a potem robić pompki i biegać wokół leśniczówki. Najchętniej wróciłbym do środka, lecz Popiel wysłał nas na patrole. Dwójkami. Po co mu to było, skoro wszystkiego mógł się dowiedzieć od Wandy? Poszedłem ze Starszym, który mruczał, żuł tytoń i zastanawiał się, ilu z naszych da nogę. Wrócili wszyscy.

Po obiedzie okazało się, że Popiela trzeba nazywać Bolesławem, ale to było najmniej dziwne ze wszystkiego, co nam się później przydarzyło. Zabrał mnie, Adama i Dawidka nad strumień. Struga miała trzy metry w najszerszym miejscu, a woda sięgała po kolana. Ja rąbałem młode drzewa, a Dawidek czyścił pieńki z gałęzi i je strugał z właściwym sobie otepieniem. Kiedy mieliśmy kilka pali (długich i grubych jak noga Wandy), Popiel kazał nam wbić je szeregiem w środek strumienia, a potem wziął mnie za ramię i wyciągnął rękę:

- Tam dalej może być świat, cuda złowieszcze i niestworzone. Ale tu, za tymi palami, zaczyna się Polska. Rozrośnie się. Pójdziemy na Morawy, na Kijów. Trzeba mi tylko korony.

Nawiązaliśmy kontakt z miejscowymi, wieś stała o godzinę drogi. Ludzie na początku nie wierzyli, że w lasach siedzi wojsko polskie, ale jak przyszlismy ponownie - uwierzyli. Dawali futra, chleb, wódkę, dostawaliśmy nielegalne „Wiadomości Polskie”. Przekazano nam maszynę do pisania, powielacz spirytusowy, kalki i trochę papieru, więc Popiel odwdzięczał się długimi elaboratami, w których zagrzewał do walki i nadziei, „dwóch rzeczy przynajmniej dla człowieczeństwa koniecznych”. Konsekwentnie podpisywał się jako Popiel, czasami dodając: „Kapitan Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego”. Dla nas był Bolesławem.

Czas płynął spokojnie - Popiel dbał o wysyłanie patroli, robił musztrę, zapasy albo ćwiczenia strzeleckie, których baliśmy się ze względu na hałas. Broń wydała mi się czymś pięknym i obcym zarazem. Strzelałem najgorzej z całego oddziału.

Czasem ludzie ze wsi pytali, czy mogą do nas dołączyć. Popiel prosił o cierpliwość, tak jak obiecał, zrobi nabór w środku zimy i wywoła powstanie na całej Suwalszczyźnie. Na razie wraz z Myszołowem mordował się z maszyną do pisania i powielaczem, godzinami siedział przed leśniczówką, jakby na coś czekał, a jak czekanie mu się znudziło, zabierał się do Wandy.

Próbowałem rozmawiać o nim z innymi. Zareagował tylko Lisek, wzruszał ramionami i powtarzał, że wszystko zmierza ku dobremu. „No co - burczał - dziwny człowiek, ale i czasy dziwne”. Dostrzegł jednak coś, co mi umknęło - dowódca rozróżniał nas słabo albo wcale, zwracając się do kogoś po imieniu, mrużył oczy, stękał, nawet się mylił. Nigdy o nic nie pytał, jakby nie troszczył się o to, kim są jego żołnierze.

Razem z Wandą zachowywali się jak zakochani. Patrzyli sobie w oczy, było im słodko i ciepło, jego ręka co chwilę szukała miejsca, żeby wepchać się pod jej bieliznę. Siedzieli i szczebiotali, i coś w nich krążyło, nabrzmiewało, przypominali spokojne wody z potworem ukrytym w głębinie.

Wanda była dla mnie wielką zagadką. Siedzieliśmy jednego dnia nad powielaczem. Zawiesiłem wzrok na jej ramionach. Czasem widzę coś takiego, że nie potrafię oderwać spojrzenia - wieczorne słońce, wykrzywiona deska albo kubek z ubitym uszkiem - gapię się jak zboczeniec na zdjęcia z przedszkola. Odkryłem, że skórę Wandy porastają drobnuteńkie włoski, długie na paznokcie i zupełnie białe, tak że pozostawały niewidoczne na pierwszy rzut oka. Ich odkrycie odebrało mi mowę, nic, tylko patrzyłem, zastanawiając się, jak ułożyłyby się, gdybym przejechał po nich dłonią.

- On jest przeciw, Antek - nazwała mnie moim prawdziwym imieniem - tak przeciw, jak tylko można. To człowiek niemożliwy - uśmiechnęła się. - Przeciw sobie, Niemcom, własnej ojczyźnie, przeciw wam i mnie, a zarazem z nami. Bezsens, jaki król Popiel? Czy Chrobry może? Przyjdą i zarzną nas wszystkich. Chcę... - ale nie dokończyła, nasunęła koszulę na przedramiona, a włoski zniknęły.

Czasami Popiel wędrował samotnie, wychodził z leśniczówki i znikał w lesie, najczęściej przed świtem. Słyszeliśmy jego wrzaski, a raz Lisek z Adamem pobiegli sprawdzić, co się stało. Popiel wrócił błądy jak ściana, runął na łóżko i leżał, z dziwnym wyrazem twarzy, aż do południa. Pytaliśmy go, co się dzieje, czemu chodzi do lasu, nie odpowiadał. Płakał i nazywał nas dziećmi. Potem zbudowaliśmy mu tron, daliśmy berło i koronę.

Lisek wymyślił to ze Starszym, dla zabawy. Pomyśleli, że jak Popiel, to król, sam przecież prosił o koronę. Więc Lisek zjawił się z drucianą koroną, na którą nabił szyszki. Starszy przyniósł berło z tłuczka, które nabił rzeczonymi kamieniami. Wręczyli to Popielowi uroczyście, podczas kolacji. Popiel nie krył wzruszenia, nałożył koronę i podziękował Liskowi, tytułując go „waszą świętobliwością”. Przez cały wieczór nie wypuścił berła. Już pijani, przed północą, zaczęliśmy mu się kłaniać i padać na kolana. Przyjmował te hołdy po królewsku, trzymając Wandę po prawicy.

Znaleźliśmy dwa biedermeierowskie fotele z dziurawą plecionką. Myszołów je naprawił, dodaliśmy różne ozdoby - srebrne widelce, złoto, które zabraliśmy jeszcze z domu wuja, kolorowe pocztówki, przytwierdzone do oparcia mocnym klejem, dwa noże, skrzyżowane z tyłu na wysokości karku, i futro, ułożone starannie pod siedzeniem. Tron Wandy był skromniejszy - bez sztućców i złota, obwieszony za to kliszami fotograficznymi. Liskowi podobał się ich błysk.

Jadalnię przerobiliśmy na salę tronową - Myszołów, Adam i Marek wykonali podwyższenie ze skrzynek, na nim postawiliśmy oba fotele. Nad nimi zgromadziliśmy głowy hybryd, niby królewskie trofea. Znalazłem czerwoną zasłonę, złożyłem na pół i przybiłem w miejscu, gdzie mieliśmy klękać. Z drugiej Wanda uszyła płaszcz, ale Popiel wolał cienkie, jasne futro, które znalazł Lisek. Przypominało płaszcz z gronostajów. W tym futrze i w koronie chodził nawet do lasu.

Ktoś zadbał o pieczęć królewską, ktoś wystrugał jabłko i nabił na nie krzyżyk, wszystko wśród żartów, śmiechów, klepania po plecach. Znaleźliśmy przecież wariata, ciekawe, dokąd da się go popchnąć w szaleństwie. Śmiechy milkły, gdy zjawiał się Popiel, z wysoko uniesioną głową w koronie z szyszkami, z berłem i w płaszczu. Padaliśmy na kolana,

zerkając na siebie, upewniając się, że to tylko żarty.

Wciąż traktował nas jak żołnierzy, wysyłał na patrole, kazał się czołgać, wspinać na drzewa, walczyć wręcz. Zostaliśmy też członkami jego dworu - Wanda królową, Myszołów szambelanem, Adam marszałkiem, Dawidek podczaszym, Marek zbrojmistrzem, a Lisek ochmistrem. Nieustannie się mylił, z jednym tylko wyjątkiem - ja byłem błaznem. O tym wiedział. Gdy się upiłem, siedziałem u stóp jego tronu.

Zaczął znikać częściej i na dłużej. Wymykał się z koroną i berłem, otulony w futro. Czasem zabierał nóż, zawsze visa. Rozmawialiśmy, co może tam robić - wędruje do wsi, może ma inną kobietę, skoro taki jebaka. Lisek utrzymywał, że Popiel to wariat, chodzi po lesie, bo lubi.

Aż raz nie wrócił.

Zaalarmowała nas Wanda, wszyscy spali, łącznie z Dawidkiem, który miał wartę. Las przecinały pasemka mgły, spodnie przemokły nam do kolan, chłód wdzierał się pod ubrania. Popiela znaleźliśmy kilkaset metrów od leśniczówki, na małej polance pełnej badyli. Leżał, skulony niczym płód, krew ciekła mu z uszu. Chcieliśmy zrobić nosze, ale Wanda nie pozwoliła. Żył, dobry Boże! Wracaliśmy przerażeni i pełni nadziei.

Ułożyła Popiela przy kominku, przyciągnęliśmy tam łóżko. Umyła jego chude ciało. Wydawał się pogrążony w śpiączce, na samym skraju śmierci. Oczy miał nieruchome, ledwo oddychał, serce prawie nie biło. Obudził się wczesnym popołudniem, słaby i drżący, rozplakał się na nasz widok, próbował głaskać mnie po twarzy, ale widział ją gdzieś indziej, bliżej, niż była.

Następnego dnia jadł z nami, usadowiony na łóżku, w koronie na głowie. Gdy byliśmy sami, spytałem, czemu chodzi po lesie i czy pomyślał, co byłoby z nami, gdyby zginął. Byłoby nie najgorzej, ale znałem Popiela i wiedziałem, jak go podejść. Poglaskał mnie i powiedział, że owszem, zdradzi mi tę tajemnicę, ale nie teraz, tylko wieczorem.

Było koło dziesiątej, kiedy usiedliśmy na ławeczce przed leśniczówką, z butelką i skrętami. Każde jego słowo pamiętam do teraz.

- Chodzę do lasu, żeby ich zobaczyć - tak zaczął. - Krążą wokół naszego domu, nawet wcześniej krążyli. Póki palimy światło, boją się podejść, ale kiedy zgaśnie, mówię, zgaśnie światło w naszych duszach, to przyjdą i zabiorą. Zeżrą nasze ciała i rozwleką resztki. Tylko ja mogę z nimi mówić, tobie nie pozwoliliby ust otworzyć. Tam są, o! - machnął ręką, papieros zmienił się w smugę na tle ciemności. Przed nami szumiał las.

- Kto jest? - pytałem.

- Duchy. Trupożercy, stworzeni mimo Boga, co przywędrowali z przyszłości lub

przeszłości. Mokra i brzydka cień. Czasem widzisz takiego kątem oka, to znów mignie przed tobą, skrzeknie zatrute słowo. - Patrzył przed siebie, przyłożył dłoń do policzka, żyły mu pulsowały jak wypełnione wrzątkiem. - Są straszni, mój przyjacielu. Skurczeni, albo odwrotnie - rozciągnięci, niby pod wpływem ciepła. Widziałem, widziałem starca z głową w płomieniach, wyciągał do mnie płonące dłonie. Przed nim szedł chłopiec i starzec dotykał jego czoła. Inny niósł własne oko na metalowej żerdzi, a włosy wrastały mu w ziemię. Śpiewał mi o tym, jaki piękny był świat przed Chrystusem...

Włożyłem mu w dłoń kubek z wódką.

- Był też inny, całkiem nagi i zamiast uszu miał głodne, pulsujące rany. Mój brat Zbigniew, też go widziałem, i jego oślepił! Boże! - krzyknął. - Znów tam ktoś przemknął, a ja nie wiem kto, rozumiesz? - Odwrócił do mnie przerażoną twarz. Powtarzał: - Nie wiem kto, nie wiem kto...

Objąłem jego głowę, ostrożnie, jak garnek wrzątku. Dałem mu jeszcze wódki i czekałem, aż złapie oddech.

- Krzaki mają czasem złote twarze i rozbłyskują, a drzewa zmieniają się w potwory - szeptał. - Na gałęziach wiszą trupy w klatkach i obcięte dłonie. Ludzie na łąkach zamiast nóg albo z setkami ust na udach i kolanach... - zawiesił głos. - Duch żołnierza z dziurą w głowie szedł wprost na mnie. W rozpiętym mundurze, z korpusem rozprutym od gardła aż po podbrzusze. Rana wyglądała, jakby ktoś wrywał z niej mięso gołymi rękami. Gdzieś, słuchaj mnie, Zygmunt, pomiędzy potrząskanymi żebrami widziałem duszę tego człowieka, maleńką, wciąż żywą. Ujął ją delikatnie i wyciągnął w moją stronę.

Papieros zgasł Popielowi w rękach. Wyjąłem tytoń i bibułki, skręciłem. Popiel wodził wzrokiem po moich palcach. Włożyłem mu szlugę w usta.

- Za strumieniem ziemia rozstępuje się przede mną. Zanurzam się w ciepłej, słodkiej wodzie, wędruję do dna, gdzie płoną lampy nagrobne. To podwodny cmentarz, leżą tam dawni królowie, Mieszko, Kazimierz, leżą od dawna i śnią o tym, że już czas, byśmy dołączyli. Tylko patrzą, chwila nieuwagi i wciągną leśniczówkę. Dlatego tam schodzę, mówię im, że nie wolno, bo ten świat, bo Polska należy do nas, nie do nich.

Szlochał. Złożył głowę na moich kolanach.

- Czemu ja jestem? - pytał. - Czemu byłem wczoraj? Kim byłem? Julianem, Bolesławem, teraz Bolesławem znowu, z innego zamętu. A dalej co? - Odwrócił głowę i spojrzał na gwiazdy. W podobny sposób i w podobne noce dziewczyny w parkach układają się przy chłopcach. Popiel zamknął oczy. Powiedział: - Chciałbym zmienić się w sen.

* * *

Ryzykuję wódeczkę. Jest ciepła, paskudna jak syrop, aż mnie wykręca. Piję przeciw swojemu ciału, bo ciało jest już przeciw mnie. Młodzi rozparli się na ławeczkach, obok, w fontannie, pluska się pies.

Chłopcy okładają się pięściami. Dwóch na dwóch, gwałtowna szarpanina, parę ciosów, szepiąją się, czerwoni jak raki. Nagle odskakują i rozchodzą się w różne strony, jeden nawet podnosi rękę. Myślę sobie, że kiedyś walka wyglądała inaczej, bo my mieliśmy przestrzeń, tak jak w każdym domu był kącik na rupiecie. A teraz wszystko musi być wylizane i schludne, więc trzeba walić się po pyskach na pół gwizdka i szybko uciekać. I zaraz łapię się za głowę - stary durniu, czego jęczysz, klniesz na czasy, których nie pojmiesz. Tylko raz w życiu może być pięknie, i było, jak zarzynaliście ludzi w lasach na Suwalszczyźnie.

Podczas patroli sprawdzaliśmy, czy w pobliże leśniczówki nie podeszły wojska. Tydzień z kawalkiem, który tam spędziliśmy, wystarczył, bym zapomniał o Niemcach, całej wojnie, o wuju, o tym, jak mnie traktował i co się z nim stało. Graliśmy w karty i pili, i człowiek zaczynał wierzyć, że świat wokół zniknął i jest tylko las.

Aż raz na patrol poszli Marek ze Starszym. Powrócił tylko Marek, za to na kopach i z niemiecką lufą pod żebrem. Musiał natrafić na prawdziwy patrol z lokalnego posterunku, może ten sam, który minęliśmy kilka dni wcześniej.

Było ich czterech. Otworzyliśmy ogień - byłem akurat z Liskiem na zewnątrz, waliłem z visa, ale niezbyt celnie. Popiel i reszta pruli z leśniczówki. Terkotał erkaem. Myślę, że choć Marek był zdrajcą, to nie do końca, bo gdyby powiedział, że jest nas z Wandą siedmioro, fryców przyszloby więcej. Jeden padł od razu (Myszołów go zastrzelił, dowiedziałem się potem), reszta rozproszyła się, a jasnowłosy olbrzym, prawdziwa bestia, chwycił Marka za kark, robiąc z niego żywą tarczę. Chciał podejść do leśniczówki. Marek nie dał rady utrzymać rąk w górze, a strużka moczu pociemniła mu spodnie. Zabiliśmy go, Niemca zaraz potem. Zostało dwóch, jeden walił zza drzewa, drugi aż próbował wiać, ale dostał między łopatki. Ten za drzewem radził sobie świetnie, słyszałem trzask szyby, ktoś w leśniczówce dostał i wrzeszczał z bólu.

- Dalej! Dalej! Głógów wytrwa! - wył Popiel.

Ostatniego Niemca załatwił Lisek. Fryc nie zorientował się, że ktoś jest za leśniczówką, dał się podejść i oberwał w brzuch. Miał minę, jakby padł ofiarą paskudnego żartu. Upuścił karabin, przejechał dłonią po twarzy, upadł na plecy i zaczął się czołgać.

Nadbiegłem. Dostrzegł mnie, mierzącego w jego stronę, wyszarpał zza koszuli święty medalik, coś wołał. Nie strzeliłem.

Popatrzyliśmy z Liskiem po sobie - co robić? Dwóch Niemców leżało bez życia, jeden drżał i żebrał o łaskę, ostatni, jęcząc, próbował przeczołgać się w stronę drzew. Kula rozwalila mu kolano. Odwracał się co chwilę, idiota, i przywierał do ziemi, że niby go nie widzimy. Czekaliśmy na rozkaz.

Z leśniczówki wypadła Wanda z nożem kuchennym. Nie śmieliśmy jej przeszkadzać. Dopadła naszego Niemca, próbował się zasłonić, ale usiadła mu na piersi, przyciskając kolanami ramiona. Ostrożnie wbiła czubek noża w oko, a gdy zagłębił się cały, przekreśliła gwałtownie. Odgłos był podobny do pękającego jajka. Niemiec zawył, próbował zasłonić drugie oko. Nóż przeszedł między palcami. Niemiec przeklinał i skuczał jak pies. Wanda wbiła pięść w ranę na brzuchu, a potem - tu odebrało mi oddech - błyskawicznie odwróciła się, szarpnęła za pasek i urznęła mu jądra razem z fiutem. Zerwała się i pognęła prosto przed siebie z tym krwawym trofeum. Niemiec nawet nie krzyczał, to tylko coś w nim wyło, jakby rany zmieniły się w usta, uderzał łokciami o ziemię. Nie przestał, nawet gdy strzeliłem mu w głowę.

Wanda dopadła fryca, który dopełził najbliżej lasu. Zrobiła mu to samo - oślepiła i odcięła jajca, a ja czułem się jak ostatni i najgłupszy sprawiedliwy. Identycznie pastwiła się nad trupami. Na koniec pobiegła do drewni, wróciła z siekierą i każdemu Niemcowi urąbała dłonie. Dokonywała zemsty za jakąś straszną krzywdę, ale do dzisiaj nie wiem za jaką.

Dawidek dostał w bark, kula przeszła na wylot. Opatrzyliśmy ranę, lecz bandaż wciąż nasiąkał krwią. Próbował być dzielny, tylko syczał przez zaciśnięte zęby i nadymał nozdrza. Poprosił o papierosa, ale nie zdołał go utrzymać. Dopiero Popiel mu pomógł.

Adamowi kula urwała dwa palce prawej dłoni. Zagryzał wargi z bólu i próbował żartować. Popiel dotknął, krwawiące kikuty pokryła różowiotka skóra. Odtąd Adam salutował Popielowi często, chętnie, złośliwym uśmiechem przypominając o własnej stracie.

Wanda leżała na plecach i ciężko oddychała. Popiel krążył między nami, mierzył z visa do krzaków i korzeni. Potem Myszołów powiedział mi, że Popiel nie oddał żadnego strzału, tylko patrzył.

A my skoczyliśmy sobie do gardeł. Część nas twierdziła, że trzeba zwijać manatki tak szybko, jak się da, Adam z Myszołowem byli odmiennego zdania. Przecież leśniczówka nadaje się do obrony, poza tym nie wiadomo, dlaczego patrol do nas przyszedł i czemu Niemcy mieliby go szukać akurat tutaj.

Sprawę rozstrzygnął Popiel. Wrzeszczał o wielkim tryumfie, który kopnął nas w zady:

oto szeregi wrogów legły pokotem pod Głogowem i zaraz zabrzmiała pieśń zwycięstwa, a jak odśpiewamy, to pójdziemy gdzie indziej. Nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Wyprawiliśmy ucztę - było najlepsze mięso i wódka, płonęły lampy naftowe, stół trzeszczał, myśmy śpiewali. Wanda kazała zebrać wszystkie ciała i zanieść do pokoju z kominkiem. Rozłożyliśmy je jedno obok drugiego, twarzami do podłogi. Dopiero na nich rozwinęliśmy dywan. Popiel jadł, nie wypuszczając berła, koronę nasadził mocno na czoło. Ja akurat miałem niewygodnie, bo moje krzesło chybotąło się na ścierwie.

Bredził o wojnach i królobójcach, powtarzając: „Zbigniew ich sprowadził, przeklęty Zbigniew”, choć mówiliśmy mu, że to Marek. Śpiewaliśmy stare piosenki, tłuszcz kapął na nasze ubrania, dym papierosowy unosił się w powietrzu. Pamiętam, spiliśmy się szybko.

Wanda jadła jak zwierzę, popychając mięso palcami lub skórką chleba, wylizywała talerze, a gdy udko kurczaka spadło jej na ziemię, dokończyła je pod stołem. Krzyczała przy toastach i pluła wódką w kominkowy ogień.

Po ranie Dawidka nie został ślad, lecz Dawidek był tak słaby, że z trudem utrzymywał się na krześle. Myślę, że są rany w duszy, z którymi nawet Popiel sobie nie radził. Koło północy Dawidek zwymiotował w rogu pokoju, nikt nie zwrócił na to uwagi. Wrócił na miejsce, wodził po nas przerażonym wzrokiem, potem uniósł rękę, jakby wskazując na coś strasznego. Runął na twarz, między resztki żarcia.

Pochowaliśmy go w piwnicy.

* * *

Wyruszyliśmy przed świtem, po paru godzinach płytkiego snu, jeszcze pijani, zmiażdżeni wódką. Było zimno, lało mi się z nosa, więc wypilem topiony psi smalec z mlekiem, bardzo dobry na przeziębienie. Wyglądaliśmy jak cienie: wory pod oczami, wszy we włosach, szara skóra, połamane paznokcie. Ale na zbiórce każdy wypinał pierś. Nasze mundury były czyste.

Okazało się, że Lisek miał pustą chałupę trzydzieści kilometrów dalej. Postanowiliśmy tam się przenieść i przeczekać, aż Niemcy przestaną szukać patrolu i nas. Popiel opowiadał, że na nowym miejscu uzupełni braki w oddziale i przeprowadzi rekrutację wśród ludności. Nikt mu nie wierzył. Chciałem tylko przepaść i zniknąć, inni myśleli podobnie. Adam gapił się na okaleczoną dłoń.

Na stary wóz załadowaliśmy, co dało się zabrać z leśniczówki: prowiant, zapasowe ubrania, broń, amunicję, lekarstwa, trochę alkoholu ocalałego po tygodniowym pijaństwie, nawet książki i pudełko szachów. Na środku, między tymi szybko topniejącymi dobrami, ustawiliśmy tron. I tak ruszyliśmy, z Popielem w koronie i w futrze, z berłem i jabłkiem.

Przez wiele godzin siedział sztywny i nieruchomy. Blizna na jego czole zrobiła się szara.

Wędrowaliśmy powoli i w ciszy, nawet nie paląc, póki nie zrobiło się jasno - na tyle jasno, na ile pozwalała na to polska jesień, z tymi chmurami jak belt, chłodem i wieczną mżawką.

Dotarliśmy na skraj wsi, tej samej, której mieszkańcy udzielili nam pomocy. Tym razem sami sobie pomogliśmy. Popiel dał sygnał, strzelając w powietrze. Załomotaliśmy kolbami do drzwi i dalej, wyciągamy ludzi na zewnątrz. Widziałem, jak próbują wymykać się tyłem, w las - otworzyliśmy ogień. Niektórzy uciekli, niektórzy nie.

Zgromadziliśmy wszystkich - jakieś piętnaście osób - w jednym miejscu, koło okazałego domu. Popiel zamienił futro na płaszcz wojskowy, berło na visa, z korony nie zrezygnował. Podchodził do każdego, przyglądał mu się chwilę nieodgadzionym wzrokiem i przechodził do konkretnego: gdzie, co, jak możesz nam pomóc? I ludzie przynosili. Trochę złota, broń, dwa nagie noże, przede wszystkim - jedzenie. Dzieci płakały.

Mieliśmy teraz więcej, niż potrzeba. Popiel wybrał dwóch wieśniaków, by załadowali wszystko na nasz wóz. Dostaliśmy też silniejsze konie. Popiel kazał nam trzymać wieśniaków pod bronią, a sam usiadł na zaimprovizowanym krzeselku, z książką jako podkładką, i zaczął wypisywać kwity w imieniu państwa polskiego, z promesą wysokiej rekompensaty. Wręczał je po kolei każdemu, kogo obrabowaliśmy, aż doszedł do chłopca, może ośmioletniego, który jako jedyny wyglądał, jakby nie bał się wcale.

- A co, jak wolna Polska już nie wróci? - zapytał. Popiel uklęknął przed nim, wyraźnie wzruszony. Poglaskał go i uśmiechnął się:

- Ja jestem Polską.

Zmarszczył czoło i powiedział do wszystkich:

- Nie trwóźcie się, to tylko manewr. Litwa nie uchodzi, powrócą, tylko wątpić w to nie wolno.

Zapędziliśmy wszystkich do wnętrza niewielkiego drewnianego domu. Wchodzili bez słowa skargi. Popiel rozkazał zabić drzwi i okna, licząc, że będziemy już daleko, nim tamci się uwolnią. Zapomnieliśmy o Wandzie. Przez całą akcję siedziała spokojnie na wozie, nawet nie udając zainteresowania czymkolwiek poza własnymi dłońmi. Teraz zerwała się, zdecydowanym krokiem podeszła do domu i nim ktokolwiek zdążył zareagować, cisnęła granat do środka. I jeszcze jeden. To starczyło za sygnał, granaty rzucili też Adam, Lisek i sam Popiel. On jeden przy tym nie krzyczał. Ja za to wrzeszczałem na całego, dziko i tryumfalnie, tylko krzyk mi pozostał - miałem pistolet, ale nie granaty.

Wewnątrz zakotłowało się, zabrzmiały krzyki, młody mężczyzna wybił sobą okno w

rozpaczliwej próbie ucieczki. Popiel położył go strzałem w głowę, a nim facet upadł, domem szarpnął wybuch, potem kolejne. Kiedy wszystko ucichło, zakazał nam się ruszać i wszedł do środka. Słyszeliśmy, jak płacze, przez wybite okno widziałem czarne ściany, trupy i naszego dowódcę oplakującego nieszczęście, które ściągnął na ludzi. Po chwili wstał i powiedział:

- Dzieje pędzą. Jestem królem Władysławem.

I dotknął palcem korony.

Nikt nas nie zatrzymywał ani nie gonił, Polska była masłem, w które wchodził nasz nóż. Tylko raz zetknęliśmy się z oddziałem niemieckim, w połowie drogi. Odpoczywaliśmy, a Adam wyjął stalową linę i rozciągnął po skosie, naprężając od drzewa do drzewa. Lina wisiała na wysokości trzydziestu centymetrów i nie wyróżniała się od szarości dokoła.

Niemiecki samochód wpadł i stoczył się do rowu. Na to czekaliśmy - Wanda była pierwsza, przecięła gardło kierowcy. Resztę załatwiłem z Liskiem i Myszołowem, Niemcy byli zdezorientowani, nie zdążyli sięgnąć po broń, wystarczyło w nich pruć ile wlezie, a potem zaciągnąć ciała do lasu. Wanda zniknęła tam, sama z trupami. Nikt nie miał ochoty jej towarzyszyć. Popiel patrzył na to z boku, nie drgnął nawet, tylko powtarzał nieustannie:

- Jan! Jan! Jan!

W ten sposób samochód powiększył dobra oddziału i przemieszczaliśmy się szybciej - Wanda i Popiel na wozie, my, czyli Myszołów, Lisek, Adam i ja w samochodzie. Usadawiłem się na tylnym siedzeniu, cały przejęty. Nigdy wcześniej nie jechałem samochodem, najwyżej bryczką, którą wuj Schwartza jeździł do kościoła. Tonąłem w poczuciu cudowności. Wiatr chłodził mi twarz, drzewa przesuwały się szybko, zlewając się w brązową ścianę, mogłem palić, oparty o wygodne siedzenie. Czuję się jak król.

- Jan, król Jan - powtarzał Popiel. Słyszałem te słowa nawet z daleka i przez ryk silnika.

Jeśli rudere, do której ściągnął nas Lisek, nazwać domem, to leśna droga była autostradą, a my rycerzami w złotych zbrojach - biedną chałupinkę częściowo strawił ogień, jedna ściana poczerniała, przez dziurę w dachu wyfruwały ptaki. Nie ocalała ani jedna szyba, drzwi się nie domykały, o zamku mogłeś zapomnieć. Lisek wyglądał na strapionego. Samochód zaparkowaliśmy w stodole, a Lisek z Myszołowem zdecydowali, że przy nim zostaną. Rozumiałem ich świetnie - po tym, co widzieliśmy przy drodze i przed leśniczówką, nikt nie miał ochoty na towarzystwo Wandy. Ta tryskała witalnością i gdyby zagrali, tańczyłaby i śpiewała. Wykonała też niespodziewaną woltę - przyniosła wody ze strumienia, przemyła podłogę w chacie i zabrała się do czyszczenia zdezelowanego kredensu, krzesel i ludowej skrzyni w wyblakłe kwiaty. Krzątała się jak najzwyczajniejsza pod słońcem

dziewczyna.

Razem z Popielem zajęli najmniejszą izbę. Nad drzwiami wisiał Pan Jezus, z łożka sterczały sprężyny, podłoga tonęła w kurzu. Wanda sprzątała, a Popiel przycupnął z boku, cmokał i żuł tytoń. Coś zmieniło się w jego twarzy, właściwie w głowie - może bardziej się przekrzywiła albo głębiej nasadził koronę? Nie wiem dokładnie.

Poszedłem się przejść, usiadłem przy strumieniu, na wilgotnej trawie. Od wody było chłodem. Myślałem o własnym życiu. Minęło ledwo dziesięć dni, a zmieniło się wszystko. Zostałem rycerzem przedziwnej sprawy, zabijałem ludzi, piłem wódkę i zgromadziłem górę złota. Ale co dalej? Bałem się, że prędzej czy później nas dopadną i zastrzelą. Może powinienem odejść? Po twarzach innych poznawałem, że też o tym myślą.

Za mną przyszedł Lisek. Usiadł obok, milczeliśmy chwilę. Rzucił kamienie do wody, dał mi papierosa i powiedział, że jak pójść strumieniem w dół, jakieś trzy kilometry, to dojdzie się do rzeki. I trzeba iść z nurtem kolejne dwa kilometry, aż zobaczy się stary młyn. Jeśli coś się stanie, można tam się spotkać. Jeśli coś się stanie, powtórzył. Inni już o tym wiedzieli.

Wieczorem nikt nie miał ochoty na biesiadowanie. Ktoś pił, grano w karty, Lisek uczył się szachowych ruchów, ja usiadłem przed domem, otulony w sweter i płaszcz. Niby pełniłem wartę, ale oczy mi się kleiły. Patrzyłem w gwiazdy: tu było ich więcej, świeciły mocniej niż nad leśniczówką i miałem wrażenie, że wciąż zapalają się nowe, czerń nieba pęka powoli i zalewa nas srebrne światło.

* * *

Obudził mnie ryk Popiela. Minęła chwila, nim oprzytomniałem. Spałem skrzywiony na ławce przed domem. Palce zeszywniały mi z zimna, a to, na co patrzyłem wyglądało w pierwszej chwili jak sen. Popiel biegał przed domem, boso, w samej koszuli i koronie. Wył jak zwierzę, rwał włosy z głowy, bił się pięścią po twarzy, wreszcie runął na kolana i zaczął jeść ziemię. Nadbiegli inni, ale we czterech nie zdołaliśmy go unieruchomić.

Zmęczył się i usiadł z ustami pełnymi ziemi. Płakał. Zobaczyłem, że koszulę ma we krwi - to znaczy była zakrwawiona już wcześniej, lecz teraz juchy było więcej. Jeszcze nie zaschła. Lisek przytulił Popiela, Myszołów poleciał po wodę, a ja wycofałem się do domu.

Drzwi do Popielowego pokoju były otwarte. W poprzek łożka leżała Wanda. Przez jej gardło, od ucha do ucha, biegła czerwona wyrwa. Usta zastygły w grymasie zdziwienia. Osunąłem się po ścianie, świat spadł mi na barki, czułem, że zaraz je zgruchocze. Przyszli inni. Nikt nie żałował tej kobiety, nawet lepiej, że umarła - tak myśleliśmy. Ale przerażała nas

świadomość, że zamordował ją Popiel.

On zaś tarzał się po ziemi, z koszulą podciągniętą za piersi, odsłoniętym chudym tyłkiem i koroną nasadzoną aż na brwi. Wył, pluł i wcierał w siebie błoto. Popędził do strumienia i runął na twarz. Myśleliśmy, że nie wstanie. Uniósł się, mokrusieńki, po kolana w wodzie, i wydawał z siebie krótkie, szarpane dźwięki, coś jak szczekanie. Długo leżał na brzegu. Adam powiedział, że trzeba go zabrać do środka, nawet przemocą. Inaczej chłop się wykończy.

Chcieliśmy zanieść Wandę do lasu i tam pochować bez krzyża. Popiel się sprzeciwił: Wanda musi mieć pogrzeb, i to nie byle jaki, najpiękniejszy. Przy śniadaniu był już spokojny. Urywał kawałki chleba, ciamkał i uzgadniał szczegóły pogrzebu. Trzeba było nam uciekać w tamtej chwili.

Udało nam się jedynie przekonać go, by szopkę rozpocząć za dnia, nie w nocy, kiedy bylibyśmy widoczni jak na dłoni. Cała ta mądrość nie zdała się na wiele. Popiel miał rację, byłem błaznem, tak właśnie się czułem.

Rozebrałem Wandę do naga, włoski na całym ciele, którymi kiedyś się zachwyciałem, były sztywne jak druciki. Zabraliśmy ją we trzech nad strumień, ja z Myszołowem chwyciliśmy za ręce, a Adam pod kolanami, tak że tuż przed oczyma miał jej martwe tajemnice. Złożyliśmy ciało w strumieniu, woda opływała głowę, a Popiel przyklęknął, mył Wandę długo i starannie.

Wysłał nas do lasu po drewno. Gdy dołożyliśmy meble, sanki i inne drobiazgi, wyrósł imponujący stos. Trzeszczał, kiedy kładliśmy na nim ciało, przebrane w nocną koszulę i płaszcz.

Ogień błyskawicznie ogarnął ciało, było niemal niewidoczne zza płomieni. Wanda przypominała mi raczej drewnianą figurę niż człowieka. Zwęgliła się szybko. Popiel wyglądał upiornie - w czystych spodniach, wypucowanych oficerkach, zakrwawionej koszuli, owinięty futrem i w nieodłącznej koronie. Próbował się ogolić i pociął sobie policzki. Nie odrywał wzroku od płomieni.

Niespodziewanie włożył berło do ognia, poczekał, aż się zajmie, i cofnął się o krok. Zaczął śpiewać pieśń, jak tylko on umiał - fałszywie i przejmująco. Nie sposób było pojąć o czym, wyłapywałem pojedyncze słowa, o rycerzu, jego kobiecie, wspólnej śmierci. W końcu tłuczek się rozgrzał i zmiękł, uwolnione deski osunęły się nam pod nogi. Przed moimi stopami zatrzymała się czarna głowa Wandy.

Przez cały wieczór Popiel nawet nie spojrzał w naszą stronę, tylko garbił się nad stołem, przesuając kawałeczki zwęglonego drewna. „Odra, Głogów, Grunwald, Wiedeń,

Odra, Głogów, Grunwald, Wiedeń”, powtarzał głuchym głosem i dotykał palcami twarzy, aż stała się czarna. Spojrzał na mnie i nieoczekiwanie powiedział:

- Możecie odejść, jeśli chcecie.

Wówczas zrozumiałem, że jego słowa nie były propozycją, ale stwierdzeniem faktu - nie, nie odejdziemy, choć powinniśmy. Leżałem w ciemnym pokoju, nie mogąc zasnąć, i wyobrażałem sobie, jak Popiel mija gładko teraźniejszość i rozgrywa z nami bitwy przyszłe, te, które zdarzą się naprawdę za sto lub tysiąc lat, na ziemi i na niebie, poza ziemią i niebem.

* * *

Chociaż moje myśli odlatują ku tamtym wydarzeniom, ciało trzyma mnie w Podgórzu jak przegniłe kajdany. Stary durniu, myślę, przecież masz śmieci w głowie, ta jedna historia, co się jej chwyciłeś, żeby na mordę nie zlecieć, nie ma dla nikogo sensu, nie przełożysz jej na ten język i na te czasy, dowiesz się tylko, że kawał z ciebie sukinsyna. Patrzę na robotników, którzy wyskoczyli tu na obiad i piwo, i nagle ogarnia mnie obcość, aż mam ochotę wrzeszczeć. W mej inności nie ma nic budującego, trudno też, bym się przemienił i z kimkolwiek bratał, bo wszystko, co można rzec o mnie dobrego, to to, że jestem już nieszkodliwy.

O świcie w domu zjawił się gość. Adam wypatrzył go, kiedy tamten wędrował drogą, którą przyjechaliśmy. Przybysz miał koło pięćdziesiątki, regularne rysy i lekko odstające uszy. Czaszkę musiał kiedyś regularnie golić, jak Mussolini, jednak tego zaniedbał i głowę porastały mu krótkie czarne włoski. Powiedział, że jest żołnierzem Wojska Polskiego, pseudonim „Zawisły”, teraz ze Służby Zwycięstwu Polski, i musi porozmawiać z porucznikiem Armeńczykiem. Wzięliśmy go pod broń. Poszedł bez oporu.

Myszołów zatrzymał go przed wejściem, dał papierosa, ja poszedłem zameldować o gościu Popielowi. Zareagował spokojnie i bez ciekawości, powiedział, że każe mu poczekać pół godziny i przyjmie. Zawisły liczył chyba na coś innego - dąsał się i kręcił nosem. Próbowaliśmy odstawić szopkę, Adam i Lisek krążyli nieustannie w czapkach lub bez, w płaszczu lub samej koszuli, żeby stworzyć wrażenie, że jest nas więcej.

Wprowadziliśmy Zawisłego do środka. Popiel siedział na tronie, ukoronowany, z berłem i jabłkiem, w mundurze, lecz bez futra, na znak, że jest nie tylko królem, ale i żołnierzem. Zawisły zerknął na mnie bezradnie, zaraz spał się w sobie i zasalutował. Popiel odpowiedział skinieniem głowy.

Posłaniec przemówił, już bez wiary we własne słowa. Otóż na rozkaz niejakiego Grabicy ze Służby Zwycięstwu Polski oddział ma zostać rozwiązany pod rygorem sądu

polowego. Wszelkiej działalności partyzanckiej należy zaprzestać, ludzi rozpuścić, przyciąć się i czekać. Nie wiadomo bowiem, Zawisły streszczał Grabicę, na jakiej podstawie działa nasz oddział, czym się zajmuje, a głosy, które dochodzą, brzmią co najmniej niepokojąco. Byliśmy zdziwieni, że jakiegokolwiek głosy dochodziły. Popiel słuchał spokojnie, miętosił wąsa, a jak ryknął, to Zawisły aż podskoczył.

Wrzeszczał chyba dwadzieścia minut - że Grabiców i inną hołotę ma w dupie, gdzie w ogóle byli i za co raczyli się trzymać, gdy myśmy tutaj chwycili za broń. I jeszcze, że póki kraj się nie podda, a przecież się nie poddał, to wojna trwa, i do widzenia. Co, może od razu wszyscy pomaszujemy do Berlina z rękami uniesionymi w górę, a spodniami wprost przeciwnie?

Zawisły próbował coś odpowiadać, ale Popiel nie dał mu dojść do słowa.

- Wracajże pan do swojego Grabicy, won mi stąd! - ryknął. - A powiedz tym bandytom w mundurach, którym się wysługują, żeby sami tutaj przyszli, jak się mi pokłonią, to ich wysłucham! Łby nisko, mówię! Nie mówcie mi o obowiązku! Nie mówcie mi o Polsce - zawył, wymierzył w niego palec i rzucił: - Ja jestem Polską!

Spodziewałem się, że Zawisły po prostu wyciągnie broń i zastrzeli Popiela. Nie opuszczałem karabinu. Zawisły uciekał wzrokiem, kompletnie ogłupiały, a gdy usłyszał, że ma odmaszerować do swoich, po prostu wyszedł. Podążyliśmy za nim.

Adam z Myszolowem pokazali mu wolną drogę. Ledwo zniknął za domem, skoczyłem, wbiłem mu nóż w plecy, wyszarpnąłem i wbiłem ponownie. Zawisły dobył broni, wymierzył, zrobił kilka chwiejnych kroków, upadł, ale jeszcze próbował czołgać się do chaty. Pochowałem go bez niczyjej pomocy.

* * *

Popiel wyszedł z chaty, wsparty na kij, z pistoletem w dłoni. Przeraziłem się, że chce się zastrzelić. Minął mnie o kilkadziesiąt metrów, ale nie dostrzegł, szedł do lasu. Postawił kołnierz płaszcza i zaraz zlał się z wszechobecną szarością. Podążyłem za nim. Stałem między drzewami, zrezygnowany - wszystko było takie samo, pnia od człowieka nie odróżnisz. Nie chciałem palić latarki, błdziłem więc, aż zrobiło się ciemno. Tej nocy niebo zakryły chmury. Było mi zimno, drżałem.

Usiadłem na zwalonym pniu, jak wcześniej na grobie. Co z nami będzie? W pewnej chwili usłyszałem głosy. Nie rozumiałem ani słowa, pomyślałem, że to szum wiatru albo sam Popiel. Ale to była rozmowa. Poszedłem przed siebie, potykając się o korzenie. Na niewielkiej polanie stał Popiel i szeptał. Jego głos ginął w szumie drzew, nakładały się nań

inne, przybierały na sile i gasły, zdawały się rozdawać i mnożyć. Popiel chwilami krzyczał, machał rękami, jakby usiłował przekonać niewidzialną postać, to znów milkł, kiwał głową, na znak, że słucha.

Po jakimś czasie zachrypl, drżał, jego mowa stała się rwana i nerwowa. Wciąż nie rozumiałem ani słowa - raz brzmiało to prawie po polsku, potem znów śpiewnie, niby z rosyjska, by przejść w twardość mowy z Zachodu. Sam już nie wiedziałem, czy słyszę, czy nie, zacząłem nawet myśleć, że pewno wariuję od chłodu i krwi.

Popiel zamilkł, opadł wyczerpany na kolana i kiwał się jak bezrozumni, których widywałem w miastach jako dziecko. Podniósł się i otrzepał, poprawił płaszcz i spojrzał w moją stronę. Padłem na ziemię i skrzyżowałem ręce na głowie. Zamknąłem oczy. Słyszałem, jak Popiel przechodzi obok, trzeszczały gałęzie, szeleściła trawa. Zwolnił, lecz mnie nie dostrzegł. Tak myślałem.

Ledwo przebrzmiały kroki, usłyszałem jego głos, dochodzący z zupełnie innej strony. Wołał przyjaźnie: „Zygmus! Zygmus!”. Zdezorientowany wstałem, lecz Popiel nie ruszył się z miejsca. Stał oparty o drzewo. Poprosił, bym pomógł mu wrócić.

Zwiesił się na mnie całym ciężarem.

- Widziałem, jak idziesz za mną - rzekł, wzdychając.

Przypomniałem sobie opowieści o duchach i spytałem, czy to z nimi się zmagal. Pokręcił głową, nawet się uśmiechnął. Z jego koroną było coś nie tak. Nie, tym razem spotkał się z kimś dużo ważniejszym i chętnie mi o tym opowie. Trzeba tylko wrócić. O pewnych sprawach powinno się opowiadać w domu i na siedząco.

Wtedy po raz ostatni piłem wódkę z Popielem. Byliśmy tylko my dwaj. Usiedliśmy w spalonej części chaty, na dwóch kłodach, między nami stały butelka i dwa srebrne kieliszki. Dowódca uśmiechał się blado. Przyniosłem lampę naftową, żebyśmy widzieli się nawzajem - Popiel wyglądał strasznie, jak po tym, gdy nas leczył.

- Przeszedłem przez wodny cmentarz i zobaczyłem, co jest po drugiej stronie. - Tak zaczął. - Znalazłem się w miejscu, z którego wyszedłem. Wtedy pojąłem szybko. Czekają.

- Kto czeka?

- Hitler - odpowiedział spokojnie. - Oczekuje mnie w lesie, kiedy jego ciało śpi w żelaznym bunkrze. Rozmawiamy jak oficerowie w dawnych czasach, kiedy podczas krótkich rozejmów schodzili się ze sobą. Rozmawiamy o wojnie i tym, co będzie potem. Hitler jest taki jak ja, z tą tylko różnicą, że musi trzymać się lasu. Mnie Bóg pozwolił wędrować trochę dalej.

Nie znalazłem na to odpowiedzi.

- Powiedział, że stajemy naprzeciw siebie z tego samego powodu. Dla krwi. Jego potęga przeciwko mojej, nieważne, który umrze pierwszy, bo widzisz, mój żołnierzu, my zawsze wracamy, póki istnieje język i pięć ziemi. Ludzie już nie. Ale jesteśmy tu przez wzgląd na ludzi.

Napił się wódki.

- Czasem zjawia się też Wielki Kofta, potężny duch ze Wschodu. Dziki. Jeszcze nie pojmuje swej roli, może dlatego że jest rolą właśnie, nie osobą. To czysta wściekłość, barbarzyńska siła, widziałem, jak rozlewa się po wszystkich. Pragnie tylko chłonąć i jest wielkim zaginięciem. Umie z nim mówić, szkoda, że on nie potrafi rozmawiać sam ze sobą. Ma nóż i tnie siebie bez końca, głupiec, myśli, że krew i słowa są tym samym.

W jego słowach była wiara, ale i nieznośna obcość. Próbowałem znaleźć sensowną odpowiedź, zamiast tego zapytałem głupio, kim jest on sam, i zaraz się zawstydziłem.

- Będziesz wiedział - odrzekł ciepło - za dzień, może dwa. Patrzeć możesz już teraz.

I objął mnie, nawet ojciec nigdy mnie tak nie obejmował, wtulił cuchnącą twarz między moje ramiona, mierzwił moje włosy, szlochał, przeproszał - za co, nie umiałem zrozumieć - aż znieruchomiał z głową na mojej piersi. Zasnął i płakał przez sen. Nie ruszyłem się aż do świtu.

Już wiedziałem, co się w nim zmieniło. Nasza korona z drutu i szyszek, ofiarowana dla hecy, wrastała mu w głowę, a żyły, mięso, cieniutka skóra wspinały się już w stronę szyszek na czubku. Widziałem brzegi korony, rysujące się niewyraźnie pod czołem i brwiami, a to, co wzięłem za zgrubiałe żyły, okazało się drutami biegnącymi pod skórą.

* * *

Rano przyszli Niemcy. Siedziałem otępiały z Popielem na kolanach, a że dowódca nie wystawił straży, Adam, Lisek i Myszołów także posnęli.

Wzięli nas w półkole, szczęściem nie zdążyli podejść zbyt blisko. Zerwaliśmy się i chwyciliśmy za broń. Zabrzmiały strzały. Odpowiedzieliśmy ogniem. Popiel wrzasnął, żeby spierdalać do lasu.

Wycofywaliśmy się pod obstrzałem, szczęśliwie na wpół widoczni w porannej szarości. Ścigały nas cienie, niby duchy, sami byliśmy widmowi i tylko blisko świszczące kule niewiele miały z widmowością wspólnego. Próbowali wziąć nas w kleszcze. Popiel pędził przodem, odwracał się co kilkanaście kroków i strzelał z visa, może widział lepiej niż inni, bo trafiał za każdym razem. Myszołów inaczej, walił z mauzera, żałośnie niecelnie, cud, że nie trafił w swoją stopę. Bezskutecznie próbował przeładować, aż nagle, jakby był

czarodziejem, któremu popsuka się różdżka, cisnął broń i popędził, byle dalej od niebezpieczeństwa. Adam gnał zgarbiony, skręcając co chwilę, i lasu dopadł jako pierwszy. Dopiero wtedy, skryty za drzewem, zaczął strzelać, osłaniając Popiela.

Dostali Liska, padł trafiony między łopatki.

Mnie też nie szło dobrze. Choć byłem najmłodszy, nie ominęły mnie konsekwencje przepicia i nieprzespanej nocy. Za każdym razem, gdy kula przemknęła blisko, chciałem paść, przywrzeć do ziemi, w naiwnej wierze, że Niemcy mnie nie dostrzegą. Nie widziałem, dokąd pędzę, Popiel już zniknął w lesie, wyciągnąłem więc nogi i dalej, ile sił. Próbowałem uwierzyć, że kolejny raz wymknę się śmierci, gdy coś mi trzasnęło pod butem, ostry odłamek wbił się w stopę. Spalona głowa Wandy! Upadłem prosto pod nogi prześladowców. Nim zdążyłem się podnieść, już miałem przed sobą lufę, but pod zębem i błagałem Boga, żeby mnie nie zabijali, prawie z taką mocą, jak proszę Go teraz, by zakręcił czasem i zabił mnie tamtej jesieni.

Zabrali mnie, większość Niemców poszła w las. Słyszałem śpiew Popiela:

Ze zgiełku i wrzawy

Dźwięk jeden wybucha i rośnie,

Kołuje jękliwie,

Głos syren - w oktawy

Opada - i wznosi się jęk.

Wkrótce osłabł i ucichł. Skuli mnie i cisnęli na podłogę w chacie, z głową tak skręconą, że widziałem głównie gwoździe w podłodze i czarną ścianę. Żołnierze kręcili się, przerzucali nasze rzeczy, słyszałem też, że uruchomili samochód, i zaraz przypomniałem sobie, skąd go mamy i kto leży w lesie. Czy ciała w leśniczówce też znaleźli? Przywoływałem w myślach wszystko, co słyszałem o prawach żołnierza w czasie wojny. I zaraz - czy ja jestem żołnierzem, skoro mam mundur i Popiel odebrał przysięgę, czy też powinienem mieć jakieś wpisy, legitymację? Czy żołnierzem pozostaje się bez względu na to, co się zrobiło, a jeśli nie jestem żołnierzem, to kim?

Niemców przybywało i nawet bez znajomości języka pojąłem, że nie są zadowoleni. Popiel i reszta umknęli. Mnie w ogóle nie zauważano, deptano, trącano, raz ktoś stanął na mojej głowie, więc chlipałem cicho nad losem swoim i wuja Schwartza, zwłaszcza że słyszałem, jak Niemcy dogrzebują się do złota, które mu zabraliśmy.

Chciałbym móc powiedzieć, że straszliwie mnie dręczono - wydłubano oko, cięto pasy

ze skóry na plecach albo okręcono flaki wokół domu. Gdzie tam. Posadzili mnie na krześle, tym samym, na którym spędziłem ostatnią noc, chluśnięto wodą w twarz, żebym oprzytomniał. Zjawił się młody oficer, brunet z haczykowatym nosem, cofniętą szczęką i ustami różowymi jak landrynka. Zapamiętałem jego imiona, Marius Johann. Wzbudzał we mnie przerażenie. Szarpnął mnie za mundur i walnął w mordę, raz, drugi, aż kości trzeszczały, a on poczerwieniał. Nie pytał o nic, tylko dyszał:

- *Du Ganove, du Mörder, du Schwein!*

Rzucił mną o ziemię, kopnął, usiadł na piersiach i dalej mnie okładał, aż zacząłem tracić przytomność. Prosiłem, żeby przestał, ale nie dopuścił mnie do słowa, napluł mi w twarz, z powrotem posadził na krześle i usiadł za stołem. Oddychał ciężko, jakby powietrze sprawiało mu ból.

- *Wo ist Herr Armeńczyk?*

Odpowiedziałem po polsku, że nie znam niemieckiego, że może mnie tłuc, ile chce, nic nie powiem. Nawet się uśmiechnął, tak zimno, do siebie, i nagle zrozumiałem, że bicie nie sprawia mu przyjemności, zastrzelić mnie może, owszem, jestem jednak potrzebny.

- *Wo ist Herr Armeńczyk? Wo ist Herr Armeńczyk?* - powtarzał, gdy dwaj żołnierze wzięli mnie pod ramiona. Nie mogłem ustać. Marius Johann uderzył mnie w brzuch, kilkakrotnie i bardzo szybko, po czym przytrzymał brutalnie moją twarz.

- *Ich werde nicht unendlich fragen. Wo ist Herr Armeńczyk?!*

Pomyślałem: to tylko kwestia czasu, aż mnie złamią, na każdego jest sposób. Wystarczy zbliżyć nóż do oka, jak robiła to Wanda, tego bym nie wytrzymał. Kogo ja chronię? Obląkanego, którego ogłosiliśmy królem? Potem dowiedziałem się, że Niemcy rozstrzelali trzech Polaków za jednego swojego i dziwili się, czemu nasz oddział wykonywał za nich całą robotę. Brocząc krwią, zastanawiałem się, czy Popiel próbowałby mnie ochronić, czy poderznąłby mi gardło, jak wcześniej Wandzie.

Po polsku opowiedziałem o młynie. Uwolnili mi dłonie. Na migi pokazałem, że chodzi o młyn nad rzeką, wskazałem też na siebie - mogę poprowadzić. Marius Johann pokiwał głową, dał znak ludziom, żeby szykowali się do drogi. Spytał:

- *Wie viele seid ihr? Was habt ihr mit? Was plannt ihr?*

Rozumiałem ledwo co, odpowiadałem, pokazując liczby na palcach i wzruszając ramionami, gdy czegoś nie wiedziałem. Marius Johann kiwał głową, przyglądając mi się z uwagą. Znosiłem to z trudem. Kazał mnie podnieść i wsadzić do samochodu. Potem zapytał:

- *Eins verstehe ich nicht: warum habt ihr das Ganze getan?*

Odpowiedziałem znów po polsku, że nie znam niemieckiego.

* * *

Prosiłem o wodę, Marius Johann odmówił albo nie zrozumiał. Posadził mnie obok siebie, na tylnym siedzeniu. Jechaliśmy z odsłoniętym dachem, mimo chłodu. Walczyłem z sennością, przywołując dziwne myśli - na przykład co zrobiłby ten mądry oficerek, gdyby spotkał swojego Popiela. I zaraz przypomniał mi się Hitler błądzący po lesie. Co chwilę przysypiałem, więc budzono mnie szturchnięciem, ale, co cudowne, mogłem śnić godzinami w ciągu kilku minut. Powróciłem do naszej leśniczówki. Trupy spod dywanu zniknęły, za to zwierzęce głowy na ścianach ożyły i wodziły oczami po pokoju. Pośrodku ściany, na wysokości mojej twarzy, wisiała głowa Popiela, fachowo urżnięta. Korona wyrastała wprost z czoła, ozdobiona czerwonymi kamieniami.

- Wszystko się dopełnia. Warszawa padła, wycofaliśmy się, pora przywyknąć do zmian - mruknął, jakby niewiele go to obchodziło. Szklane oczy patrzyły w przyszłość, nie na mnie.

Powiedziałem mu - a może pomyślałem tylko - co właśnie uczyniłem. Uśmiechnął się kwaśno.

- Dobrze zrobiłeś, mój chłopcze. Gdybyś dotarł z nami do lasu, sam bym cię odepchnął, jesteś przecież młody i łatwo zapomnisz.

W tym akurat się mylił. Stałem naprzeciw niego. Leśniczówka pachniała jedzeniem i drewnem, lecz Popiel był pozbawiony zapachu, jak szklana kulka.

- Co się stanie? - dopytywałem w swym śnie.

Gdyby miał ramiona, zapewne wzruszyłby nimi.

- Kiedy zobaczysz mnie ponownie, zrozumiesz, bo powrócę. Może doczekasz, coś mi mówi - uśmiechnął się ciepło, serdecznie - że będziesz jednak żył.

Próbowałem ułożyć to sobie w głowie. Zwierzęce łby śmiały się ze mnie, a Popiel mówił dalej, śpiewnie, jakby z czegoś się cieszył:

- Powrócę niedługo. Już koniec krwi. Wrócę duchem radosnym, duchem silnym, wrócę ze śpiewem i śmiechem, więc nie bój się, choć straszna rzecz jest przed tobą. Już ostatnia. Nie żałuj nas, nie żałuj nawet siebie. Dam ci znak, że to wszystko prawda. Nie okłamałbym cię. Jesteś przecież moim błaznem.

Coś spadło na mój policzek. Myślałem, że ryba z nieba - lecz to Marius Johann uderzył mnie lekko, żebym oprzytomniał, i spytał, gdzie jechać. Więc rozejrzałem się i pokazałem przed siebie, bo młyn był przed nami, przynajmniej tak opowiadał Lisek. Samochód podskakiwał na drodze, a ja chciałem znów zasnąć, wcale nie dlatego że w tym

śnie mógł powrócić Popiel. Pragnąłem zapomnieć i zostać zapomnianym, przespać młyn i strzelaninę, niechby świat się skończył, ale bez mojego udziału. Teraz wiem - nic mi się nie stało, wtedy byłem pewien, że połamali mi wszystkie kości. Marius Johann umiał bić, albo odwrotnie - nie miał o tym pojęcia. Tracił mnie w bok, zapiszczałem. Rzekł:

- Wenn du mich betrügst, töte ich dich hier und jetzt.

Domyśliłem się, o co chodzi. Tłumaczyłem rozpaczliwie, że przecież mówię prawdę, nie ma powodów, bym kłamał. Po chwili go zobaczyliśmy. Przypominał wielką psią budę, przewianą przez wiatr, z jednym malutkim okienkiem pod dachem. Przekrzywił się, jakby zamierzał osunąć się do wody, z przodu sterczały połamane resztki gniazda, na którym kręciło się koło. Było cicho. Pomyślałem z nadzieją, że może Popiel, Myszołów i Adam w ogóle tu nie przyjdą.

Samochód zdołał skrócić i przejechać kilkadziesiąt metrów. Do młyna zostało drugie tyle. Marius związał mi ręce i powierzył mnie mrukliwemu żołnierzowi. Ten usiadł bokiem, gapił się i celował we mnie, zerkając na kolegów. Nie widziałem wcześniej tak czystego munduru i wstydziłem się, że mój był taki brudny. Najbardziej podobał mi się bagnet, siedzący wygodnie w czarnej żabce przy boku. Nigdy takiego nie trzymałem w ręku.

Marius miał pod sobą dwudziestu żołnierzy. Pierwszy strzał padł z okienka. Chyba mignął mi Myszołów. Zaraz odezwał się Adam, już zza budynku, i nawet trafił Niemca. Ci natychmiast się rozproszyli, chcieli uciec w las albo za strumień. Adam padł pierwszy. W jednej chwili jeszcze się ostrzeliwał, a w drugiej leżał już nieruchomy z twarzą w wodzie, a strumień barwił się krwią.

Z wnętrza wyszedł Popiel, w mundurze, koronie i z visami w obu dłoniach. Płaszcz, rozwiewany wiatrem, przypominał skrzydła. Natychmiast niemiecki ogień poszedł w jego stronę, lecz Popiel nawet się nie zachwiał, jakby pociski przelatywały obok lub przez niego, nie czyniąc mu krzywdy. Wydało mi się, że patrzy w twarze prześladowców tym swoim przenikliwym spojrzeniem. I już - strzelił, dwóm najbliższym Niemcom posłał kulkę, a mnie uśmiech.

Wymierzył we mnie i strzelił kilkakrotnie. Rzuciłem się na podłogę, kule świsnęły, rozległ się jęk. Niemiec, który mnie pilnował, chwycił się za przestreloną szyję i zaczął podskakiwać na fotelu jak niezadowolone, kapryśne dziecko. Wyszarpnąłem jego bagnet z pochwy, przeciąłem więzy i wyskoczyłem z samochodu.

Przygięty do ziemi, wycofywałem się w stronę strumienia, obiecując sobie, że nie zmarnuję ani sekundy na oglądanie się za siebie. Oczywiście natychmiast to zrobiłem. Popiel strzelał prawie na oślep, Marius Johann kulił się za drzewem, z góry nieustannie raził

Myszolów. Nagle pistolety Popiela zamilkły, odrzucił je, rozłożył ramiona i raptem na jego ciele wykwitło kilkanaście czerwonych punktów. Niemożliwe, żeby trafili go jednocześnie aż tyle razy. Blizna na czole pękła i w okamgnieniu twarz Popiela zalała się krwią. Odwróciłem się i pobiegłem.

Przesadziłem strumień i nim ktoś się zorientował, zniknąłem w lesie. Strzały grzmiały chwilę i umilkły - znać, że ustrzelili także Myszolowa. Gnałem na oślep, choć nikt mnie nie gonił.

* * *

Nie zatrzymałem się - to moje ciało się zatrzymało. Nogi zeszywniały, oczy zalała ciemność. Nie wiem, jak długo leżałem w płytkiej jamie. Liście lepiły się mi do skóry. Nie miałem dokąd iść, moi towarzysze nie żyli i sam nie czułem się dobrze. Podpierając się kijem, wróciłem do młyna.

Niemcy zabrali już swoich. Popiel, Adam i Myszolów leżeli ułożeni w rządku. Skryty za drzewem widziałem, jak dwóch żołnierzy idzie z łopatami w kierunku lasu. Marius Johann krążył między ludźmi, przystając nad trupem Popiela, patrząc nań i kręcąc głową - o co ci, człowieku, chodziło? Zapalił krótkiego papierosa, otulił się płaszczem i gapił się na drzewa.

Nastała noc, jasna jak w lecie, lecz lodowata. Przemarzałem do kości, leżąc na mokrej ziemi, od strumienia bił chłód. Niemcy poszli z trupami moich towarzyszy do lasu. Wrócili szybko i odjechali, myśląc, że jestem już gdzieś daleko. Poczekalem, aż silnik ucichnie, przesadziłem strumień i zanurkowałem w las po drugiej stronie. Zatrzymałem się, bezradny, nie wiedziałem, w którą stronę powinienem iść. Znalazłem jednak kopiec świeżej ziemi, wystarczyło pogrzebać i natrafiłem na ciało Myszolowa. Niemcy się spieszyli. Popiel leżał tuż obok.

To była najbardziej szalona rzecz, jaką mogłem zrobić, choć wówczas wiedziałem, że inaczej się nie da. Wbiłem kijek w grób i poszedłem po zbocz, cichutko, do domu pod lasem, gdzie mnie złapano.

Zobaczyłem znajomy kształt na tle nocnego nieba i przystanąłem - bałem się, czy Marius Johann nie zostawił tu swoich. Gdzie tam, zabrali, co chcieli, i poszli. Zniknęły broń, złoto, samochód i najważniejsze - benzyna. Podniosłem z ziemi nasz tron, jabłko i nadpalone berło. Poszedłem sprawdzić do szopy i tam czekała na mnie niespodzianka - kanister wystarczająco pusty dla Niemca i odpowiednio pełny dla mnie.

Pamiętam potworną niewygodę drogi powrotnej - z berłem i jabłkiem w kieszeni, kanistrem pod pachą i tronem, bardzo ciężkim tronem, przed sobą. Potykałem się, nogi

zawadzały o pnie i gałęzie, kanister wysuwał się z rąk albo pił w posiniaczony bok, berło utrudniało ruchy. Nawet niesamowitość świata, po którym włóczą się duchy i zmarli królowie, ustępuje czasem miejsca cholernej niewygodzie - tak wtedy myślałem i myślę teraz.

Tron ustawiłem około stu metrów od młyna, w miejscu, z którego mógłbym prysnąć w las, gdyby pojawił się ktoś obcy. Brakującą nogę zastąpiłem kamieniami i naznosiłem drewna. Odnalazłem w lesie oznaczone miejsce, z trudem rozgarnąłem wilgotną ziemię.

Popiel leżał na brzuchu. Wziąłem go na ręce, okazał się lekki i kruchy jak dziecko. Pamiętam, bałem się, że niechcący zrobię mu krzywdę.

Usadziłem go na tronie i przywiązałem własnym paskiem, żeby się nie zsunął. Wokoło drewna ułożyłem wilgotne gałęzie, oblałem benzyną. Zasnęta na jego twarzy krew wydawała się całkiem czarna.

Ogień pełznął po nim powoli, wspiął się na kolana, do serca, otulił głowę, by zatańczyć na szczytach korony.

Czułem, że powinienem się rozplakać. Było mi zimno, więc zbliżyłem się do ognia, wyciągnąłem dłonie i zastanawiałem się, czy mógł być inny koniec tej przygody. Wtedy nadeszli.

Człowiek na patyczkowatych nogach, z robakami w miejscu włosów, skoczył na stos i zaczął szarpać ciało. Porwałem płonąca gałąź i zdzieliłem skurwysyna w głowę, odskoczył, to kopnąłem w pysk, pisnął, zaczął się wycofywać. Ale nadciągali kolejni - łysy starzec z płonącymi bladym ogniem dłońmi. Pełzające ścierwo z kokonem w miejscu nóg. Potworna zjawia z ranami zamiast uszu i ust, trzymetrowy olbrzym, płaski niczym klisza, bliźnięta zrosnięte ustami, kobieta z głową dziecka na dłoni, jednonodzy, wieloocy, owrzodzeni, kalekie dusze, żywi w trupich skórach. Wszystko to pełzło do ognia, by pożreć Popiela.

Rzuciłem się do przodu. Pamiętam, jak krzyczałem: „Nie dam go wam, nie dam!”. Tłukłem gdzie popadło, dźgałem te chore pyski, ciskałem się na wszystkie strony.

Nie wiem, jak długo trwała ta upiorna i komiczna walka. Po jakimś czasie widziałem już tylko ogień i cienie, kij wypadł mi z rąk, a ziemia, miękka, pełna dziur, usuwała się spod stóp. „Nie dam go wam!” Biłem, półprzytomny, cienie nadciągały falami, stos już wygasł, więc broniłem ciała w ciemności, słysząc, jak coś szepcze, mlaska, szarpie mięso. Walilem na oślep, krążąc wokół zwęglonego ciała.

Gdy się ocknąłem, już o poranku, martwy król leżał w popiele, ledwo tknięty. Nie dostali go.

* * *

Wypijam drugą pięćdziesiątkę, wodzę oczyma za czyjąś młodą ręką, w której dopala się papieros. Kiedyś papierosy smakowały wojną.

Widywałem go jeszcze wielokrotnie, ale nigdy twarzą w twarz. Był na wielkim zdjęciu z poznańskiego Czerwca w pięćdziesiątym szóstym, jego twarz jaśniała w tłumie maszerującym pod więzienie, by je otworzyć, a potem spalić akta, zdobyć prokuraturę i sąd. Był też dwanaście lat później, w marcu sześćdziesiątego ósmego roku, na demonstracji przed Uniwersytetem Warszawskim, taki młody, niemal chłopięcy. Mignął na fotografii odnalezionej po latach - obrywał akurat pałką od milicjanta. Pojawił się w telewizji, już w osiemdziesiątym, jako jeden ze strajkujących w Stoczni, i dekadę potem, ale tego nie jestem już pewien.

Taki los wyciągnąłem - jeżdżę na manifestacje górników, lekarzy, pedałów, feministek i Radia Maryja, jestem ze swoją laską tam, gdzie wysypują zboże na tory, patrzę na starcia kibiców z policją, burdy stadionowe, najróżniejsze marsze, odwiedzam strajki i śledzę bunty w więzieniach. Z boku - nieszkodliwy staruszek. Nieustannie jestem w ruchu, przeglądam gazety i przemierzam Polskę. Moje życie dobiega końca, czas mi się kurczy, nie mogę jednak przestać. Będę szukał i drażył, bo wiem ponad wszelką wątpliwość, że kiedyś go, kiedyś cię znajdę.

Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj

Żyjemy wielokrotnie, wychodząc po drabinie z piekła ku chmurom. Reinkarnacja jest bzdurą, nie odradzamy się, pawian wróci pawianem, księżniczka księżniczką. Pewien człowiek na przykład wiódł swoje trzecie życie - od maleńkości wiedział, kiedy umrze, kiedy powinna umrzeć jego matka i ile będzie miał młodszego rodzeństwa. Mógł też rodzeństwo pomnożyć, matkę zabić lub ocalić, znał bowiem siebie i zdarzenia, które będą jego udziałem. Wiedział, z którą kobietą będzie mu dobrze, która go zdradzi, komu zawierzyć swój los, kogo unikać, co zrobić z pieniędzmi, pić, palić czy odpuścić. Myślał, że jest dzięki temu mądry, lecz kiedy umierał, stary, bogaty, otoczony bliskimi, miał łzy w oczach - za sprawą błędów, które popełnił. Zmarł spokojny, wiedząc, że zamknąwszy oczy, otworzy je w nowym, tym samym, czwartym już życiu. I tak się ciągnie, utracamy pomyłkę za pomyłką, wychodząc na prostą, ku szczęściu - to wiedza, zwielokrotniona znajomość każdej chwili, sprawia, że jesteśmy szczęśliwi bez końca, jakbyśmy żyli nie w kalejdoskopie, ale w lunaparku. Wynurzamy się z ciemności, chaosu, ku światłu. To jest historia mojego pierwszego życia.

* * *

No i mnie zgarne!i, dobrze, że stary ochroniarz nie wezwał policji, tylko postraszył i puścił - jak mnie zobaczy tu znowu, to i ja zobaczę swoje. Ale myślę, że w moich oczach dostrzegł prawdę, wie, że wrócę, i będzie czekał. Poczekamy na siebie, jego oczy są słabe, przejdę w ich cieniu, wślizgnę się w ciemność, zejść i znajdę to, czego szukam, choćbym miała rozkuć cały szpital. Mówią, że życia na to nie starczy, ale to nieprawda. Życia akurat mam dosyć.

Więc prowadzi mnie z piwnic ku górze, przez niski korytarz pełen rur. Trzyma mnie mocno, jak faceta, jutro rano pewno będę miała sińce na ramieniu. Oglądam się za siebie i widzę rozkuta ścianę, kawałki cegieł, obłoki czerwonego pyłu, w tym wszystkim kilof i młotek. A mówią: „Kobieta nie uniesie”. Strażnik sapie, śmierdzi potem i czymś jeszcze. Dochodzimy do zakrętu i opadam na schody, wyslizguję się z jego uchwytu i leżę, zupełnie nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do schodów. Jestem bezwładna, ochroniarz myśli, że zasłabłam, więc nachyla się ostrożnie. Boże, on nie wie! Naprawdę nie wie, więc mogę być nieprzytomna przez chwilę, nim mnie podniesie z tą męską, seksualną litością. A ja przytykam ucho do zimnej wylewki i, rany boskie, znów to słyszę, rytmiczne, mocne, jak

bardzo to żyje, uderza - serce, ukryte przed diabłem.

Ochroniarz wsadza mi ręce pod pachy i szarpie, idę z trudem, mam watę w kolanach i wcale nie muszę udawać. Najchętniej runęłabym znowu. Ale idę, on coś pieprzy, niech gada, myślę sobie, słowa nie boją, o słowach można zapomnieć, a nawet sobie je wsadzić. Niech mówi, niech wyniesie mnie na zewnątrz. Teraz patrzy i pyta, czy wszystko w porządku. Potrząsa mną, nie złośliwie, widzę w nim troskę. Co z tobą, dziewczyno, słyszę, dobrze się czujesz? Czemu tu przychodzisz każdej nocy? Jesteś chora?

Tak, jestem.

* * *

Jak pomyślę o moim pierwszym życiu, wychodzi na to, że jest mieszaniną miłości i żartu, gorzej nawet, mam nieustanne wrażenie, że wrzucono mnie w ten świat dla jaj. Może i jestem zimną suką, lubię tak myśleć o sobie, przynajmniej nikt mi nie powie, że tak naprawdę, ciesząc się życiem, szukałam ciepła. Bo nie szukałam, a życiem cieszyć się nie sposób, chyba że przyjmiemy radość za pochodną rozpacz.

Baśka twierdzi, że mam chorą duszę. Chorą. No, może i mam. Siedziałyśmy wtedy u niej, w tym ascetycznym pokoju, wyczyszczonym ze wszystkiego, na co można by się nadziać, i mówię jej, jak się czuję, że najchętniej to w ciul z tym wszystkim. A ona, że mam chorą duszę. Że chorą duszę trzeba leczyć. No, leczyć, jasne, mówię jej, leczyć to ja już próbowałam. Miłością, seksem, chlaniem, ćpaniem, Bogiem. Rysowałam, malowałam, biegałam. Nie pomogło. Baśka na to spoważniała, zapaliła vougue'a i odparła, że w takim razie nie jest dobrze, że moja dusza jest chora śmiertelnie. Dwa tygodnie później dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Poczułam się wtedy jak w paskudnym filmie społecznym, takim, jakie kręcą za państwowe pieniądze, o aborcji albo molestowaniu. Potem obwożą po festiwalach i zgarniają nagrody. Dziwne. W moim życiu było miejsce na wszystko, tylko nie na dziecko. Nie rozumiałam, jak mogło do tego dojść. Jeśli moje ciało jest sprzęgnięte ze światem, to powinno być odporne na plemniki. Nie było. Więc jestem przeciw światu swoim własnym ciałem.

Mam trzydzieści dwa lata i wciąż jestem ładna. Do niedawna pytano mnie o dowód, gdy kupowałam wino na wieczór - butelka do snu, zawsze gdy jestem sama - ścinam się na krótko, prawie po męsku, tak wygodniej. Mam usta, które podobają się mężczyznom, oczy maluję mocno, mam wąskie dłonie i stopy jak u dziewczynki. Uczę hiszpańskiego w szkole językowej i gdy patrzę na młodych ludzi, to czuję przepaść, tę samą, której mogłaby doświadczyć moja babcia, rozmawiając ze mną. Są zimni i puści, opanowani chęcią

posiadania - ja nie wiem, po co ludzie pragną mieć lub nie mieć - jak podrosną, to mnie rozszarpia. Rozszarpia nas wszystkich.

Ludzie mówią, że dziwka ze mnie, ale spałam tylko z trzynastoma facetami i nawet mogę uwierzyć w pechowość tej liczby. Trzynastu facetów od pierwszego razu, jeszcze w liceum, kiedy seks kojarzył mi się wyłącznie z zabawą. Myślę, że głosy o moim kurewstwie wypływają od Romka, który nie radzi sobie z porzuceniem, skuczy i szczeka na przemian, choć grzbiet ma przetrącony. Sprawiedliwość mu oddam.

Być może drudzy bywają trzynastymi - historia mojego zajścia jeszcze niedawno wywoływała salwy śmiechu, to dobrze, myślałam, przynajmniej nikt mi nie współczuł. Więc tu opowieść jest prosta, zupełnie nie kobieca. Bo ja się już nie czuję kobietą. Ale kiedyś nią byłam, bardzo długo, i spotykałam się z Romkiem, jeszcze na studiach. Jakoś przypasowaliśmy sobie, był wesoły, miał duszę artysty i typowo germańską fantazję, wszędzie widziałby tancbudy, forty i volkswageny. Teraz myślę, że była to pierwsza poważna sprawa w moim życiu.

Spotykaliśmy się kilka miesięcy i zamieszkaliśmy razem od października. Uwiłam nam gniazdko i myślę, że przez jakiś czas było nam dobrze, tyle że on odklejał się coraz bardziej i bardziej, a ja chciałam skracać dystans, otworzyć się i mówić mu różne rzeczy. Chyba go nie kochałam, bo nie mogłam, przełamywałam wstręt, próbowałam dawać, mimo obrzydzenia, aż wreszcie powiedziałam: „Nie kocham cię”. Przykro mi. I poszłam na ciepły, upatrzony grunt.

Romek szarpał się trochę, ale raczej dusił w sobie, ja płakałam i rzeczywiście było mi przykro. Okazało się, że zniknął, całkiem, z uczelni, z Warszawy, kamień w wodę, zostawił tylko łzawy list, przypięty do tablicy na uniwersytecie - będzie na mnie czekał w ukryciu, telefonu jednak nie zmieni, za to swoje życie owszem i ma nadzieję, że kiedy zadzwonię, będzie już zupełnie innym facetem. „Świat, w którym nie można cię kochać, jest piekłem”, tak zakończył i myślę, że napisał ten list tylko po to, żebyśmy poczuła się niedobrze.

Nie widziałam go lata, a gdy spotkaliśmy się niedawno, zupełnym przypadkiem, starczyło nam sił na wspólny lunch i pójście do łóżka. Czego się dowiedziałam? Romek podróżował po świecie, a jeśli natrafił na strzępy mądrości w Tybecie, Chinach, Australii, to z pewnością nie wrócił z nimi do Polski, podobnie jak sztukę kochania pozostawił w Indiach.

Romek to inteligentny człowiek, lecz ta inteligencja nie ma w sobie brutalności, mnie to drażni i męczy na przemian, pozwoliłam mu odfrunąć, na co przystał z chęcią, w każdym razie z ulgą, jakby rzeczywiście wierzył, że karteluszek sprzed dekady wciąż obowiązuje. Wychodził spokojny, trochę dumny, myślał chyba, że zaznaczył swoją własność, teren w

kobiecym ciele, jak pies. Wykąpałam się i znów byłam niczyja, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Lekarz powiedział, że dzieciak jest chyba silny jak sam diabeł, te ślubne często się traci, z wpadki trzymają się życia, moje mnie się chwyciło. Nie chciało puścić. Ale jaja, myślałam sobie w tężejącym przerażeniu, to typowe aż do bólu. Jeszcze gdybym była młodą, durną osiemnastką, to mogłabym czuć się skrzywdzona, a przecież to ja sama chciałam krzywdzić.

Nie wyobrażałam sobie tego, ani życia, ani bólu, ani rzeczy prozaicznych, na przykład odstawienia cowieczornej kadarki, płuc bez papierosowego dymu, bólu zęba bez ibupromu na obiad i ketonalu na kolację, kawy i czekolady, knajpianego smrodu, a przede wszystkim - braku nadziei. Stałam naga w oku lwa, wszystko się skończyło. Siadłam więc w swoim ślicznym, wziętym na kredyt mieszkanku, zupełnie ogłupiała. Prozaiczny kłopot - zasnąć na trzeźwo. Siedziałam, jęcząc nad sobą, do drugiej, niezdolna nawet do myślenia, co dalej, a płacz mnie tak zmęczył, że zasnęłam, przyłożywszy głowę do poduszki, by obudzić się czterdzieści minut później, wybita ze snu, jak po trzech kawach. Gapiłam się w sufit, na twarze skrzeczące w cieniach. Widziałam całe swoje życie, w śmiertelnym przerażeniu, wakacje na koloniach, gdzie topiłam się po raz pierwszy, trupa dziadka o sinych już palcach, pierwsze miłości, jeśli były to miłości, studia, wyjazdy, kolejnych facetów, z którymi byłam po dwa, trzy lata, po czym szliśmy w diabły oboje. I teraz co? Sylwia, co ty ze sobą zrobisz? Teraz, dziewczyno, jesteś obca.

Romek powiedział: „Jedź do Czech i usuń, zapłacę, potem pojedziemy razem odpocząć, będę się tobą opiekował, no, co cię to wali, przecież w Boga nie wierzysz”. Ja na to, owszem, jasne, dziecko to tylko część mnie, kochany, a ja się nie rozdrapię na części i trzeba było myśleć wcześniej.

Powiedział, że rozumie i się poczuwa, i że coś wymyśli. Tak poszedł, mógłby świecić w ciemności tymi przerażonymi oczyma. No i się zaczęło. Wydzwaniał i skuczał - że jeszcze nie jest gotowy, że powinnam przemyśleć, że nie można myśleć tylko o sobie. Ja odpowiadałam spokojnie: „Rób, chłopie, co chcesz, miękkiego fiuta mi nie trzeba”. On na to, że rodę tylko wbrew niemu, z kurewstwa.

* * *

Mieszkam w Woli Gradkowskiej, grajdole zbyt dużym, żeby nazwać go dziurą. Mamy galerię handlową, stary młyn, kilkanaście knajp. Ludzie są tu nudni i smutni. Wielu wyjechało. Na ulicach widuję głównie licealistów, emerytów i zagubionych pięćdziesięciolatków. Co za

życie, myślę czasem, żyłam sobie w Madrycie, Warszawie, teraz jestem tu.

Oprócz Baški mam tu Centa i Snupa. Mieszkają razem z oszczędności i odpierają zarzuty o homoseksualizm. Cent ma dziewczynę, z którą planuje się ożenić, jak tylko dorobi się na handlu spodniami, zaś Snup szaleje za dwie renty, które pobiera. Pierwszą po rodzicach, drugą, ponieważ opuścił go rozum. Nie znam ich prawdziwych imion. Jeden z nich podobno mnie kochał, ale nigdy nie zdołałam się domyślić który.

Powiedzieli mi: „Laska, to nie koniec, życie ci się dopiero zaczyna. Będzie przekurwione, to ból jak nie wiem i zmiana wszystkiego, ale wystarczy ta jedna chwila, gdy lekarz położy ci małego na piersiach, zapomnisz, zobaczysz światło, które cię nie opuści. A swoją drogą, Sylwi, duża dziewczyna z ciebie, a nawywijałaś jak nastolatka. I jeszcze dobro sprowadzisz na świat”.

Powiedziałam mamie. Mama pokiwała głową i orzekła tym swoim głosem cierpiętnicy, że dobrze się stało i na pewno znajdę u niej pomoc. Odkąd pamiętam, była przerażona moim życiem, i w dziecku, tak myślę, dostrzegła szansę na to, że wreszcie będę żyła jak człowiek.

„Każdy musi układać bałagan wokół siebie - tak mi powiedziała. - Jeśli sama sobie nie poukładasz, życie zrobi to za ciebie. Nawet twoje ciało domaga się porządku - pocałowała mnie w czoło, objęła mocno, jak tylko matce wypada - no, nie martw się, Sylwuś, przecież zaczyna ci się coś pięknego”.

Długo tak mnie trzymała. Wyglądała na bardzo szczęśliwą, a ja klęłam w duszy, że znajduje światło w moim nieszczęściu. Pogadałyśmy chyba do pierwszej o tym, jak to było cudownie, gdy byłam mała i nikt nie spodziewał się, że kruszynka przerodzi się w cholere. Oczy jej się świeciły. Powiedziała, że mogę zostać w pokoju gościnnym, rozłożyła mi kanapę, jeszcze pocałowała w czoło, naciągnęła kołdrę, oczy jej się śmiały. „Moja mała dziewczynka”, powiedziała jeszcze i poszła do siebie. Usłyszałam, jak upada, strącając butelkę z wodą do kwiatków. Wzięłam ją pod pachy i wtargałam na fotel. Jeszcze próbowała coś mi pokazać.

Szpital w Woli jest ogromny, remontują go bez końca. Przypomina labirynt, a park wokół stał się placem budowy. Odkąd pamiętam, po fasadzie pięły się rusztowania, ale jak zajechaliśmy za karetką, zauważyłam, że już je rozmontowali. Sanitariusze nieśli mamę, tak szybko, a ja zwyczajnie znieruchomiałam, jakby coś odjęło mi siłę w nogach i sercu. Patrzyłam na oddalające się nosze i przerażałam samą siebie - bo pomyślałam, że lepiej dla mamy, żeby umarła. Bo nie dam rady zaopiekować się i dzieckiem, i nią.

Zapałam, choć wiedziałam, że mi nie wolno. Młody wybaczy tego jednego.

Cisnęłam papierosa na trawę i nagle ogarnął mnie chłód - stałam w samej bluzce, o drugiej w nocy, zimną jeszcze wiosną.

Lekarz - wielki jak niedźwiedź, siwy, brodaty - powiedział, że mama miała wylew, poszedł tętniak, sparaliżowało połowę ciała i trzeba czekać, sprawdzać, czy można operować, czy jest dojscie. Zastanawiałam się, co odpowiedzieć, jak dojsca nie będzie. Mama leżała nieprzytomna w dwuosobowym pokoju. Dotknęłam jej piersi, oddychała szybko. Przyłożyłam głowę do jej ramienia.

- Będzie żyć - usłyszałam. Odwróciłam się. Na łóżku obok siedziała stara kobieta. Miała taką zapadniętą, jakby wklęsłą twarz, z żółtej skóry na przedramionach odchodziły kroplówki.

- Ja zawsze poznam, ha, widzę, że będzie dobrze. Ciężko, ale dobrze, nie bój się. Ja tu długo siedzę, wiesz co, mogę palcem wskazywać, ten umrze, ten przeżyje, żaden kłopot, wystarczy poznać, kto chce walczyć, a kto nie.

Nic nie odpowiedziałam, ucałowałam mamę i wyszłam. Starucha, wiem to, złośliwie czekała, aż stanę na progu:

- Będzie dobrze! - powtórzyła i wybuchnęła serdecznym śmiechem. - To chłopiec? Od razu widać! Będzie silny, jeszcze mamę na rękach ponosi! Zobaczysz! Tylko nie bój się!

Wybiegłam, a ona wołała za mną:

- Leć, leć, leć!

* * *

Wróciłam po ręczniki, piżamę, jakieś kosmetyki, wrzucałam do torby wszystko, co wpadło mi w rękę, jeszcze soki i woda, kupię w szpitalnym sklepiku. Szłam przez miasto, ludzie się gapili. Ja, trzydziecha udająca nastolatkę, w rozsznurowanych butach i z rozmazanym tuszem - wiem, widziałam się w szybach samochodów. Niebo nad szpitalem wyglądało jak zadymione szkło.

Przy mamie nikogo nie było. Na szafce obok pojawiła się metalowa płytka miska, nieco dalej stał stojak na kroplówkę, a jeszcze dalej przepierzenie, oddzielające żywych od umarłych. Zajrzałam. Pokręcona staruszka kpiła już na tamtym świecie. Wydawała się o połowę mniejsza niż za życia. Palce miała jak u dziecka, tyle że pomarszczone.

Wypakowałam torbę i po prostu poszłam.

Przystanęłam przy wyjściu, brzuch mnie rozboleł, rozplakałam się. Musiała być siódma, bo pojawili się robotnicy, mrukliwi, podpici i śmierdzący, weszli bocznym wejściem i dalej, w dół, po schodach.

- Dobudowują nam poziom w piwnicy. - Młody, przystojny doktorek wyszedł przed budynek i gapił się na mnie. - Będzie tam oddział dziecięcy, przeniesiony ze skrzydła. - Przesłał mi dziwne spojrzenie. - Nie zimno pani tak? Długo pani tu czeka?

Chciało mi się wymiotować. Toaleta na parterze była zajęta albo zamknięta. Doktorek skierował mnie na pierwsze piętro i stał, obserwując, jak idzie mi wspinanie się po schodach. Szło świetnie, ale ledwo skręciłam, znikając z jego pola widzenia, osunęłam się na kolana i zwymiotowałam. Bolało, zamroczyło mnie, próbowałam wziąć oddech i zwymiotowałam znowu. Przed oczyma wirowały płatki sadzy, czułam też zapach smoły i ciemności, tak, w tamtej chwili byłam pewna, że ciemność cuchnie mokrym mięsem.

- Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co z panią jest?

- Nie, na pewno nie czuje się dobrze.

- Skąd wiesz?

- Bo jak ktoś wymiotuje na półpiętrze, z reguły nie ma się najlepiej.

- Ale mamy dziwne czasy. Więc może to i dziwna dziewczyna. Jak gwiazdy.

- Gwiazdy i dym.

- Co dalej?

- No wybacz, naprawdę nie wiem. Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co z panią jest?

Podniosłam głowę, płatki sadzy uleciały do sufitu. Przedemną znajdowały się otwarte drzwi, stało w nich dwóch facetów w lekarskich kitlach, podobnych i różnych zarazem. Pierwszy miał starannie przystrzyżone włosy, gładziutką twarz i smukłe, prawie kobiece dłonie. Drugi wysmarował się brylantyną, półdługie kudły opadały na kark, miał kilkudniowy zarost, a pod oczyma głębokie cienie. Uśmiechnął się.

- Chodź do nas - powiedział.

- No już, już - ponaglił drugi.

- Naprawdę nie ma się czego bać.

- Jestem doktor Ciało - powiedział ten nieogolony i wskazał na drugiego - a to doktor Krew.

Spróbowałam wstać, ale osunęłam się po ścianie. Odburknęłam, że lepiej będzie, jeśli to oni przyjdą i mi pomogą, potem pójdę z wami, gdzie zechcecie, kochani doktorkowie Ciało i Krew.

- Nie da rady. Nie możemy wyjść. Ale możemy przyjąć cię u nas, jeśli tylko zrobisz parę kroków - powiedział doktor Krew.

Popęzłam, omijając własne wymiociny. Ciało i Krew pochwycili mnie jednocześnie, jeden starannie otarł mi twarz, drugi poklepał po ramieniu.

- No i widzisz, dziewczyno? Wszystko będzie dobrze. Dalej, dalej, pokażemy ci twój pokój.

- Najpierw do mnie, do mnie, mówię - złościł się doktor Krew.

Wyzwoliłam się z uścisku, wyrwałam Ciału chusteczkę i sama wytarłam sobie usta. Para błaznów! Tak, już wiem, to dom wariatów. Mają tu oddział dla psychicznych i ci dwaj są pacjentami.

- No dobra, panowie. Koniec zabawy w służbę zdrowia. Czemu nie możecie wychodzić? Prawdziwy lekarz wam zabronił?

Ciało się skrzywiło, a Krew roześmiał.

- Chodź. Zobaczysz, niedługo dowiesz się wszystkiego.

- Nie masz racji. Pokaż jej - wtrącił się Ciało. Doktor Krew poprawił okulary.

- Jeśli nie mam racji, to ty jej pokaż.

Dreszcz przeszedł po twarzy doktora Ciała. I zaraz zmienił się w cierpki uśmiech. Doktor zacisnął dłoń w pięść, polizał kostki i szybkim ruchem przyłożył do podłogi. Zasyczało. Doktor Ciało oderwał rękę, podsunął mi pod nos. Widziałam wyraźnie szybko ciemniejące bąble po oparzeniach. Korytarzem już pędził doktor Krew z miską zimnej wody.

- Nie możemy stąd wychodzić, bo spłoniemy żywcem. Świat nas podpali. Chodź już z nami, może, powtarzam, może jakoś cię tu ulecymy.

- Gwiazdy i dym, gwiazdy i dym - powtarzał doktor Krew.

* * *

Lekarze urzędowali w przestronnym gabinecie przy końcu korytarza. Okno wychodziło na park i osiedle Lenartowicza, za to sam pokój wyglądał na najzwyklejszy pokój, który ktoś usiłował przerobić na gabinet lekarski, w pięć minut i najtańszym kosztem. Ściany pokrywały postery o zdrowym odżywianiu i dziwacznych lekarstwach, na regale stały skoroszyty, rzekomo poświęcone historii pacjentów, ale wszystkie były puste, płaski monitor doktora Ciała zaś nie był podłączony. Sam doktor siedział z zabandażowaną dłonią i patrzył na mnie z mieszaniną ulgi i wyrzutu.

Doktor Krew usadowił się za biurkiem, gdzie każda kartka, gazeta i długopis miały ściśle określone miejsce, i zaczął mnie przepytować. Odpowiadałam niechętnie - co cię, facet, obchodzi, jak wspominam podstawówkę, kiedy pierwszy raz się zakochałam i czy jestem w ogóle do zakochania zdolna, czy lubię prowadzić samochód i czemu nie chcę innego modelu jak tylko czarny golf. Jak, do cholery, dogaduję się z matką, jak dogadywałam się z nią, gdy byłam przytomna, wreszcie, gdzie boli najbardziej, kiedy budzę się, raz na czas, ogarnięta

niezrozumiałym przerażeniem. Dłubał coś w kajeciku, aż wreszcie nie wytrzymał i zapalił papierosa, stając przy oknie. Pytał dalej: o kim myślę, kiedy rano wstaję, czego nie umiem, po co właściwie jestem i czy naprawdę musi być tak, że Sylwia, nauczycielka, córka i matka, jest tylko naroślą, hubą, szkaradnym pasożytem.

Ciało w tym czasie oprzytomniał i zaczął wokół mnie tańcować - przyniósł kolejno wodę, herbatę i koniak, wrzasnął na pielęgniarkę, żeby szykowała salę i przyniosła obiad. „Stąd nie można zadzwonić po pizzę, ale musisz wiedzieć, że możesz wyjść i wrócić w każdej chwili”, tak mi rzekł, a potem mruczał coś o gwiazdach i dymie. Zaraz wjechał obiad, zupełnie nie szpitalny, młode ziemniaczki i parujący kotlet z najpyszniejszą kapustą na świecie. Zjadłam, nim się obejrzałam, niemal krztusząc się wodą.

Krew dalej pytał i pytał, a z czasem do rozmowy włączył się także Ciało, rzucając sentencje z za moich pleców:

- Ludzie wszystko pojmują opacznie - rzekł na przykład, gdy wyznałam, że do kościoła chodzę jedynie na śluby i pogrzeby. - Tyle się mówi, czego Bóg od nas wymaga, interpretuje się każde słowo z Biblii na dziesiątą stronę, a ja całkiem nie wiem po co. Chrystus dał świadectwo, nic więcej. A mianowicie takie, że nie powinniśmy żyć dłużej niż trzydzieści trzy lata. Po prostu, zbytek łaski, za wiele radości, nie ma sensu i nie zdarzy się już nic ciekawego.

- Powiedz lepiej, ile sam masz lat - rzucił Krew z za biurka i zaraz zwrócił się do mnie:
- Wybacz, on tak ma. Jak sobie nie pogada, to jest nieszczęśliwy. A nikt nie powinien być nieszczęśliwy.

- Nie w tym miejscu - dopowiedział Ciało.

- No nie w tym. Bo widzisz, Sylwio, w naszym szpitalu nie leczymy ciał ani głów, tylko dusze.

Doktor Ciało masował sobie czoło. Wykrzyknął:

- Wiem! Już wiem! Urodziłem się w Kartaginie w roku jej zburzenia.

Doktor Krew westchnął i zabrał się do notowania.

- Tak jak ci mówiłem. On tak zawsze. Nie myśl, że próbujemy być zabawni kosztem ludzi. Próbuje i cześć. Ogólnie. Różne rzeczy i zawsze wychodzi, że nie warto.

* * *

Pokazali mi mój pokój, nieznośnie szpitalny, a zarazem cudny, ledwo weszłam, a zrobiło mi się cieplej, jakbym wystawiła głowę z zimnej nory na nasłonecznioną łąkę. Stało tam białe łóżko na kółkach i obok drugie, mniejsze, osłonięte z trzech stron drabinką - dla dziecka.

Wyżej wisiał sfatygowany obrazek Matki Boskiej, taki, jakie rozdają księża na kolędzie, a pod nim rząd dziecięcych obrazków, zostawionych przez malców na pamiątkę. Był zlew w kształcie wanienki i osobna łazienka z prysznicem.

Doktor Ciało wskazał na szafę w rogu.

- Tu są ubrania. Drobiazgi. Trochę kosmetyków.

- Nie powinnaś się brzydzić - dodał doktor Krew - każdy pacjent ma tutaj rzeczy tylko dla siebie.

Chciałam zapytać, o jakich pacjentach mówi, skoro wędrując korytarzem, widziałam puste sale, zasłane łóżka bez jednej zmarszczki, przypominające groby. Ale doktorzy już sobie poszli. Tylko ich kroki brzmiały na korytarzu. Coś mówili. Śmiali się. Ucichło.

Oparłam się łokciami o parapet. Zieleń za oknem pozwalała zapomnieć, że jestem w mieście, tylko czasem mignął mi samochód. Po lewej brzmiały odgłosy robót, ale trawnik pod szpitalem był czysty, jeśli nie liczyć blaszanej budy, w której robotnicy trzymali narzędzia, pili piwo i klęli tak barwnie, że na moment o wszystkim zapomniałam. Otworzyłam okno szeroko. Do pokoju, niczym niewidzialna piłka, wpadła wiosna. Na brzegu swego życia usiadłam i zapłakałam.

Przyglądnęłam się obrazkom i doszłam do wniosku, że dzieciaki odgapiły od siebie. Obrazków było siedem, każdy na kartce z bloku, przyszpilony do drewnianej listwy na ścianie. Na jednym rekin płynął nad wulkanicznym dnem, obok szczęśliwa rodzina wędrowała w stronę arcykolorowego domku, były jeszcze piesek, kula ziemską, statek, samolot. A w tle błyszcząły punkty naniesione żółtą kredką, nawet pod wodą, pod płetwą rekina, nad psem i domem. Szare kłęby odrywały się z rogów obrazków, z komina domku, z uszu psa. Gwiazdy i dym, powiedział doktor Ciało w mojej głowie.

Nie okłamano mnie jednak. W szafie znalazłam swoje ulubione sukienki, dzinsy z fabrycznym przetarciem na udzie, które kupiłam nie dalej jak trzy miesiące temu, czerwoną bluzeczkę, w której wyglądam cholernie seksownie, nawet kolczyki, bieliznę, ulubiony ręcznik barwy nieba, iPod, książki, zgromadzone na górnej półce; znałam w nich każde zagięcie, czasem - każde słowo.

Wzięłam prysznic, w wysokim lustrze obserwowałam swoje przemienione ciało, po raz pierwszy wyraźnie to dostrzegłam - lekkie zaokrąglenie brzucha, powiększone piersi, pociemniałe sutki, mocne ramiona, cholera, pomyślałam, tyłek masz dalej zgrabny. Otuliłam się ręcznikiem, porwałam książkę, padłam na łóżko, było ciepło, dobrze, czytałam powoli, a wokoło znikał czas i świat.

* * *

Obudziłam się w nocy. To było jak cios w głowę, oto śpię i nagle coś wyrzuca mnie na zewnątrz - ląduję w pokoju ciepłym i przemienionym. Był dwukrotnie większy, zniknęło łóżko dla małego, przepadła nawet szafa, leżałam w nowoczesnym, skromnie urządzonym mieszkaniu, pełnym mebli o opływowych kształtach. Zapaliłam fikuśną lampę przy łóżku - widziałam parkiet na podłodze, półkę z bajkami, zabawki. Usiadłam na łóżku. Tak, wszystko się zmieniło, tylko obrazki pozostały te same: rekin, domek, pies.

I nagle znalazł się na łóżku, i nagle trzymałam w ramionach jego jasną głowę, mocno, był chyba zaskoczony, nie spodziewał się, przywarł mocno, powtarzał:

- Mamo, mam. Boję się spać.

Aż coś zabolalo w środku, jakby przejechać łańcuchem od brzucha po gardło. Czułam rdzę na języku.

- Zapal światło - głaskałam go po głowie. - Przecież nie musisz spać przy zgaszonym.

Nie wiedziałam, co mówić, nie umiem rozmawiać z dziećmi, coś wewnątrz mnie po prostu tak powiedziało. Mały - Boże, jak on ma na imię? - uwolnił się z mojego uścisku, siedział przede mną, nad wiek poważny. Miał może cztery lata, okrągłą buzię, oczy moje. Drobnutki, o małych dłoniach, musiał się uderzyć o coś, świeży strupek szpecił podbródek.

- Ja nie boję się ciemności. Boję się spania.

Pocałowałam go w czoło, w oczy, po kolei.

- Co strasznego jest w spaniu?

- Bo mnie nie ma - rzekł, bardzo skupiony, z trudem dobierając słowa. - Jest jasno jak w bajce. Ale siebie nie mogę znaleźć.

To dziecko nie powinno tak mówić. Jest za mały. Znów zniknął w moich ramionach, jasne, że ciebie nie ma, skąd masz być, jesteś drobiazgiem, skrawkiem genu w moim brzuchu, człowieczkiem czasu niedokonanego, teraz patrzmy na siebie - czym odurzyli mnie Ciało i Krew? Przytuliłam go jeszcze mocniej, pociągnęłam ku sobie. Śpij, proszę, śpij. To przecież właśnie sen jest, pomyliłeś się, maleńki, to we śnie istniejesz, na jawie cię nie ma. Przecież to uluda, ręce mam wciąż młode, powinny być inne po czterech latach.

Ale on pachniał strachem.

- Śpij tutaj - przesunęłam się na łóżku, odchyliłam kołdrę, oddałam poduszkę, jeszcze ją ugniotłam - tu na pewno przyśni ci się coś dobrego. Przyśnisz się sobie sam.

Ułożył się, nie bez protestu, zgasłam światło i w półmroku widziałam białka jego oczu, bał się je zamknąć, ale w końcu to uczynił. Oddech mu się wyrównał, znalazłam w nim

spokój, ale sama nie mogłam zasnąć aż do świtu. Patrzyłam na mojego synka, przerażona, że ocknę się koło trupa.

* * *

Czasem mam wrażenie, że nakładam na siebie cudze życia, że jest jakaś szafa, długa na pół świata, którą odwiedzam - coś odwiedza - w półśnie. To coś nakłada na siebie skórę, z kieszeniami pełnymi pragnień, uraz, z drzazgami zadr wbitymi w buty i heja, wędrować przez świat. Czasem targam ze sobą walizy ze skórami, zmieniam je w biegu albo w ubikacji i nie wiem nawet, po co mi one - przecież należały do kogoś. Skóra matki, skóra kochanki, nauczycielki, licealistki, dziewczyny sennej, dziewczyny roześmianej. Słuchajcie, mam tu wszystko.

Czasem leżę w nocy, trochę człowiek, a trochę to coś i myślę: kim byli ci wszyscy, których życia donaszam, czy jeszcze żyją i co robią w sobotnie popołudnie? Wiedzą, że ich skóry są komuś potrzebne? Myślą czasem o nich? I nagle przychodzi niepokojąca myśl, że to nie cudze skóry, ale moje, które odrzuciłam niczym wąż i zamiast wywalić w cholere, zagrzebałam, schowałam, pewna, że jeszcze mogą się przydać.

Rano przyszli lekarze.

Wiedziałam, że mój syn nazywa się Michał.

Miał teraz osiem lat, siedział po turecku przed telewizorem, nie widząc Bożego świata poza grą na konsoli. Spytałam, czy jadł i czy umył zęby.

- No i jak cudnie - cieszył się doktor Ciało. Za to doktor Krew sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Krążył po pokoju, niby przyglądał się książkom, zerkał na ekran i na mnie. Wiedziałam, interesował go tylko szum maszyn za oknem. Robotnicy pracowali intensywniej niż zwykle, cały szpital się trząsł. Zamknięcie okien trochę pomogło - warkot zmienił się w buczenie.

- Gdzie jestem? - zapytałam.

- Tam gdzie wczoraj. W szpitalu - doktor Ciało wzruszył ramionami. - Przecież niewiele mogło się zmienić przez jedną noc.

- Wyleczycie mnie?

Doktor Krew parsknął śmiechem.

- Córku, co ty myślisz, że my cuda czynimy? Możemy sobie tutaj z Ciałem ręce po łokcie urobić, nie damy rady, trzeba było pomyśleć, jak zaczęłaś psuć swoją duszę. No, nie rób takiej miny! Przecież nikt nie chce dla ciebie źle.

- Daj spokój - poprosił doktor Ciało.

- Co daj spokój? Ma dziewczyna prawo wiedzieć. Może ci się, maleńka, polepszyć, możesz czuć się świetnie, ale coś w tobie zawsze już będzie potrzaskane. My tu niczego nie załatwimy, coś tam się naprawi, posklejamy butaprenem, ale, rany boskie, dziewczyno, jak znów coś rozdrapiasz, to będzie tak samo. To jest jak wódka, maleńka, jak wychodzenie z chary, zawsze będziesz lubiła wódkę, miała przeźrocyste sny.

Doktor Ciało zmarszczył brwi.

- Krew upiera się, że chora dusza jest czymś przyjemnym dla chorującego - powiedział.

- Bo wódka jest fajna - cieszył się doktor Krew. - Widzisz, brylantowa łożko, skarbie, córko wszechświata, Sylwio, dla której świat został stworzony, to sposób najprostszy i najtańszy, rozgrzebać coś, rozwłóczyć niczym ścierwo i oto czujesz, że masz w sobie jakąś głębię, że życie cię dotyka. Czulaś się inna, wyjątkowa, szlachetna przez cierpienie, rozpacz, więc mogłaś chlać, szaleć i pławić się we własnej wyjątkowości. Bania, bania? Nie tak było? Zerknęłam na Michałka, cudownie obojętnego, półrocznego malucha, spał w drabiniastym łóżeczku, czerwonym jak wóz strażacki.

- Są też padlinożercy - syknęłam wściekła, doktor Krew rzeczywiście mnie dotknął - którzy babrają się w tych flakach, żreją, nazywają to pomaganiem. A siebie przyjaciółmi lub nawet doktorami.

Opamiętałam się za późno. Doktor Ciało posmutniał, jak człowiek, któremu za dobro odpłaca się kopniakiem. Za to Krew zerwał się z mojego łóżka, trupio blady. Wymienili spojrzenia. Już chciałam rzucić coś pojednawczego, zawsze byłam w tym świetna - lecz niespodziewanie roześmiali się obaj. Ciało śmiał się dźwięcznie i życzliwie, Krew natomiast aż rżał z radości, posiniały i z rękami przyciśniętymi do brzucha, jak człowiek, który cieszy się, gdy bliźni wpadają w wilcze doły i wybijają sobie zęby na ślizgawce.

Ciało uklęknął przede mną i ujął moje dłonie.

Krew poklepał mnie po ramieniu i sprzedał przyjacielskiego buziaka.

- No widzisz, maleńka! - cieszył się. - Zaczynasz wreszcie chwytać, o co biega w tym szajsie!

Tak zadomowiłam się w szpitalu doktora Ciała i doktora Krwi.

* * *

Trudno mi mówić, jak mijały dni - zlewały się w jedno wielobarwne zdarzenie. Nie pamiętam, o której wstawałam i kładłam się spać, pokój zmieniał się zbyt szybko, a z nim - moje dziecko. Był dorosły, a za chwilę maleńki. Złościł się, stał w kącie i mnie kochał.

Byłam, słuchajcie, przed budynkiem uniwersytetu, gdzie zdawał na medycynę, cholernie trudna sprawa, wiedziałam, że chciałby być sam - to głupie przecież, gdy matka odprowadza starego konia na egzamin. Siadłam w samochodzie zaparkowanym w cieniu, przed akademią medyczną - nie pamiętam, co to było za miasto - filując, z jaką to miną wyjdzie, no i czy nie za wcześnie. Pojawił się w grupie, przygaszony, słuchał, jak koledzy przerzucają się opiniami, więc markotniał bardziej i bardziej.

Albo przychodził do mnie - siedziałam w szpitalnym pokoju, przemienionym teraz we wnętrze domku letniskowego. Przez okno wpadało słońce, widziałam też góry, nie wiem jakie, pewno Alpy. Wszedł Michał, zasmarkany, i powiedział, że dostał po zębach. Popatrzyłam przerażona. Nie tylko po zębach, bo pod okiem ciemniała mu śliwa, warga była rozbita, a przedramię rozharatane. Musiał upaść na beton, jak zwiewał.

Miał z dziesięć lat, w tym wieku umie się już nie płakać, choć to trudna sztuka. Więc oglądałam to pobjowisko jego ciała, próbowałam obmyć jodyną zadrapanie. Michał zeszytniał, zacisnął usta, pociekła łza. Powiedział, że nie boli, tylko szczypie, i ten płacz właśnie stąd.

- Co to za chłopak? - zapytałam. - Już ja pogadam z jego rodzicami.

- To moja sprawa. - Stłumił płacz, cały się trzęsąc. - Daj spokój, nie rób. Moja, moja, moja.

Powiedział to głosem małego rewolwerowca.

Innym razem, miał może siedem lat, spytał:

- Mamusiu, co robiłaś, jak byłaś młoda?

- Studiowałam - odparłam.

Był cudowny wieczór, siedzieliśmy na tarasie, mały z koktajlem domowej roboty, ja z piwem imbirowym i książką na kolanach. Słońce zatapiało się powoli w koronach drzew wokół szpitala, było ciepło i słodko. Kali, pies kudłaty niczym wielki kłęb kurzu, usadowił się obok, wyciągnął łeb, żeby go podrapać.

- No ja wiem - nie ustępował - ale co robiłaś potem? - I się wyszczerzył, choć przecież dla takiego smyka studia zaczynają się za tysiąc lat.

Co miałam odpowiedzieć - że mamusia po prostu szukała ciepła, a najgoręcej było w knajpie? Boże, ale miałam cudowne, popaprane życie.

- Nic, synku - pocałowałam go w czoło - byłam w śpiączce, a potem wyjechałam na wakacje.

- Długie to były wakacje, mamusiu?

Mały łajdak, skarb, rozumiał. Gdzieś z głębi, ojciec krzyknął coś o szaszłykach.

- Wakacje czasem są bardzo długie - odpowiedziałam - od trzech do pięciu lat.

* * *

U nas w domu zawsze ja robiłam pranie, prasowałam też koszule dla Romka, w których, wiedziony nieomylnym instynktem handlowca, jechał sprzedawać kable i światłowody całej Polsce południowej. Z Michałem toczyłam nieustanne spory o bajzel w kieszeniach: bilety, paragony, dziesięciozłotówki, aż dałam spokój - dobrze, synu, co przepadnie, twoja strata. Sprawdzałam tylko, czy nie zostawił czegoś ciężkiego, kluczy albo portfela. Raz, jak wyjmowałam jego kurtkę, coś zachrząściło w kieszeni. Najpierw myślałam, że mi się zdaje - robotnicy pracowali w podziemiach szpitala i warkot był niezmierny - ale nie. W kieszeni wałały się drobinki szkła i gdyby je złożyć, wyszłaby szklana lufka jak ta lala. Szkło było czarne, czyli opalone.

Powinam z nim porozmawiać. Myślałoby mi się jaśniej, gdyby nie hałasy z dołu. Zaraz trzeba mi iść - przecież, Michałku, masz szesnaście lat, a palisz zioło, i to żenione, od byle kogo z ulicy, w kiblach i parkach, na pewno na lekcje przychodzisz spalony. Przecież na tym można by przejechać całe życie. Wyobraziłam sobie nagle Michała, jak stoi i czeka pod ratuszem dwudziestą minutę, wreszcie dzwoni, słyszy: do godziny będę - przechodzi więc do knajpy i czeka, w nerwach, wreszcie tamten przyjeżdża, pyk-pyk, pieniądze, pyk-pyk, zawiniąteczko, a w zawiniąteczku wyschnięte zielone, skropione muchozolem, unurzane w świństwach, trujące. Co zrobić? Jak powiedzieć - nie pal?

Więc wzięłam go na stronę, rozłożyłam resztki szklanego drobiazgu. Zapytałam, co to takiego. Zrobił głupią minę i tak rzekł:

- Miałem w kieszeni aromat do pieczenia.

Spojrzał na mnie, zorientował się, że w życiu mu nie uwierzę. Zamilkł, a ja powiedziałam: co to, szkło od aromatu nie bywa opalone. A jemu wzrok rozblęsnął, wyszczerzył się beczelnie i zapytał:

- A skąd ty, mammo, na tym się znasz?

No i zamilkłam. Tyle wystarczyło, by przegrać, rozłożył mnie na amen, jego uśmiech stawał się coraz szerszy, musiałam się zarumienić, w końcu roześmiałam się. Myślał wtedy, że mu odpuszczę. A powiedziałam tak:

- Wszystko jest dla ludzi, ale nie wszystko im służy, jak cię jeszcze raz z tym zobaczę, jak raz poczuję zapach od ciebie, nogi z dupy powyrywam.

Przytaknął bez przekonania.

Zapadła chwila ciszy.

- Napiłbyś się dykty? - zapytałam - denaturatu?

Potrząsnął głową. Nie, denaturat, skąd.

- A jakieś paskudztwo to palisz bez kłopotów. Wiesz, czym to kropią? Ja nie wiem i nie bardzo chcę wiedzieć, wystarczy, że ta zbita lufka zalatuje chemią - wskazałam na drobinki szkła. - Musisz palić? To poczekaj, zdaj na studia i posadź sobie coś, ale truc ci się nie pozwolę. Jak jeszcze raz cię złapię, to dopiero się zdziwisz.

Nie mogę mieć pewności, ale myślę, że od tamtej rozmowy nie zapalił.

* * *

Czasem budziłam się w zwykłym szpitalnym pokoju, w którym położyli mnie kochani doktorowie. Michał tu nie mieszkał, ale wpadał po szkole, zobaczyć, jak mama się miewa.

Ciało i Krew dotrzymywali mi towarzystwa. Doktor Ciało opowiadał, jak trudno było kiedyś prowadzić szpital: pod biczem cesarów, w ogniu rodzącej się Ameryki, w tym czasie strasznej wojny, kiedy krzyżowcy utopili we krwi Jerozolimę. Jego bramy przekraczali kaci, rycerze i królowie, zostawiając za sobą zakrwawione łany, próbując wyciszyć ryk mordowanych, wciąż brzmiący w ich głowach. Lekarze pomagali ludziom w stalinowskiej Rosji i na Słowacji księdza Tiso, szukali nadziei w cieniu Czerwonych Khmerów, budowali namioty dla ojców pustyni, schodzili do więzień i katakumb - w porównaniu z tym, co było kiedyś, praca w naszych czasach to czysta mięta.

Doktor Krew zerkał nerwowo za okno i pytał, czy chcę się nauczyć grać w karty. Karty - mówił - to jedyny sposób spędzania czasu, który pozwala zapomnieć. Być może Krew w istocie nie chciał o czymś pamiętać, o czymś, co miało związek z tajemnicą za oknem albo robotnikami pracującymi na dole. Kiedy tylko pytałam o nich, milkł.

Być może zaczynałam wpadać w obłąd albo kalejdoskop życia odebrał mi zdolność widzenia - gdzie jestem, co robię - niepokój lekarzy stał się też moim udziałem. Śmiali się. Byli ciepli, nie jak kluchy, lecz jak ludzie, tylko w pewnych chwilach działo się z nimi coś niedobrego. Wracając do świata z przeszłości, przyszłości, stawałam w oknie i patrzyłam na świat. Coś się nie zgadzało.

* * *

Nie przebywałam cały czas w szpitalu, sam Krew powiedział, że powinnam wychodzić tak często, jak mogę, bo nie ma nic gorszego niż utrata kontaktu z bliskimi. Rzekł to zresztą w swoim stylu, cmokając, burcząc i wkręcając przynajmniej trzy świńskie żarty. Więc wychodziłam.

To była przedziwna zmiana - opuścić oddział na półpiętrze, zejść po schodach i dziwić się, że istnieje nie tylko zwykły świat, ale i moje ciało. W szpitalnym pokoju, w przeskokach między prawdą i pragnieniem, czułam się błogo. Ne zewnątrz dopadała mnie fizyczność. Miałam mdłości i zawroty głowy, coś ścisnęło żołądek albo i bolało, jakbym najadła się tłuczonego szkła. Raz prawie zemdlałam, świat się wówczas skurczył do kolorowego punktu. Głowa również szwankowała, nie tylko dlatego że czaszka wydawała się za mała - miałam nieustanne wrażenie, że ktoś wędruje za mną i liże miejsca, po których stąпам.

Zerknęłam w podziemia - robotnicy pracowali po polsku, we trzech obsługując jedną łopatę. Śmierdziało papierosami i tanim alkoholem, wszędzie wały się puszki. Wołali, żebym przyszła, więc uciekłam, już przy schodach obejrzałam się. Z ciemności korytarza, daleko za robotnikami, przyszła fala chłodu. I syk. Wezmę cię.

* * *

Pokłóciłam się z mamą. Niewiarygodne, jak szybko dochodziła do siebie, jej chora wciąż głowa pulsowała krwią, więc powiedziałam: „Mamo, czy ty zawsze tak musisz, ile w tobie siedzi złości, przecież cały ten wylew to heca, nawet twoje ciało obraca się przeciwko mnie. Naprawdę nie mogłabym mieć trochę przestrzeni? Ja sama będę mamą, a ty co? Padasz i cześć. Ja wiem, że to nie twoja wina, że może chcesz dobrze, lecz nawet choroby nie biorą się bez przyczyny, wywołałaś ją, żebym o tobie nie zapomniała, a może wychowawczo - nie lamentuj, mała, mam gorzej od ciebie, bo mi coś pękło pod czaszką. Zobacz mnie poza sobą. Nie zniknęłam przecież, skoro właśnie tutaj leżę i potrzebuję ciebie, zwłaszcza teraz, póki nie masz dziecka”.

Matka zrobiła wielkie oczy, zapytała, jak mogę tak mówić, skoro ona tu leży, na pewno podziękuję za pół roku, kiedy ktoś będzie musiał opłacić lekarza, zawieźć, potem zostawać z małym, przecież nie ojciec. Wiedziałam, że dam sobie radę. Mogłam mówić, co czuję, i czułam każde swoje słowo, jakby było żywe.

Z Romkiem też nie poszło łatwo, nie chciałam go stracić. W przeskokach szpitalnych był tylko cieniem i snem - ale przecież go śniłam. Przyszłam. Trząsł się i wydukał swoje pomysły, jak to będzie o nas dbał. Pocałowałam go w policzek, dałam się objąć i podziękowałam. Dobrze, że jesteś, bo bardzo cię potrzebujemy. Oczywiście wołałabym, żebyś wyrósł dla mnie z marzenia, był Tym jedynym, którego wypatrywałam przez knajpiany dym. Stańmy się dla siebie niełatwi i potrzebni sobie nawzajem.

No i Baśka. Baśka, kiedy potrzeba drugiego człowieka, po prostu jest. Powitała mnie informacją, że wyglądam jak gównno w całości, nie licząc oczu, nie, moje oczy nie były

gówniane. Usiadłyśmy u niej, wieczorem, i gadałyśmy długo, jak tylko baby umieją. Opowiadałam, że widzę swoje życie jasno i wyraźnie, mogłabym wziąć je w dłonie i wyliczyć, co będzie dzień po dniu. Nie ma nic cudowniejszego niż brak wątpliwości. Wszystko, czego się bałam, raptem okazało się nieistotne. Wystarczyło spojrzeć. Wsadzić paluch w ranę przeszłości.

- Skąd wiesz takie rzeczy? - pytała.

Powiedziałam jej o szpitalu. Nie wszystko, doktorzy Ciało i Krew wydali mi się zbyt dziwni, żeby ich pojęła.

- Ale, Basia - mówiłam - jest miejsce, gdzie mogę poczuć się dobrze, i słuchaj, co za ironia, to nie żaden dom ani łóżko supermana, tylko zwyczajny szpital z niezwykłym pokojem. My, to znaczy pokój i ja, poznajemy się lepiej z każdym dniem.

Spytała:

- Poszłaś do psychiatry? A lekarstwa nie zaszkodzą dziecku? Naprawdę, leczysz się?

Tak, lecę.

* * *

- Co się dzieje? - zapytałam doktora Krwi.

Siedział u mnie na parapecie, machał nogami i nieustannie zerkał za siebie. Robotnicy musieli przyspieszyć prace, rzadziej chodzili do sklepu, na trawniku stanął też drugi blaszak z narzędziami.

- Nic się nie dzieje - odrzekł doktor. - Lekarz też człowiek.

- Martwisz się nimi?

- Robotnikami? No skąd.

Kłamał. Kiedy Krew łże, cały się trzęsie.

- To czemu zerkasz za okno?

Roześmiał się.

- Świat jest ciekawszy niż szpital.

- To co cię złości?

Westchnął. Miał takie zmęczone spojrzenie, cienie pod oczami.

- No, w czym kłopot? - zagadnął. - Mądrość to umiejętność przyzwyczajania się. Gdziekolwiek przyjadę, zaraz są też robotnicy. Ryją, ryją, aż się doryją. I masz historię. Według mnie chodzi o to, że zdaniem niektórych każdy szpital musi pozostawać w nieustannym remoncie. Znak to, że nie ustajemy w szerzeniu dobra. Niedługo - młaskał, wsuwając orzechy włoskie, które rozłupywał w dłoniach - cały świat będzie jednym wielkim

szpitalem, a wszyscy ludzie będą doktorami.

Odniosłam wrażenie, że jego spokój jest podszyty strachem, jakby miał nóż na gardle. Powiedziałam mu to, odłożył więc orzech, westchnął i spojrzał tak dziwnie, jakby naprawdę mnie kochał.

- Mamy potężnych przeciwników, Sylwuniu. Dlatego nigdzie nie zostajemy zbyt długo. Nie bój się. - Przyciągnął mnie i oparł swoje szerokie czoło o czubek mojej głowy. Cuchnął papierosami i koniakiem. - Prędzej umrę, niż dam ci zrobić krzywdę.

Odwracał twarz od okna i zarazem na nie wskazywał.

Nie musiałam gapić się specjalnie długo, aby zrozumieć. Już wiedziałam. Jeszcze kilka dni temu nad drzewami wokół szpitala widziałam bloki, teraz przepadły. Na wysokości mojej twarzy miałam grube pnie drzew. Zerknęłam jeszcze w dół - mogłam wyskoczyć wprost na trawę, nie czyniąc sobie krzywdy.

W niezauważalnym ruchu budynek szpitalny zapadał się pod ziemię. Być może potrzebował tygodni, żeby ugrzęznąć po dach. Ale do mojego piętra brakowało niewiele.

Odwróciłam się, przerażona.

Za mną nie było już doktora Krwi. Tylko łupiny i zapalniczka.

* * *

- Dokąd idziesz, mamó? Nie zostawisz mnie tutaj samego?

Miał jakieś cztery lata. Nie musiał rozumieć, by się bać.

- Tylko na chwilę - objęłam go mocno. - Nie zostawię cię na długo.

- Nie mogę iść z tobą? - Pociągnął nosem. Dzieci czasem mają oczy dorosłych, więcej nawet, są dorosłe aż po szaleństwo. Tak na mnie patrzył. Czy mogę iść z tobą? Dobre pytanie. Zobaczyłam nagle samą siebie, jak biegnę z Michałem na rękach, opuszczam szpital, który rozpada się, spopiela, wiatr niesie pył między drzewa, resztki mojego dziecka przelatują przez palce. Coś zawyło we mnie. Nie, spokojnie - Michał był wciąż przede mną.

- Nie możesz. Wrócę niedługo. Obiecuję. Czekać i nie bój się nic.

Nie rozumiem, jak ludzie mogli tego nie dostrzec - parter szpitala znajdował się w całości pod ziemią, która przesypywała się przez nieszczelne okna, piętrząc się przy ścianie niczym mrówcze kopce. W ostrym świetle szpitalnego korytarza widziałam wyraźnie nie tylko korzenie drzew, ale też zagrzebane puszki, mięknące niedopałki, kości. Nikt nawet na to nie spojrzał, a jeden lekarz - z pewnością nie taki mądry jak moi doktorowie - otworzył okno, ziemia posypała mu się na twarz, a on zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł, właściwie wygrzebał się z błotnistej mułu,

robotnik i podreptał schodami w dół, pozostawiając za sobą brunatny ślad. Szłam tym tropem, w dół, na budowę, uważając, żeby mnie nie dostrzegli. Z dołu dobiegał warkot maszyn, szkło uderzało o szkło, ziało chłodem i trupem. Postęp prac sprawił mnie w osłupienie. Zeszli nisko, w gołą ziemię, podpierając ją konstrukcją z drewna i ściągien. Łypały w niej płaskie twarze bez ust lub oczu, o poczerniałych policzkach, czołach pociętych do kości, z ćwiekami w uszach i brodzie. Były też obcięte dłonie i stopy, a ze ściany na półpiętrze, metr nad zaimprovizowanymi schodami, sterczał sam brzuch, tłusty i bielutki. Firanki skóry zwisały swobodnie, a z pępka zerkało przekrwione, zagrzebane oko.

Robotnik, za którym poszłam, położył się płasko na plecach, zachręściły stawy i niesłychanie powoli obróciły się w ten sposób, że palce u stóp, kolana, łokcie mierzyły w ziemię. Za nimi przekreśliła się głowa. Robotnik obserwował świat spomiędzy własnych łopatek. Wstał nagle i popędził w głąb pomieszczenia. Na brzuchu, wprost z ubrania, wyrosła mu druga gęba. W oczodołach intensywnym żółtym światłem zapłonęły oczy, dziwne, bo w każdej twarzy tylko po jednym. Robotnik popędził w głąb podziemi. Inni wyglądali podobnie, powykręcani, brudni, ryli w ziemi, osłabiając fundamenty szpitala.

Przy podłodze, niby kurz, szedł bury dym. Gdzieś daleko migotały niebieskie punkty, odległe, jakby tkwiły na drugim końcu świata. Gwiazdy, pomyślałam, gwiazdy i dym. Uciekłam, nim mnie spostrzegli. Dopadłam pierwszego lepszego lekarza, mówiłam, krztusiłam się: „Zobacz pan, co jest na dole, tylko zerknij, trzeba coś zrobić, powiedziec ludziom, uratować szpital”.

Popatrzył na mnie tak dziwnie, lecz chyba szczerze się przejął.

- Coś się komuś stało na dole? Pani jest od nas?

Poleciał zaaferowany do robotników, do tych istot, w które się zmienili. Tak straciłam go z oczu i zaraz pomyślałam, że zrobiłam głupio. Dopadną go i zabiją, będzie kolejną twarzą w ścianie. Stałam z ręką przyciśniętą do ust, czułam, jak włosy lepią mi się do twarzy. Ludzie patrzyli na mnie dziwnie, podobnie jak doktor, który wyczłapał z podziemi.

Najpierw wydało mi się, że trzyma na ramieniu upaprany worek, a gdy worek się poruszył, wzięłam go za małpę. Ale nie, było to paskudne stworzenie rozmiarów małpiatki, z ludzką, bezwłosą twarzą i członkiem długim jak ogon. Z czoła stworzenia sterczały krótkie rogi. Rozchyliło usta i mogłam zobaczyć, że nie ma ani pół zęba, tylko gładkie dziąsła, a na końcu języka - krótkie, żelazne ostrze. Obejmowało doktora za szyję.

- Powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Nic tam nie ma - skrzeknął mu w ucho. Doktor kiwnął głową.

- Coś się musiało pani pomylić. Nic nikomu się nie stało. Robotnicy pracują -

powiedział doktor.

- Ach tak?

- Zagroź jej. Niech tam więcej nie schodzi - szeptał demon - ostrzeż ją. Przyjdziemy najpierw po dziecko, potem po nią. Niech wie i niech się boi.

- Może zajrzy pani do mnie? Nie wygląda pani najlepiej. - Doktor świetnie małpował troskę. Stwór skakał mu na ramieniu. Nie domyślał się, że go widzę.

Wrzasnęłam, ile sił w płucach:

- Od ciebie pomocy mi nie potrzeba!

Pomknęłam na górę, przecież nie wybiegnę przez drzwi, są zasypane. Myślałam, że będzie próbował mnie dopaść, lecz stał tylko, zdezorientowany. Demon na jego ramieniu wskazywał mnie paluchem, skrzeczał i podskakiwał. Z rozpędu minęłam swój oddział na półpiętrze, dopadłam pierwszego lepszego okna i wyskoczyłam, odprowadzana przez pisk przerażonej pielęgniarki. Spadałam dłużej, niż oczekiwałam, wylądowałam jednak miękko, na nasłonecznionej trawie.

* * *

Mogłam pójść do Baśki, do Snupa i Centa albo do Romana. Baśce ufałam aż po duszę, niestety - to dziewczyna, dwie baby w tej aferze były niepotrzebne. Snup i Cent to najśodsze, najbardziej zwariowane głuptasy o wielkich sercach, jakich znam. Jeśli wzięliby mnie poważnie - w co wątpiałam - do sprawy podeszliby jak do kosmicznej przygody, widzieliby lasery i miecze świetlne. Nie tego było mi trzeba. Roman, nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Był jednak ojcem.

- Wyglądasz jak kałuża smarków - tak mnie przywitał. Wpuścił do środka.

Klitka, którą zajmował, przypominała świątynię poświęconą bóstwu wszystkich kawalerów. Zlew pełen garów, na stole kubki i talerze klejące się do blatu, na podłodze kłęb ubrań. Do maleńkiego pokoiku zdołał wcisnąć dwa fotele, szafę przysadzistą jak Rosjanka, kilkanaście pudeł z kompaktami, popielniczki, majtki, butelki. Usiadłam gdzieś między niedopałkiem i skarpetką, dostałam kubek czekolady. Boże, jak mi przedramiona schudły!

Czując, że nie przychodzę z zaproszeniem do tańca przy księżycu, powiedział zaraz, jak to bardzo martwi się tym, co mówiłam mu ostatnio, jeszcze bardziej moim aktualnym wyglądem, ale jest mężczyzną, więc to zniesie, a nawet pomoże. Ponoć przemyślał sobie wszystko i teraz uważa, że lepiej mu się życie ułożyć nie mogło. Otóż mogło, kwiatuszku, odpowiedziałam, mogło jak cholera.

Piłam czekoladę i opowiadałam wszystko po kolei - jak trafiłam na niezwykły oddział,

kim są doktorowie Ciało i Krew, co zobaczyłam w podziemiach, kim naprawdę są robotnicy, jaka zmiana nastąpiła w lekarzu. Zakończyłam na najważniejszym:

- Tam jest nasz synek, w różnym wieku, widuję też ciebie, ale to nieważne, ważne, jakie grozi mu niebezpieczeństwo. - Musimy wrócić tam oboje. Będziemy czuwać na zmianę i uratujemy nasze dziecko.

- Rozumiem - odpowiedział. I milczał.

- Chodź, nie mamy czasu do stracenia.

- Powinnaś się przespać, odpocząć. Spędzić noc poza domem. Jutro razem pojedziemy do szpitala.

- Jutro! Czy ty mnie słuchasz? Jutro będzie o wiele za późno, jutro szpital, a przynajmniej moje piętro, może zniknąć! Co wtedy!? Co z naszym dzieckiem?

- Dziecko masz w sobie - rzekł. A ja ujęłam jego dłonie i przycisnęłam sobie do brzucha. Mówiłam? Nie, coś przemawiało przeze mnie.

- Nasz synek, owszem, jest we mnie. Ale nie tylko. Przecina czas i przestrzeń za sprawą szpitala. Robi to dla mnie, więc i ja, my, musimy zrobić coś dla niego. Ciało i Krew nie zdołają go ocalić. Nie rozumiesz? Teraz jest we mnie, ale tam, w szpitalu, żyje we wszystkich czasach razem z nami, jesteśmy dobrym małżeństwem. On żyje, słuchaj mnie, proszę, żyje - szepnęłam - w gwiazdach i w dymie.

Długo nie mógł znaleźć odpowiedzi, poszedł do ubikacji i tam pisał coś do kogoś w telefonie - wiem, bo jak tylko wyszedł, dostał dwa albo trzy esemesy. Czytał je i uśmiechał się głupio, a jak skończył, już ktoś dobijał się do drzwi. No to przyszli fałszywi przyjaciele - Baśka, Snup, Cent, otoczyli mnie jak zwierzę. I mówili, mówili, a mnie ogarniał strach, którego nie mogłam okazać - nie wiedziałam przecież, co w szpitalu, co z Michałem.

- Dzwoniłem do twojej mamy. Bardzo się tobą martwiła. Mówiła, że byłaś u niej i zachowywałaś się jak nie jej córka. Patrzę na ciebie i mogę w to uwierzyć. Skarbie, co się z tobą stało? Gdzie jest moja mała Sylwia? - pytał Roman.

- Stara, hej, jestem tu przy tobie. Wiem, że czujesz się sama, i skrzywdzona. Przykro patrzeć, jak miotasz się, szarpiesz. Los bardzo cię skrzywdził. Postaraj się w zamian nie krzywdzić nikogo - to Baśka zabrała się za pocieszanie.

- Tylko nie wydziwiaj. Nie szalej nam tutaj - Snup z Centem mówili jeden przez drugiego. Oczy mieli przelane nudą. Proponowali różne cuda, może do księdza, on pomoże, do psychiatry (leki zapisze, będzie superspoko, radował się Cent), albo i szpitala, takiego prawdziwego, gdzie nie panoszą się doktorzy o dziwnych nazwiskach.

Próbowałam wyjść, nie dali.

- Kocham cię - powiedział Romek, sadzając mnie na krześle.

Więc siedziałam, umierając z niepokoju o małego, ale przecież nie mogłam walczyć z całą czwórka. Mówiłam to samo, coraz słabiej i słabiej, moje słowa były coraz bardziej rozmyte. Poprosiłam o kawę. Mocną.

- Może po prostu pójdziesz spać? Tutaj, wszystko przygotuję - padło. I zaraz gorliwe spojrzenia - Śpij, zaśnij sobie, to wszystko załatwi.

Rozłożyli mi łóżko, poszłam do łazienki, nie rozpoznałam siebie w lustrze, aż musiałam się ochlapać, nie wierzyłam, że woda po prostu po mnie spłynie. Potem pozwoliłam się położyć, przytulić każdemu po kolei. Został tylko Romek. Objął mnie i głaskał po twarzy. Udawałam, że płaczę, udawałam, że śpię.

Nie wiem, ile tak leżałam, ścięta przerażeniem o los Michała i niepewna własnych sił, by już ruszyć. Za oknem umilkły samochody, pogasty światła w bloku naprzeciwko, tylko latarnie za oknem świeciły, ćmy wirowały wokół nich. Wyśliznęłam się z pościeli, zaraz zapaliłam światło w łazience, żeby Romek, gdyby wstał, pomyślał, że tam siedzę. Po cichutku spodnie - bluzka - buty, już miałam wychodzić, gdy usłyszałam krzyk Romka:

- Ej! Gdzie ty!?

No gdzie ja, zawróciłam, wpadłam do pokoju, akurat podnosił się z pościeli, cudownie bezradny, jak tylko facet bezradny być może, w szarych bokserkach, bosy, z zapadniętym torsem. Kopnęłam go, dostał w oko, jęknął, chwycił się za twarz. Wybiegając, zerknęłam na niego, próbował wstać, oko ocalało. Jego krzyk odprowadzał mnie, gdy gnałam po schodach.

* * *

Szeroka fasada szpitala, rozłazące się odgałęzienia, anteny na dachu i kominy wyglądały jak naprędce wycięte z tektury. Wiał wiatr, ale drzewa pozostawały nieruchome, latarnie świeciły trupim światłem. Żwir chrzęścił mi pod stopami.

Światła na korytarzach szpitala powinny palić się nawet w nocy, tymczasem budynek był czarny jak hiphopowy teledysk ze Stanów. Coś przemieszczało się całkiem blisko mnie, łopotały wielkie skrzydła, zabrzmiały kroki - spojrzałam przez ramię, ale za mną tylko wirował pył. Coś szepnęło z trawy, zaszurało po ziemi, trzasnęła gałąź. Rozległ się wrzask - Michałek wył w szpitalu. Pobiełam ku czarnym drzwiom.

Otworzyły się z szelestem, jak papier trący o papier, i stanęłam w ciemnym korytarzu. Znalazłam kontakt, ale rząd jarzeniówek u sufitu, zamiast świecić, migotał, zamykając mnie w półsekundowych kloszach, mrok i blask, mrok i blask. Czasem zdawało mi się, że widzę nagie, chude ciała pełzające po podłodze, czasem znów korytarz był pusty i brudny. Mignął

mi doktor z demonem na ramieniu. Wytrzeszczał na mnie oczy, szarpał się - to demon dusił go członkiem. Lekarz osunął się na kolana i wyciągnął do mnie dłonie. Z ręki wypadł mu telefon.

Tylko komórka przypominała, że mamy wiek dwudziesty pierwszy. W jarzeniowych błyskach widziałam białoszare ściany pokryte plamami, brudne, wypaczone okna, popękane kafelki, łóżka, paskudne plakaty pełne szarych, szczęśliwych rodzin. Takie miejsca znałam z dzieciństwa, w podobnym leżałam na zapalenie ucha, jak miałam pięć lat. Droga w dół postarzyła to miejsce. Kto wie, przeraziłam się, może jak się jeszcze obniży, to z Polski Ludowej parter zmieni się w chałupę, gdzie baba odbiera porody lub kowal wyrzywa zęby. Niech zjeżdża ile chce, mnie trzeba do góry, do mojego dziecka.

Popędziłam na półpiętro, schody były śliskie, same usuwały się spod stóp, a gdy chwyciłam poręcz, ta przemieniła się w wielki ogon, bardzo ukrwiony, miało się wrażenie, że lekko nacisnę i tryśnie krew. Próbował owinać się wokół mojej dłoni. Cofnęłam ją ze wstrętem.

Zamiast drzwi prowadzących do oddziału na półpiętrze widniała wielka wyrwa o postrzępionych brzegach, jakby framugę wraz z kawałkiem ściany wywaliła jakaś straszliwa siła, ta sama, która zrobiła wgniecenie po przeciwległej stronie. W korytarzu nie działało światło, bałam się iść w ciemność, najpierw spróbowałam zapalniczki - zapiekło w palec. Wokoło wałały się reklamy lekarstw, zwinęłam je w rulon, podpaliłam. Resztę zatrzymałam w kieszeni.

W tym migotliwym świetle widziałam rozorany sufit, klepki zerwane z podłogi, dym snuł się u moich stóp. Drzwi do pokoi były zdewastowane, potrzaskane w drzazgi, progi wygięte, jakby je rozgrzano i zdeformowano. Z wnętrza biło chłodem. Popędziłam dalej, do siebie, tam, gdzie leżałam przez ostatnie tygodnie. Tu drzwi ocalały, jeśli nie liczyć dziury wielkości pięści pośrodku i zawiasu - wisiały krzywo na jedynym ocalałym. Pchnęłam, runęły, wzniecając tuman kurzu. Jęknęła drewniana podłoga, zarezonowało podwójne okno.

Z łóżka, na którym leżałam, został sam metalowy szkielet, wygięty zresztą w środku, na sterczące druty nadziano resztki pościeli, która - o mój Boże - była czerwona. Jeszcze mokra. Dziecinne gryzmoły nadpalono, zniknął święty obrazek, a w jego miejscu widniała moja własna, stara twarz, odcisnięta głęboko w murze. Moje usta otworzyły się miękko i coś mi powiedziały.

Cofnęłam się - nigdzie śladu Michała, to zwykle, zdewastowane pomieszczenie, puste pudło po marzeniach. W szafie zamiast moich książek i ubrań wisiały ludzkie skóry. Wołałam mojego synka i dobrych doktorów, na przemian i to dosłownie, raz mój głos był płaczliwy,

raz nieulekły, odbijał się echem od wymarłych murów. W jego tle zabrzmiało coś jeszcze, miarowe kapanie wody z kranu w łazience.

Papiery w ręce już się wypaliły i zmieniałam je na nowe, czerwony blask padł na umywalkę, kafelki i doktora Ciało, który leżał w brodziku i trzymał sine dłonie na wyprutych flakach. Oczy miał puste, nogi rozrzucone, w ogóle, leżał bardzo dziwnie, jakby nigdy nie był człowiekiem, powykrecany, sztywny. Uklękałam przy nim, bez sensu, dotknęłam szyi - był lodowato zimny. Skórę też miał inną, oczy jak blaszane gwiazdy, wytrzeszczone, z ust szedł dym.

Zwędrowałam resztę oddziału, nic tylko ruiny, osmalone ściany, potrzaskany sprzęt, puste butelki. Błyszczący skalpel tkwił w biurku, przy którym jeszcze niedawno zasiadał doktor Ciało. Stałam, bezradna, cisnęłam papiery na podłogę, rozsypując płatki żaru. Wkrótce zgasty i otoczyła mnie ciemność. Z tej ciemności wyszedł doktor Krew.

Właściwie wypętl - skrył się za przepierzeniem, dostrzegł mnie, wiedział, że nie jestem groźna. Poruszał się na czworakach, zostawiając ślad niczym ślimak, szeroki i czerwony. Twarz miał usmarowaną krwią, przedramiona pocięte, bosa, napuchnięte stopy. Opadł na podłogę, tylko głowę unosił jak małe dziecko.

Dopałam do niego, obróciłam go na plecy, na ułamek sekundy zdołałam zapomnieć o Michałku - spod zdartej skóry wychodziły żebra, brzuch był rozszarpany, można by pomyśleć, że przeciągnięto przez niego hak.

- Uszy do góry, koleżanko - powiedział, nie bez wysiłku. - Zawsze kończy się to w ten sposób.

Dostrzegł pytanie w moich oczach, pytanie, które bałam się wypowiedzieć.

- Ukryłem go dobrze. Nie znajdą. Nie dostaną go, córeczko - przymknął oczy, krew szła nawet spod powiek. Jego głowa miękła, w dotyku przypominała mokrą gąbkę. - Na dole - chlusnęło mu z ust - schowałem go na dole, w ścianach. Tam nie przyjdzie im do głowy go szukać. Kuj w ścianach, płytko, znajdziesz. Nie bój się. To głupcy - splunął. - Nie bój się, zawsze tak jest.

- Czy mogłabym...

- Nie. Leć już! Przecież mówię, tak jest zawsze - próbował się uśmiechnąć. - Słuchaj jeszcze, córeczko, on nie jest w jednym miejscu, tak by go zaraz znaleźli. Szukaj osobno ciała, osobno krwi i jeszcze serca. Tak musiałem zrobić, nawet jak znajdą ciało, znajdą krew, to bez serca nic a nic, rozumiesz, trzy rzeczy. Ciało. Krew. Serce.

- Rozumiem - powiedziałam. I była to prawda, w tej chwili wszystko stało się jasne. Delikatnie odłożyłam głowę doktora Krwi. Obrócił ku mnie umęczone oczy.

- Gwiazdy i dym, pamiętaj o tym. Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj.

Już go nie było.

* * *

Przed schodami do piwnic zatrzymałam się na chwilę. Wokoło nie było nikogo, tylko szpital straszył peerelowską szarzyzną, koszmarowymi rysunkami dzieci, brunatnożółtą kredką. Mogłam pobiec natychmiast - pod stopami czułam leciutkie drżenie, echo Michałowego serca. Przecież nie dodrapię się do niego gołymi dłońmi, nie ugryzę muru.

Na zewnątrz panował chłód, buty zaraz mi przemokły i musiałam się nameńczyć, nim otworzyłam blaszaną budę robotników - nie strzegły jej żadne czary, ale zwykła, zardzewiała kłódka, którą mogłam podważyć byle pręt. Prętów akurat nie brakowało. Poszła z trzaskiem. Zabrałam łom, młotek, ugięłam się pod ciężarem młota pneumatycznego. Wlekłam go za sobą, zaplątana w kabel. W podziemiach było całkiem ciemno.

Najmniejsze nawet światło nie dochodziło już na półpiętro - idiotka, targałam ze sobą kompletny zestaw do wyburzania szpitali, a akurat latarki nie wzięłam. Szłam więc przy ścianie, co nie było przyjemne, poręcz wiła mi się w dłoni, nieustannie umykała, mur zaś był ciepły, napuchły czymś gęstym, a jak wymacałam twarz lub dłoń weń wepchaną, te rozpaczliwie próbowały cofać się przede mną.

Do piwnic trafiłam z hukiem, upadając na twarz z ostatniego stopnia, zadzwonił łom, głucho rąbnął młot pneumatyczny. Lizałam sobie pył. Szczęście w nieszczęściu, pod sobą czułam kabel, znalazł się i kontakt, ciemność przeszła w paskudny półmrok. Światło płynęło z gołych żarówek, rozmieszczonych na żółtym kablu w kilkumetrowych odstępach. Kabel ciągnął się po ziemi i zwisał z rusztowania, wściekle żółty. Światła tworzyły niewyraźną drogę, poprzecinaną ciemnością - część żarówek była rozbita - nie poszłam nią, uznałam, że mnie zwodzi. Blisko ściany.

Ciało. Krew. Serce. Tylko tyle, aż tyle, może o czymś zapomniałam? Przyłożyłam ucho do ściany. Potem dłoń. Nic. Tu w ogóle ściany nie były takie jak przy schodach, prace poszły naprzód, wzniesiono już konstrukcję, rodzaj metalowego szkieletu wypełnionego ociepleniem, z instalacją elektryczną. Nie, przez to nic nie poczuje! Chwyciłam łom, ledwo odgięłam jedną belkę. Szarpnęłam za płat waty szklanej, porwała się, poszła za trzecim razem. Błyszczące drobinki gęsto zawirowały w powietrzu. Dotknęłam ściany. Nic. Zrobiłam trzy kroki - liczyłam, by zachować rytm - i znów zdarłam ocieplenie. Piekły mnie twarz i ręce, ale to nieważne, ważne, że złapałam trop. Za czwartym razem poczułam słabe ciepło bijące zza ściany, znak, gdzieś w pobliżu Krew ukrył ciało mojego chłopca.

W górę? W dół? W bok? Dalej, wrywałam ocieplenie, drobinki drapały w gardło. Znalazłam ciepłą linię wzdłuż ściany, szła ukosem ku gorze, dotarłam do gorącego miejsca na wysokości swojej głowy. Przycisnęłam do niego policzek i czułam się prawie jakbym tuliła swojego synka. Starczyło mi rozsądku, by w tym nie zatonać, zawróciłam po narzędzia i musiałam przejść przez gęsty obłok kłujących drobinek. Kaszlałam. Widziałam gorzej, może coś złego z piwnicy mamilo moje oczy, może pył się w nie wgryzł albo żarówki zaczęły padać. Mięśnie miałam mocne, raz, dwa biłam w ścianę, najpierw poszły okruszki, potem łupki, wreszcie połówki cegieł, wzięłam się na sposób, zaczęłam podważać - zaprawa była miękka, doktor Krew niedawno przecież skończył swoją pracę. Odrzuciłam łom, gołymi rękami wyszarpywałam kawałki ściany, pot zalewał mi oczy, a przez ciało, od brzucha do gardła, przeszła fala ostrego bólu.

I było! Skryte bezpiecznie ciało mojego synka, nie większe od zaciśniętej pięści, wciąż ciepłe, czekające moich rąk. Chwyciłam tę kruszynkę, delikatnie, bałam się, że to powietrze, że przeleci mi przez palce, znów skurcz, gorszy od poprzedniego. Kurwa mać, babo, nie syp mi się teraz, nie w tej piwnicy, z ciałem synka przy piersi, z ciałem własnym sobie wrogim, w poszukiwaniu krwi.

Nie mogłam się cieszyć zbyt długo, schowałam ciało pod bluzkę - ból już został ze mną, przycupnięty nad kroczeniem - ruszyłam w głąb, na oślep, ku przeciwległej ścianie. Zaplątałam się w kabel, poleciałam na twarz, próbując chronić ciało Michałka.

Przy drugiej ścianie tak łatwo nie poszło, musiałam przejść pół pomieszczenia, nim natrafiłam na choćby letni kawałek muru. Powietrze zgęstniało od ostrego pyłu.

Wreszcie jest, ciepły punkt i gorętsza już linia, garście ocieplenia poszły w powietrze, przejechałam tak kilkanaście metrów, aż znalazłam bijące, gorące źródło. Tu łom nie pomógł, kochany doktor ukrył krew głębiej, musiałam znaleźć kontakt w żółtym kablu i podpiąć młot pneumatyczny. Spróbowałam go unieść, jęknęłam tylko. Zalewał mnie pot, miednica nabrzmiała mi bólem, uda były wilgotne. Szarpnęłam ponownie, przycisnęłam wiertło do ściany, całym ciałem, zaburczało, omal nie wypadło z rąk. Wierciłam z zamkniętymi oczyma, młot podskakiwał mi w dłoniach, ale jak poszła pierwsza cegła, było już łatwo, wystarczyło podważać, aż powstał otwór wielkości mojej głowy. Zabrzmiały głosy.

Przyszli po mnie. Kroki dudniły po schodach.

Porwałam krew z wyrwy, popłynęła mi po dłoniach, brzuchu, aż po kolana, próbowałam ją chronić, przycisnęłam więc do ciała Michałka, schowanego pod bluzką, głęboko, na wysokości pępka, słyszałam, jak witają się ze sobą, łączą i stają się jednym.

* * *

Prześladowcy - robotnicy, demony, lekarze przez nich zniewoleni - zbiegali po schodach. Drogę ucieczki miałam odciętą. Krew z ciałem już się połączyła, trzeba było tylko serca, by tchnąć życie. Oceeniłam swoje szanse i, pokrzepiona tą mądrością, zamieniłam młot pneumatyczny na łom. Dobrze leżał w dłoni. Tamci biegli, jeszcze ich nie widziałam, tylko w uszach brzmiała mi ich diabelska mowa.

Łomem stłukłam żarówkę, tamci wyraźnie przyspieszyli. W piwnicy płonęło kilkadziesiąt świateł, wszystkich bym nie stłukła. Przypomniała mi się choinka i światełka - wystarczyło zepsuć jedno i drzewko ciemniało. Więc chwyciłam młot oburącz i waliłam w kabel, zaciskając zęby, Boże, jak bolało, ale najpierw poszła żółta izolacja, potem coś we mnie pękło i zaraz żarówki pogasły, zapadła ciemność.

Wycofywałam się bezgłośnie w głąb piwnicy, aż za plecami poczułam ścianę. Więc jednak to miejsce miało swój koniec. Przycupnęłam, ukojona ciepłem, które niosłam przy sobie. Tup, tak zabrzmiało, cichuteńko - gdzieś w szpitalu biło serce mojego dziecka. Tamci dotarli na dół, próbowali włączyć światło, zabrzmiały przekleństwa. W głąb pomieszczenia poszedł dziwny dźwięk, zawodzenie, w którym kryło się moje imię.

Zapłonęły ich cyklopie oczy, na zimnoniebiesko, ich światło z trudem przebijało się przez obłoki drobinek po ociepleniu. Z trudem powstrzymałam krzyk, chłód objął mi głowę, nogi, brzuch - oto zimne gwiazdy zmierzały w moją stronę, przebijając się przez kolczasty dym. Jak dzieci nuklearnego nieba, gdy śmiercionośne obłoki spowijają domy i ludzi w tych domach, zimne światła wędrowały w moją stronę szeroką falą, błyskały i gasły, przedzierając się przez maleńkie ostrza. Brzmiały warknięcia i wściekle jęki, dym wgryzał się gwiazdom w oczy, szarpał ich płomienie, na próżno. Spróbowałam się przesunąć, nie widzieli mnie jeszcze, poszłam nisko schylona, z łomem w dłoni, licząc, że dym mnie obejmie, ukryje, że zniknę dla oczu gwiazd.

Spostrzegły mnie jednak, gwiazda po gwieździe, obracały się w moją stronę - więc tym jesteście, skurwysyny, nie ludźmi, nie demonami nawet, lecz zimnym światłem psów gończych, posłanych po wszelkie życie. Poderwałam się, zamachnęłam, straciłam pierwszą gwiazdę, zabrzmiał jęk i poleciała ku ziemi. Wypowiedziałam więc swoje życzenie. Szlag z wami.

Biłam dalej gwiazdę po gwieździe, spadały, lecz krąg się zacieśniał, lodowate dłonie spadły na moje ramiona, szarpnęłam się, kopnęłam, uzyskałam wolność. Na krótko. Gwiazdy dopadły moich oczu, pochwyciły dłonie, wytrąciły łom, więc drapałam i gryzłam, aż osłabłam

całkiem, osunęłam się na kolana, tylko gryzłam, lecz gwiazdy nie chciały już spadać, tylko pochylały się nade mną.

Już brzmiały ich głosy, niby ludzkie, lecz gwiazdy to łgarze.

- Mamy ją! Mamy! - wołano w stronę schodów.

- Tutaj! Tutaj, panie doktorze!

Spomiędzy ud spływała mi struga krwi.

* * *

Teraz mówią, że to moja wina.

- Obaliłaś trzech rosnących chłopów, dziewczyno - rzekł Romek ze smutkiem. Siedział przy łóżku. Inne łóżko to było i inny szpital, wojewódzki. - Zrobiliśmy wszystko, co się dało, ale płodu - tak, użył tego słowa - nie udało się uratować. Dziecka. Tam w piwnicy.

Akurat, gadaj sobie zdrów.

Mam jego ciało, mam krew, tylko serce wciąż bije w podziemiach. Jęczy w ścianach z tęsknoty. Wrócę i je zabiorę.

Wiem, że to pierwsze życie. Drugiego, dziesiątego, setnego - może nie spapram. Powrócę w tej samej roli, pamiętająca poprzednie doświadczenie, tak jak nieustannie odżywają doktor Ciało, doktor Krew, robotnicy ryjący termitiery dla dusz pod szpitalem. Będę szukać, krążyć, naprostowywać swoje życie w nieustannych próbach. Teraz, jak mnie odciągają, szarpia, rozumiem ironię tego procesu, odrodzeń w tym samym ciele, wiem też, czemu ludzie nie mogą być szczęśliwi. To ostatni szczebel drabiny, stanę kiedyś - może - tam z Michałem i ze wszystkim, życie będzie gorące, całe takie jak mój pobyt w szpitalu. Nie ma już wyższych szczebli, to będzie ostatnie życie, umrę, zniknę, a świat popędzi dalej, jakby nigdy mnie nie było.

Cichy dom

- Chryste Panie, pomóż mi!

Mężczyzna wyskoczył spomiędzy samochodów, nie widziałem dobrze jego twarzy. Był tęgi, brodaty, mocno zbudowany, grube paluchy wpił w moją kurtkę. Śmierdział gównem. Zesrał się, pomyślałem, próbując go odepchnąć, ale facet uwiesił się na mnie i wpakował kolano między moje nogi.

- Pomóż mi, Chryste, pomóż mi - powtarzał, dygocząc.

Był niższy o głowę, więc wcisnął mi twarz w koszulę, załzawił ją i zasmarkał. Na to wszystko patrzył zdumiony doktor Skóra.

Im bardziej próbowałem się wyzwolić, tym silniej tamten się we mnie wpijał, a po chwili z ciemności wyszedł drugi mężczyzna. Był tak wysoki, że sprawiał nierzeczywiste wrażenie. Mimo ciepłej pogody nosił płaszcz z podpinką. Surową twarz okalały półdługie włosy. Maszerował prosto na mnie. Brodacz załkał, zaklął i schował się za moimi plecami. Przypadł do ziemi i z całych sił objął moją nogę. Próbowałem go kopnąć.

- Pomóż mi, pomóż mi - powtórzył, teraz już szeptem. Odmawiał modlitwę, być może Bóg by mu pomógł, ja nie miałem ochoty. Wielkolud przyspieszył, uniosłem dłonie na znak, że nie mam z tym nic wspólnego. Pchnął mnie brutalnie, a brodacz zakwilił. Na moment twarz wysokiego faceta znalazła się naprzeciw mojej. Miał chłodne spojrzenie i chyba chciał mi coś powiedzieć, ale nigdy nie dowiem się, co takiego, bo na plecy spadł mu doktor Skóra. Duży stracił równowagę i runął na mnie. Leżeliśmy we czterech: Skóra, ja, dwóch nieznajomych. Wstała tylko trójka.

Skóra podał mi papierosa. Cały się trząsł. Brodacz z trudem trzymał się na nogach, a wielkolud leżał z głową we krwi, tuż koło mojego audi. Próbowałem odciągnąć Skórę, byle dalej, ale on znów zamarł, z petem w ustach. Tak miał, kamieniał lub ruszał się za czterech. Trąciłem go, ale zamiast pobiec, gapił się na swoje ręce, szukając śladów krwi.

Brodacz chciał się chyba we mnie wtulić, ale spostrzegł, że nie mam na to ochoty, i wyciągnął ręce przed siebie.

- Dziękuję - szepnął - bardzo, bardzo wam dziękuję.

Coś drgnęło w twarzy Skóry, zamachnął się jak do ciosu, ale rozprostował palce i tylko odepchnął obcego. Staliśmy na opustoszałym parkingu, dochodziła dwudziesta trzecia.

Jedynie światło dawały latarnie i jeśli nawet ktoś nas obserwował, pozostawaliśmy niewidoczni. Nigdy nikogo nie pobitem, nie trafiłem na izbę, przez czterdzieści lat nie spisano mnie nawet za szczanie w krzaki.

- Idziemy, Wojtek - złapałem go za przegub. - A ty, ty... - zwróciłem się do brodacza, nie mając pojęcia, co powinienem mu zrobić lub powiedzieć - ty rób sobie, co chcesz.

Wojtek trzymał się za głowę. Przez szaloną chwilę zastanawiałem się, czy nie dzwonić na policję albo pogotowie. Wielkolud był niezaprzeczalnie martwy, doktor Skóra równie niezaprzeczalnie go uśmiercił. Trzeba było ruszać. Brodacz pojął, co planujemy, bełkocząc i plując śliną, tłumaczył, że nie można, bo stanie się coś strasznego. Widziałem go już lepiej - miał koło pięćdziesiątki i twarz, jakiej zwykle dopijamy się przy siódmym krzyżyku, czerwoną, nabrzmiałą od piwa i łez. Nosił turecki sweter i spodnie od garnituru, teraz zasrane i ubłocone.

- Nie możecie odejść - tak brzmiało jego pierwsze spójne zdanie, powtórzyłem je więc w myślach, lecz nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Klątwa - rzekł brodacz.

Znalazłem kluczyki. Skóra odzyskał oddech.

- Chuj z tobą i twoją klątwą - powiedział.

Gdybyśmy wtedy poszli, wsiedli do samochodu i odjechali, być może nic złego by się nie wydarzyło. Ale czy Skóra szedł za wolno, czy ja straciłem siły, zmarnowaliśmy kilka sekund i to wystarczyło. Brodacz dopadł trupa, podwinął mu płaszcz, tak że zakrył głowę wraz z krwawą plamą. Nie licząc spodni, wielkolud miał tylko biały podkoszulek, zdaje się, na ramiączkach. Widziałem brudne bose stopy. I parę ciemnych skrzydeł wyrastających z łopatek.

Brodacz podszedł, wskazał na Skórę. Powiedział smutno:

- Klątwa ciąży na tobie.

* * *

Miałem siedem lat i właśnie dowiedziałem się, że mam anioła stróża. To było na mszy dla dzieci, a że nie bardzo w to wierzyłem, postanowiłem zapytać tatę. Był przerażony, a przynajmniej zakłopotany. Myślałem, że boi się aniołów, prawda była prostsza. Matka chodziła do kościoła, tato był ateuszem. Nie bez wstrząsów ustalili, że wychowają mnie po katolicku, ojciec musiał przeczytać Nowy Testament, żeby poradzić sobie w wypadku, gdybym pojawił się z trudnymi pytaniami. Na przykład takim:

- Tato, czy istnieją anioły?

Siedział akurat w fotelu w kratę i czytał „Trybunę Ludu”. Na orlim nosie miał okulary ze szklami przedzielonymi w połowie, jak mówił, do czytania i do patrzenia.

- No jasne, synku. Różne anioły. Niektóre przynoszą wiadomości, inne bronią nas przed diabłem albo pomagają Panu Jezusowi wyprowadzać udrećzone dusze z piekieł.

- Czy to prawda, że każdy ma swojego anioła?

- Aha - spojrzał na mnie zza „Trybuny Ludu” - to anioł stróż. Pilnuje, żeby nie stało ci się nic złego.

- A przecież ludzie umierają. Albo upadają i łamią nogi.

Tato podrapał się po głowie.

- Niekoniecznie. Taki anioł nie może wszystkiego, poza tym on pomaga tobie i Bogu. Nie może wyręczyć jednego ani drugiego.

Oprócz pogadanek ojca o Bogu, z dzieciństwa pamiętam zapach krótkich papierosów Caro, które palił bez przerwy. Prawdopodobnie byłby znakomitym księdzem albo publicystą katolickim, mógłby też robić karierę jako kaznodzieja w typie amerykańskim, lecz do końca życia czytał „Trybunę Ludu”, potem „Trybunę” z ludu ogołoconą, palił swoje cara, a księdza nie chciał widzieć nawet na łożu śmierci.

- Jak wygląda taki anioł? - pytałem dalej, wyczerpując ojcowską cierpliwość. Tato przewrócił płachtę gazety. Moje książeczki były małe i myślałem, że rozmiar tego, co czytamy, zwiększa się wraz z wiekiem.

- Nie możemy go zobaczyć. Są tacy, którzy oczywiście widują anioły, no bo kto inny by o nich opowiadał - rzekł, uprzedzając kolejne pytanie. - Podobno anioły przypominają ludzi ze skrzydłami. Albo ptaki. - Poglaskał mnie po głowie. - Idź na dwór. Może zobaczysz jednego.

Chciał mnie zbyć i nie przewidział, co zrobię. W bloku koło nas mieszkali działacze robotniczy, zasłużeni i emerytowani, a że nie mieli co robić, karmili gołębie. Zlatywały z całej Nowej Soli, a jeden, biały, bał się mniej od innych, więc uznałem, że najpewniej to on jest moim Aniołem Stróżem. Karmiłem go i próbowałem oswoić. Emerytowani działacze robotniczy mówili, że dobry ze mnie chłopiec.

Znajomość z gołębkiem trwała dwa tygodnie, podczas których uwierzyłem, że ptak jest moim Aniołem Stróżem. Pewno byłby nim dalej, gdyby nie banda starszych chłopaków z sąsiedztwa. Gołąb przez naszą zażyłość nabrał ogólnej ufności. Chłopcy złapali go, wydlubali oczy, przywiązali do ogona szmaty nasączone rozpuszczalnikiem i podpalili. Zginął w powietrzu, widziałem to.

Po latach matka przypominała mi, że rzuciłem się na jednego z tych chłopaków i

ugryzłem go tak mocno, że wyrwałem mu z przedramienia kawał mięcha. Pamiętam to śmiertelne przerażenie: mój jedyny opiekun zginął, pospadają na mnie nieszczęścia, a dokądkolwiek pójde, nie będę bezpieczny. Postanowiłem nie opuszczać pokoju, aż ojciec - mamie bym nie uwierzył - pokazał mi za oknem drugiego gołębia i poinformował, że zabicie anioła stróża to nie taka prosta sprawa.

* * *

Brodacz nazywał się Wawryk i uczył polskiego w zespole szkół zawodowych. Siedzieliśmy w samochodzie, po ciemku, kilka przecznic dalej. Trup ze skrzydłami został tam, gdzie leżał.

- Słyszałem o takich - zacząłem. Ktoś musiał coś powiedzieć.

- To anioł - rzekł Wawryk.

Zdobyłem się na uśmiech.

- Miałem na myśli ludzi, którzy doprawiają sobie różne rzeczy. Przebierają się za tygrysy albo jaszczurki. Ten człowiek pewno chciał być ptakiem. Albo i aniołem.

- Pewno nie był Polakiem - mruknął Skóra. Chciał zapalić, nie pozwoliłem. Nic nie wiedziałem o tropieniu, ukrywaniu się ani o trupach i wydawało mi się, że światło - jakiegokolwiek światło - sprowadzi na nas zgubę. Siedziałem w fotelu kierowcy, doktor Skóra obok.

- To prawdziwy anioł i prawdziwa klątwa. Moglibyście rozważyć to porządnie, skoro to przecież nie mój problem. Nie mam po co was okłamywać, bo - w jego głosie zabrzmiała nuta zadowolenia - mi już nie grozi.

Obok przemknął radiowóz. Na ławce migdalili się gówniarze. Noc zgęstniała, niebo przypominało szkło, a w mojej głowie kłębiły się myśli, które bałem się wypowiedzieć. Doktor Skóra mnie wyręczył:

- Właśnie. Jak zawarłeś znajomość z takim kolegą?

Odpowiedział natychmiast:

- Czy wiesz, co to jest klątwa?

W takich chwilach, nie wiem czemu, myślę o swojej córce. Teraz ma piętnaście lat. Zawsze gdy dopadał mnie smutek, myślami ciążyłem ku niej, wyobrażając sobie, co teraz robi, co powie, gdy wrócę, i co ja jej odpowiem. Pamiętam, jak pewnego dnia, kilka lat temu, gdy pocałowałem ją na dobranoc, przekreśliła się na poduszce i spytała: „Tato, czy wiesz, co to jest klątwa?”.

- Klątwa - mówił Wawryk - to pozornie nic takiego. Nie spadną na ciebie żadne plagi, nikt ci nie umrze, a jeśli umrze, to i tak by umarł. Klątwa wypala cię od środka, jakbyś wypił

szklankę kwasu. I zanim się obejrzysz, jesteś trupem. Tu i tu - wskazał na głowę i serce. - Kocha pan kogoś, doktorze Skóra?

Skóra był najbardziej rodzinnym człowiekiem, jakiego znałem. Miał troje dzieci, dom pod Wrocławiem, tłusciutką żonę, dwa psy i baterię zdjęć krewnych z całej Polski, rozstawioną na kominku. Nie odpowiedział.

- Jeśli pan kocha, to pan przestanie. Nie zatrzymasz pan tego, choćby się pan codziennie modlił. Obudzisz się pan i wszyscy będą dla pana obcy, męczący, przy żonie i dzieciach... ma pan żonę? Będziesz się pan czuł, jakby mucha latała koło głowy. Dlatego ludzie odchodzą i nigdzie nie mogą znaleźć spokoju. Dlatego zabijają, a pan, panie doktorze, już raz zabił.

Skóra stęzał. Naprawdę, w tej chwili był gotów zabić ponownie.

- Jesteś polonistą, tak? To wyobraź sobie, spróbuj wyobrazić, że nie prowadzisz teraz zajęć dla swoich głupków, ale siedzisz w aucie, osrany, oszczany, a jedyną klątwą jest smród i twoje gadanie.

- Trzeba go pochować, wiem gdzie - rzucił Wawryk. Nachylił się do nas, oparł łokciami o fotele. Cuchnął straszliwie, wyrzuciłem sobie, że w ogóle zaprosiłem go do samochodu.

- Idź - powiedział mu Skóra.

- Jest miejsce. Niedaleko stąd. Nie prosiłem was o pomoc.

Cóż, pomyślałem, po prostu padł mi do kolan i narobił.

- To powinno zostać tak, jak jest - powiedziałem.

Wawryk wyszedł bez słowa i delikatnie zamknął drzwi.

Posłał mi dziwne spojrzenie, można by pomyśleć, że dopiero się rozgadał, a my niegrzecznie mu przerwaliśmy. Maszerował jak kaczka, z rozstawionymi nogami, kierując kolana na zewnątrz.

* * *

Odwiozłem doktora Skórę pod dom. Nie zamieniliśmy słowa, uznając milczenie za dobre zakończenie tej sprawy. Uściskałem go mocno. Na stacji benzynowej kupiłem gąbki i detergenty, wyczyściłem siedzenie i smród po Wawryku osłabł. Po chwili wahania zawiozłem samochód na inny parking, kupiłem w nocnym setkę wyborowej i wypięłem, przepłukując usta. Spaliłem trzy papierosy pod rząd i na rauszu popędziłem taksówką do domu. Żona poznaje mnie po oczach, choć przecież w nocy jest ciemno. Poznaje nawet w półśnie.

Mieszkaliśmy na parterze domu dwurodzinnego - prawie dwieście metrów dla nas

trojga. Miałem nieruchomości w Nowej Soli, ale te dwie stowy parkietu wynajmowaliśmy od Niemca. Niemiec mieszkał piętro wyżej i widywałem go raz do roku. Cisza wokoło. Z Klaudią toczyliśmy cichą wojnę - utrzymywała, że człowiek powinien być wolny i nie mieszkać na swoim, bo swoje uwiązuje, choć przecież dziecko to także kula u nogi i serca. Walczyliśmy - Klaudia wybrała nam ten domek, parkiet zrobiono na koszt Niemca, a ja przygwoździłem mieszkanie do nas, czym mogłem: kupowałem ciężkie skórzane fotele, błyszczący stół pod telewizor i oczywiście sam telewizor, wielki jak furgonetka. Przsadziste regały zapelniałem rzędami książek. Wieszalem płótna w drewnianych ramach, korkowe tablice i zdjęcia przodków, jakbym wierzył, że cały ten majdan przyrośnie do ścian i podłóg tak ściśle, że się z nimi zespoli na zawsze.

Wszedłem do domu na palcach, zapaliłem jedynie boczne światło, dopiero w pokoju poczułem, że cuchnę nie tylko wódką i papierosami, ale i gównem. Klaudię zastałem rozespaną.

Spojrzała na mnie. Stałem w drzwiach w samej koszuli i spodniach od dresu. Zmarszczyła nos ze zdziwienia.

- Piłeś?

- Ano, piłem - mruknąłem bez żalu. Kochanie, udaję zaprucie, bo Wojtek Skóra zgruchotał właśnie aniołowi głowę o krawężnik. Oczywiście nie był to prawdziwy anioł, tylko facet, który dokleja sobie skrzydła. Wiesz, takie rzeczy się dzieją.

Obróciła się na bok, naciągnęła kołdrę na głowę.

- Pij - powiedziała.

Tą radą nie wzgardziłem. Wiedziałem, że nie zasnę. W chwilach szczególnej złości schodziłem do piwnicy pojeździć na rowerku lub próbowałem podciągać się na drążku, co od dawna szło mi słabo. Niektórzy siadają przed komputerem albo chodzą na spacer. Wybrałem telewizor, drinka i przerzucanie kanałów w nadziei, że udzieli mi się bezmyślność, a rano wszystko wyda się snem. Piłem więc i chyba zasnąłem.

Mój telefon zaczyna od wibry, piszczy najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Odebrałem prawie natychmiast, jakbym na niego czekał, wyszarpnąłem z kieszeni jeszcze we śnie. Fosforyzujący zegarek wskazywał trzecią.

- Przyjedziesz? - zapytał Skóra. Był gdzieś na zewnątrz, szumiał deszcz.

- Śpię - skłamałem.

- Jak możesz spać?

- Dobrze. Co się dzieje?

Przełknął ślinę, dreptał w wodzie.

- Nie ma czasu.

- Gdzie jesteś?

Milczał.

- Najpierw powiedz - podszedłem do okna, mówiłem szeptem. Za szybą siał czerwcowy deszcz, wiatr ugiął gałęzie, rozwiewał trawę na zaniedbanej parceli naprzeciwko. Skóra mówił:

- Wróciłem do domu i byłem pewny, że zasnę. Prosiłem się o sen, ale popatrzyłem tylko na dzieci. Postąłem w ich pokoju i zrozumiałem, że one się dowiedzą, nieważne jak. Będą wiedzieć. Przyjedź.

Wyszedłem z domu. Teraz przydałby się samochód. Dziwny facet ten Skóra, myślałem, popatrzył na rodzinę i go przełamało. Zabawne. Czulem dokładnie to samo.

* * *

Biegłem skryty w deszczu i ciemności, co samo w sobie budziło mój niepokój. I ciemność, i to, że biegłem. Mijałem czarne domy, zwierzęce grzbiety samochodów, potrzaskane płoty, siatki z zardzewiałego drutu, wreszcie bloki i kamienice, tak brudne, że nawet mrok nie zdołał tego ukryć. Gęsty deszcz tłumiał światło latarni. Na parkingu nie znalazłem ciała. Poczucie ulgi, którego doznałem, było czymś niemal fizycznym. Już chciałem wracać, gdy telefon zabręczał, zaraz umilkł, ale to wystarczyło. Doktor Skóra stał wraz z Wawrykiem koło samochodu, ale co to był za samochód - nie mogłem dostrzec. Widziany z daleka przypominał vana z amerykańskich filmów. Gdy podszedłem, zmalął i przemienił się w wiekowego poloneza coupe z wgniecioną maską i ubitym reflektorem.

Omam nie potknąłem się o ciało wielkoluda ułożone w poprzek chodnika. Wawryk ze Skórą próbowali wepchać je do bagażnika, ale najwyraźniej im się nie udało. Nie podałem im dłoni.

- Można by go usadzić, zamiast pakować do bagażnika - powiedziałem. - Otrzyjcie mu tylko twarz z krwi.

- Spróbuj - odrzekł miękko Wawryk.

Chwyciłem trupa pod ramiona. Ledwo drgnął, tylko głowa mu się przekrzywiła, barki uniosły. Sapałem, między splunięciem a przekleństwem poprosiłem o pomoc. Wawryk jeszcze dawał sobie radę, ale Skóra zupełnie nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nogi nieboszczyka wysuwały mu się z rąk, tylko dyszał, a gdy jakimś cudem unieśliśmy drania nad ziemię, spod płaszcza wysunęły się skrzydła, a jedno uderzyło mnie w gołeń. Były grube i twarde, pióra nadawały im złudną miękkość.

- Powinniśmy je odciąć - mruknąłem. Popatrzyli na mnie, jakbym powiedział coś potwornego.

Wzięliśmy go więc pod te skrzydła i zrobiło się lżej. Ledwo wszedł do poloneza, zaraz zaklinował się między dachem, oparciem a fotelem. Doktor Skóra przetarł mu twarz i wreszcie przyglądałem mu się dokładniej. Miał głowę mnicha na ciele wrestlera, twarz nierzeczywiście poważną, o ustach niezdolnych do wygięcia się w uśmiech i oczach nawykłych do ksiąg, a nie do ludzi. Poprosiłem, żeby ją zakryć albo nałożyć ciemne okulary, żeby na mnie nie patrzył.

Wawryk tymczasem zniknął.

- Wróci - rzekł doktor Skóra.

- Jak go znalazłeś?

- Książka telefoniczna. Mieszka tutaj obok. Miło było zobaczyć kogoś bardziej przerażonego od siebie - spróbował zażartować. - Oczywiście nie spał, stał z mordą przy oknie. Myślę... O, już jest.

Wawryk pchał wózek inwalidzki. Popatrzyliśmy po sobie. Otworzył bagażnik, ocenił rozmiar i stwierdził, że wózek trzeba złożyć. Miał niezwykły głos - dudniący i głęboki jak studnia. Miałem wrażenie, że zaraz zacznie śpiewać.

- To wózek mojej mamy. Ona już go nie potrzebuje - wyjaśnił.

- Przykro mi - odparł doktor Skóra automatycznie.

Mnie interesowało co innego.

- Po cholere nam ten wózek?

Wawryk zmrużył oczy.

- Dawno tam nie byłem. Nie pamiętam nawet, jak się jedzie. Trafimy. Ale to leśna droga, auto nie pociągnie. Chcesz go nieść? Nie damy rady. To naprawdę daleko - westchnął - sam nie wiem, jak bardzo.

Otworzył drzwi poloneza, zaprosił do środka. Znalazłem właściwą granicę między krzykiem a szeptem:

- Gdzie chcesz go targać? Zakopmy go zaraz za miastem albo na cmentarzu, na poświęconej ziemi, albo jeszcze nie wiem, wrzucicie go do gnojówki. Co to za miejsce? Po co tam jechać?

Wawryk tylko pokręcił głową. Wózek był już złożony, Skóra mu się przyjrzał.

- Jeśli to leśna droga, długa, jak mówisz, koła nie wytrzymają. Zawieszenie jest słabe, ciemność też robi swoje - ocenił. - Będziemy musieli go nieść i uważać na korzenie.

* * *

Pokłóciliśmy się jeszcze przed zapaleniem silnika. Układając trupa, nikt nie spostrzegł, że lewe skrzydło rozłożyło się na fotelu i ktoś musiał na nim usiąść. Wawryk wyśliznął się zręcznie, tłumacząc, że to jego polonez, zna drogę i jest najmniej pijany.

- Powiedz mi, jak jechać, a smrodem się nie przejmuj - poradziłem mu, a on dalej swoje. Skóra nie chciał o tym słyszeć, powtarzał tylko, że najchętniej jechałby za nami, żeby tylko nie widzieć tego upiornego truchła. Pewno uwierzył, że to prawdziwy anioł. Owszem, polonez Wawryka, ale syf całej trójki, więc zmieścimy się wszyscy, trup też i wózek po mamusi.

Doktor Skóra chyba żałował, że spojrzął na swoje dzieci i nie został w domu.

Wybraliśmy kompromis na miarę tej chwili. Skrzydło przykryliśmy kocem, twarz trupa przycisnęliśmy do fotela tak, żeby wyglądał na pijanego. Wawryk prowadził, Skóra siedział z przodu, a ja usadowiłem się na skrzydle. Przez koc prawie go nie czułem, ale polonezem trzęsło i bałem się, że trup się na mnie przewróci.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Skóra, gdy opuściliśmy miasto.

- Czy wrócimy przed świtem? - chciałem wiedzieć. Ryps! Polonez wjechał w dziurę. Podskoczyliśmy wszyscy, trup najwyżej.

- Nie wrócimy. Bardzo w to wątpię. Najchętniej zatrzymałbym się gdzieś i poczekał do świtu - Wawryk zerknął na mnie przez ramię. - Cichy dom to miejsce, które lepiej odwiedzić za dnia. W dzień też powinniśmy go pochować. Ale to nie jest daleko. Nie samochodem, będzie trzeba iść.

To już wiedziałem.

- Czemu akurat tam? - zapytał Skóra.

- Bo tam spotkałem go po raz pierwszy. Oczywiście nie wierzyłem, że jest aniołem. Dom wtedy był zamieszkały. Teraz to pewno ruina. To było - policzył w myślach - prawie cztery lata temu. Chodziłem uczyć pewną dziewczynę. Najpierw myślałem, że jest kochankiem jej matki. A potem zobaczyłem te skrzydła. To było już jak ta dziewczyna umarła.

- Co jej się stało?

- Narkotyki - rzekł melancholijnie. - Młoda i zdolna, znałem ją ze szkoły. Weszła w straszne gówna i razem z matką ją wyciągaliśmy. Leczyła się w ośrodku, a potem matka zabrała ją do domu i trzymała pod kluczem. Nie było siły, uwolniłaby ją i dziewczyna zaraz poszłaby się naćpać. Z heroiną nie ma żartów.

- Skąd wiesz? - zapytał ironicznie Skóra. Wawryk nie zrozumiał dowcipu.

- Wiem, bo otworzyła zamek kolczykiem. Nawet nikt nie wiedział, że wyszła, dopiero rano się okazało. Przy śniadaniu. Ja się na tym nie znam, ale terapeuta powiedział, że głód po heroinie jest gorszy niż łamanie kości. A z głową też niedobrze. Powiesiła się - powtórzył.

- I wtedy zobaczyłeś anioła?

- Poszedłem po pogrzebie odwiedzić jej matkę. I gdy wychodziłem, szedł za mną, ja szybciej, on szybciej. Cudem uciekłem. Więcej tam nie wróciłem, ale rozmawiałem z matką, Julitą, przez telefon. Raz w tygodniu. I myślę - otarł czoło - że to dlatego, że zawiedliśmy. Ja, terapeuci, Julita.

W jego głosie brzmiał strach.

- Julita zmarła miesiąc temu. Widziałem ją w szpitalu. Nie poznałem, poszedłem szukać innego łóżka i usłyszałem syk, jakby powietrze skądś uchodziło. Nie mogła mówić, tylko syczeć. Wyglądała jak szkielet z wielkimi oczami. Posiedziałem przy niej. Niedługo potem umarła - zahamował i zjechał na pobocze.

- Co jest? - zapytał doktor Skóra. Staliśmy w szczerym polu, za sobą zostawiliśmy światła miasta. Trup rąbnął głową o szybę, zostawiając ciemny ślad, a Wawryk odwrócił się do mnie i, dla odmiany, jego twarz była bardzo jasna. Zniknęło nawet pijackie zaczerwienienie.

- Nie mogła mówić, a jednak powiedziała. „Okno”, tyle wysyczała, i nie ma w tym żadnej tajemnicy - uśmiechnął się. - Okno było uchylone, firanka odsunięta i chciała, żebym ją zasłonił. Byliśmy na trzecim piętrze, po drugiej stronie stała kamienica przeznaczona do rozbiórki. Wiecie, żadnej całej szyby, parter zamknięty na głucho. Więc podchodzę do okna i coś mi nie gra, skaza czy co, a na kominie siedział ten facet - wskazał kciukiem - nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, a to, co wzięłem za płaszcz, to już domyślcie się, czym było naprawdę. Trzymał laskę i patrzył prosto na mnie. Wiecie, co mnie najbardziej przeraziło?

Potrząsnąłem głową.

- To był chyba koniec kwietnia, wiecie, jaki mieliśmy kwiecień tego roku. Lało jak z cebra, wiatr dał taki, że drzewa się wywracały. Więc wytrzeszczam oczy na tego człowieka, a on jest jak rzeźba. Nawet nie drgnie, a włosy opadają mu spokojnie na twarz, jak w bezwietrzny dzień. Rozumiecie?

- Może coś go osłaniało? - mruknął doktor Skóra. Posłał mi rozpaczliwe spojrzenie. Znałem je dobrze i wiedziałem, co się dzieje. Skóra w odróżnieniu od innych lekarzy był prawie abstynentem, człowiekiem, który na własnych urodzinach wypije jedną pięćdziesiątkę z grzeczności, sylwestra przetańczy przy szampanie, a sobotni wieczór przesiedzi z piwem

imbirowym. Jedynym powodem, dla którego Skóra mógłby się urznąć, było prawdziwie egzystencjalne cierpienie, takie, jakie dopada, nawet jeśli masz willę z basenem i mądrą żonę. Cierpienie wzrastało w Skórze stopniowo. Szliśmy do knajpy, zamawiał pięćdziesiątkę i gapił się, jakby na stole leżało jego własne serce. Wodził wokół niej palcami, moczył wargi, upijał trochę, opróżniał powoli, oświadczał, że musi iść, i bardzo mnie przepraszał. Tak przebiegało to najczęściej, ale przychodził dzień, że doktor Skóra, okrążywszy kielonek wzrokiem, wypijał go haustem, potem pochłaniał następne, aż nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Mówił, a potem płakał. Kończyliśmy nad ranem, bełkotał, ślinił się, oczy miał czerwone. W polonezie Wawryka, prawie zupełnie trzeźwy, wyglądał właśnie tak.

- Mówiłeś, że widziałeś go wcześniej - zagadnął.

- Możesz jechać i mówić. - To nie była prośba ani pytanie. Wawryk westchnął, zapalił silnik i odezwał się, jak tylko wyjechaliśmy na główną drogę:

- Kiedy Diana, tak się nazywała, wyszła z ośrodka, matka przeniosła ją do domku letniego. Domek był z drewna, Julita uznała, że w świecie bez kablówki, internetu, a przede wszystkim bez kolegów z bajzla zdoła wyjść na prostą. Wzięła urlop. Ze szkołą był problem. Ja dojeżdżałem. Uczę polskiego, mogę i historii. Resztę znacie - przyspieszył. - Diana umarła.

Coś nie zgadzało się w tej opowieści. Skóra słuchał go z otwartymi ustami.

- Jeśli to jest zadupie, a dziewczyna uciekła w nocy, to jakim, u diabła, cudem zdołała się zaćpać, wytrzeźwieć, wejść w fazę głodu i powiesić się w ciągu kilkunastu godzin?

- Może dłużej - zastanowił się Wawryk. - Tak twierdzi policja. W cichym domu nie ma zasięgu, ale jest telefon stacjonarny. Do drogi, tej leśnej drogi, że auto dojedzie, jest kilkaset metrów. Po cichu wezwała taksówkę. Zabrała matce pieniądze. Pojechała.

Mijaliśmy wieś, typowo dolnośląską, pełną domów potężnych jak Wehrmacht i opustoszałą niczym wiosną czterdziestego piątego.

- Wiedziałem, że Diana uciekła i przyćpała, ale nie mogłem od razu pojechać, wiadomo, praca, a jak w końcu dotarłem, było już po wszystkim. Zostałem, by pocieszyć matkę. W cichym domu roilo się od ludzi. Lekarze, policja, wszyscy wściekli, bo musieli dojść przez las. Diana leżała na łóżku, cała sina. Matka bała się tam wejść. Panowie, to było jak zły sen.

Wieś zniknęła za nami i znów jechaliśmy wzdłuż pól, płaskich po horyzont. Przestało już padać. Skręciliśmy i droga stała się jeszcze gorsza. Nie wiem, jak Wawryk mógł jeździć takim samochodem.

- Ledwo widziałem tych ludzi wokół. Pytali, kim jestem, co robię, i przez chwilę bałem się, że skują mnie tylko dlatego, że uczyłem tę małą. Wicie co, poczułbym się lepiej,

chciałem, żeby skatowali mnie na komisariacie, bo... - głos mu osłabł - przecież ją zawiodłem. Zawiedliśmy wszyscy. Ekipa już się zwijała i wtedy ten facet pojawił się po raz pierwszy. Zwróciłem na niego uwagę tylko dlatego, że był wysoki. Sami przyznacie, takiego się nie zapomina, a zarazem nikt nawet na niego nie spojrział. Słowem się nie odezwał, tylko wszedł do pokoju, gdzie leżała Diana, przyklęknął, pocałował ją i przyłożył palec. Dokładnie tutaj - dotknął czoła doktora Skóry - a potem wstał i natychmiast znalazł się przy mnie. Dotknął mnie w tym samym miejscu i odszedł. Może zniknął, nie wiem, bo upadłbym, gdyby nie ściana. Ból był nie do opisanego, jakby wbijano mi gwóźdź w głowę, raz, raz. - Uderzył w deskę rozdzielczą. - Wszyscy się zbiegli, bo stałem i wrzeszczałem. Wszyscy - zakończył - prócz niego.

Znów zwolnił, chciał przystanąć. Poprosiłem, by jechał dalej. Miałem ochotę wysiąść i wracać do Nowej Soli na piechotę.

- Nikt go nie widział. Pytałem ludzi. Jaki wielki facet, mówili, jakie długie włosy, i tylko Julita przyznała, że widziała go wcześniej. W pokoju. Tam gdzie umarła jej córka. Przez moment twierdziła, że to on wisi, nie ona, obcy mężczyzna w jej domu, powieszony.

Jechaliśmy zwirowaną drogą. Przynajmniej tak nie trzęsło, trup znieruchomiał, a mnie ogarnęło poczucie dziwności. Ciemność stężała, polonez miał jedno przednie światło, ledwo widzieliśmy drogę. Po obu stronach ciągnęły się pola, za to przed nami ukazało się łagodne wzniesienie. Podskoczyliśmy na polnym kamieniu, zatrzęsło raz, a porządnie i trup wyładował na moich kolanach. Natychmiast go odepchnąłem. Dziwne. Nie miał paznokci, tylko gładką skórę. Tak wyglądają dawno zagojone, amputowane końcówki palców. Krzyknąłem:

- Daleko jeszcze?

Wawryk puścił moje pytanie mimo uszu, zgarbił się, tak że gdybyśmy znów podskoczyli, kierownica walnęłaby go w szczękę. I bez niego widziałem, że zbliżamy się do lasu.

- Po śmierci Diany myślałem, że sprawa dobiegła końca, nie miałem nawet powodu dzwonić do Julity - zaznaczył, a ja pomyślałem, że jeśli ktoś ma na imię Julita, to córkę z pewnością nazwie Dianą. Zwolnił, najwyraźniej zastanawiał się, czy nie pomylił drogi. - Ale powód się znalazł. Najpierw były sny. Po takich przejściach każdy ma koszmary, więc te krwawe szczęki, upiory wędrujące za mną... Zwaląłem to na zmęczenie. Ale jakiś tydzień po pogrzebie śniło mi się, że jest noc, leżę w łóżku w cichym domu, a ja przecież nigdy tam nie nocowałem. I nagle coś uderza za oknem, jakby walnąć w ziemię ogromnym młotem. I jeszcze, cała seria, i uderzenia brzmia już o dach. Nagle znalazłem się na zewnątrz i wicie,

jak to jest w snach, ciemno, a jednak wszystko widać. To ludzie spadali - puścił kierownicę, otarł twarz; wlekliśmy się - rozumiecie, krzyczący, jak to jest w snach, zupełnie bezgłośnie. Uderzali o ziemię z taką siłą, że krew bryzgała na drzewa oddalone o kilkanaście metrów, na ściany i mnie samego. Spadali i spadali, mnie się wydało, że znam te twarze, że to moi bliscy spadają, koledzy ze szkoły, ze studiów, narzeczone, kumple, ojciec, co już nie żyje, mama...

- Mówiłeś, że mama nie żyje - przypomniałem. Po cholere takie gadanie.

- Mówiłem, że nie potrzebuje wózka, a mówię ci teraz, że stoję w tym śnie, a z nieba wałę się moi bliscy. I jest zimno, a ich jest coraz więcej. Obudził mnie telefon. Przez moment byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Przez chwilę, mówię, to Julita dzwoniła. Ktoś obrzucił jej dom mięsem. Dach, garaż, ganek, podwórko. Wybrała pierwszy lepszy numer, padło na mnie. Pewno powiecie, że dwa przypadki w jednym.

Czekał chwilę, ale nic nie powiedzieliśmy.

- To było psie mięso, zebrali go pół tony. Julita nie miała zwierząt. Spadając, kawałki mięsa narobiły sporo dziur w dachu i wyszło na to, że musiały zlecieć z dużej wysokości. Wypadły z samolotu, mówili. Nie były jednak zamrożone. Zaczęło się, jak mówię, na ostro.

- Zatrzymasz się na chwilę? - poprosiłem łagodnie. Las był tuż-tuż. Wawryk skinął głową i pewno myślał, że chcę siusiu.

- Zaraz będziemy. Potem było tylko gorzej. Ktoś spacerował na strychu, choć drzwi i okna były zamknięte, powietrze na dworze robiło się stęchłe, radio włączało się samo, a w pokoju, gdzie powiesiła się Diana, coś skrzypiało. Dziwni ludzie kręcili się między drzewami, a potem zaczęli się zjawiać w domu. Ten człowiek...

- Stań, proszę. Natychmiast.

Wojtek Skóra popatrzył na mnie z troską. Stanęliśmy pośrodku drogi. Trawa była wysoka, coś w niej buszowało, zdźbła gięły się odwrotnie do kierunku wiatru. Wskoczyłem na świeże powietrze i uderzył mnie żar nocy. W tym nieszczęsnym polonezie było chłodniej niż na zewnątrz. Wawryk wciąż gadał. Dałem mu znak, żeby wysiadł. Doktor Skóra też się wygramolił. Nie było mi to na rękę.

Nie jestem silnym facetem i taki Wawryk, gdyby pomyślał, toby mnie rozłożył. Dopadłem go, pchnąłem, stracił równowagę, ale nie pozwoliłem mu upaść. Wykręciłem rękę, zapiszczał z bólu. Wolną dłonią docisnąłem mu twarz do szyby. Próbował się szarpnąć. Nachyliłem się do jego ucha. Szyba zaparowała.

- Żebyś zdechł - szepnął. I zaraz: - Puść!

- Nie wiem, co ci chodzi po głowie, wiem za to, co się stało. Chwilę temu klęczałeś we własnym gównie.

- Puść! - powtórzył tak płacząco, że brakło serca nie usłuchać. Szarpnąłem więc Wawryka za wykręconą rękę, poczułem nawet, jak ból nią telepie, odciągnąłem i puściłem. Wawryk wykonał niezgrabny piruet i zatrzymał się na szeroko rozstawionych nogach. W oczach miał niechęć i strach.

- Nie jestem bohaterem, ale też nie robię w gacie. Słuchaj mnie... Słuchaj mnie! - podniosłem mu głowę, bo próbował gapić się na trawę. - Jest trup i człowiek, który go zabił. Mój przyjaciel. Więc nie obchodzi mnie twoja Julita z Dianą. Myślę, że reszta to bujdy i nawet tych kobiet nie było. Jesteś wariat i nie chcę, nie życzę sobie, żebyś robił sobie jaja z nas i tego trupa. Żadnych historii, żadnych duchów. Jeśli nawet duchy są, nie tutaj. Jesteśmy my, on - wskazałem na tylne siedzenie - i nie potrzeba nam taniej błazenady, chyba że chcesz dostać w morde.

Próbował otworzyć usta. Jeszcze czego.

- Zrobimy tyle. Jak chciałeś. W las. Nie będziemy szukali żadnych domów, bo tak można do dnia sądu. A potem wrócimy.

Wawryk skinął mechanicznie głową, a jego twarz przybrała wyraz autentycznej skruchy. Pewnie zrozumiał, że to wszystko jego wina. Niewiele nam z tego, pomyślałem. Trzeba już tylko szczęścia.

- Jeszcze pół kilometra - powiedział przeproszającym tonem.

Skinąłem głową i zaraz podrapałem się w czoło. Coś swędziało. Ukąszenie, uczulenie, w taką noc nawet drobiazgi stają się nie do zniesienia.

* * *

Pod koniec studiów, na początku lat pięćdziesiątych, wynajmowałem pokój w studenckim mieszkaniu na wrocławskich Krzykach. Niewiele pamiętam z tamtych czasów. Wiem, że w pobliżu był wiadukt, a miasto zmieniło się w wielkie targowisko, na ławach i składanych stołach leżały książki, kasety, które sprzedawali wszyscy, doktor prawa na zmianę z cieciami. Piło się wtedy strasznie, a sąsiedztwo wieszało na nas psy, jeśli nie liczyć zasuszonego staruszka z naprzeciwka, który, jak mówiono, miał prawie sto lat i był zbrodniarzem wojennym.

Przypominał zasuszoną gałąź. Nie mógł dźwigać, więc czasem pomagaliśmy z zakupami, za co dawał nam na wino, a czasem miał dla nas opowieść. Jego mieszkanie miało zapach chleba i piżma, zawsze panowało tam przyjemne ciepło. Na ścianach wisiły dziesiątki krzyży i obrazów świętych, półki zapełniały książki we wszystkich językach świata. Centralne miejsce w największym pokoju zajmował obraz anioła unoszącego się nad wodami.

Anioł niósł wieść o Stworzeniu.

Podczas wojny - starszek nie chciał zdradzić której, ani po czyjej stronie walczył - bronili jakiegoś miasta, a on, wówczas podoficer, otrzymał postrzał i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, ulicę, której bronił jego oddział, zajął już oddział przeciwnika, ale jego samego nie dostrzegli. Półżywy z bólu, nie pamiętał nawet, gdzie się znajduje. Walki niby ustały, ale strzały brzmiały dalej. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to wyjść z rękami w górze. Ruszył, wsparty na karabinie, gdy zorientował się, że jest jeszcze jeden żołnierz i daje mu znaki, że trzeba iść w drugą stronę, że gdzie indziej niebezpiecznie. Nie widział go nigdy wcześniej, ale posłuchał. Nie dał rady ująć więcej niż kilkadziesiąt kroków, więc oparł się o tamtego. Szli tak długo, jak mówił, całe lata, aż przekroczyli linię wroga. Półżywy - a jednak żywy - dotarł do swoich, a jak to w takich historiach bywa, koledzy powiedzieli, że przyszedł przecież sam. Żadnego żołnierza nie było. Więc spotkał anioła, kogóż innego?

- Wiesz, dlaczego kupiłem ten obraz? Zobaczyłem go w Berlinie Wschodnim, prawie ćwierć wieku temu. Tamten żołnierz miał właśnie taką twarz.

I opowiedział zaraz, jak to leżał z przestrzelonym barkiem między zasiękiem a okopem, a co zamknął oczy, to widział Matkę Boską w koronie z błyskawic.

Nawet nie wiem, kiedy umarł. Jednego dnia żył, drugiego nie. Jakoś mi umknęło. Nie miał żadnej rodziny i trudno powiedzieć, jaki los spotkał anioła nad wodami, krzyże i książki. Wiem za to, że kolega - wiarygodny i mądry - widział dwóch mężczyzn w jego mieszkaniu, kłócących się zawzięcie nad ciałem. Wyglądało to tak, jakby wrywali sobie coś ważnego i niewidzialnego.

* * *

Podróż zakończyła się przed czasem, ledwo wjechaliśmy do lasu. Wawryk zaklął, za późno nacisnął hamulec, autem zatrzęsło.

- Droga się zwęża, ale prowadzi do samego domu. Trzeba skrócić w lewo. Weźmy go - poprosił Wawryk.

Być może jego matka jest była koszykarką - trup zmieścił się na wózku bez trudu, tylko skrzydła przeszkadzały. Przywiązaliśmy go liną holowniczą, głowę podtrzymywała mu stara koszula, potargana na pasy, którą Wawryk trzymał w samochodzie. „To żeby łeb mu się nie kolebał”, wyjaśnił. Trup siedział jak kukła. Postanowiliśmy pchać na zmianę.

Słyszałem o niepełnosprawnych lubujących się w survivalu, zdolnych do przejechania na wózku amazońskiej puszczy czy rajdu po języku lodowca. Tacy ludzie mają specjalne wózki, ale ten do nich nie należał. Uchwyty miał wyslizgane, opony łyse i wydawało się, że

coś w nim pęknie na pierwszym korzeniu. Trup był zbyt duży, żebym widział, dokąd jadę i co zaraz znajdzie się pod kołami. Wawryk szedł koło mnie z łopata na ramieniu („w cichym domu są jeszcze cztery”), doktor Skóra trzymał się z tyłu, papieros w jego ustach jarzył się mocno, jakby Skóra nieustannie się zaciągał, a marlboro nie posiadało końca.

Ustaliliśmy zmiany co kilkadziesiąt metrów, ale termin „kilkadziesiąt” jest co najmniej nieostry, a w ciemnym lesie nie sposób określić odległości. Uwierzyłem, że kręcimy się w miejscu, gdyby nie wózek, podskakujący na wertepach. Najpierw, do pierwszej zmiany, byliśmy dobrej myśli. Wawryk zarzekał się, że zna drogę, przez korony drzew przebijał mocny księżyc, nadając polonezowi za nami wygląd pojazdu z innej planety. Pnie przypominały granitowe słupy, liście krzewów i wysokie paprocie wokoło mieniły się jak srebrne okruchy, a droga zdawała rozwijać się przed nami. Cholera, sami byliśmy srebrni i pchaliśmy srebrnego anioła. I nagle to się skończyło.

Niewielka chmura zakryła księżyc, jakby na głowy narzucono nam czarny worek. Przystanęliśmy. Ja i Skóra użyliśmy komórek jako latarek, ale światła wystarczyło, by oświetlić wózek, trupa i nasze przejęte twarze. Wawryk miał starą nokię z monochromatycznym wyświetlaczem; z taką nie zobaczysz nawet własnych palców.

- Lepiej chodźmy dalej - powiedział.

Zasięg był coraz słabszy. Traciłem ostatnią szansę na zadzwonienie do domu, przystanęłem, wahając się, co robić. Nie wrócę przed świtem. Wybrałem numer, ale zmieniłem zdanie przed pierwszym dzwonkiem. Oddałem wózek Skórze i idąc na oślep, wpisałem: NIEDŁUGO BĘDĘ. WSZYSTKO DOBRZE. ŚCISKAM. I po chwili wahania: WIESZ, ŻE BYM CIĘ NIE OSZUKAŁ.

Doktor Skóra przeklinał ciemność i drogę. Przeszkadzała mu tusza. Nie widziałem go, choć był na wyciągnięcie ręki, słyszałem tylko miarowe sapanie, jęki, czułem smród potu, w ogóle w tę noc było pełno smrodu. Wózek skrzypiał, a Skóra jęczał.

- Zaraz znów będzie jasno - rzekł Wawryk niespodziewanie - to była mała chmura.

Pojaśniało odrobinę. Droga za nami, co gorsza, przed nami również, ginęła w mroku. Te srebrne chaszcze, które tak cieszyły oczy, zbiły się w szaroczną ścianę, z której sterczały ciemne słupy. I dopiero w mroku, bezpieczny pod koronami drzew, las ożył. Słyszeliśmy go. Skóra gwałtownie przyspieszył, wózek rąbnął o korzeń, przewrócił się, a Skóra na niego.

- Teraz ty popchasz - powiedział do Wawryka, podnosząc się z ziemi. Ten Skóra, którego znałem, w takiej chwili, jeśli umiałby wyobrazić sobie taką właśnie chwilę, otrzepałby starannie spodnie, wygrzebał nawilżane chusteczki, jakie zabiera się w podróż, przetaił dokładnie ręce, a potem wyczyścił paznokcie paragonem złożonym na czworo. Teraz

nawet rąk nie otrzepał, więcej, przyłożył te brudne paluchy do ust. Zwolnił, zrównaliśmy krok. Wawryk szedł przed nami, pół człowiek, pół cień, ledwie widoczny.

Wszystko wokoło znieruchomiało i można by pomyśleć, że to nie las prawdziwy, lecz wyrzeźbiony. Mimo tego pozornego bezruchu, spomiędzy krzaków dochodziły dźwięki: szuranie, szelest liści, syk, trzask, trzepot skrzydeł, a może i westchnienie. Niewidzialne kształty przesuwwały się przy ziemi, nie trącąc liścia ni gałązki, zsuwały się w leśne strumienie z niemal bezgłośnym chlupotem. Czasem coś przemknęło nad naszymi głowami, roztrzając gałęzie, ale nim zdążyliśmy spojrzeć w górę, widzieliśmy tylko znajome cienie.

- Coś idzie za nami - rzekł doktor Skóra. Drapał się po czaszce i wciąż patrzył za siebie. Od tego drapania i mnie łeb zaczął swędzieć. Ostatni raz czułem coś podobnego na studiach, gdy przepity i przepalony, potrafiłem myć włosy tylko przed powrotem do domu.

- Patrzę za siebie i coś idzie - mówił dalej doktor Skóra - tak jak Maciek przed nami. Raz go widać, a raz nie.

Poklepałem go po ramieniu, na znak, że wszystko będzie dobrze, a sam zadumałem się, bo w głowie mi się nie mieściło, że Wawryk w ogóle może mieć jakieś imię. Skóra naciskał, żebym spojrział za siebie, patrzyłem więc długą chwilę i nic. Ciemna droga, pomyślałem, i w tej samej chwili coś przesunęło się w mroku, po lewej stronie drogi, jakby przeciągnąć po ściółce coś ciężkiego. Złudzenie.

- Może to głupie, ale myślę o dziwkach - wyznał nagle doktor Skóra. - Tych naszych dziwkach, na które zawsze mieliśmy pójść. To chłopięce, nie? Jak walenie konia na czas.

- Ano - odmruknąłem. Odkąd zaprzyjaźniłem się z Wojciechem Skórą (a było to prawie dziesięć lat temu), planowaliśmy scementowanie tejże przyjaźni poprzez wizytę w burdelu, ale zawsze brakowało nam czasu.

- Chyba mamy dziwki z głowy, co? Jak stąd wyjdziemy, niczego takiego nie będziemy potrzebować.

Myślę, że Skóra miał kompleks, bo wszyscy jego koledzy szmacili się na potęgę, on jeden nie.

- Jak wrócę, to będę leżał. Leżał i gapił się w sufit - powiedziałem.

- Mówisz, jakbyśmy właśnie wychodzili z wojska.

Skóra zapalił. Wszyscy lekarze dużo palą, ale doktor Skóra braki w zeszmaceniu nadrabiał nikotyną.

- Nie. Nie jakbyśmy wychodzili - rzucił, podrapał się po karku i spojrział za siebie. Zastygł.

Na drodze stał wilk i patrzył prosto na nas. Łapy rozstawił szeroko, pochylił łeb i

pokazał zęby. Kark miał gruby, a pierś mocną. Warknął, zrobił w naszym kierunku kilka kroków, cudownie miękkich i groźnych. Machnął ogonem, serce wróciło mi z gardła na właściwe miejsce. To tylko pies, zapewne skundlony husky. I zaraz druga myśl - i co z tego?

- Może się zamienimy? - wołał Wawryk gdzieś z przodu. Skóra przyciskał do piersi świeżo znaleziony kijek.

Pies wycofał się leniwie, a mrok za nim na moment uzyskał życie - pyski, łapy, ogony. Dzikie psy, kilkanaście, a może kilkadziesiąt, wędrowały za nami, zupełnie bezgłośnie.

* * *

Szliśmy przytuleni do siebie. Znalazłem drugi kij, mocny i twardy. Wawryk w środku pchał wózek, sapiąc i klnąc na przemian. Co chwilę oglądał się za siebie. Psy szły za nami, a gdy zaczynałem wierzyć, że zniknęły, dobiegało do nas szczeknięcie albo pisk. Nie dało się iść szybko. Koła wózka grzęzły w błocie, nie chciały pokonywać korzeni. Musieliśmy go przenosić.

Przez pierwszą godzinę marszu pytaliśmy na przemian Wawryka, ile drogi przed nami i czy na pewno idziemy w dobrym kierunku. Stawał wówczas, rozglądał się uważnie, jakby potrafił odróżnić drzewa od siebie, i mruczał, że zaraz dojdziemy. Im dłużej szliśmy, tym mruczał ciszej, aż zamilkł zupełnie. My też przestaliśmy pytać. A potem zaczęło padać.

Akurat poszarzało przed wschodem słońca, nad ziemią snuły się nici mgły. Nie wiem, kto z nas wyglądał najgorzej - czerwony z wysiłku Wawryk, ja czy Skóra, który chudł w oczach. Chmury wisiały nisko i nagle pękły. W jednej chwili przemokliśmy od stóp do głów. Ciemność powróciła, a jeśli ktoś myśli, że drzewa chronią przed ulewą, jest w błędzie. Chłupotało mi w butach.

Droga błyskawicznie zamieniła się w strumień, koła wózka i moje stopy zniknęły pod wodą. Doktor Skóra zupełnie stracił orientację, potykając się, z ręką wysuniętą przed siebie, potoczył się za ścieżkę i upadł. Nim nadbiegłem z pomocą, wrócił na czworakach, kaszląc i plując. Pomogłem mu wstać.

Wiatr dął nam prosto w oczy, przyginał drzewa, ciskał w nas liście. Deszcz był lodowaty. Wawryk schował się za wózkiem, pomogliśmy mu pchać. Wrzeszczał coś przez zawieruchę, chyba że nigdy nie widział czegoś takiego. Powinno przejść, to czerwiec, czerwcowe burze nie trwają długo, myślałem. Wciąż lało jak z cebra, za to skończyła się droga. Po prostu. W jednej chwili była, a w drugiej już nie. Staliśmy przed fasadą drzew.

Wawryk rozejrzał się rozpaczliwie. Przywarł do pnia, osłaniając się trochę przed wiatrem.

- Wracamy - wrzasnąłem. Ledwo mnie słyszeli. Wawryk bełkotał coś o psach. Mnie było wszystko jedno. Skórze nie. Odrzucił kij, rozplątał więzy, przykucnął przy wózku. Ręce zmarłego zarzucił sobie na ramiona, ale wstał dopiero, gdy mu pomogłem. Tak poszliśmy. Doktor Skóra z trupem na plecach, ja podtrzymując sztywne nogi, Wawryk targał złożony wózek. Ledwo weszliśmy między drzewa, a droga zniknęła nam z oczu. Im dalej szliśmy, tym deszcz był mniej uciążliwy - czego nie mogę powiedzieć o gałęziach, kamieniach i dziurach w ziemi - ale zaraz dopisało nam szczęście. Wawryk wysunął się naprzód i wrócił, podniecony, machał rękami i wykrzykiwał, jakby znalazł wodę życia albo świętego Graala.

Tuż obok biegł wąwóz, a w wąwozie znajdowała się niewielka jaskinia ziemna, wypełniona kamieniami i ceglami. Była dość obszerna, by zmieścić naszą czwórkę. Jej końce ginęły w ciemnościach i nikt się nie kwapił, żeby zobaczyć, jaka jest głęboka. Tu woda nie docierała. Złożyliśmy trupa przy wejściu, sami zaszyliśmy się w głębi. Wawryk z jękiem opadł na ziemię. Doktor Skóra siedział w kucki, przykładając palce do ust.

Każdy wyjął, co miał. Doktor Skóra papierosy, Wawryk butelczynę, a ja nic nie miałem, więc nic nie wyjąłem. Próbowałem rozpałcić ognisko, ale wewnątrz jaskini znalazłem za mało drewna, a to na zewnątrz zamokło. I dobrze, znając nasze szczęście, wiatr powiałby dymem prosto na nas.

- Można by go tu zakopać. - Przejechałem dłonią po włosach, swędzenie jeszcze się wzmoгло. - Moim zdaniem nie ma żadnego cichego domu, a jeśli jest, on nie ma pojęcia, jak dojść.

- Droga tu była. Mogła zarosnąć. Kto teraz tam przychodzi? - odparł Wawryk.

- Zarosła drzewami. W ciągu miesiąca - mruknął Skóra. Też się drapał. Podał mi butelkę. Potrzebowałem wódki, by się rozgrzać. Omal nie zwymiotowałem. Wawryk leżał na ziemi, z rękami skrzyżowanymi nad głową. Powiedział:

- Jest na pewno. Drogi nie pomyliłem. Po prostu cichy dom leży dalej, niż mi się wydawało.

- Powinniśmy zagrzebać go tutaj - powtórzyłem. Skóra pokręcił głową.

- Idźcie obaj, jak chcecie. Nie będę miał do ciebie pretensji.

Zamilkliśmy, próbowaliśmy nie patrzeć na siebie. Poczulem senność. Przecież nie stanie się nic strasznego, jeśli zasnę na parę minut? Przecież wszystko, co straszne, już się wydarzyło. Położyłem się z samego tyłu, twarzą do ziemi. Mokre ubranie obkleiły mi igliwie i liście. Zamknąłem oczy i słuchałem.

Wawryk opowiadał o szkole, że często zmienia miejsce, bo wszędzie są komuniści, a on to niepodległościowiec niezłomny, a gdyby, zrządzeniem losu, przewidział taką noc jak

teraz, nigdy nie szedłby ani na polonistykę, ani w ogóle na studia.

- Najpierw Diana, a teraz to. Nie jestem stworzony do takich rzeczy. Chciałbym już wrócić do domu i, mówię ci, napić się dobrego wina. Obrócić dziewczynę. Właśnie tak.

Skóry nie interesowało wino ani obracanie kobiet. Mówił o swojej pracy i o tym, że warto mordować się przez sześć lat na studiach, by być dentystą i mieć tak jak on.

- Jeśli czegoś żałowałem, to spokojnego życia - próbował żartować i znów wpadł w opowieść. Unikał tego, co uważał za ważne. Gdybyśmy siedzieli we dwóch, opowiadałby mi o swojej rodzinie. Zawsze o niej mówił, gdy się urzynał albo wpadł w kłopoty.

W śnie przeszkadzała mi moja własna głowa. Swędziała nieznośnie, jakby ktoś natarł ją proszkiem do prania. Drapanie nie pomagało. Zrezygnowany usiadłem. Skóra pomachał mi na przywitanie. Przejechałem dłonią po włosach i poczułem, że coś się rusza, coś drobnego i nieprzyjemnego. Nie, Skóry nie poproszę, zresztą miał podobny problem - ręka, uniesiona do przywitania, masowała teraz jego rzadkie kudły. Pogrzebałem we własnych i otworzyłem dłoń, przyświecając sobie telefonem.

Trzy maleńkie żyjątka wędrowały mi po palcach. Straciłem je z obrzydzeniem. Tym razem przyłożyłem do głowy dwie otwarte dłonie. Moja skóra żyła, pulsowała, chciałem to z siebie strącić, lecz nie mogłem. Zerwałem się na równe nogi, wrzasnąłem, budząc Wawryka. Skóra już rozumiał, patrzył na mnie z przerażeniem. Chciałem wyć, ale z moich ust wydobył się tylko zduszony szept.

- Wszy, Wojtek. Dostaliśmy wszy.

* * *

Moja córka Beata, jak każda trzylatka, miała widmowego przyjaciela. Nazywał się Lemerun i jak sama mówiła, wyszedł z pudełka czekoladek świątecznych. Wyszedł, ale nie wrócił. Zamieszkał w ostatniej, pustej szufladzie komody w jej pokoju. Podobno był jej wzrostu, miał dwie pary rąk, oko na środku czoła i skrzydła koloru kawy z mlekiem. W pierwszych latach przedszkola byli nierozłączni, a Beata wołała bawić się z Lemerunem niż z prawdziwymi kolegami i koleżankami. Zabaw wyróżniłem kilka.

Gasła światła w całym mieszkaniu - wynajmowaliśmy wówczas ponad sto metrów na poddaszu kamienicy - i kryła się przed Lemerunem. Wchodziła do szafy, pod biurko, chowała się między pudła z książkami, których przez lata nie zdołaliśmy rozpakować. Potrafiła siedzieć tak kilkanaście minut, a jej zafascynowane oczy krążyły po pokoju, jakby rzeczywiście ktoś po nim chodził i jej szukał. Znalazona, wydawała radosny pisk i zabawa zaczynała się od nowa. Tym razem ona szukała.

Lemerun musiał mieć więcej sprytu, bo Beata nie potrafiła go znaleźć przez wiele godzin. Entuzjazm w niej nie słabł i na próby przzerwania zabawy reagowała płaczem. Sprawdzała za firankami, odsuwała książki, patrzyła za meble i do kuchennych szafek.

- Jeśli Lemerun jest twojego wzrostu, nie zmieści się pod kredensem - tłumaczyłem. Kto chciałby, żeby jego dziecko biegało pół dnia po mieszkaniu w poszukiwaniu ducha?

Beata nie słuchała. Im lepiej Lemerun się schował, tym bardziej stawała się zacięta. Znajdowała go w koszu na pościel, w skrzynce z narzędziami, nawet w solniczce, aż Klaudia kazała mi coś z tym zrobić, bo Beata znajdzie zaraz Lemeruna w gniazdku elektrycznym albo piecyku gazowym. Próby wyjaśnienia, że nie ma nikogo takiego, spęły na niczym. Beata reagowała płaczem, a wszystko, co uzyskałem, to zapewnienie, że będą się szukać tylko w swoim pokoju. Kiedy poszła do starszaków, zainteresowanie Lemerunem osłabło. Do czasu. Na wiosnę Beata zaczęła uciekać, a ja stanąłem bezradny wobec jej sprytu.

Pierwszy raz zwiłała z kina. Wybiegłem przerażony, seans przzerwano, a bileterka powiedziała, że owszem, widziała małą dziewczynkę, jak gna do drzwi, wpatrzona w umykający punkt.

- Wyglądała na bardzo zaaferowaną. Próbowałam ją zatrzymać, ale nie wolno mi się stąd ruszyć - tłumaczyła.

Beatę znalazłem pod zaparkowanym starem. Przechodnie próbowali ją wyciągnąć. Wówczas, chyba jedyny raz, przetrzepałem jej skórę, wrzeszczała na całą ulicę: Lemerun pojawił się w kinie i kazał iść za sobą. Odtąd nie spuszczałem jej z oka. Wyrывała mi się wielokrotnie, powtarzając to przekłete imię: widziała Lemeruna w oknach wystawowych, na gzymsach, wśród gołębi, między samochodami na ruchliwych skrzyżowaniach, wśród książek. Lemerun siedział na plecach starych kobiet, wspinał się na latarnie, wreszcie - szedł z nami i grał mi na nosie.

To samo w przedszkolu. Uwolniona przed moich oczu Beata wkraczała w świat Lemeruna, a przedszkolanki były zrozpaczone. Umiała wymknąć się nawet podczas leżakowania. Wędrowała po piwnicach i pomieszczeniach gospodarczych, wspięła się nawet na garaż.

- Miałem podobne trudności, ale nie w takim natężeniu - powiedział mi doktor Skóra.
- To mija samo, w pewnym wieku. Powinieneś dużo z nią rozmawiać, tłumaczyć cierpliwie i zadbać, żeby miała prawdziwych przyjaciół. Jeśli dzieci się z niej śmieją, tym lepiej, prędzej przestanie wierzyć w dyrdymały.

Beatka jednak dyrdymały ukochała i wierzyła w Lemeruna aż do podstawówki. Znienawidziłem tego skrzydlatego gnojka. Czasem, gdy wracałem do domu późno i na bani,

wydawało mi się, że słyszę jego śmiech, głuchy, jakby dobywał się z wnętrza inteligentnej maszyny, czegoś niemal żywego.

Dopiero Pierwsza Komunia, perspektywa prezentów, sukienki i dość mgliste wyobrażenie o tym, czym właściwie jest Chrystus, sprawiły, że Lemerun usunął się w cień. Sam przejąłem po ojcu sceptycyzm religijny i troszczyłem się głównie o to, by ksiądz przygotowujący Beatę do całego przedsięwzięcia nie zdarł ze mnie skóry.

Tydzień przed komunią mieliśmy już świece, buty i sukienkę, której Beata nie chciała zdjąć po przymierzeniu. Po kłótniach i płaczach sukienka trafiła do szafy, a Beata do łóżka. Mieszkaliśmy na poddaszu, a za oknami mieliśmy parapet prawie metrowej szerokości, po którym podczas remontu spacerowali robotnicy. Obudziłem się tknięty przecuciem - zza szyby spoglądał na mnie Lemerun, biały jak śnieg.

To była oczywiście Beata. Przebrała się po cichu w komunijną suknię i wyszła przez okno. Wiatr dał porządnie, ale noc była ciepła. Przerażony, wylazłem na parapet, a ona pomknęła zwiewnie na sam skraj budynku, z wyciągniętą lewą dłonią, palce rozchyłała jak do uścisku. Dopadłem ją w ostatniej chwili. Stałem na samym kraju, ścisnąłem ją mocno w ramionach, obiecywałem, że nie puszczę, że wszystko będzie dobrze. Poda mną śmigły samochody. Beatka patrzyła na mnie półprzytomnie.

- Co się stało, tatusiu? - powtarzała. - Co się stało?

Przez wiatr słyszałem płacz Klaudii. Nie mogłem się ruszyć, cieszyłem się ciepłem córeczki, biciem jej serca, oddechem, i nagle coś pchnęło mnie w środek pleców. Jakbym oberwał piłką do koszykówki, rzuconą z dużą siłą. Zachwiałem się, Beatka wrzasnęła. Nie upadłem, chwyciłem się piorunochronu, z córką przyciśniętą do piersi. Odzyskałem równowagę i wróciłem do domu. Trzęsłem się i wypłem szklanekę wódki.

Wtedy na parapecie nikogo za mną nie było.

* * *

Deszcz jeszcze się wzmógł, bębnił o liście, wąwozem spływał brązowy strumień. Po próbach strącenia wszy przyszła rezygnacja. Wawryk, który akurat wszy nie miał, próbował żartować. Zgasilem go jednym spojrzeniem. Siedzieliśmy z doktorem Skórą przy wejściu, milczący i melancholijni, a doktor Skóra miał chyba magiczną paczkę papierosów - odpalał jednego od drugiego, a te nie chciały się skończyć.

Z deszczu wyłoniły się psy. Na przedzie szedł skundlony husky, którego widzieliśmy na drodze, za nim kilkanaście obtarganych mieszaińców i ze trzy rasowe - spaniel z łysym uchem, wychudzony jamnik i basset bez oka. Wawryk pisnął i zaczął się wycofywać w głąb

jaskini. Wstałem ostrożnie, by nie drażnić zwierząt. Sięgnąłem po kij. Skóra wybrał łopatę.

Husky obwąchał wejście do jaskini, odsłonił zęby, niespodziewanie złagodniał i położył się miękko na mokrych liściach. Głowę oparł na łapach. Deszcz zdawał się mu nie przeszkadzać. Pozostałe psy rozłożyły się pod drzewami i nie odrywały od nas wzroku. Ocenilem szanse. Doktor Skóra szepnął, że gdybyśmy zabili przywódcę, reszta zbaraniałaby albo i uciekła.

- Idź go zabijaj - poradziłem.

Skóra przygryzł wargę. Kilkanaście mokrych, nieruchomych kształtów wbijało w nas ślepia. Jakby na coś czekały lub właśnie się doczekały i teraz myślały, co robić. Oczy huskopodobnego śledziły mnie uważnie. Po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że nie wrócę żywy z tego lasu.

- Znajdź suchy kij - wykrztusił doktor Skóra - najlepiej dwa. Podpalimy je. Podpalimy gazem z zapalniczki. Patrz na jego mordę - wskazywał na huskopodobnego - przecież on się ze mnie śmieje.

Byliśmy przerażeni, ale w porównaniu z Wawrykiem odstawialiśmy istny festiwal dobrego humoru. Polonista, w mokrych ciuchach, oblepiony liśćmi, przypominał leśnego diabła z ludowych baśni, takiego, jakiego wykiwa najgłupszy nawet chłop.

Dopał do trupa. Najpierw próbował unieść jego ręce, a gdy nie dał rady, zaczął go toczyć w stronę wyjścia. Huskopodobny podniósł uszy. Deszcz przeszedł w mżawkę, a pierwszy promień porannego słońca padł na poważną twarz zmarłego. Nie kwapiliśmy się z pomocą. Skóra zacisnął palce na kiju.

- Co robisz?

Wawrykiem targnął dreszcz. Podniósł się znad ciała i chyba był zadowolony, że Skóra stoi między nim a psami.

- Oddam im go. Może odejdą. Może jego chcą.

- A klątwa? Psy ją rozszarpia i Wojtek będzie wolny? - rzuciłem przez ramię. Nie wierzyłem w klątwy, mimo wszy w swoich włosach. Doktor Skóra zdążył już uwierzyć. Przekroczył ciało i odepchnął Wawryka. W oczach nauczyciela zobaczyłem coś, co umknęło mi wcześniej: wściekły chłód. Było w nim tyle człowieczeństwa, co w deszczu i psach wokoło. Wawryk wypuścił powietrze.

- Przepraszam - szepnął - nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło.

Chciałem odpowiedzieć, ale ktoś uczynił to za mnie.

- Powinniście stąd pójść i się ogrzać. Jest zimno, a jesteście przecież w środku lasu.

To była kobieta. Z miejsca, w którym siedziałem, nie umiałem ocenić jej wieku. Stała

między zwierzętami, a te zbierały się wokół jej szczupłych nóg. Nosiła wytarte jeansy i sztruksową koszulę, ciemne włosy spięła z tyłu. Przypominała dziwne dziewczyny, jakie czasem widuje się na Discovery - te, które spędzają swoje życie na pustyni wśród fenków, nurkują w rafach koralowych albo opiekują się goryłami. Husky ocierał się o jej kolana. Rozłożyła szeroko dłonie na znak, że nie chce zrobić nam krzywdy. Jednocześnie Wawryk ze Skórą wypadli przed jamę, usiłując zasłonić ciało przy wejściu. Zmarły był tak ogromny, że nie starczyłoby pół tuzina Skór i Wawryków.

- Widziałam was, jak tylko weszliście do lasu - ciągnęła. - Nie bójcie się. Moje psy chroniły was w nocy. Nazywam się Sara i chcę tylko wam pomóc.

- Powiedz mi w takim razie, Saro, co to za niebezpieczeństwo może spotkać trzech facetów i trupa? Baliśmy się właśnie twoich psów - powiedziałem z przekąsem. Ta kobieta to wariatka, dodałem w myślach. Tyle dobrze, nie potrzebujemy tu nikogo normalnego.

- Cichy dom - w głosie doktora Skóry brzmiała rezygnacja - wiesz, gdzie to jest?

- Jasne. To niedaleko mojego - dała znak ręką, psy cofnęły się niechętnie. Już nie padało, ale po jej twarzy spływały grube krople. Odwróciła się, zwierzęta poszły przodem. Wymieniliśmy ze Skórą zdziwione spojrzenia. Sara odwróciła się i rzuciła w naszą stronę:

- Ludzie kochani! Idziecie czy nie?

* * *

Słońce szybko wspięło się po niebie, osuszając ziemię i nas.

Sara - jeśli naprawdę tak miała na imię, nie wyglądała bowiem na kogoś, kto jest zdolny do wykrztuszenia choćby słowa prawdy - mieszkała w nieotynkowanym domku z pustaków. Jego wiek oceniłem na trzydzieści lat, ale plastikowe okna wstawiono niedawno. Nie wypatrzyłem żadnych anten ani okablowania. Aby tam dojść, należało skręcić z drogi w lewo i ten skręt przegapiliśmy, wędrując w ciemności. Sara twierdziła, że cichy dom znajduje się o pół godziny marszu, co zrobiło wielkie wrażenie na Wawryku. Zaklinał się, że to było gdzie indziej, przecież wielokrotnie tam bywał. Sara tylko kręciła głową. Nie wierzyłem jej ani jemu.

Wyglądaliśmy jak banda z wariatkowską, wędrująca na coroczne świętowanie własnego zajoba - worek na kości z twarzą kobiety, trzech umorusanych facetów pchających skrzydlatego trupa, otoczeni przez psy. Skóra naciskał, żeby iść dalej. Byłem zmęczony, głodny, zrezygnowany. Sara zapraszała, a jeśli miała na nas donieść, zrobiłaby to bez trudu. Sama była popieprzona, każdy, kto żyje w lesie, mając za towarzystwo półdzikie psy, jest niespełna rozumu, może więc znajdzie trochę serca i żarcia dla podobnych sobie głupców.

Doktor Skóra odgadł moje myśli.

- Ciekawe, co takie baby jedzą? - szepnął.

Obok domu stała drewniana szopa, a wokoło rozciągało się piaszczyste podwórko, ogrodzone wysoką siatką. Wszędzie walały się miski, wypatrzyłem jeszcze kilka psów kręcących się po obejściu, a moją uwagę przykuł przysadzisty pieniek, w który wbito siekiere. Obok stała studnia. Sara puściła nas przodem.

- Nie mam prądu, ale jest bieżąca woda. Uroki życia w głuszy. To się zmieni, to się zmieni - uśmiechnęła się przelotnie. Przyjrzałem się jej dokładniej. Usta otoczone już były zmarszczkami, w kąciach oczu dostrzegłem kurze łapki.

- Mam jakieś stare ubrania - rzuciła przed wejściem. Wawryk mechanicznie skinął głową.

Zaproponowała, że zmarłemu najlepiej będzie na podwórku, w słońcu. Głupio by było, gdybyśmy wyschli, a on pozostał mokry. Wojtek zażyczył sobie, by wnieść go do środka, na co przystała skinieniem głowy.

Sara chyba mieszkała tam od niedawna albo nie interesowała się niczym poza zwierzętami, spacerami w lesie i być może machaniem siekiere. W przedpokoju nie było szafki na buty ani wieszaka. Poprowadziła nas do kuchni, gdzie stał plastikowy stół. Stół otaczały cztery krzesła, każde z innej bajki. W rogu był zlew. I tyle.

- Może tam go połóżcie - wskazała kąt przy zlewie.

- Wolałbym gdzie indziej - mruknął Wawryk - jeśli mamy tutaj jeść.

Wyraz twarzy Sary zmienił się w jednej sekundzie. Przypominała teraz rozradowane dziecko.

- A to nie wszystko jedno? Daj go, gdzie sobie chcesz.

I wyszła. Doktor Skóra przesłał mi pytające spojrzenie. Wawryk gapił się za okno, na psy i ten cholerny pieniek. Siekiera wydawała się zbyt duża, by mogła się nią posługiwać kobieta. Krew zaschnięta na ostrzu i drewnie budziła niezdrowe skojarzenia i pewno przyszyby mi do głowy jakieś niepokojące myśli, gdyby nie wszy, kłębiące się właśnie na tej głowie. Bałem się prosić Skórę, by na nią zerknął. Wawryk nie wchodził w grę. Opadłem na krzesło i drapiąc się nieustannie, zacząłem układać sobie wszystko, co wydarzyło się jednej nocy. Wydarzenia powracały, jedno za drugim, aż mój oddech stał się płytki i przeszedł w szloch.

Sara wróciła. Rozłożyła na stole komplety ubrań - workowate džinsy o wytartych kolanach, parę brązowych sztruksów, džinsowe kamizelki, flanelowe i bawełniane koszule o pomiętych kołnierzykach i bluzę Pумы wytartą na łokciach. Do tego buty, jakie kupuje się na

stadionie, i para czarnych, wizytowych, które zaraz zabrał doktor Skóra. Ręczniki już były lepsze, w typie hotelowych. Rzuciła na stół zawiniątko.

- To wam powinno się przydać.

Dwie kostki szarego mydła, żyletki jednorazowe, krem, i to niezły, woda kolońska Brutal. Dwie długie brzytwy, jakie widywało się na filmach z lat czterdziestych. Maszynka do włosów.

Usiadła na taborecie, łokciami opadła na blat. Jej oczy stały się szkliste, a twarz nieruchoma. Czekala. Doktor Skóra sprawdził ostrze brzytwy, zabrał krem, ręcznik, komplet ubrań. Podziękował skinieniem głowy. Sara nawet na niego nie spojrzała.

- Trafisz do łazienki - mruknęła pod nosem - no pewnie, że tak.

Wyszedł bez słowa. Wawryk osunął się przy ścianie i schował twarz w dłoniach. Usiadłem naprzeciwko Sary. Natychmiast wbiła we mnie wzrok. Nie mrugała. Wcale nie mrugała.

- Długo tu mieszkasz?

- A ty długo już idziesz przez las?

Przełknąłem ślinę. Nie lubię, gdy ktoś patrzy na mnie bez przerwy, szczególnie jeśli ma oczy nieruchome i szare jak świt. Zastanowiłem się chwilę i odparłem:

- Uważasz, że takie odpowiedzi są mądre?

Roześmiała się. Naprawdę.

- Przepraszam. Nie powinnam. Człowiek dziwaczeje tutaj tak bardzo, że nie wie, jak długo siedzi. Patrzyłam po porach roku, ale teraz, tutaj, nawet one się pomieszały. Więc może moja odpowiedź była jednak mądra.

Przypomniały mi się opowieści o partyzantach, którzy nie wiedząc, że Hitler przegrał, czaili się na Niemca w lasach jeszcze w latach sześćdziesiątych. Za ścianą szumiała woda.

- A psy? Skąd psy?

Wzruszyła ramionami.

- Ludzie przychodzą, psy zostają. Naprawdę, nie chcę cię zbyć. Nie znasz się na ludziach albo na zwierzętach?

- W takim razie jak tu trafiłaś?

Roześmiała się, odgarnęła włosy z czoła. Wawryk jęczał w kącie: „Chodźmy stąd, chodźmy stąd...”.

- Tak jak i ty.

- Przyszłaś pochować kogoś - przełknąłem ślinę - cudaka, tak jak my?

Odpowiedziała natychmiast:

- Tak. Cudaka. Ale nie miałam nikogo, kto pokazałby mi drogę do cichego domu albo chociaż nakarmił i porozmawiał.

Już wiem, co mi w niej nie pasowało. Miała twarz zmęczonej życiem kobiety, wąskie ramiona i szyję, która kiedyś musiała być prawdziwie piękna. Ale dłonie mogły należeć do mężczyzny, dłonie o grubych palcach, z brudem za połamanymi paznokciami. Jej głos - w nim także nie znalazłem niczego kobiecego. Miała też zęby zwierzęcia, pożółkłe i ostro zakończone, jakby piłowała je na szpic. Spod dziąseł wychodziła wąska nić próchnicy. Delikatnie ujęła moją dłoń.

- Nie bój się - poprosiła - wiesz, jak ja na początku się bałam?

Wawryk wreszcie zamilkł. Ocierał twarz.

- Byłaś w cichym domu? - zagadnąłem. Wydawało mi się, że cała wyprawa do lasu jest tylko snem, a ta rozmowa: snem we śnie.

- Czemu zadajesz mi takie pytania, a potem się złościś, że udzielam ci głupich odpowiedzi? To nie jest wizyta u księdza, nie umiem ci powiedzieć. Cichy dom jest niedaleko, skoro doszliście aż tutaj. Ja trafiłabym tam bez trudu, ale wy być może musicie jeszcze się pomęczyć. Nie chcę cię okłamać ani zbyć. Przecież was tam nie zaprowadzę. - Otarła usta. Usiłowałem znaleźć sens w tej rozmowie, w jej domu, w sobie samym.

- Masz tu telefon?

Znów znieruchomiała i patrzyła się na mnie, bez mrugania. Idę o zakład, że odkąd weszliśmy do środka, nie mrugnęła ani razu.

- Telefon. Słyszysz mnie, Saro?

Wstała od stołu.

- Daj spokój. Nie ma tu żadnego telefonu, a ja wcale nie nazywam się Sara. Co za różnica, człowieku? Ale nie martw się. Umiesz jeździć na rowerze?

Przytaknąłem. Woda za ścianą już nie płynęła.

- To dam ci rower, wsiądziesz i pojedziesz do głównej drogi, a stamtąd do waszego samochodu. Droga zajmie ci mniej niż dziesięć minut. Złapiesz zasięg i zadzwonisz do swoich bliskich - parsknęła - jeśli oczywiście wiesz, co powinieneś im powiedzieć.

Nie poszedłem i siedziałem dalej, patrząc to na Sarę, która wcale nie była Sarą, to na kupkę nieszczęścia, która została z Wawryka, to na psy, leżące w słońcu z wywieszonymi ozorami. Kobieta straciła mną zainteresowanie i gapiała się w okno. Cisza była męcząca, brakowało nawet jęków Wawryka. A potem drzwi się otworzyły i wszedł doktor Skóra, łysy, z pozacinaną czaszką, w koszuli od Sary zapiętej pod szyję i z wyrazem beznadziejnego przerażenia odcisniętym na bielusińskiej twarzy.

- Idź - sapnął, opadł na krzesło. Obrócił się w stronę Sary: - Masz coś do jedzenia? I pić. Jeśli możesz, daj mi pić.

- Co się stało, Wojtek? - szepnąłem, a doktor Skóra poderwał się, aż stół podskoczył, trzasnął pięściami o blat i ryknął:

- Idź! Idź! Idź!

Cisnął w moją stronę brzytwę, mydło i ręcznik.

* * *

W łazience Sary prysznic nie miał zasłony ani kafelków, słuchawka była ubita. Brakowało choćby stołka, żeby złożyć ubranie i ręcznik. Lustro, wielkości otwartej dłoni, pokrywały brązowe plamy. Pospiesznie rozebrałem się do pasa, ogoliłem się maszynką i mogę przysiąc, że słyszałem, jak wszy trzaskają, przecinane przez ostrza. Namoczyłem głowę, namydliłem i ogoliłem się dokładnie, dwa razy. Wyglądałem teraz jak świeży narybek w zakładzie karnym. Zebrałem ścięte włosy i wyrzuciłem za okno. Poczulem się lepiej.

Rozebrałem się do naga. Woda pod prysznicem była zimna i przyjemna, opłukałem głowę, a sięgając po mydło, dostrzegłem, że brzuch, klatkę piersiową i lewe ramię pokrywają plamy wielkości monet, wypukłe, jakby rozlano na mnie gęsty sos. Dotknąłem jednej. Bolała jak cholera. Zacząłem w panice oglądać swoje ciało, porwałem lustro - plamy miałem też na wewnętrznej stronie ud, w pachwinach, na plecach i stopach. Kilkadziesiąt, o różnych kształtach, a kilka już się otworzyło, ukazując białopopielatą jamę wiodącą w głąb ciała. Dotykałem ich namydloną dłonią, w głupkowatej nadziei, że same odpadną. Przyłożyłem palce do nosa. Pachniały śmiercią.

Od Sary dostałem flanelową koszulę i spodnie rozszerzane ku dołowi. Ich dotyk zadawał ból, jakby włókna jeździły po otwartej ranie.

I jeszcze moje ciało w lustrze, zapadnięta klatka piersiowa, obwisła skóra na ramionach bez mięśni, biały i wzdęty brzuch. Mdlilo mnie na widok samego siebie. Pospiesznie zapinając koszulę, zauważyłem coś jeszcze: kołnierzyk na całym obwodzie i materiał przy wyższych guzikach pokrywały brązowe plamy. To krew, uświadomiłem sobie, ktoś chciał ją sprać, ale się nie udało.

* * *

Sara akurat nakrywała do stołu.

Wszedłem. Wymieniłem bolesne spojrzenie z doktorem Skórą. Wawryk opanował drżenie, powstał posepnie i bez słowa podreptał się myć. Podczas podróży nie zauważyłem,

żeby się drapał, więc może nie miał wszy, a jego ciało się nie przeobraziło.

- Pospiesz się. Chcę dać wam jedzenie - poprosiła Sara.

Trzasnął drzwiami.

Wiedziała wszystko. Założyłbym się o własne dłonie. Bałem się pytać - skąd wszy, dlaczego moje ciało gnije i co stanie się z nami, gdy trup wreszcie spocznie w ziemi. Właśnie. Trup, prawie o nim zapomniałem. Leżał na plecach i wytrzeszczał oczy. Usta miał rozchylone, jakby z sufitu miały polecieć łakocie. Zakryłem mu twarz swoją starą koszulą.

- Ten cichy dom to jeszcze daleko? - mruknął doktor Skóra.

- Mówiłam już. Powinniście dojść. Zastanawiam się, czy nie dać wam taczki. Tak będzie wygodniej. Wasz wózek nie poradzi sobie na drodze - powiedziała spokojnie. Doktor Skóra nachylił się do niej. Miał czerwoną plamę koło ucha i drugą, mniejszą, na szyi.

- Znałaś dwie kobiety żyjące w pobliżu? Dziewczyna nazywała się Diana i miała osiemnaście lat. Była...

- No jasne! - ucieszyła się Sara. - Pewnie, że je pamiętam. Matka czasem zachodziła do mnie po drodze. Córka też, jak była młodsza. Bawiła się z psami. Od dawna nie przychodzą. Już nie żyją, prawda? - zapytała bez troski w głosie.

- Nie żyją - przyznał doktor Skóra.

Klasnęła w dłonie:

- Ach tak! Teraz wiem, skąd go pamiętam! Wasz przyjaciel przychodził tutaj wcześniej. Nigdy nie odwiedził mojego domu i chyba nawet nie wiedział, że tu mieszkam. Wypuszczałam psy, żeby go pilnowały, ale ich także nie widział. Zwłaszcza rano jest niebezpiecznie, a wychodził z cichego domu czasem o świcie, czasem w środku nocy. Spieszył się - mruknęła - i dlatego nie widział moich psów.

- Ta dziewczyna, Diana - szepnąłem. - Ona się powiesiła.

- Tak myślałam - odparła natychmiast. - Psy się boją. Czasem wydaje mi się, że słyszę jej płacz między drzewami, ale nigdy nie wyjdę do niej. To rozżalona dusza, wściekła na cały świat. Nigdy nie będzie z niej nic dobrego. Wierzycie panowie w takie rzeczy?

Nie odpowiedzieliśmy. Nastąpiła chwila krępującej ciszy. Nawet woda za ścianą przestała płynąć. Przyglądałem się dwóm psom, ganiającym się wściekle po podwórku. Jeden nie miał kawałka łapy, drugi, wielką bliznę wzdłuż głowy. Wskazałem na trupa.

- A on? Ten człowiek. Wiesz, kim on jest?

Roześmiała się. Jak dziewczynka. Wstała miękko i weszła między nas, położyła nam dłonie na ramionach. W jej dotyku było coś osobliwie erotycznego.

- Naprawdę nie wiem. Nie opuszczałam lasu od wielu lat, więc skąd, do cholery, mam

wiedzieć, kim jest istota, którą przynieśliście do mojego domu. Może wy wiecie? Macie go pochować? I dobrze. W cichym domu? Jeszcze lepiej. Nie umiem wam pomóc. To, że wiem, co żyje w lesie, nie znaczy, że znam się na kopaniu grobów. Ale... - zawiesiła głos. Delikatnie przyciągnęła nasze głowy i mówiła dalej: - Wydaje mi się, że żyjemy w okrutnych czasach. Dlatego jestem tutaj, a nie tam. I myślę sobie, że zawsze człowiek wymierzał człowiekowi sprawiedliwość, a teraz już tak nie ma. Dlatego powrócili tacy jak on - wskazała na trupa - znów zaczęli słuchać wezwań.

- Wezwań? Kto go wezwał? - zapytał doktor Skóra. Zamknął oczy i wtulił się w brzuch Sary.

- Przecież mówię wam, że nie wiem. Ale wiem, że czasem gniew i smutek są tak wielkie, że przesłaniają wszystko inne. Czuć je tu, w moim domu, i po tamtej stronie. Są jak rana, która sama się nie zasklepi. Trzeba zszyć, nawet jak boli.

Opadła na kolana i szeptala wprost do naszych uszu.

- Wracając, możecie przyjść do mnie. Być może zdołam wam pomóc. Być może zresztą, żadna pomoc nie będzie wam potrzebna.

Wyszła bez słowa, by powrócić po chwili z talerzami pełnymi dymiącego mięsa, a w drzwiach zderzyła się z Wawrykiem, który wychodził z łazienki. Był czymś niezdrowo przejęty. Puścił ją przodem i, nie wiem, przez moment wyglądał, jakby chciał się na nią rzucić, ale zaraz za nim wsunęły się dwa duże psy. Usiadły przy trupie.

Przed każdym z nas postawiła talerz. Mięso pachniało wspaniale. Dołożyła po pajdzie ciemnego chleba. Nie dostaliśmy sztucców.

- Jedzcie!

Wawryk wbił wzrok w talerz. Dłonie splótł na kolanach. Nie tknął jedzenia, a i ja miałem opory. Zniknęły po pierwszym kęsie. Mięso było delikatne, dobrze wypieczone, pachniało grzybami i oliwą. Zapadło milczenie.

- Co to jest? - zapytał doktor Skóra z pełnymi ustami. Sara patrzyła w przestrzeń.

- Nie wiem - odparła spokojnie. - Jem tylko to, co przyniosą mi psy.

* * *

Wypróbowaliśmy taczki, ale zmarły nie chciał się w nich zmieścić. Przywiązaliśmy go do wózka. Sara pokazała, w którą stronę iść i odprowadziła na ścieżkę. Stała i patrzyła za nami. Wawryk przyspieszył, prawie biegł. Przystanął dopiero, gdy Sara i jej dom zniknęły nam z oczu.

- To wariatka - sapnął. - Jak mogliście tam siedzieć? Jeść to!

- Mówiłeś, że jej nie znasz - przypomniał doktor Skóra.

- Bo nie znam! Skąd miałem znać? Gdybym znał, to powiedziałbym wam, że trzeba uważać, a wy jedliście to... Puściłem wodę i poszedłem przejść się po domu. Tam nic nie ma. Ona tu koczuje, to nie jest jej. Poszedłem sprawdzić podwórko i zaglądnąłem do szopy. Nie wszedłem do środka przez te przekłete psy. Ale widziałem, widziałem... - gorączkowo szukał słów. - Tam jest masa szmelcu, siano, części do maszyn. Ale między nimi widziałem białe kości. Całą masę.

- I co? - prychnął doktor Skóra - pewno same ludzkie czaszki?

Wawryk spowaźniał:

- Żuchwa. I moim zdaniem należała do człowieka.

- I jedliśmy ludzkie mięso - wszedłem mu w słowo. - To wariatka, jasne, ale nie przesadzajmy. - Trąciłem go, oczy mu się zwięzły.

- Powiedziała, że wracałeś nad ranem z cichego domu, a ty mówiłeś, że nie spałeś tam ani razu. Pójdziemy tam, ale pamiętaj - westchnąłem - że ufam jej bardziej niż tobie.

* * *

Zjechałem w interesach cały Dolny Śląsk, tę gigantyczną stolnicę z dziurami kamieniołomów. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, pola i pojedyncze drzewa. Tu inaczej - wędrowaliśmy wiele godzin, tracąc poczucie sensu i kierunku. Wózek pchaliśmy na zmianę, ale najczęściej szedł z nim Wawryk, wśród jęków, przekleństw i narzekania. Doktor Skóra milczał - od Sary zabrał butelkę z mętą wodą, stawał co jakiś czas, powoli ją odkręcał, pił, ocierał usta i pytał, czy chcemy. Nie chcieliśmy.

Czułem, że choroba ogarnia moje ciało z rosnącą gwałtownością. Gdy dotykałem twarzy - a nie mogłem się powstrzymać - natrafiałem na twarde bulwy, jakby ktoś nawpychał mi śliwek pod skórę. Ból był znośny. W bulwach krążył prąd, aż potem taka jedna pękła i po twarzy rozlała mi się gorąca ropa. Wargę przestała być wargą, przemieniając się w nabrzmiąły płat mięsa, który dotykał podbródka i drażnił przy każdym oddechu. Dotknąłem nosa - był dwa razy większy, obolały, ale swoje funkcje spełniał dalej, smród, który czułem, wywoływał mdłości.

Nie odważyłem się obejrzeć własnego ciała, zmieniającego się pod ubraniem w otwartą ranę. Najchętniej wędrowałbym nagi, raz na czas bowiem któryś z wrzodów pękał, lepki płyn wsiąkał w koszulę lub spodnie, zasychał, a materiał zlepił się z ciałem. Pojawiło się dziecinne pragnienie, by wszystkie wrzody przekłuć i doznać ozdrowienia. Wyobrażałem sobie nawet, że anioł podnosi się z wózka, jego skrzydła lśnią jak stal, podchodzi i zdziera ze

mnie koszulę, ta odchodzi wraz z zaschniętą ropą i część wrzodów ponownie się otwiera. Anioł przykłęka, przysysa ustami do nabrzmiałej cysty pod sutkiem, maca językiem, rozgryza delikatnie jak kokosowe ciasteczko i zaczyna ssać. Jego policzki pracują miarowo, przymyka oczy, a gdy cała ropa znika w jego gardle, czyści pozostałą jamę koniuszkiem języka. Składa pożegnalny pocałunek, odrywa usta, odsłaniając płat różowej skóry, bez żadnej skazy.

Anioł, czy też człowiek za anioła przebrany, ani myślał wstawać i spieszyć mi z pomocą, łączył się z nami o tyle, że sam wszedł w proces gnilny. Końce jego placów pozieleniały, wokół ust i oczu powstał obrzęk. Pojawiły się muchy, których nikt nie miał siły odganiać.

Marsz sprawiał mi coraz większy ból. Trzymaliśmy odległość kilkunastu metrów jeden od drugiego, wystarczającą, by widzieć się nawzajem, zbyt małą, by się sobie przyglądać. Las po obu stronach drogi zmienił się w jednolitą ścianę i ta ściana mówiła do mnie.

Nie umieliśmy określić godziny. Zegarek na ręce wskazywał inną niż komórka, jeszcze inną niż samsung Skóry i nokia Wawryka, która nie pokazywała żadnej godziny, bo się wyładowała. Próbowaliśmy oceniać czas po słońcu, na co byliśmy za starzy i zbyt bogaci, a samo słońce pozostawało niewidoczne zza drzew.

- Teraz czas odmierzają nasze ciała - zauważył ponuro doktor Skóra.

Byłem głodny. Sara zapewniała, że cichy dom jest niedaleko, a myśmy, durnie, uwierzyli w jej słowa, a przecież, jeśli żyje się w lesie, to wszędzie jest tak samo blisko.

- To się skończy, kiedy będziemy gotowi - powiedział Wojtek Skóra.

Sądziłem, że już się ściemnia i przewędrowaliśmy cały dzień. Nie. To chmury powróciły, choć nie padało. Nie mogliśmy zmarnować tej okazji i rozsiedliśmy się na niewielkiej polance, pod drzewami, jeden blisko drugiego, nie widząc się nawzajem. Z mojej perspektywy doktor Skóra był tylko cieniem o głowie najeżonej guzami. Smród się wzmógł, a Wawryk powiedział to, co już dawno powinien powiedzieć:

- Przepraszam was.

Brzmiało to jak pożegnanie albo wyrok śmierci.

- Myślicie, że umarliśmy? - zapytał łagodniej doktor Skóra. - Krążymy tutaj od wielu godzin, choć ten las jest przecież mały. I jeszcze ta kobieta, jej psy... - Otarł czoło. - Może naprawdę nie żyjemy.

- Bzdura. Wiedzielibyśmy o tym.

- Może właśnie na tym polega śmierć i dlatego ludzie jej się boją. Bo jest stanem wiecznego zawieszenia. Szukamy, a nigdy nie wyjdziemy z lasu. Zgnijemy tutaj.

- To nie gnicie. To trąd - zauważył Wawryk. Miał zdrową, choć bladą skórę.

- Dzięki bardzo - mruknąłem. Wawryk skubał wargę.

- To moja wina. Myślę, że powinniście odejść.

- Naprawdę to anioł nas zabił, a nie na odwrót - doktor Skóra ciągnął swoje. Zapalił papierosa, ukazując twarz, właściwie ranę, bez nosa i z gnijącą jamą ust. Palce mu zgrubiały, a jeden był wyraźnie krótszy niż wcześniej.

- W takim razie idź się powieś - poradziłem mu.

- Albo będziemy gotowi - powtórzył doktor Skóra i dopiero teraz dotarł do mnie sens jego słów.

Wawryk nachylił się do nas.

- Posłuchajcie uważnie. Wiem, że to wariactwo, tak samo jak ten człowiek, anioł, to niezły obłąd. Ale jeździłem do cichego domu przez wiele miesięcy, niemal codziennie. Nigdy nie spotkałem żadnej Sary i nie okłamałem was, że to jest blisko. Zawsze było. Szedłem dziesięć, może piętnaście minut. Nie kłamię - westchnął. - Chodziłem tędy codziennie.

- Dlaczego? - zapytałem. Nie mogłem stać, kucać i siedzieć. Ułożyłem się na boku i czułem, że moje ciało rozpuszcza się od środka.

- Mówiłem wam. Uczyłem ją polskiego.

Dotknąłem swoich nabrzmiąłych uszu, gdybym pociągnął mocniej, zostałyby mi w dłoniach. Było ciemno jak w nocy. Przeraziłem się.

- Mówiłeś, że nie zostawałeś na noc.

- Raz czy dwa razy.

- Gówno prawda - zawyrokował doktor Skóra, a Wawryk właśnie doktora Skóry obawiał się najbardziej. Nie mogłem tego zobaczyć, ale daję głowę, że gapił się na nas i oblizywał nerwowo wargi.

- No dobrze. Powiem wam prawdę, w końcu prawda to nic strasznego.

Ku mojemu zdumieniu doktor Skóra wysunął w jego stronę paczkę marlboro. Wawryk poczęstował się i mówił, nie odrywając wzroku od żaru.

- Rzeczywiście uczyłem Dianę, ale nie w szkole. Pracuję przecież w zespole szkół zawodowych, a ona chodziła do liceum. Mogliście się sami domyślić - mruknął pod nosem. - Jej matka to była stara histeryczka i bała się, że córeczka polegnie na maturze. Do polskiego rzeczywiście drygu nie miała. No i zacząłem jej pomagać.

Strzepnął popiół. Za jego plecami, głęboko w lesie, zabrzmiał trzask. Podskoczył. Z mojej skroni spłynęło coś lepkiego, jak przeżuty cukierek.

- Wziąłeś za pomoc coś więcej niż pieniądze - skwitował doktor Skóra z mieszaniną

wściekłości i podziwu w głosie.

- No, wziąłem - przyznał natychmiast Wawryk. Patrzyłem na jego krepą sylwetkę, zarys brzucha, grube łąpska. Pamiętałem dobrze ogorzałą twarz pięćdziesięcioletniego pijaka i zastanawiałem się, jakim cudem jakakolwiek kobieta wpuściła tego menela do domu, o łóżku nie wspominając.

- Ładna chociaż była? - zapytałem złośliwie.

- To była dorosła dziewczyna, dojrzalsza od większości rówieśniczek. Nie zrobiłem nic złego, nic wbrew jej woli. Sam miałem opory. To ona chciała. Wiecie, jak się czułem na początku? Miała bardzo piękne oczy - przypomniał sobie moje pytanie - i była szczupła. Myślę, że przez chwilę byłem zakochany.

- Coś podobnego - mruknąłem. Mówienie sprawiało ból. Wrzody obsiadły mi wargi i brodę.

- ŚmieJCie się albo ubijcie mnie kijem. Przez moment byłem naprawdę zakochany. Sami byście byli. Tylu moich rówieśników marzy o młodych dziewczynach, a ja, no cóż, mnie się, jak myślałem wtedy, poszczęściło. Matka o nas nie wiedziała do śmierci. Dziś myślę...

Zgasił papierosa. Doktor Skóra podsunął mu następnego, ale gdy usiłował wydobyć jeszcze dla siebie, coś pękło mu w dłoni, paczka marlboro wypadła mu z ręki. Doktor Skóra skulił się w sobie, spuścił głowę.

- Wy macie rodziny, ja jestem po rozwodzie. Może zrobiłem coś głupiego, dość powiedzieć, że dałem się zauroczyć. Nigdy jej nie skrzywdziłem. Od tego byli inni. Przez moment myślałem, że jestem kimś wyjątkowym, ale po maturze wyszło szydło z worka. Diana po prostu lubiła starszych mężczyzn - powiedział tonem człowieka, który z wolna odkrywa straszliwą prawdę o sobie - lubiła meneli.

- Są takie - przyznał doktor Skóra tonem człowieka doświadczonego. - Wdepniesz w taką i jedno ma zawsze kłopoty. Ona albo ty.

Znałem Skórę na tyle, by wiedzieć, że najchętniej rzuciłby się na Wawryka i poturbował go. Nawet bez tej opowieści. Wojtek był mądrym człowiekiem i wiem, co myślał: niech Wawryk mówi, ile chce. Niech się wygada.

- Romans, jeśli można tak to nazwać, trwał do lata po maturze. Nowi koledzy, nowe towarzystwo. Niczego nie przekłamałem. Brała wszystko, od amfetaminy do heroiny i innych wynalazków. Ćpała zresztą jeszcze w szkole. To dlatego Julita zabrała ją do cichego domu.

- A potem się powiesiła - spuentowałem.

- A potem się powiesiła - przyznał Wawryk. - Nie wiem, co to zmienia, ale skoro

chcieliście prawdy, to macie prawdę.

- Kłątwa. Co z nią? - zapytał Skóra.

Wawryk podniósł się z ziemi, stanął przy aniele. Dotknął jego głowy i piór. Rzekł melancholijnie:

- Mnie ocaliła miłość Diany i twoja szlachetność. Da Bóg, to i was ocali.

* * *

Noc była jasna i srebrzysta. Widziałem guzy na łysej głowie doktora Skóry. Pojawiły się zwierzęta. Przestały się nas obawiać, ale pozostawały w ukryciu, nie umiem nawet powiedzieć, skąd się brały - pieniek okazywał się lisem, kupa liści jeżem, gałąź wężem, a huba ptakiem. Ptaki czasem pojawiały się w powietrzu nagle, jakby przeniesione z innego świata.

Droga ożywała pod moimi stopami, widziałem ukrwione siatki korzeni, kurz i piasek, drżący od uderzeń podziemnego serca. Czasem po prostu sunęła razem z nami, pulsowała jak nasze rany. Wędrowaliśmy przez nieporuszony, srebrny pałac, z którego, szczególnie po szczególe, budował się cichy dom.

Pojawili się nowi, niechciani goście - chłód, głód i pragnienie. Nie jedliśmy nic od wizyty w domu Sary, brakowało wody, a Wawryk zarzekał się, że nie tknie niczego, póki nie opuścimy lasu. Doktor Skóra nic takiego nie mówił. Słabnął w oczach, co jakiś czas zostawał za nami. Czekałem, a Wawryk zwalniał.

Głód i pragnienie, to dziwne, bo przecież w naszych czasach nie istnieją. Nie takie. Jesteśmy głodni, gdy zapomnimy śniadania do roboty albo siedzimy sami w domu, czekamy na pizzę, bo nie starcza ochoty na randkę z mrozonką. Zawsze można wypić wodę albo piwo. Nasze lodówki i barki są przepełnione. W lesie inaczej, prawdziwy głód ma zawsze strach za towarzysza. Bałem się, że osłabnę i umrę tutaj, więc prosiłem Boga, w którego, jak zawsze w takich momentach, wierzyłem, żeby pozwolił mi się wykaraskać. Prosiłem wytrwale i Bóg dodał mi sił do szybszego marszu, odbierając je doktorowi Skórze.

Wojtek wydał z siebie pełne żalu westchnienie i bezgłośnie osunął się na drogę. Wsparł się na rękach i zastygł ze spuszczoną głową. Wrzasnąłem na Wawryka, żeby zawrócił, ale skurwysyn ledwo zwolnił, obracając ku mnie nieprzytomny pysk. Ukłęknałem przy Skórze, uniosłem mu głowę i powstrzymałem mdłości.

Doktor Skóra usiłował mi coś powiedzieć albo przynajmniej złapać oddech. Lewy policzek zmienił się we wrzód o srebrnych brzegach, za to w miejscu drugiego ziała dziura, przez którą widziałem język i zęby. Uszy przypominały papier, pomięty i przeżuty, druga

rana otwierała się na brodzie, ślina spływała gardłem, choć nie wylewała się z zaropiałych ust. Oczy ginęły w bulwiastych naroślach, tak napiętych, że chciało się je przekłuć. Pomogłem mu usiąść. Po jego wzroku sądziłem, że ze mną także nie jest najlepiej.

- Na co czekasz? - szepnął, splunął, coś ciekło mu z ucha.

- Przecież cię tu nie zostawię. Chodź - podałem mu ramię - wstań, musimy iść.

Zaśmiał się słabo.

- Nie zostawię. Nie zostawię. Połóż się przy mnie. Zaśnij. Tak lepiej - wysunął rękę i dotknął mojej twarzy. Tego, czym się stała. Jęknął.

- Nigdy tam nie dojdziemy.

- Jasne, jak się nie pospieszymy. Wawryk poszedł.

Skóra dla odmiany wybuchnął chorobliwym śmiechem. Gardło także miał zajęte. W podniebieniu ziała czerń, mignęła mi dziura w dolnej szczęce.

- Szedłem i coś zobaczyłem. Szedłem na końcu i widziałem was. A potem spojrzałem za siebie i wiesz co? Lazł za mną Wawryk, pchał wózek, a za nim ty się wlokłeś. Przede mną i za mną jednocześnie.

Wygrzebał paczkę marlboro, wpakowałem mu papierosa w usta. Zapalił już sam, dym wychodził wprost z otworów w twarzy. Dał mi macha.

- Chciałem na nich, na was poczekać, ale zaraz dostrzegłem siebie samego, jak wlokę się na końcu. Przeraziłem się i poszedłem. Odtąd nie patrzę za siebie. Idź, zobacz, jak chcesz.

Poszedłem, ale widziałem tylko pustą drogę. Skóra leżał na wznak.

- Tam nic nie ma.

- Oczywiście, bo leżymy tutaj.

Otarłem czoło, miałem mokrą, lepka dłoń.

- Pójdziemy dalej. Choćbym miał cię ponieść.

Dał mi jeszcze papierosa.

- Wolę zostać tutaj. Nie wygłupiaj się.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale między otwarciem ust a pierwszą sylabą zrozumiałem ogrom naszych błędów. Aż przycisnęło mnie do ziemi. Szarpnąłem Skórą tak mocno, jak tylko trędowaty może targać trędowatego. Nie stawiał oporu i nie pomagał.

- Wawryk! - ryknąłem.

Odpowiedział mi pomruk.

Chwyciłem doktora Skórę za nadgarstki, próbując zmusić do powstania. Podniósł się niechętnie, otrzepał ubranie. Stojąc, wyglądał jeszcze bardziej gównianie niż siedząc, więc kazałem mu pobiec i powlokłem się razem z nim. Nasze niezgrabne, pokaleczone ciała

przeskakiwały przez gałęzie i korzenie. Wołaliśmy Wawryka.

Zastaliśmy go na środku drogi. Próbował obrócić wózek i ruszyć w naszą stronę, ale zupełnie nie radził sobie z nierównościami terenu. Mogę przysiąc, że prawie ucieszył się na nasz widok.

- Co jest? - zapytał.

- Pomóżcie mi - odkrzyknąłem, gorączkowo rozsypując więzy, zdzierając sznury. Przez moją nieuwagę trup poleciał z wózka na twarz. Zacząłem się z nim mocować, chwyciłem to skrzydła, to nadgarstki, chciałem unieść drania i zarzucić sobie na plecy.

- Pomóżcie mi!

Skóra próbował mnie uspokoić, a Wawryk - pomóc.

- Wszystko robiliśmy źle - wyjaśniłem - źle, źle, źle. Nie wózkem, nie możemy go pchać, tylko ponieść. I nie drogą, droga nas myli. Będziemy tak leżli aż na koniec świata. Mówię! Na plecy go i przez las.

- Tam będzie cichy dom? - zapytał Wawryk głosem człowieka, który już nic nie wie.

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekł doktor Skóra - ale wiem, że przy drodze go nie ma.

To ucięło dyskusję i zabraliśmy się do podnoszenia trupa. Ważył, jakby nażarł się ołowiu, a skrzydła utrudniały balansowanie ciężarem. Wawryk wymyślił, by go ciągnąć. Jaka różnica? Targać po ziemi czy na wózku? Gra szła o zasadę - musieliśmy zanieść zmarłego na miejsce pochówku. Zdecydowaliśmy się na zmodyfikowaną wersję starej metody - ja z doktorem Skórą wzięliśmy go pod ramiona, jak pijaka, a Wawryk szedł z tyłu i przytrzymał nogi. Zeszliśmy ze ścieżki. W metalowych ramach pustego wózka odbijał się księżyc. I ten księżyc, i wózek szybko straciliśmy z oczu.

Szło się fatalnie, grunt był grząski i niepewny, a drzewa rosły gęsto, tak że musieliśmy kłaść trupa i przepychać między nimi. Prawie natychmiast straciliśmy poczucie kierunku, a że nie znaleźmy celu, wybieraliśmy trasę, którą szło się najłatwiej. Zwierzęta zniknęły. Ramię anioła wrzynało się w mój obolały bark, a obok mnie kiwała się głowa doktora Skóry. Pluł i jeśli tylko mógł, szedł z zamkniętymi oczyma, które jako jedyne w jego twarzy pozostały ludzkie i żywe.

Każdy krok odbierał mu siłę i nadzieję. Ciało wymykało mu się z rąk, potrzebował coraz więcej czasu, by je podnieść, gwałcił się pod trupem. Przesyłał mi umęczone spojrzenia. Wiedziałem, że idzie dalej tylko ze względu na mnie. Nagle runął, ja z nim, na mokrą ziemię, przygniecieni ciałem. Wawryk zsunął z nas trupa, pomógł mi wstać. Wojtek leżał na brzuchu, podnieśliśmy go pod ramiona, czując, jak pękają wrzody na jego ciele. Skóra jęczał i wył, a

my zobaczyliśmy cichy dom.

Przypominał ogromne zwierzę, które przycupnęło między drzewami. Weranda była jak łeb złożony na ziemistych łapskach, wyżej sklepiała się stożkowa czapa z dachówek. Ściany zaczynały się kruszyć. Większość szyb była wybita, a w odłamkach szkła odbijał się dach i księżyc. Wyróżniłem kwadratową fasadę garażu i kupę śmieci obok. Doktor Skóra wstał. Otarł zdeformowaną twarz, bardzo delikatnie. Skrzywił się z bólu.

- Jesteśmy - powiedział.

Słyszałem przyspieszony oddech Wawryka.

* * *

Widziany z bliska cichy dom stracił niesamowitą aurę, zmienił się w zwykły budynek, który kiedyś pewnie był leśniczówką, potem domkiem weekendowym, a teraz służył za schronienie zwierzętom i duchom. Drzwi frontowe wylamano. Pewno jakiś pijak usiłował załapać się na schronienie, a przy okazji wyniósł wszystko, co było do wyniesienia. Wokoło walały się puszki, puszki stały też w oknach, całe ich stosy składały się na kupę śmiecia.

Ułożyliśmy trupa na werandzie. Garaż stał otwarty. Zajrzałem. Ciemna jama, a w niej skrzynki po owocach, kartony, półka z narzędziami. W rogu karimata i masa świerszczyków. Zapach moczu, ledwo wyczuwalny. Ktokolwiek tu żył, najpierw wyniósł się z domu, a potem opuścił i to miejsce. Przeraziłem się - co jeśli cichy dom jest zamieszkały? Natknijemy się na grupę meneli, którzy zobaczą, jakie mamy zamiary, i co? Właściwie co nam zrobią? Byłem bardzo słaby. Jakby życie uciekało ze mnie przez każdy wrzód, każdą ranę.

- Chodźcie - rzekł Wawryk - zakopimy go i po krzyku.

Dalej wypadki potoczyły się szybko. Nie spotkaliśmy widmowego taboru ani nawet pijaków. Nie wywiązała się walka między nami a siłami ciemności. Byliśmy tylko my i cichy dom.

Doktor Skóra nalegał, żeby trupa pochować przed domem, zaznaczyć grób kamieniami i sklecić krzyż z desek znalezionych w garażu. Wawryk uważał inaczej.

- Powinniśmy zrobić to tam, gdzie umarła. W jej pokoju.

- Jak? W podłodze? - zapytałem.

Wawryk wzruszył ramionami. Przymknął oczy, coś sobie przypominał.

- Jest piwnica. W takim razie pochowamy go pod jej pokojem.

Zaciągnęliśmy ciało do piwnicy. Tu nie było śladów meneli i bezdomnych, jeśli nie liczyć opustoszałych półek. Kiedyś leżały tu farby i narzędzia - przynajmniej tak utrzymywał Wawryk. Jeśli miał rację, pomyślałem, to czemu nie zabrali dwóch działających latarek, które

znaleźliśmy zaraz przy wejściu? Były to starodawne latarki o dużych lustrach, ciężkie i nieporęczne. Dawały dobre światło.

Ułożyliśmy ciało w rogu pomieszczenia. Drewniana podłoga trzeszczała przy każdym roku. Oderwanie desek nie powinno sprawić problemu, pod warunkiem, że nie masz bąbli zamiast dłoni. Uwierzyłem na chwilę, że podróż dobiega szczęśliwego końca.

- Ty - zagadnąłem Wawryka - dokładnie gdzie jest ten pokój?

Rozejrzył się.

- Chyba tu... nie jestem pewien. Zobaczą na górze.

- Pierdolę - doktor Skóra włączył się do rozmowy. - Doszliśmy tutaj, prawda?

Piwnicę zrobiono w fundamentach. Pod deskami znajdowała się ziemia. Z innymi narzędziami nie mieliśmy takiego szczęścia jak z latarkami. Może je rzeczywiście skradziono albo nigdy ich nie było. Nie znaleźliśmy niczego, czym można by podważyć deski, i użyliśmy łopaty, którą Wawryk niósł przez całą drogę. Stylisko okazało się mocne, w przeciwieństwie do desek. Odchodziły jedna za drugą, w trzasku łamanego drewna. Wawryk szybko się zmęczył. Chciał, żebyśmy mu pomogli. Spróbowałem, ale ból w zdeformowanych dłoniach okazał się nie do zniesienia.

- Powinniśmy mieć księdza. Żeby pobłogosławić ziemię - szepnął doktor Skóra.

- Jeszcze czego - głos Wawryka zginął w trzasku łamanej deski. Polonista omal nie stracił równowagi, przytrzymał się mnie.

- To jednak pogrzeb. Tak chować się nie godzi. Wiem, że księdza nie znajdziemy. Trzeba było myśleć o tym wcześniej.

Dziwne. Drogi doktora Skóry i Boga dowolnej religii dotąd się nie przecinały.

- Daj spokój, Wojtek - powiedziałem pospiesznie. - Będzie dobrze, to przecież anioł.

Długo, długo żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Tak długo, że Wawryk wykopał, na oko, jedną trzecią grobu, a pot lał się z niego taki, jakby miał pochować cały regiment anielskiego wojska. Otworzył usta, zapewne by prosić o pomoc, wiedziałem też, czemu zamilkł - nie chciał dotykać styliska, unurzanego w naszej krwi i ropie. I dobrze, pomyślałem, przynajmniej zdołam stąd wyjść.

- Poszukam łopaty - powiedziałem.

Skóra mruknął, że narzędzia skradziono.

- Widziałem jakieś w garażu. Idziesz? - Pauza. - No idziesz, Wojtek?

Pokręcił głową. Patrzył na własne dłonie, czerwone nawet w półmroku.

- Zostawisz nam latarkę? - poprosił Wawryk.

Stałem już na schodach.

- Tak, jasne. Zostawię.

Położyłem ją na stopniu i wyszedłem.

W garażu znalazłem łopatę ze złamanym trzonkiem, zardzewiały kilof i saperkę. Oprócz tego stosy kaset wideo, z dwoma filmami na każdej. Tytuły wpisano na maszynie. Do tego plakaty zwinięte w rulony, książki kucharskie, kalendarze i całe stosy „Brawo” i „Popcornu”. Zabrałem saperkę i poszedłem.

Z piwnicy dobiegały miarowe jęki Wawryka. Ani myślałem tam wracać, niech Wawryk kopie, a doktor Skóra się modli. Zapaliłem. Filtr marlborasa natychmiast nasiąkł wilgotną zólcą. Dziwnie się czułem, trzymając go w ustach, i z tą dziwnością ruszyłem na zwiedzanie cichego domu.

Zacząłem od kuchni. Okap zwisał, urwany, stół porąbano na opał, tak że ocalały tylko drzazgi i szkło blatu. Do lodówki ktoś nasrał, drzwi wymalowano sprayem. Zniknęły szafki, za to śmietnik był wszędzie, a jeśli coś przypominało o dawnej funkcji tego miejsca, to zdemolowane drobiazgi: zniszczony kalendarz, połamane magnetyczne ozdoby na lodówkę, skruszone pojemniki na przyprawy, serwetki i podkładki pod talerze, wszystko u moich stóp. Na parapecie wypatrzyłem ślady gniazda.

Chciałem się położyć w tym chlewie i zasnąć. W moim śnie nie byłoby gnicia i cierpienia. Świadomość rozpadu była oszałamiająca.

Skrzyp, skrzyp, taki dźwięk dobiegał z pomieszczenia obok. Jakby napięta lina kołysała się pod rozbujanym ciężarem. Poszedłem. Za drzwiami jednak żadnej liny nie było, a ja, mimo wrzodów i ran, jednak zdołałem się spocić. Stałem w pokoju Diany. Domyśliłem się po kratkach w oknach.

W wielu filmach, gdzie mowa o zmarłych dzieciach, dziecięce pokoiki z reguły pozostają przez lata niezmienione. Tu było podobnie, ale ład zaprowadzony w więzieniu młodej narkomanki uległ rozkładowi. Pomogli w tym bezimienni pijaczkowie - na stole ktoś zrobił ognisko, walały się butelki i góry niedopałków. W rogu zastałem wiadro z wyschniętym gównem, które wydalil z siebie jakiś intelektualista, bo jedną książkę przy sraniu czytał, a drugą się podcierał. Pośrodku stało łóżko z dziurami jak po nożu, zapadnięte, z wystającymi sprężynami.

Podszedłem do szafki. Przerzucałem książki. Ocalały poradniki o zwalczaniu nałogów, kioskowe romanse, książkowe dodatki do gazet i tym podobne. A obok - papiery. Trochę zdjęć. Fotografia Diany - dziewczyna siedzi na murku, na tle zamku, i śmieje się do obiektywu. Wawryk miał rację, była bardzo szczupła, a ładne oczy nadawały blask jej twarzy.

Trochę wydrukowanych e-maili. Pocztywki z życzeniami powrotu do zdrowia. Kartki

z kratkowanego zeszytu, wypełnione kulfonami. Rozważania o miłości i o tym, czy warto żyć, skoro szkoła zniewala, a jeśli ktoś jest głupszy od nauczycieli, to tylko własna matka. Nie chciałem tego czytać. Ale czytałem.

Wreszcie - świstek leżący trochę z boku. Ktoś odłożył go tylko na chwilę, coś się wydarzyło i karteluszek już został. Rozłożyłem go. Taki charakter pisma widziałem już wcześniej - eleganckie litery z barokowymi zawijasami; tak pisują ćwierćinteligenci, którzy zamiast nóg Pana Boga pochwycili magistra. Sens tych zdań dotarł do mnie po trzecim, może czwartym czytaniu.

WRÓCĘ PO POŁUDNIU, NIE CHCIAŁEM CIĘ BUDZIĆ. ZADZWOŃ, CZY KUPIĆ COŚ DLA D. CAŁUJĘ CIĘ BARDZO MOCNO. MACIEK.

Niby nic, a tak dużo.

* * *

Grób był gotowy.

Skoczyłem na Wawryka, posłałem go na ziemię, próbował się osłaniać. Słabo. Wiedział, że już znam prawdę. Doktor Skóra przyglądał się nam w bezruchu.

Pozwoliłem Wawrykowi wstać. Patrzył na mnie z nienawiścią.

Wawryk wydawał się miękki jak ciasto.

- Córeczka to było mało, co? Skubnąłeś mamusię?

Skinął głową.

- Zobaczyła nas razem. Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym wiedział. Myślicie, że to z tego powodu?... Przecież... Tak, zastanawiałem się nad tym.

- I stąd to wszystko - powiedział doktor Skóra w olśnieniu - to gniew, gniew oszukanej dziewczyny w jej najczarniejszej chwili, to on go do nas sprowadził - wskazał anioła - i dlatego jesteśmy tutaj.

To prosta opowieść. Trzech facetów szło przez las pochować anioła. Nic więcej, ale też nic mniej. Przydzwoiłem Wawrykowi w twarz. Patrzył to na mnie, to na Wojtka, w milczeniu, a w oczach miał słabość i strach. Po brodzie spływała mu krew.

- Nie. Nie ty.

To doktor Skóra odsunął mnie łagodnie. Wyrósł przed Wawrykiem. Usta tamtego już składały się do prośby, a doktor Skóra zacisnął mu ręce na szyi. Wawryk wlepił w niego cielejące oczy. Tknięty rozpaczliwą nadzieją zaczął kopać, bić, próbował gryźć. Wbił palce w ramiona doktora Skóry, mocno, przejechał, rozdrapując rany, doktor Skóra skrzywił się, zadrzał, jakby przez jego ciało przeszedł prąd, ręka Wawryka sięgnęła jego twarzy, wbiła się

w czerwoną, napuchniętą masę, mocno, głęboko, Skóra zawył, ale nie puścił. Bluznęła ropa i krew. Skóra zaciskał uchwyt, dopóki Wawryk nie sflaczał i znieruchomiał.

Ciało uderzyło o podłogę. W jednej chwili twarz Skóry zmięła, jęk bólu przeszedł w spazmatyczny szloch. Osunął się po ścianie. Powiniennem coś powiedzieć, ale nie znajdowałem słów. Rozebrałem się. Otarłem mu twarz własną koszulą, a potem, cóż, jak w prostych historiach, otoczyłem go ramieniem i czekałem, aż się wypłacze.

- Będziemy musieli wykopać jeszcze jeden grób - rzekł wreszcie. Miał dziurę w policzku. Mówił szeptem.

- Albo poszerzyć stary... - powiedziałem i zaniemówiłem. Skóra patrzył na mnie pytająco.

- Niekoniecznie. Zobacz - odezwałem się słabym głosem, bo ciało anioła, które jeszcze przed chwilą czekało na włożenie do ziemi, zniknęło.

* * *

Pochowaliśmy Wawryka bez krzyża i słowa. Ubiliśmy ziemię i założyliśmy część desek, która nie była zniszczona. Skóra pracował z widocznym trudem i nieustannie rozglądał się po piwnicy, jakby chciał sprawdzić, czy anioł rzeczywiście przepadł. Zerkał też na mnie pytająco. Jego oczy mówiły: czy ty to widziałeś? Wózek i anioła na wózku? Pchałeś go ze mną, czy wszystko było przywidzeniem? Może realny jest tylko ten trup w piwnicy? Albo i on jest cieniem jakiejś starej sprawy, pół człowiekiem, a pół przywidzeniem?

Jak robotnicy po ciężkim dniu - siedliśmy na progu cichego domu, najzwyczajniejszego domu pod słońcem, w którym zdarzyło się zwykle nieszczęście. Palilem. Doktor Skóra nie chciał albo nie mógł. Przyglądał się własnym dłoniom z wyrazem zdziwienia na twarzy. Wiem, myślał, że nie należą do niego.

Obrócił się do mnie. Wrzody na jego twarzy wydawały się mniejsze. Wyszły. Dotknąłem swojej i nie czułem już bólu.

- Trzeba iść - mruknął.

Czułem, że droga powrotna będzie krótsza.

- Mam nadzieję, że będziemy długo szli - powiedziałem.

Doktor Skóra popatrzył na mnie pytająco.

- Chcę to sobie poukładać w głowie - wyjaśniłem. - Muszę to zrobić, nim dojdę do domu.

Pomogłem mu wstać. Opuchlizny na rękach zmieniły się w strupy, jeden odpadł, odsłaniając różową skórę.

- Akurat - rzekł doktor Skóra. - Moglibyśmy iść i sto lat. I tak nie złożysz tego w jedną prawdę.

- Twoje dzieci?

- Nie. Choćby ze względu na nie, dobrze że tak jest. Więcej się nie odezwał. W ostatnich dniach zdarzyło się masę cudowności, w tym nie kończąca się paczka marlboro. Paliliśmy spokojnie, jednego za drugim, żeby zabić głód. Doktor Skóra nie opanował drżenia dłoni, choć cichy dom dawno pozostawiliśmy za sobą.

* * *

Teraz się zastanawiam, co bym zrobił, gdybym wiedział, jak skończy się ta historia.

Droga powrotna nie okazała się krótsza i lżejsza, grzało nas słońce, a nasze ciała zdrowiały. Nie umiałem znieść ciszy. Im natarczywiej zagadywałem doktora Skórę, tym głębiej on zapadał się w siebie. Niemal fizycznie - barki ciążyły mu ku klatce piersiowej, jakby ściągnięte niewidzialnym sznurem. Miał wielkie oczy, wytrzeszczone i obojętne.

Na drodze znaleźliśmy wózek, dowód, że nie wszystko stanowiło przywidzenie. Miałem ochotę na nim usiąść, ale doktor Skóra zebrał resztki sił i cisnął nim w krzaki. Poszliśmy dalej, w obłądny żar przedpołudnia. Byłem nieludzko głodny.

Myślałem, jak to będzie - jak wrócę i co powiem. Czy ciało Wawryka kiedykolwiek zostanie znalezione, czy ludzi takich jak on ktokolwiek będzie szukał? A jeśli go odnajdzie, czy zdoła dotrzeć do mnie i doktora Skóry?

Pojawiły się psy, więc zbliżaliśmy się do domu Sary. Najpierw jeden, i zaraz kilkanaście wygłodzonych, kudłatych łbów, w tym stary znajomy, huskopodobne bydlę o oczach starego cwaniaka. Nie szukałem towarzystwa tych zwierząt. Doktor Skóra wyraźnie się ich obawiał. Bardziej nawet niż podczas pierwszego spotkania. Przyspieszyliśmy i wkrótce z lewej strony wyłonił się znajomy dom oraz podwórze z równie znajomym pniakiem i siekierą. Psy natychmiast tam pobiegły.

Wewnątrz krzątała się Sara. Widziałem jej cień za szybą i wiedziałem, że na nas spogląda. Doktor Skóra przystanął. Jego umęczona i pozbawiona wrzodów twarz zdradzała, że nie robi już ani kroku.

- Idź - odezwał się, po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy cichy dom. Nie żartował. W rzeczy samej, doktor Skóra już nigdy nie żartuje. Machnął ręką. Odpędzał mnie. Oparłem się o drzewo.

- Poczekam tu z tobą. Tylko zejdz z drogi. Nie chcę, żeby ona patrzyła.

Tylko pokręcił głową.

- Jak ja mam wrócić? - zapytał.

Na to pytanie nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

- Nic o mnie nie wiesz. Nie widzieliśmy się. Coś wymyślisz. Cokolwiek. Pozwól mi iść. Teraz - westchnął. - Dziękuję ci. Bez ciebie nie dałbym rady.

Ciekawe podziękowanie. Uciałbym sobie rękę, żeby doktor Skóra nie dał rady.

- Myślisz że Sara cię przyjmie?

Wygiął usta w sztuczny uśmiech:

- Tak. Jestem o to spokojny.

Patrzyliśmy na siebie jeszcze chwilę, mokre palce Skóry oplotły moją dłoń. Zgarbiony, ruszył w kierunku furtki. Wyglądał jak starzec. Zawołałem za nim. Nie mogłem tak po prostu odejść.

- Jak sobie chcesz. Posłuchaj mnie, Wojtek! - wołałem, a on się oddalał. - Wrócę po ciebie za tydzień! Powiesz mi, co chcesz robić, dobrze?! Nie mogę tego tak zostawić! Czy ty mnie słyszysz? Wojtek!

Tylko uniósł rękę, na znak, że się zgadza. Albo jest mu wszystko jedno.

Musiałem wracać sam, a niepokojące lub straszliwe miejsca rozpoznawałem jako niegroźne. Wąwóz okazał się płytkim jarem o łagodnych zboczach i idę o zakład, że dzieci jeździły tu w zimie na sankach. Sama grotą, z nocnej perspektywy wiodąca do samego piekła, była przyjemną, ziemną jamą, głęboką na parę kroków. Aż chciało się iść słoneczną drogą. Zapominałem. Tylko na chwilę, ale jednak.

Samochód stał tam, gdzie go zostawiliśmy. Smród trupa i Wawryka przypominał o naszej przygodzie. Klapnąłem na fotel, przyłożyłem twarz do kierownicy, zamknąłem oczy, ale sen nie nadchodził. Musiałem jechać. Tak, trzeba mi wracać do domu.

I zaraz wstałem, utykając, powlokłem się z powrotem do domu Sary.

* * *

Widziałem wszystko, przycupnięty między drzewami. Wiem, że Sara również mnie widziała. Podwórko było złote od słońca. Z domu, przez drzwi otwarte na oścież, przeszedł doktor Skóra w długiej nocnej koszuli, a za nim Sara, ubrana jak zwykle. Doktor Skóra szedł z trudem, Sara podtrzymywała go za ramię, a z perspektywy chaszczki wyglądało to tak, jakby w niewytłumaczalny sposób unosiła go tuż nad ziemią. Na jego umordowanej twarzy malowała się nadzieja, której źródła nie umiałem określić. Poddawała się rytmowi jego kroków. Jeśli przystawał, zatrzymywała się z nim i przecierała mu czoło mokrą chustką. Raz przyłożyła mu ją do ust, podziękował skinieniem głowy i ruszyli dalej. Tę krótką drogę, od

drzwi aż do pieńka na środku podwórka, zdawali się przemierzać godzinami.

Sara wyszarpnęła siekiere. Doktor Skóra uklęknął i złożył głowę na pniu. Sam sprawdził, czy koszula nie zachodzi na kark, a jego twarz była twarzą cierpiącego, który dostał zastrzyk i zaraz zapadnie w bezczucie. Psy gromadziły się na podwórku. Sara pogłaskała go po policzku, a on jeszcze chwycił jej rękę i przycisnął do warg.

Odsunęła się o krok, w uniesionej siekierze odbiło się słońce i ostrze spadło na kark doktora Skóry, weszło głęboko, ale nie oddzieliło głowy od tułowia. Chlusnęła krew, a Sara wyrwała siekiere, ponowiła cios i już było po wszystkim. Głowa potoczyła się w moją stronę.

Gnałem co sił. Psy zaczęły rozszarpywać ciało.

Zatoka Tęczy

Do przedziału wszedł człowiek, którego Karol zabił kilka tygodni wcześniej.

Przypomniawszy sobie tę noc. Pruł przez ciemność, a opel podskakiwał na polskich drogach, które, zdaniem Karola, powstały tylko po to, by zrywać nadwozia niemieckich samochodów. Mijał drzewa, złane w ścianę o nierównych brzegach, mijał wsie, a ogromny księżyc niemal wchodził do samochodu przez okno. Pomyślał wtedy, że w księżycu jest coś niesamowitego, bo się nie zmienia - świat robi to nieustannie, gwiazdy gasną i spadają, Słońcem wstrząsają wybuchy i tylko księżyc jest taki sam.

Była druga w nocy i już dojeżdżał do siebie. Radio grało stare piosenki - co za czasy, myślał Karol, w których rocka słuchają czterdziestolatkowie. Podróż nie różniła się niczym od poprzednich. Pogadanka na konferencji, bankiet abstynenta i powrót w nocy.

Opel podskoczył na koleinie, a Karol zaklął i zwolnił. Nienawidził jazdy w nocy bardziej niż konferencji i pogadanek. Jeszcze dwadzieścia kilometrów do domu. To nieprawda, że wszystko, co złe, zdarza się na początku lub na końcu trasy. Karol nie wierzył w zasady kierujące nieszczęściami drogowymi, znał za to inną, którą przywołał, a wcześniej wymyślił. Otóż w człowieku jest tajemna siła, która zawsze kieruje się przeciw jego wyborom. Nie chodzi nawet o to, że ludzie mówią co innego, a co innego robią, ale o coś głębszego, co w tobie lub w świecie udupia każdy pomysł i marzenie w ten przemyślny sposób, że zatrzaskuje drzwi i uniemożliwia odwrót. Chcesz być sportowcem, świetnie, więc piąty krzyżyk zaczniesz z kalectwem, choćbyś wcześniej biegał jak Achilles, a może właśnie dlatego. Aktor ma jeszcze lepiej, bo każdy błysk flesza pozostaje okupiony kilometrem chuja obciążonym każdym, od szatniarza po producenta. Pragnąłeś biegać, to leżysz bez szans na powstanie. Marzyłeś o gwiazdorzeniu, to klęczysz z fiutem w gębie, a to dokładnie twoja wina. Tak właśnie jest, kolego, pomyślał Karol i zaraz poweselał.

„Twoja wina i twoje nieszczęście”, mruknął do siebie, przecież jego własny los był dość cuchnący, bo wymyślił sobie filozofowanie, a jednocześnie posiadanie rodziny, a to przecież pragnienia sprzeczne. Gdyby życie było prostsze, miałby więcej przemyśleń niż tylko jedno - legendy mówiły, że najwybitniejsi koledzy z wydziału mieli po cztery. Więc filozofia, domniemane ukojenie w Arystotelesie, zmieniła się w galop, tysiąc fuch plus redagowanie dyrdymałów, noszenie teczek za profesorami i jazdę po filiach uniwersytetów

oraz szkołach prywatnych, bo a nuż dadzą dwieście złotych, albo nawet pięćset. Życie to, kurwa, nie ma co, pomyślał Karol, a człowiek wyskoczył mu wprost pod koła.

To było szybsze niż mrugnięcie. Facet zdążył jeszcze odwrócić głowę, reflektor oświetlił mu twarz, ale jej wyrazu Karol już nie dostrzegł. Szarpnął kierownicą. Za późno, opel uderzył w faceta i wysłał go w ciemność, a odgłos, który towarzyszył zderzeniu, wydawał się brzmieć tylko w głowie Karola.

Zahamował, wyskoczył z auta, przebiegł kilkanaście kroków i stanął, zdezorientowany. Wkoło panowała cisza, ani jedno światło nie zapaliło się w okolicznych domach, za to księżyc był jeszcze większy i blady jak trup. „Jak szybko jechałem?“, pomyślał Karol. I zaraz: „Gdzie może być ten człowiek?“

Rzucił okiem na zgnieciony przód opla i zdezelowany zderzak, westchnął i chwycił się za głowę. Jeśli takie rzeczy śniły się filozofom, to raczej nie jemu. Droga była pusta. Poszedł na lewo, w krzaki i na ściernisko, które tej nocy jaśniało upiornym srebrem. Potrącony leżał w trawie, zupełnie nieruchomo. Karol przystanął - jeśli ktoś zderzył się z rozpędzonym oplem tak, że przeleciał ładnych parę metrów, to raczej nie wstanie, żeby powiedzieć, co o tym sądzi. O Jezu, zabiłem człowieka.

Mężczyzna wyglądał na czterdziestolatka, który, gdyby wciąż żył, piłby wódkę, strzykał śliną i klepał po tyłkach kelnerki. Cóż, to wszystko zdawało się być już poza nim.

Karol odjechał, nie dzwoniąc do nikogo.

* * *

Pociąg już jechał. Karol wrzasnął i rzucił się w kierunku okna, jakby chciał wyskoczyć. Nieznajomy, najwyraźniej martwy mężczyzna dopadł go i zaczął odciągać. Pierwszy raz Karol usłyszał jego głos, delikatny i mocny zarazem, brząający z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Człowieku. Człowieku. Uspokój się.

I Karol się uspokoił. Wytrzeszczał oczy, wciśnięty w fotel. Rozlana kawa poparzyła mu kolana. Mężczyzna położył mu rękę na ramieniu, a Karol pierwszy raz przyjrzał mu się dokładniej. Wyglądał trochę jak ruski sportowiec, jakich z upodobaniem pokazywano w czasie transmisji w latach siedemdziesiątych: barczysty, z wąską szczęką, perkatym nosem i wałami nadoczodołowymi grubości kciuka. Była w nim jakaś miękkość i poczciwość, podkreślana przez łagodne oczy i pełne usta.

Usiadł w przeciwległym rogu, na znak, że w każdej chwili może opuścić przedział.

- Ty żyjesz - wykrztusił wreszcie Karol.

- Bardziej niż ktokolwiek - odpowiedział tamten.

- Żyjesz, a ja cię przejechałem - szepnął, biały jak opłatek, i zaraz złapał się za usta. Twarz nieznajomego rozjaśniło zrozumienie i nim Karol się zorientował, już ścisnął jego dłonie.

- Nazywam się Konstanty Mikołajewicz Kamiński. Mój dziadek był Polakiem, ale ojciec urodził się w Rosji. Tak, to całkiem możliwe. Przejechałeś mnie.

Karol westchnął. Już wiedział, co nie grało w wyglądzie Kamińskiego. Miał stare oczy, ale nosił się jak trzydziestolatek pracujący w agencji reklamowej.

- To moja wina - rzekł łagodnie Kamiński. - Jestem alkoholikiem, więc piję, jak piję, to się włóczę, a jak się włóczę i piję, to rzucam się pod samochody. - Dostrzegł przerażenie w oczach Karola i dodał pośpiesznie: - Wcale nie jestem duchem. Nie mogę umrzeć, to tyle.

W zalanym rozpuszczalną kawą umyśle Karola pojawili się nieśmiertelni, jeden za drugim: od Heraklesa i biblijnych patriarchów, przez Saint Germaina, aż po Żyda, który wyśmiał Chrystusa idącego na ukrzyżowanie i będzie musiał poczekać na ziemi aż do Jego powrotu.

- Aswerus... - wysnęło się Karolowi.

- Konstanty Mikołajewicz Kamiński. Rosjanin z urodzenia, Polak z serca i ducha. Urodziłem się w latach trzydziestych, ale masz trochę racji, bo muszę być tutaj aż do dnia Sądu. W tym, że jest blisko, znajduję jakieś pocieszenie, ale nie widzę powodu, żeby pocieszać się czymś innym. - Wydobył butelkę wódki i dwa metalowe kubki. Jeden wcisnął w rękę osłupiałego Karola.

- Jestem ci winien przeprosiny - mówił. - Nie umieram, ale jestem spragniony i głodny, jak każdy człowiek na ziemi. Żyję z wypadków, bo tak najłatwiej. - Nalał. - Za twoje spokojne sumienie.

Stuknęli się i nim Karol zdążył powiedzieć, że nie pije, już było po wszystkim. Ledwo zanurzył usta w alkoholu, co nie uszło uwadze Rosjanina.

- Musisz zrozumieć, że ludzie reagują inaczej niż ty. Wychodzę pod koła, a jak mnie cuca, to wstaję, i wtedy każdy, naprawdę każdy, próbuje się dogadać. Prawdziwe szczęście to pijany kierowca, taki sprzedałby skórę z własnych pleców i czasem rzeczywiście sprzedaje - opowiadał Konstanty Mikołajewicz. - Ty zwyczajnie odjechałeś, nim zdołałem się pozbiierać, inna sprawa, że przywaliłeś we mnie cholernie mocno. Sam byłem zdziwiony.

Roześmiał się.

- Nie piję - powiedział Karol.

- W takim razie jak mam dowiedzieć się, kim jesteś? Dziwny z ciebie człowiek.

- Bardzo możliwe - rzekł Karol, tłumiąc wymioty. Wódka była paskudnie ciepła i gryzła w przełyk, jakby pływały w niej drobinki kurzu. Rosjaninowi najwyraźniej smakowała, bo napił się jeszcze. Karol trochę się uspokoił.

- Nie jestem nikim szczególnym. Wykładam filozofię najnowszą, teraz wracam z konferencji. Mam synka i miałem żonę.

- Filozof? Podoba mi się. No, napij się jeszcze.

Karol już nie chciał, ale wciąż trzymał metalowy kubek.

- No, dalej - zachęcał Konstanty Mikołajewicz. - Czasem trzeba się napić, żeby poznać prawdę, a przecież o prawdę chodzi w filozofii - zmrużył oczy i przyjrzał się Karolowi. - Wiesz co, kolego? Mam dla ciebie pewną propozycję.

Zsunął się z fotela i kucnął przed Karolem. W prawej dłoni trzymał butelkę, lewą zacisnął na Karolowym przegubie. Był straszliwie silny, można by pomyśleć, że gdyby wzmocnił uścisk, kość pękłaby jak skorupka jajka. Rosjanin śmierdział przetrawionym alkoholem i brudem, zionęło z niego jak z głębokiej jamy. Miał brązowe zęby. Uśmiechnął się i twarz przecięły mu głębokie zmarszczki.

- Możemy rozstać się na najbliższej stacji i zapomnieć o sobie, mnie to rybka, a że złączyła nas śmierć, to być może jestem ci coś winien - mówił szybko. - Jestem najuboższym z ludzi, takim, co ma do zaoferowania tylko prawdę.

Karol próbował wyzwolić się z uścisku, a Rosjanin odłożył butelkę i przytrzymał go za kark. Połamane, brudne paznokcie wpiły się w skórę Karola.

- Mam dla ciebie odpowiedzi na wszystkie pytania, bez wyjątku, a gdy skończę, zabraknie dla ciebie tajemnic. Będziesz wiedział, prawda popłynie w twoich żyłach, wprawi w ruch twoje serce i ożywi twój dumny łeb. Nie da ci jednak nadziei, tylko rozpacz. Jeśli nie uwierzysz od razu, to z pewnością zrobisz to po jakimś czasie. Słuchasz mnie jeszcze, Karolu?

Przytaknął. Konstanty Mikołajewicz dolał mu wódki.

- Jeśli chcesz wiedzieć, wypijesz to do dna, a potem pójdziesz ze mną. Niedaleko - dodał łagodnie. - Właściwie gdziekolwiek za miasto, żeby nie było domów i ludzi. Tam ci opowiem, a potem wrócisz do siebie. Przysięgam, że nie stanie ci się krzywda. Więc chcesz wiedzieć czy nie chcesz wiedzieć? Wypij albo wylej.

Z ust Rosjanina bił smród, wódka zalatywała ledwo rozrobionym spirolem, blockiem, gównem, na brzegu kubka zgromadził się zielonkawy osad. Wewnątrz chlupotała przynajmniej setka. Karol pomyślał o swoim ojcu, który pół litra wypijał na śniadanie, potem o wypadku i swojej rodzinie.

- Nie oferuję ci nic prócz cierpienia - powiedział Kamiński. Karol chciał podnieść dłoń z kubkiem do ust, ale Rosjanin go powstrzymał. Szepnął:

- Jest coś jeszcze. Będę musiał zostawić coś dla ciebie.

- Co takiego? - zapytał Karol, tak cicho i naiwnie, że Rosjanin wybuchnął szczerym śmiechem.

- Jak byłem na wojnie, widziałem różne rzeczy, na przykład młodego Niemca, któremu rozpruliśmy brzuch, włali tam spirytusu i podpalili. Krzyczał pod niebiosa i ten jego wrzask został ze mną na lata. Dam ci właśnie coś takiego, co będzie z tobą, aż nie umrzesz.

Wymienili krótkie spojrzenia. Pociągiem zatrzęsło. Karol przypomniał sobie dzień, w którym zdał egzamin na studia, wieczór, kiedy poznał Marzenę, i narodziny Kacpra. Kamiński uwolnił jego rękę i wrócił na siedzenie. Karol wypił do dna.

* * *

Wysiedli w Katowicach i Karol nie protestował, kiedy Kamiński zarządził przesiadkę do pierwszego lepszego pociągu. Padło na osobowy do Krakowa, pełen studentów z nosami w zbindowanych kserówkach i ponurych żołnierzy wracających z przepustki. Karol obawiał się, że Rosjanin każe mu pić. Niepotrzebnie. Konstanty Mikołajewicz pociągał z butelki, ale już nie częstował. Za oknem przesuwiał się czerwony Śląsk.

Nie zdążyli zasiedzieć się w długim przedziale, gdy Kamiński podniósł się i wysiadł bez słowa na jakiejś małej stacji, której nazwy Karol nawet nie zapamiętał. Podążył za Rosjaninem do przystanku autobusowego i znów pojechali w niewiadomym kierunku. Wnętrze pojazdu było prawie puste, na przedzie dwóch mężczyzn w średnim wieku piło mocną tatrę z puszek, a tył okupowali młodzi w dresach z bazaru. Jechali tak prawie godzinę, przez szare śląskie wsie.

Kamiński powiedział, że wysiądą na przedostatnim przystanku, bo wieś, która się tam znajduje, jest wystarczająco niewielka. Karol zgłodniał, więc zjedli kielbasę z grilla w pobliskiej knajpie, paskudnej jak lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. Rosjanin wskazał na butelkę wyborowej, powiedział, że ta będzie dobra, i Karol kupił ją bez słowa. Myślał, że Kamiński zna tutaj kogoś, ale nie - szli w ciszy między domami, nad nimi wisiał księżyc, płonęły światła latarni, aż doszli na skraj wsi.

Przed nimi wyrosło łagodne wzniesienie, zwieńczone czapą lasu. Prowadziła tam droga między polami. Kamiński został nieco z tyłu i Karola zaczęły ogarniać wątpliwości. Nie wiedział, że istnieje taki rodzaj prawdy, jaki można zgłębić jedynie na wycieczce. Zerkał na siebie i drżał - co jeśli Rosjanin dybie na jego życie? Ma powód, a wypracował sobie

okazję. Zabije Karola, a ciało ukryje w lesie. Rozejrzał się, ale nie znalazł niczego do obrony. Zastanawiał się, czy nie uciec. Nie miał dokąd.

- Daleko jeszcze? - zapytał.

- Nie wiem - padła odpowiedź.

Dotarli na skraj lasu i usiedli. Panowała cisza, a ziemia była mokra. Za ich plecami las rozszeptał się i rozszeleścił, poniżej migotały okna wiejskich domów i światła samochodów, a niebo rozjaśniły gwiazdy. Karol przez ostatnie lata poruszał się od miasta do miasta i niemal zapomniał, jak wiele gwiazd może być na niebie w bezchmurną noc, tak blisko, że można by je pozejmować jak ozdoby i zabrać ze sobą. Ale najpiękniejszy był pulchny miesiąc, poorana kraterami biała tarcza.

- Nie powinienem w ogóle pamiętać takich rzeczy - zaczął Rosjanin - ale jako pętek leżałem tak sobie do późna i tworzyłem całe światy, myślałem, kto żyje na jakiej gwiazdzie i czy kiedyś się skontaktujemy. Wydawało mi się, że na Księżycu żyją ludzie tacy jak my, tylko są pozłacani.

Odbił flaszkę i podał Karolowi, a w czasie gdy ten walczył z mdłościami, wygrzebał paczkę czerwonych marlboro, ułamał filtr i zapalił.

- Suszę je na piecyku. Nie ma już wcale dobrych papierosów - wyjaśnił. - A najpiękniej było w zimie. Jakie mamy zimy w Rosji, to sobie dośpiewaj. No, w każdym razie, może słyszałeś taką historię, że Amerykanie wcale nie wylądowali na Księżycu, ale nakręcili w Teksasie mistyfikację i to ona poszła w świat.

- Było coś takiego - przyznał Karol.

- Więc właśnie. Prawda jest jeszcze inna. Amerykanie rzeczywiście wylądowali na Księżycu i zaraz, w pośpiechu, nakręcili film, który znamy. Tego, co tam zobaczyli, nie chcieli nikomu pokazać. Albo nie mogli, skąd ja to mam wiedzieć? Wiem za to, co widzieli, bo byłem tam wcześniej. Tak - westchnął. Podał butelkę, wskazał na srebrną tarczę. - Byłem tam w sześćdziesiątym szóstym, trzy lata przed Armstrongiem.

* * *

Urodziłem się na wsi, 16 kwietnia 1935 roku, czyli mam ponad siedemdziesiąt lat. Trzymam się doskonale, co pewno w innych okolicznościach uznałbym za zabawne. Lubię myśleć, że on, tam w górze, od początku określał moje życie, wcale nie dlatego, rozumiesz, że urodziłem się w nocy, ale pamiętam tę naszą białą sowiecką zimę, w tym wielkim nigdzie, dwieście kilometrów od Moskwy, czyli w dupie. Ale pamiętam lodowate noce, tego sukinsyna na niebie i siebie samego, pomykającego w walonkach przez śnieg.

Rodzice byli biedni, ledwo nam starczało, to żadna nowość, bo u nas mało kto miał cokolwiek. Obiecywałem sobie, że jak tylko urosnę, wyruszę na wyprawę i wrócę z wielkim skarbem. Może dlatego że byłem najstarszy z całej czwórki. Zwisiałem więc na rękach, prosiłem brata, żeby ciągnął mnie za nogi, a wieczorami długo klęczałem, prosząc Boga, żebym urósł najszybciej i mógł już wyruszyć. Bóg chyba mnie nie słuchał albo zrobił na przekór, bo nawet bracia mnie przegonili. To, że jestem niski, bardzo mi potem pomogło, no a w czterdziestym pierwszym przyszli Niemcy.

Wszyscy byli przerażeni, tylko ja reagowałem inaczej. U nas zawsze wszystko wisiało na włosku, w tej naszej wiosce Czesturce, tam straszny burdel był i wszystko, ludzie, domy i zwierzęta, wyglądało, jakby zaraz miało się rozpaść. Mnie oczarował majestat niemieckich czołgów. Żołnierze byli wyżsi, jak przybysze z innego świata, może z Księżyca właśnie? Ludzie się bali, ale, przynajmniej na początku, niepotrzebnie. Niemcy po prostu przejechali, jeden oddział został. Z początku nic się nie działo. Porozstawiali nas po kątach, ale nic więcej, zawsze ktoś nas rozstawiał.

Był jednak jeden Niemiec w stopniu porucznika, przeuroczy człowiek o twarzy pocziwego mnicha, nazywał się Josef, nazwiska nie pamiętam, ale wszyscy mówili na niego „Filozof”. Wybacz, to zupełnie bez związku, tak po prostu było. Więc nazywaliśmy go Filozofem. Podróżował z książkami i często siadał przy ogniu i czytał na głos, po niemiecku, fragmenty Hegla, Rilkego, Schopenhauera. Znał trochę rosyjski, niewiele mówił, ale rozumiał nas. Lubił słuchać, lubił też bimber.

W sąsiednim domu mieszkał chłopak. Starszy ode mnie, nazywał się Jurij. Nie, nie ten Jurij, co myślisz. Więc nasz Jurij też był trochę inteligentem, to znaczy czytywał broszurki partyjne, biografie sowieckich wodzów i bohaterów, do tego tych kilka powieści, które były w naszej szkole. Opowiadał, jak to kiedyś wyjedzie do Moskwy, tam zostanie pisarzem i wszyscy, zwłaszcza dziewczyny, będą się w nim kochać. Na razie się nie kochały, Jurij był słaby i nie umiał biegać. Biliśmy go, ale nie mocno. I Jurij zakolegował się z Josefem Filozofem. Wiele rozmawiali. Josef próbował opowiadać mu o filozofach, a Jurij rewanżował się swoimi przemyśleniami na temat życia i innych drobiazgów, opowiadał mu o duchach, upiorach i bobolakach, w które wierzyliśmy jako dzieci.

Ludzie różne rzeczy mówili. Że Filozof przekabacił Jurija i chłopak uwierzył, że jest Niemcem, czy tam innym Übermenschem, i zaczął donosić na sąsiadów i rodzinę. Moim zdaniem to nieprawda, ojciec by go prześwięcił, a Jurij był tchórzem. Zresztą dostawał baty za zadawanie się z Niemcem, nie przestał jednak. Nikt go nie lubił, poza Niemcem właśnie, a potem, na wiosnę 1942 roku, Josef Filozof wydłubał Jurijowi oczy bagnetem.

Byłem za mały, żeby zrozumieć, dlaczego tak zrobił, a teraz mogę się tylko domyślać. Chyba chciał się dowiedzieć, jak ślepiec będzie odbierał świat. Wciąż szukał kontaktu z Jurijem, choć tak go okaleczył. Pytał o odczuwanie kształtów, kolorów i dźwięków. Niemiec wierzył, że przestrzeń jest iluzją, zbudowaną przez zmysł wzroku, i gdybyśmy wyłącznie słyszeli i czuli, świat byłby zupełnie inny. Na przykład przedział, w którym siedzieliśmy kilka godzin temu, byłby wyższy albo węższy. Niestety, nie wiem, co Jurij opowiadał potem Filozofowi, wiem za to, jak ta historia się skończyła.

Jurij spędzał całe dni w chacie, jęczał i dopiero w lecie wychodził na krótkie spacerunki. Pamiętam jego drobną sylwetkę na tle lasu. Szedł powoli, kijem badał drogę. A potem nastąpił rok 1943 i Stalin zmusił hitlerowców do odwrotu. Przez wiele miesięcy ojciec Jurija i inni ludzie z Czesturki zachowywali się tak, jakby w ogóle nie obchodził ich los tego chłopaka, pili nawet z Josefem Filozofem, moja matka przynosiła mu mleko. Aż pewnego dnia poszli do niego w sześcioro, związali go i pociągnęli do lasu. Słyszeliśmy na przemian jego wrzaski i grzmot dział Armii Czerwonej.

Nie zabili Josefa. Nie od razu. Błagał o litość, do dziś pamiętam ten skowyt, czyste przerażenie, ale ludzie z Czesturki byli nieubłagani. Oblali mu twarz benzyną i podpalili, odrąbali prawą dłoń i z broczącym kikutem, ślepego, o spalonych ustach, popędzili w las.

Tego samego dnia przypadł także Jurij. Nikt nie wie, co się z nim stało. Zabrał kij i odszedł. Ludzie potem mówili, że w lesie znaleziono dwa oślepienie trupy, splecione w morderczym uścisku. Trzeba było pochować je w jednym grobie, bo nikt nie umiał ich rozdzielić. Może to nieprawda. Inni znów przysięgali, że z lasu dobiegają potworne wrzaski, między drzewami widziano tajemnicze cienie, w śniegu znajdowano ślady człowieka, wspierającego się o lasce, a jak ludzie zaczęli zostawiać za oknem miski z zupą, rano zawsze były puste. Nie mówię ci tego po to, żebyś się przeraził. Powinieneś zrozumieć, czemu tak bardzo chciałem opuścić Czesturkę.

Poszedłem do przyzakładowej szkoły mechanicznej. Nie byłem dobrym uczniem, ale żałowałem, że szkoła się skończyła, bo trzeba było iść do fabryki. To nie tak jak teraz. Kraj leżał w gruzach i wiadomo, sam by się nie odbudował. A mnie się nie chciało, właściwie to nie chciało się nikomu. Myślałem, że jak jeszcze się pouczę, to więcej zarobię, żeby pomóc rodzicom, ale to nieprawda. Wielu kolegów, tak jak ja, słało pisma do Moskwy, no ale mnie akurat odpowiedzieli, dostałem paszport i mogłem uczyć się dalej, w technikum, w szkole przemysłowej.

Tu było już inaczej. Myślę, że byłem za stary, żeby uczyć się jak trzeba i, poza fizyką, nie szło mi zbyt dobrze. Co innego sport. W tym byłem naprawdę dobry, poza siatkówką, bo

jestem za niski. Ćwiczyłem zapasy, umiałem podciągnąć się kilkanaście razy na jednej ręce, zrobić salto bez rozbiegu, no i co tu kryć, rozstawiałem ludzi po kątach. To jeszcze pal sześć, patrzono na mnie wilkiem, bo pokochałem władzę ludową z wzajemnością. Możesz pukać się w czoło, ale było to przynajmniej szczere. Nie napatrzyłem się, po prostu, a w wieku szesnastu lat wiesz jedno, krasnoarmiejec krasnoarmiejcem, enkawudzista enkawudzistą, ale to Niemiec wydłubywał ludziom oczy i oni Niemcu pogonili kota.

Wtedy pojawili się ludzie z aeroklubu. Nie ma w tym nic dziwnego, wszędzie chodzili. Potraciliśmy masę lotników w czasie wojny, prawdę mówiąc, wszystko żeśmy potracili. Wzięli mnie. Latałem na UT-2, na jakach i paliłem trojki, jak na pilota przystało. Słyszałeś, że Jura Gagarin zawsze latał z poduszką pod tyłkiem? Też tak robiłem.

Może brzmi to naiwnie, ale jako pilot wreszcie znalazłem cel i sens. Wiem to oczywiście teraz. Wtedy zwyczajnie czułem się na miejscu i nic mnie nie złościło. To był lepszy świat, choć trzeba było się napocić.

Dziewczyny nas lubiły, a to dlatego że jednak wyglądaliśmy kapkę lepiej od reszty tałałajstwa w latach pięćdziesiątych. Poza tym, wiadomo, należeliśmy do Komsomołu. Tyle że czasu nie było. Spotykaliśmy się głównie na niedzielnych potańcówkach. Potańcówka, filozofie, słyszałeś jeszcze o takich fantazjach? Poza tym parzyliśmy się jak króliki. Rozumiesz, to był Związek Radziecki, nie mieliśmy telewizji ani internetu. I tak idę o zakład, że młodzi, jakby wiedzieli, zamieniliby się ze mną. Im brzydsze czasy, tym więcej koloru tu, w środku, w człowieku. Tęskni się.

Wiedziałem, że moje życie zmieni się, prędzej czy później. Padło na rok 1959, dobry czas, miałem dwadzieścia cztery lata i byłem taki silny, że, przysięgam, zgniótlbym cały świat w rękach. Przyszła do nas komisja werbunkowa, bez zapowiedzi, i nikt nie miał pojęcia, o co tym ludziom chodzi. Potem dowiedziałem się, że takie komisje zjechały cały kraj. Chciano rozmawiać z wybranymi kilkunastoma pilotami, w tym także ze mną. Wkrótce wezwano nas do Szpitala Wojskowego Burdenki. Pojechałem do Moskwy.

Wiedziałem, kurwa, że nie będzie wesoło. O mało tam nie zwariowałem, nie tylko dlatego że Moskwa to betonowy kolos wypełniony smutnymi ludźmi. Badali mnie do znudzenia, u samego okulisty byłem tyle razy, że nauczyłem się na pamięć całej tablicy z literkami. Pukali, stukali i coś mówili, zorientowałem się szybko, że sprawa jest poważna, ale nie miałem pojęcia, o co tak naprawdę chodzi. Nic nam nie mówiono. Niektóre testy to było czyste wariactwo. Posadzili mnie na przykład wraz z innymi na teście matematycznym. Nie bałem się tego. Z matematyki akurat byłem niezły, choć te zadania okazały się dosyć trudne. Dali nam słuchawki, zastanawiałem się po co, zaczęliśmy pisać i w tych słuchawkach

usłyszałem podpowiedzi kogoś życzliwego. Nie trzeba było orła, by zrozumieć, że ten słodki głos podpowiada same błędne rozwiązania. Spróbuj myśleć, kiedy ktoś nieustannie plecie ci androny do ucha. Straszna sprawa.

Zjawili się znowu, tym razem zagraли w otwarte karty. Od początku pytałem, o co chodzi, czemu się mną interesują i do czego mam być pomocny. Usłyszałem, że poszukują wyjątkowo zdolnych pilotów do oblatywania prototypów maszyn i ja akurat się nadam. Co to za maszyny, pytam, myślałem, że jakieś samoloty albo helikoptery, a oni prosto z mostu - będziecie, towarzyszu, latać raketami. Minęła chwila, nim zrozumiałem, o co naprawdę chodzi, i uwierz mi, naprawdę nie myślałem o przygodzie. Zgodziłem się, nie przewidując, co stanie się potem. Wyobraźnię miałem tak małą, że nie przewidziałem nawet tego skurwysyna Kamanina - stalinowskie bydlę, zainteresowane dręczeniem innych i własnymi orderami. Nieważne, mówię ci to tylko dlatego, żebyś wiedział, że nie robiłem za księcia z bajki. Ani ja, ani koledzy.

Opuściłem bazę, pożegnałem się z Uralem - mam na myśli rzekę Ural, Rosja dla takich jak ty to przecież biała plama - i pojechałem. No i byłem przerażony. Tiuratom, słyszałeś o tym? Bajkonur to wymyślili dla takich jak ty. Jak tam jechałem, pomyślałem, że nie wrócę. Zrozum, to było zupełnie inne miejsce, niż teraz pokazują. Jechaliśmy przez las, taką zwykłą drogą, tyle że utwardzoną, a gdyby nie szlaban, można by pomyśleć, że zmierzamy do tartaku, po drewno. Potem wieżyczka strażnicza i nasz ośrodek. Duży, ale nie wykończony. Pomyliłem się zresztą - tam brakowało wszystkiego i na wiele zajęć i testów musiałem wracać do Moskwy.

Mnóstwo moich kolegów, urodzonych w Moskwie, Leningradzie, Kijowie czy innym większym mieście, przeklinało warunki życia w Tiuratom. No, ja im się jednak dziwię. W porównaniu z izbą, gdzie spędziłem dzieciństwo, mój pokój przypominał pałac, choć to zabawne, gdy o tym teraz mówię. Miałem lodówkę, biurko, stół, właściwie wszystko, co trzeba. Spałem na łóżku z twardym materacem, ale kołdra była ciepła. Ci durnie narzekali, francuskie pieski, jakby nie wiedzieli, że część inżynierów, nawet Siergiej, przyjechało wprost z głębi Syberii, więc mówię, pokaż mi celę więzienną, która wygląda lepiej niż nasze.

Jeśli coś znosiłem z trudem, to klimat, ten to dawał po krzyżu. Step, rozumiesz, w lecie upały, lodowate zimy. Starsi mówili mi, że jak tu przyjechali, to nic nie było, tylko wiatr szalał, zaczynali od zera. Najpierw namioty, potem baraki, a teraz jeden gnój z drugim narzekał na swój pokoik. Zresztą zaraz można było poznać, kto jest kto, jak ktoś gówno znał, śnił o apartamentach, porządni ludzie cieszyli się tym, co mają. Pamiętali wojnę, wiedzieli, gdzie żyją. No, Herman się z tego wyłączał, bez przerwy kręcił nosem i szlag mnie

trafiał, jak cytował te swoje wiersze, po co komu poezja w kosmosie. Teraz myślę, że mu wolno było. Niektórym wolno, a niektórym nie. W ogóle poznałem trochę ludzi, nie mogę powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi, ale panowała wzajemna, powiedzmy, serdeczność. Takie wielkie klepanie po plecach.

Na przykład Jura, ten był prawdziwy. Jak poleciał i wrócił, to zjechał świat i ścisnął się z gwiazdami, a dało się z nim pogadać normalnie i napić. Och, ten to pił, myślałem wtedy, że w kosmosie zobaczył coś, o czym chciał zapomnieć. Przecież o mało tam nie umarł. A i jajcarz był, pamiętam, raz po wódce w ośrodku poszedł do panienki jakiejś, co tam pracowała, za chwilę ktoś wpada i mówi, że Jurę trzeba ostrzec, bo żona węszy. Było już za późno, a Jura, jak to Jura: żona stuka do drzwi, a on skoczył oknem i się połamał. Kupa śmiechu, mało za to nie poleciał, i to wcale nie znów w kosmos.

Mówię, że wrócił pierwszy, ale pierwszy nie poleciał przecież. Dokładnie ci tego nie opowiem, bo wtedy jeszcze mnie tam nie było. Jak tylko nieszczęsna Łajka poszła w kosmos, ludzie od Siergieja otrzymywali setki listów, głównie od więźniów z długoletnimi wyrokami, którzy wręcz błagali, żeby ich tylko wysłać w kosmos, czyli w cholere, i wcale nie ściągać z powrotem. No i tak robiono. Nawet oficerowie się zgłaszali. Nie wiem, ilu tam tych biednych krąży, szkielety w martwych statkach, bo jak tak robiono, jeszcze nie byłem kosmonautą.

Tak ci teraz o tym opowiadam, a wówczas, w latach sześćdziesiątych, wszyscy szaleli z tajemnicą. Właściwie nikt nic nie wiedział, a ci, co wiedzieli, kłamali albo trzymali gęby na kłódkę. Telewizja kręciła fałszywe wejścia do rakiet. O celach treningów, o tym, kto wreszcie poleciał, dowiadaliśmy się w ostatniej chwili. Sukcesy oczywiście rozgłaszano, ale na zewnątrz nikt nie wiedział, skąd one się brały. Po części można było to zrozumieć, choćby dlatego że mnóstwo ludzi poginęło. Co z tego na przykład, że Jura poleciał w kosmos przed Amerykanami, skoro iluś tam biedaków wcześniej krążyło na orbicie, a niecały rok przed lotem Jury jeden wybuch na wyrzutni rozerwał prawie dwustu ludzi. Mnie nawet o tym nie mówiono, człowiek słyszał jak legendę z lasu.

Czas wypełniały mi żmudne treningi. Nieustannie musieliśmy ćwiczyć na batucie i z ciężarami, co nawet polubiłem. Za nauką nie przepadałem i może dlatego dobrze mi szła. Poświęcałem tyle czasu, ile było trzeba, żeby zrobić swoje i nie mieć kłopotów. Ech, same bzdury. Przerobiłem astronomię, nawigację, fizykę, mechanikę ciał niebieskich, dużo o konstrukcji rakiet i silników. Ale były rzeczy trudne do wytrzymania. Na przykład zamykali nas w takiej komorze. Tam mało co było, biurko, stół, kuchenka elektryczna. Nie wiedziałeś, jak długo tam będziesz siedzieć i nie mogeś ze sobą nic zabrać. Żadnych książek, gazet czy szkicownika, żeby sobie czas uprzyjemnić. O pogadaniu z kimkolwiek nie było mowy,

czasem tylko ktoś z obsługi się zlitował i powiedział parę słów. Brakowało okien i zegara. Nie wiedziałem, dzień to czy noc, czasem, jak wołałem, nikt nie odpowiadał. Nieustannie zmieniano ciśnienie wewnątrz, a ja jeszcze musiałem zapisywać w notatniku, jak akurat się mam.

Dawali mi różne zadania do wykonania. Rozwiązywałem długie równania, robiłem testy i gimnastykowałem się na życzenie ludzi, którzy mnie obsługiwali. Brakowało wody, żeby coś ugotować, i jak na złość jakiś sukinsyn manipulował światłem. Czasem musiałem ćwiczyć w ciemności, a znów jak zasypiałem, lampa się zapalała i świeciła w oczy. Wpompowywali dwutlenek węgla, aż traciłem przytomność. Mogłem tylko wyobrażać sobie, czemu to wszystko służyło.

Niektórzy umierali. Niedługo po moim przyjeździe zginął Wala, człowiek, którego polubiłem. Zrobili mu to samo, co potem mnie. Zamknęli w komorze, podnieśli poziom tlenu, bo wtedy jeszcze były skafandry z czystym tlenem. Ludzie, którzy opowiadali mi, co się stało, byli naprawdę przerażeni. Wala źle obsłużył kuchenkę, a ogień błyskawicznie wypełnił komorę i jeszcze nie mogli jej otworzyć przez tę pieprzoną różnicę ciśnień. Gość spłonął, wyciągnęli żywy węgielek. Chciałem go odwiedzić w szpitalu. Umarł, nim przyjechałem.

Pewno myślisz, czemu w tym siedziałem i czy nie bałem się śmierci. No pewnie, że się bałem. Ale nigdy nie będzie takich czasów. Wtedy to przeczuwałem, teraz rozumiem, że jak w tych głupich filmach, będziemy latać od gwiazdy do gwiazdy, ale nigdy już człowiek nie będzie odrywał się od Ziemi jako więzień i wolny człowiek jednocześnie, na byle czym, byle dokąd, z tej zimnej, obesranej Ziemi. Wtedy - po prostu byłeś kimś. Teraz ludzie nie rozumieją. Nawet Rosjanie.

Ty też mnie nie zrozumiesz, filozofie, więc poopowiadam jeszcze, jak trenowaliśmy. Potem, już niedługo, dowiesz się, jak poleciałem i co zobaczyłem. Jeśli komora ciśnieniowa była nie do wytrzymania, to o wirówce powiem tyle dobrego, że siedziało się w niej krócej. Nie ma co rozpaczać, każdy to przechodził. Kręciłeś się jak wariat, nie mogłeś zamknąć oczu, ledwo łapałeś oddech, a najdziwniejsze było to, co działo się z twoją krwią. Czułem, jak w żyłach krąży mi płynna stal, a potem, słuchaj, było jeszcze dziwniej - wydawało ci się, że cały jesteś własną ręką albo czołem, a potem tak jakbyś wlatywał nad swoje własne ciało, i choć może ciekawie to brzmi, uwierz mi, że za cholerę nie znalazłbyś w tym nic przyjemnego. Orzelki, tak o nas mówiono.

Do tego dochodziły kłopoty z trenowaniem stanu nieważkości, co po części rozwiązano, za to w stylu iście sowieckim. Mieliśmy tylko jeden budynek wystarczająco wysoki, żeby spuszczać windę w szybie. Wtedy unosiłem się na parę sekund. Miałem

wrażenie, że cały świat kopie mnie w dupę.

Opowiadam ci o wirowaniu i fruwanu w windzie, a o ludziach ci nie opowiadam. Mnóstwo się ich przewijało, tak że jak nawet ktoś umarł, trudno go było żałować. Czasu brakowało, zawiści za to mieliśmy pod dostatkiem. W takim świecie łatwo zawierać przyjaźnie, łatwo też je zrywać. Znałem na przykład Mikołaja Klarewicza, na którego mówiliśmy Klarek. Okazał się ważny w tym, co się wydarzyło. Jakoś nas razem łączono, a Klarek mnie złościł. Był typem wyniosłego sowieckiego inteligenta, któremu zamarzyło się latanie w kosmos. Nadzwyczaj sprawny i chyba bystry, nieustannie cytował klasyków, przerzucał się sentencjami i miał równie wiele do powiedzenia o ruchach międzyplanetarnych, co o Puszkynie i Tołstoj. Prosił się o strzał w pysk, ale myślę, że by mnie zagadał.

Klarek był też czerwoną świnią, a nie donosił tylko dlatego, że przy nim rozmawiało się głównie o trajektorjach lotu i o tym, jak byłoby wspaniale zrobić coś dla czerwonej ojczyzny. Nie myśl, że teraz jestem mądry, bo myśmy naprawdę wierzyli w komunizm. Siebie rozumiem świetnie i nawet czułem rodzaj wdzięczności do państwa, które przecież wykształciło mnie i wykarmiło. Są tacy, co mieli zadry, wielu siedziało, ale nawet oni nie odpuszczali, popierali ustrój, mimo własnych krzywd. Może dlatego że gwiazdy były bliżej. Teraz tobym Klarka nie oceniał, a wtedy oceniałem. Był karykaturalny nawet jak na swoje czasy, łąził i gadał bzdury, a wiadomo, nikt nie mógł się odezwać.

Pech, a może szczęście sprawiło, że dzieliliśmy razem pokój na Krymie, gdzie mieliśmy ośrodek wypoczynkowy. Raz przegrzebałem jego rzeczy. Każdy by tak zrobił. Na samym dnie znalazłem Biblię, tak zaczytaną, że kartki się rozpadały, i krzyżyk na łańcuszku. Pomyślałem, że to ważne dla niego, skoro zabrał ze sobą. Schowałem i nic. Dwa dni później, przed obiadem, mówię: Mikołaju Klarewiczu, a może byśmy się tak napili? A on, że dobrze. Więc wyjąłem szklanki, pijemy, jak jedna butelka poszła, to z recepcji przyniosłem następną, a jak się kończyła, to pytam, tak z głupia: wy to tak mówicie pięknie o tym komunizmie, a Biblię czytacie, i jeszcze widziałem, jak modlicie się po cichutku. To było trafione, choć zmyśliłem. Klarek odstawił szklankę i patrzył na mnie tymi wielkimi, przerażonymi oczyma. Pewno dureń ubrdał sobie, że zamierzam na niego donieść, więc odparłem, że to cholernie śmieszne - chodzi w butach wielkiego komunisty, a po kryjomu klepie paciorki. Poklepałem go nawet po koleżeńsku i cały zespół na tym wygrał. Klarek uspokoił się, stulił pysk, a my mieliśmy spokój. To z nim potem polecałem.

Było wielu ludzi, o których powinienem opowiedzieć, a ty chętnie byś posłuchał, tyle że czasu nam brakuje. Opowiem ci o Siergiejju, dobrym człowieku, Siergiejju Korolowie. Nie

znałem go dobrze, ale do dziś pamiętam jego krępą sylwetkę i kwadratowy łeb, wyrastający niemal wprost z korpusu. Nie mógł się zresztą obejrzeć ani otworzyć szerzej ust. Przyjechał do nas z Kołomy, gdzie trafił jeszcze przed wojną. Nawet dla mnie było to dziwne, siedział przecież, a służył, jakby o tym zapomniał. W ogóle był dziwny. Nikt nie rozumiał, w jaki sposób może robić tyle rzeczy jednocześnie; doglądał technicznych szczegółów, zbierał drobiazgowo opinie, czytał każdą i odpowiadał bez wyjątku, wreszcie, nieustannie zasuwał do Moskwy, zabiegać o konkretne projekty i wyprosić jakieś pieniądze. Myślę, że był więźniem aż do śmierci. Wtedy nikt na zewnątrz o nim nie słyszał.

Jeszcze raz, mało kto wiedział o czymkolwiek, ale gdzieś pod koniec 1963 roku stało się jasne, że trwają prace nad jakimś szerzej zakrojonym przedsięwzięciem. Każdy, kto znał Siergieja, wiedział, że może to być tylko Księżyc. Brakowało oczywiście sprzętu i pieniędzy, za to mieliśmy niezłe zdjęcia, jak mi mówiono na pocieszenie. Wszyscy domyślaliśmy się, że sprawa nabiera rozpędu, a ja zaczynałem rozumieć, że wezmę w niej udział. Wraz z sześcioma innymi kosmonautami dostaliśmy nową, bardziej intensywną rozpiskę treningów, zaczęły też dochodzić pogłoski z innych bloków: że obniżono ciężar rakiety prawie o połowę, że zbudowano nowość, komputer do dziwacznych obliczeń, a ludzie wariują, bo trzeba zmienić skład atmosfery w skafandrze kosmicznym i nie wiadomo, co z tym dalej.

No i wyjaśniło się. Przyszła komisja, już druga ważna komisja w moim życiu, i powiedziała: polecicie na Księżyc, towarzyszu Konstantinie Mikołajewiczu. Myślałem, że żartują, czemu ja, a nie ktoś znany, choćby Jura, który jeszcze żył, Herman, któremu to się należało, albo Popow. Dopiero potem zrozumiałem, że po mnie łatwiej posprzątać i pasuję do profilu, jak Jura wcześniej. Prosty chłopak, syn wsi radzieckiej, wbija czerwoną flagę w powierzchnię Księżyca.

Myślę, że każdy kosmonauta, nawet tak cyniczny jak Herman albo Klarek, jest po części małym chłopcem, i taką właśnie chłopięcą radość wówczas przeżyłem. Miałem ochotę podskoczyć - ja i Księżyc, polecę, i to tam, po tylu latach mordegi. Wbiję flagę, a potem świat padnie mi do stóp. Będą wozić mnie po świecie, do Grecji, na Kubę, zobaczą Montreal, Kalifornię i niech mnie szlag, jeśli przeminę. Wróciłem do siebie jak na skrzydłach i dopiero w czterech ścianach złapałem się za głowę - przecież mogę tam umrzeć.

I tak to wyglądało. Mój dzień się skurczył, a że plotka rąca, wszyscy dziwnie na mnie patrzyli, jakby zazdrościli perspektywy śmierci. Sprawa była szalona i niemal bez szans powodzenia, do tego lot rozgrywał się w cieniu wcześniejszych wypadków. Wysilek Sowietów przerastał, brakowało pieniędzy i mnóstwa technicznych udoskonaleń, do tego dochodziła dziwna polityka Moskwy. Raz zapął, raz zniechęcenie, zwłaszcza gdy

przychodziło do płacenia. Z perspektywy lat wygląda to śmiesznie, ale niektórzy, nawet nasi naukowcy, naprawdę myśleli, że za chwilę będziemy latać na inne planety.

Dowiedziałem się, że lecę z Klarkiem i że razem wylądujemy. Nie potrafię zrozumieć tego wyboru. Jeśli on, to czemu ja, i na odwrót? Może właśnie tu kryje się odpowiedź: uzupełnialiśmy się wzajemnie, także w tym, że nikt by nas nie żałował.

Plan wykorzystywał nową raketę nośną, którą niedawno zbudowano i której ulepszone wersje, co może cię zdziwi, latają do dzisiaj, a całość planu brutalnie zgrabiono Amerykanom. Przecież te środowiska się przenikały, od nas ludzie też szpiegowali. Ech, więc i tak wyglądało to karkołomnie. Mieliśmy wylecieć na ziemską orbitę, a dopiero stamtąd, częścią rakiety, polecieć dalej, na Księżyc, właściwie jego orbitę, i tam przesiąść się w lądownik, co było kurewsko zabawne z perspektywy czasu i o czym ci opowiem. Spacer księżycowy miał trwać cztery godziny. Wracaliśmy bezpośrednio na Ziemię, lądując w lądowniku, na spadochronach.

Celem lotu była Zatoka Tęczy. Widziana z dołu albo na zdjęciach jest przepiękna. Nawet teraz żałuję, że nie mogę ci jej pokazać. Tam jest. O, tam. To półokrąg, otoczony górami, na północno-wschodniej części tarczy Księżyca, bardzo dobre miejsce do lądowania. Słyszałem, że później lądowały tam bezzałogowe satelity, ale to nieprawda. My byliśmy pierwsi i jedyni.

Spróbowałem porozmawiać z Klarkiem. Nie żebym go polubił, ale chciałem wiedzieć o nim coś więcej niż to, że często się modli i że jest cepem. Zawiódł mnie trochę, sprawiając wrażenie gościa zupełnie pozbawionego strachu i wątpliwości. Opowiadał o szczęściu, jakie nas spotkało, truł o odpowiedzialności względem historii i Związku Sowieckiego, twierdząc zarazem, że przyszła sława lub śmierć gównu powinny mnie interesować. Miałem mu zaufać, a nie wyklócać się o bzdury, zresztą w jego słowach i rozpalonych oczach dostrzegłem coś cholernie autentycznego i chyba zrozumiałem, że ten arogant, tępak i cichociemny dewot jest oddany programowi lotów tak samo jak Siergiej. Był tak irytujący, że wcześniej mi to umknęło.

Nie będę cię zanudzał. Bałem się, że nie zdołam zasnąć, ale przekimałem całą noc. Obudziłem się wypoczęty i przerażony. Jeszcze mnie przebadali, wtedy spotkałem Klarka. Sprawiał wrażenie, że zaraz sam polecą w chmury. Po prostu oderwie mnie od ziemi. Potem założyli mi skafander. Musieliśmy cały czas latać w skafandrach, odkąd podczas jednego z lotów trzech kosmonautów zginęło w efekcie rozhermetyzowania się kabiny. Śmiać mi się chce teraz, jak oglądam filmy o przyszłości. Musisz wiedzieć, że choć w moim zawodzie było mnóstwo pięknych rzeczy, to skafander był gówniany. Bardzo ciężki, z jednej bryły.

Wchodziło się przez klapę na plecach, którą mogłem sobie sam otworzyć, operując linką i wajchą z boku. Oczywiście nikt o zdrowych zmysłach by z tego nie skorzystał.

Zabawne. Niewiele pamiętam z samej jazdy na wyrzutnię, nie wiem też, co do mnie mówiono. Wojsko filmowało, ale, co znamienne, kazali nam obu opuścić przyłbice skafandrów, żeby były trudności z rozpoznaniem. Wiele słów padło tego poranka. Rakiety startowały właściwie o każdej porze. Tego ranka jednak świeciło jaskrawe słońce. Klarek wszedł pierwszy. Pytali nas, jak się mamy, czy nie jest nam nudno, a nawet puścili jakiś kawałek, piosenkę o kochaniu czy czymś podobnym. Było nas tam dwóch facetów zamkniętych ze sobą. Taki żart. Polecieliśmy.

Pierwszy moment jest okropny ze względu na ryzyko awarii. Leżałem w fotelu, widziałem rąbek nieba i wiedziałem, że możemy pierdolnąć w każdej chwili, a wtedy polecę wysoko w górę, tyle że bez rakiety. Tak działał system bezpieczeństwa. Równie dobrze mogło mi odciąć nogi przy odrzucie, a skręcić sobie kark podczas upadku to też żaden problem. Nic takiego się nie stało i w huku oderwaliśmy się od ziemi. Huk jak huk, niepodobny do niczego, co słyszałem wcześniej. Kosmos miał przywitać nas ciszą. Wcisnęło mnie w fotel i z trudem odpowiadałem na głosy z kosmodromu brzęczące w słuchawkach. Gdy odłączyły się pierwsze silniki, poczułem gwałtowne pchnięcie. Powtórzyło się jeszcze kilka razy, przy odrzucaniu kolejnych członów i osłon. A potem nastał spokój. Widziałem czarne niebo.

Wielu moich kolegów fatalnie znosiło stan nieważkości, na przykład Herman omal nie zwymiotował, i nim poleciałem, miałem taką wizję zwróconego śniadania, unoszącego się bez przeszkód w kabinie. Nic z tych rzeczy, i ja, i Klarek czuliśmy się dobrze. Wrażenie można porównać do tego, jakby cię zawiesić na skórzanych pasach, tak poziomo. Było dziwnie, ale to przyjemna dziwność. Na moment zapomnieliśmy nawet o paskudnych warunkach, jakie tam panowały. Głównym problemem podczas lotu była konieczność obniżenia wagi rakiety. Cięli więc objętość kabiny i nie mogliśmy się wyprostować.

Za to mogliśmy nawet patrzeć. Słyszałem brawa z Ziemi, mówiłem, że wszystko w porządku, a gdy zdjąłem na chwilę słuchawki, wcale nie usłyszałem ciszy, której tak oczekiwałem. Czułem się jak w brzuchu wielkiego robota. Pracowały pompy i zawory, szumiały wentylatory i wiatraczki, zabezpieczające przewody przed przegrzaniem.

Zobaczyłem więc Ziemię, przepiękną i ogromną, szalonej intensywności błękitu nie odda ci żadna klisza, żadne zdjęcie, żaden film. Mogłem rozpoznać nie tylko kontynenty, ale nawet pasma górskie i wielkie rzeki. Całą planetę spowijała lekka mgiełka, niebo za to było smoliście czarne. Nie widziałem gwiazd, a to dlatego że w naszej kabinie mieliśmy ostre

światło. Rakieta wykonała obrót i na moment oślepiło mnie słońce. Było ogromne.

Zniknęło i znów patrzyłem na Ziemię, na pomarszczony ocean, grudy gór, i nie wiem, o czym wtedy myślałem ani co meldowałem ludziom na dole. Potem Ziemia mi umknęła. Mogliśmy już zgasić część świateł w kabinie i zobaczyłem gwiazdy, dużo jaśniejsze, większe, niż wydawały się na Ziemi. Także dlatego że niebo miało barwę smoły.

Rosjanie, musisz wiedzieć, nie ufają nikomu, a swoim najmniej. Wszystkim sterowano z Ziemi i czułem się jak pies wysłany w kosmos i oczekujący, aż łaskawie go ściągną. Mogliśmy oczywiście przejść na sterowanie ręczne. Z tym był jednak cyrk. W teorii musielibyśmy otworzyć specjalną kopertę i wstukać kod. Taki test, czy nie poszaleliśmy i możemy sterować statkiem. Siergiej dał nam w tajemnicy te kody. Nie musiałem ich użyć, co nie znaczy, że wróciłem na Ziemię o zdrowych zmysłach.

Wszystko działało prawidłowo. Klarek w ogóle nie wydawał się zaskoczony, ale ja bałem się, że coś nawali w najgorszej chwili. Miałem czas, żeby się martwić. Zrozum mnie dobrze, wszystkim sterował kto inny, a lot na Księżyc to nie spacer do knajpy. Trwa trochę. Miałem Klarka, z którym mogłem się kłócić, trochę zadań, książkę, notatnik, gdzie kazali mi zapisywać wszystko, co przyszło mi do głowy.

Trochę rozmawialiśmy i wydawało mi się, że Klarka przerasta nasze zadanie. Pewno chciałem, żeby go przerazało. Choć próbowaliśmy się dogadać, nie bardzo nam wychodziło. Rozmawialiśmy o pierdołach, o dziewczynach, a przede wszystkim o tym, co będzie, kiedy wrócimy. Lubilem o to zagadywać, bo Klarek bladł i drżącym, nieco dziewczęcym głosem piszczał, ile to dla niego znaczy. Za to zaczął modlić się przy mnie, co wyglądało dość zabawnie. Powiedziałem mu nawet, że może klęczeć głową w dół. Teraz myślę, że to nie było zabawne. Byłem młody i czasy też inne. Czułem się, jakby ktoś onanizował się na moich oczach.

Prędzej dogadywałem się z Ziemią, a jeszcze lepiej z sobą samym. Gdzieś w połowie drogi poczułem się gorzej, ze względu na nieznośną bezradność. Wyobrażałem sobie, że po prostu mkniemy w pustą przestrzeń, gdzie nic na nas nie czeka. Zwierzyłem się Klarkowi z tych lęków, a on powiedział, że czuje się podobnie. Wszelki ruch witaliśmy z wdzięcznością. Nawet jeśli był karkołomny.

Weszliśmy na orbitę Księżyca - widziałem wyraźnie jego niesamowitą tarczę, krateru nieporównywalne z ziemskimi, cudowną nagość skał, całe równiny, z naszej perspektywy pozbawione fałd i zagłębień. No i samą Zatokę Tęczy, niemal równy półokrąg o brzegach z postrzępionych skał. Czasem widzę go nawet teraz, jak zamykam oczy, urzną się albo drzemię pijany.

Manewr lądowania wymagał przedostania się z naszej części rakiety do lądownika. Kłopot w tym, że nie dało się zrobić tego w najbardziej oczywisty sposób. Tu radziecka technika pozostała w tyle za Amerykańcami. Najpierw poszedł Klarek, potem ja. W kosmos. Teraz gdy o tym opowiadam, wydaje się to cholernie rzeczywiste, tak jak oszołomienie wtedy. Niby nic nie czujesz, oddychasz sztucznym powietrzem, a tu nagle, jak myślałem, wystawiasz sowiecki łeb w przestrzeń bez granic. Nigdy nie przypuszczałem, że będę mógł się zastanawiać nad takimi rzeczami.

Myślałem, a przede wszystkim zżerał mnie strach. Skafander różnie reaguje na próżnię, może zwiększyć objętość, po prostu się nadać, a to wystarczyło, by wejście przez otwór do lądownika się nie powiodło. Utknąłbym jak ten miś. I co? Albo gdybym, idiota, puścił się i pomknął w pustkę, czego bym się chwycił? Modlitwy Klarka? Ale się nie puściłem. Trzymaliśmy się szczebelków, całkiem na zewnątrz, zawieszeni w wielkim nic. Ciężko było się ruszać, nieważkość na zewnątrz i w środku to niby to samo, lecz niekoniecznie. Jak wepchałem się do lądownika, Klarek był blady jak opłatek, widziałem to nawet przez opuszczony hełm.

Ziemia, tak jak zawsze szalała, teraz reagowała spokojnie. Mieliśmy nawet chwilę, żeby odsapnąć. No i poszło, co mam ci mówić, widziałem zbliżającą się tarczę, która wcale nie była srebrna, ale niebieskożłota, taka bladawa. Pędziliśmy jak cholera i nawet mnie zdjęło przerażenie - jak przydzwonimy w tę Zatokę Tęczy, to nie będzie co zbierać. I jeszcze huk: najpierw poszła osłona - zrozum, człowieku, na zewnątrz panowała cisza, jakbyśmy nie istnieli - potem, na szczęście, osiedliśmy dokładnie tam, gdzie planowano. I zaraz znowu hałas. Bloki się odłączyły.

Trwaliśmy w milczeniu. Tyle człowiek na to czekał. Powiedziałem przez radio, że wszystko w porządku i wychodzimy. To znaczy miałem nadzieję, że rzeczywiście wyjdziemy. Jeszcze raz mówię, mieliśmy cztery godziny na zatknięcie flagi, nazbieranie kamieni i poskakanie sobie. Wyszedłem pierwszy. W ręce miałem worek na minerały, a to, co zobaczyłem, było piękne.

Widziałem Ziemię, ale do Ziemi niepodobną. Wiesz, człowiek znał zdjęcia, słuchał, co mówili Jura i inni, gapił się nawet na idiotyczny globus. To było nic w porównaniu z tą niebieską, pełną jak młody cycek kulą. Wyglądała, jakby majestatycznie sunęła na nas. Kolory były inne, bardziej intensywne. Wyróżniłem wszystkie kontynenty, a nawet skandynawski cypel. Byliśmy strasznie daleko. Otaczały nas góry, niczym wielkie kretowiska, o łagodnych stokach i spłaszczonych brzegach. Musiały być bardzo stare. W oddali zobaczyłem światło, przeraziłem się i zaraz wrócił spokój. To tylko góra, krater, ze

skął tak jasnych, że aż błyszczały. Rzeczywiście, dotarliśmy tu pierwsi, chuj w dupę, i zaraz, zupełnie nie wiem czemu, wyobraziłem sobie, że jak za dziesięć, dwadzieścia lat ruszą regularne loty, bogaci ludzie będą przylatywać tu, by umrzeć.

Poruszania się również nie umiem do niczego przyrównać. Nieznośny ciężar skafandra, który tak dawał nam się we znaki podczas treningów na Ziemi, zniknął, jakby nigdy go nie było. Sadziliśmy wielkie kroki i śmialiśmy się do siebie, duże dzieciaki, niech mnie - tak rechotać z Klarkiem? Zaczęliśmy od flagi. Trzeba było najpierw zamontować maszt, a potem ją samą na specjalnym usztywnieniu, co upodobniło ją do tabliczki na jakimś urzędzie. Tabliczkę też mieliśmy, czerwoniutką, i nawet pamiętam, co tam było napisane: „TU, 16 GRUDNIA 1965 ROKU, RADZIECKI CZŁOWIEK UCZYNIŁ KROK PIONIERA”. To, co Armstrong powiedział później, bardziej mi się podobało.

Tak ci to wszystko opowiadam, a ty pewno myślisz, że przylecieliśmy w czarodziejskiej puszczy podokazywać na Srebrnym Globie. Samo zbieranie minerałów sprawiało kłopot, choćby dlatego że palce w skafandrze nie nadawały się do niczego, nieustannie też dzwonił ktoś ważny i ważniejszy, a gdy zobaczyłem walenia, akurat do słuchawki nawijał Breżniew.

Klarek dostrzegł go pierwszy, zaczął podskakiwać i wskazywać ręką gdzieś w przestrzeń. UFO czy co? Jak popatrzyłem, to mowę mi odjęło, a jeśli czegoś chciałem, to stuprocentowej pewności, że odszedłem od zmysłów. Ludzie wariują przecież nawet na Ziemi. Więc słuchaj, stoję ci ja i widzę, że zza tego świecącego krateru wysuwa się jaśniutki punkt, niczym gwiazda. Meteoryt może albo kometa - jedno z drugim jednak tak nie leci - najpierw skręca, potem prosto i zaraz znów, pod kątem, prosto na nas.

To był wałek, znaczy wieloryb, tyle że większy od tych, które widzimy na Ziemi, półprzezroczysty. Przez jego ciało widziałem kontury wzgórz i Ziemi. Unosił się kilkadziesiąt metrów nad nami, złotawy, o ciemniejszych płetwach i ogonie. W ogóle nie zwracał na nas uwagi. Przesunął się nad lądownikiem i nami samymi, ukazując kremowy brzuch, rozjaśniony przez gwiazdy. Machnął ogonem i przyspieszył. Na jego karku siedział nagi facet i gapił się w przestrzeń, otaczało ich kilka rybek, mniejszych i bledszych. To znaczy i tak były dwa razy większe niż ja w skafandrze.

Jedna zbliżyła się do nas, wachlując lekko ogonem. Miała łagodną linię pyska i oczy zupełnie nie rybnie, żywe i myślące. Oczy starego człowieka, tylko o innym kształcie. Takie mądre. Zmarszczyła pysk, jakby chciała mnie obwąchać. Jej falujące skrzela przypominały dwie rany, dwa równe nacięcia nierzeczywistym nożem, ech, człowieku, a potem wzbila się w górę, tak lekko, leciutko. Odprowadzałem ją wzrokiem. Niebo rozbłysnęło i stanęliśmy w

jasności.

Wszystko było teraz złote, nie na długo, takie wyładowanie światła. Zobaczyliśmy kolejne zwierzęta wyłaniające się zza krateru. Ten udzielał im jasności swych skał. Widziałem delfiny, jasnoniebieskie i wielkości tankowca, baraszkowały nad nami całymi stadami, fikając w próżni, gdzie, tak sobie pomyślałem, nie ma oddechu, a jednak jest zabawa. Gdybyś się przyglądał, dostrzegłbyś ich wesołe oczy. Dalej, to przecież nie koniec, samotny żarłacz przemknął tuż koło mnie. A za nim wielkie, łopoczące wachlarze płaszczyk, wyobraź to sobie, ośmiornice o ramionach ze słońca i kurzych dziobach, mięsiste koniki morskie, wreszcie, słuchaj, słuchaj, meduzy, dziesiątki meduz, niemal niewidocznych, z długimi wąsami sunącymi po powierzchni Księżyca. Jeden przeszedł przede mną. Zwyczajnie przeniknął, a ja obmacałem się cały, czy mi czego nie zabrakło.

Nieważne, jakie to zwierzę, było ich przecież całe mnóstwo, na grzbiecie każdego siedział człowiek. Siedział to za dużo powiedziane, niektórzy tkwili uczepieni widmowych karków, z takimi minami, jakby właśnie przejechali pod kilem. Inni znów byli spokojni i próbowali siedzieć prosto, a taka kałamarnica ciągnęła staruszka w swoich splotach. Nie umiałem znaleźć niczego, co by ich łączyło, chyba to, że byli ludźmi. Delfin na przykład niósł w pysku małe Murzyniátko, wyczyniał fikołki, a dzieciak rechotał. Większość ludzi była stara, ale, żeby dać przykład, na jednej z meduz leżała młodziutka dziewczyna, twarzą do dołu, i patrzyła na mnie spokojnie. Taka śliczna, że byś się zakochał, w jej oczach, kurwa mać, cały Księżyc się odbijał. I wszystko, co w człowieku znajdziesz, smutek i radość, takie sobie wspomnienie z tęsknotą, zabawę i przyklaskiwanie. To widziałem.

Byli ludzie tak różni, wszyscy nadzy, ale w tej nagości nie było nic odrzucającego. Też nie kręciła mnie. Części ras w ogóle nie rozpoznawałem. Mali, żółci albo prawie czerwoni, o długich włosach, Indianie, myślałem. Możliwe, że to właśnie byli Indianie. Nasze spojrzenia się spotykały. Skąd mogę wiedzieć? Przecież znajdowaliśmy się daleko od siebie. Ale nawet teraz jestem pewien, że widzieliśmy siebie nawzajem.

Długo tak staliśmy, a ja chyba coś mówiłem ludziom z Ziemi, samemu Breżniewowi. Nie wiem jednak co. Chyba to, że Księżyc jest niewymownie piękny i szkoda, że was tu nie ma, towarzyszu pierwszy sekretarzu, szkoda, oj, szkoda, narobiłbyś pod siebie. Wiem, sam omal nie zrobiłem. Chyba dałem do zrozumienia, że widzimy coś niezwykłego, że jest jaśniej, niż sądziliśmy, czy coś. Wzięliby nas za wariatów. Przecież bali się, że oszalejemy. Robiłem zdjęcia i myślałem, co to będzie, jak wszystkim buty pospadają.

Zapomniałem o Klarku, a ten poszedł za nimi, to znaczy wędrował w tym samym kierunku, w którym zmierzał cały korowód nad nami. Oddalił się ode mnie, a mnie omal

szlag nie trafił. Tak odejść, zwyczajnie, bo coś się zobaczyło?! A potem pomyślałem: przecież ja też widzę, to też pójde. Sadziłem wielkie susy i próbowałem nawet doskoczyć do płaszczki falującej nade mną. Nic z tego, leciała zbyt wysoko. Klarek szedł miarowo. Z łatwością go dogoniłem, szarpnąłem za ramię. Odwrócił się, słuchaj, odwraca się do mnie ten sukinsyn, ale dalej gapi się w niebo. Jestem, a zarazem mnie nie ma. Był różowutki jak tyłek niemowlęcia, to znaczy twarz miał różową. Szkoda, że w kosmosie nie sposób wzruszyć ramionami, pewnie by to zrobił. Tak, wykonał piruet i poszedł dalej. Hej, facet, myślałem, dokąd ty idziesz? Jak my wrócimy?

Co miałem zrobić? Poszedłem za nim. Tłumaczyłem sobie, że robię to tylko po to, by idiota nie narobił jakichś nieszczęść, ale głównie prawda, szedłem, bo chciałem iść, jak raz zobaczysz coś takiego, świat poza światem, to pójdziesz i nie wrócisz. Zostawisz matkę, własne dzieci i kobietę, robotę i przyjaciół, zemniesz po prostu, tak jak wyrzucasz niepotrzebną kartkę. Chwytasz to? Po prostu idziesz, nie wierzysz, ale to robisz, krok za krokiem, musisz, tak zwyczajnie. To znaki, a wiedzieć znaczy więcej, niż żyć.

Mogliśmy tak wędrować do usrania, czyli mówiąc prościej, aż skończy się atmosfera w skafandrach. Śniłeś o takiej śmierci? Zrównałem się z Klarkiem i do dzisiaj nie wiem, kto narzucał tempo. Zauważyłem, że ryby, delfiny, płaszczki i walenie napływają w sznurach, z kilku różnych kierunków. Gdyby spojrzeć z oddalenia, widziałbyś wielką gwiazdę i - właśnie, myśl następna - czemuśmy nie widzieli tego z Ziemi? Nie wiem do dziś i mogę się tylko domyślać. Pewien fotograf, którego poznałem lata temu, twierdzi, że potrafi zrobić zdjęcie miłości, ale nigdy w to nie uwierzyłem.

Miejsce, gdzie zbierały się te stwory, dziwne i piękne, znajdowało się niedaleko od nas. Ech, myślałem wtedy, byłoby wspaniale, gdybym mógł wskoczyć na grzbiet takiego delfina i popędzić gdziekolwiek. Teraz też tak uważam, ale z innych powodów. Więc zmierzam do tego, że zobaczyliśmy przed sobą mur. Wzniesiony ludzką ręką, a przynajmniej ręką. Najpierw był jak nitka, a jak podeszliśmy, wyrastał nad nami na wiele pięter, nawet teraz nie widziałem tak wysokich bloków. Po lewej stronie widniała perłowa brama, pełna ozdób w kształcie brodatych twarzy, psich pysków i roślin, które nigdy nie rosły na Ziemi. Pozostawała uchylona. Za nią spływali ludzie i zwierzęta. Mur, choć wysoki i ciągnący się po horyzont, był przezroczysty i mogliśmy przejść. Wahałem się trochę. Klarek nie.

W mur wchodziło się jak we mgłę. Zamknąłem oczy, niepotrzebnie. Nic się nie stało, po prostu byliśmy po drugiej stronie, dalej w Zatoce Tęczy. Delfiny skończyły już zabawę i jeden po drugim opadały ku ziemi - ku ziemi, niech mnie cholera - kładły się na boku, a ludzie schodzili z ich grzbietów. To samo płaszczki, wieloryby, ośmiornica uwolniła

staruszka ze splotów. Stał sobie i nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Wokoło nas zaroilo się od ludzi. Nie umiem powiedzieć, skąd się wzięli, nie zjawili się nagle z niczego ani nie wyszli z żadnej dziury. Po prostu cały czas byli, tylko nie od razu umiałem ich zobaczyć. Otaczali nas zewsząd i zupełnie nie zwracali uwagi na to, co robimy. Widzieliśmy jednego przez drugiego, twarz przez twarz i smutek przez smutek. Albo raczej melancholię. Myślę o tym nieustannie, a nie potrafię, wiesz, wyłuskać, wychwycić tego, co było w ich oczach. Każdy był zwrócony do siebie. Być może nas widzieli. Podróżowali wewnątrz siebie, dwunożne wspomnienia. Ilu ich było!

Różnili się płcią i rasą, nie wiekiem, co wydawało mi się dziwne. Wszyscy, niemal wszyscy, mieli gdzieś koło trzydziestki. Facetom tłuszcz jeszcze nie przysłonił mięśni, piersi kobiet i dziewcząt ładnie sterczały nad płaskim brzuchem. Ręce nie znały pracy, delikatne, jak u księżniczek i książąt, jeśli wiesz o czym mówię. Niedaleko mnie zatrzymał się delfin, zdeorientowany staruszek zsunął mu się z grzbietu, poszedł w tłum i młodniał z każdym krokiem. Włosy wyrosły mu na łysej czaszce, a te po bokach, co jeszcze je miał, pociemniały. Łopatki ściągnęły się ku sobie, workowata skóra wygładziła się i nabrała połysku, wyrosły nagle bicepsy, oczy zyskały jasność.

Ludzie gromadzili się wokół złotawego pałacu, nieco podobnego do tych, które widzisz na filmach o arystokratkach we Francji, tylko zupełnie bez zieleni. Nikt tam nie wchodził. Kiwnąłem na Klarka, że tam trzeba iść. Ruszył dopiero po chwili. Teraz wiem, że już wtedy był jedną nogą po tamtej stronie. Ale jeszcze siedł ze mną, patrzył po tych widmowych ludzkich postaciach i mełł ustami z przerażenia. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Ci ludzie, przecież byli ludźmi, sprawiali wrażenie, jakby dwie rzeczy się w nich ścierały. Szczęście podszyte niepokojem. Nie zawsze tak mieli. Rozumiesz już, gdzie trafiliśmy?

Nagle zacząłem ich rozpoznawać. Nie wszystkich, nie większość. Spotkałem paru ludzi z Czesturki, w tym staruszkę, która hodowała kozy i ojciec brał od niej mleko. Umarła jeszcze przed wojną, a teraz stała przede mną, młodzietka i nagusienka. Po oczach poznałem. Był też pop z pobliskiej cerkwi. Z tego, co pamiętam, Niemcy go zastrzelili. I wiesz co? Minałem chudego chłopaka o wąskich ramionach, drobnych kościach i twarzy drapichrusta, przyjrzałem się i nagle pojąłem, że tak mógłby wyglądać Jurij z mojej wioski, gdyby Niemiec nie wydlubał mu oczu. Podszedłem, pytałem: „Jurij, to ty, odezwij się, czy ty mnie w ogóle widzisz?”. Idiotyczne to było. Widział, ale się nie interesował. Zerknął z lekceważeniem w moim kierunku, a potem przeniósł wzrok na pałac przed nami. Tam powinniśmy pójść i zostaniemy przyjęci.

Byli też ludzie, których poznałem już w Gwiezdnym Miasteczku. Zobaczyłem kilka

znajomych twarzy, których nawet nie umiałem dopasować do nazwisk. Ci ludzie zginęli w wybuchu na Bajkonurze, mówiłem ci o tym. Był też Wala, ten sam, który zmarł od poparzeń w komorze ciśnieniowej. Cóż, o ile dobrze go znałem, powinien trafić do innego miejsca. Szedł sobie z taką miną, jakby myślał o gwiazdach.

Masz jeszcze rodziców? Ja nie mam nikogo, co jeszcze można zrozumieć, próbuję tylko dojść do tego, że wtedy, na Księżycu, czyli w niebie, dowiedziałem się, że moja mama nie żyje. Dawno jej nie widziałem, czasu nie było. Przesyłałem tylko pieniądze do Czesturki, tak jak sobie zawsze obiecywałem. A teraz stała przede mną, a ja mówiłem, choć przecież nie mogła tego słyszeć w próżni: „To ja, mamusiu, twój Kostia, popatrz na mnie przynajmniej, przecież wreszcie jesteśmy razem. Nie przyjeżdżałem, choć chciałem i powinienem, ale przyleciałem do ciebie aż na Księżyc”. Chcę wierzyć, że mnie rozpoznała, a odeszła z innego, nieznanego mi powodu.

Przestałem interesować się Klarkiem i kiedy się połapałem, co chce zrobić, było już zbyt późno. Klarek stał kilkanaście metrów ode mnie i wpatrywał się w milczący tłum. Widziałem, że kogoś rozpoznawał, nie miałem jednak pojęcia - kogo. Gapił się na dziewczynę o krótkich włosach i drobnych, bardzo kształtnych piersiach. Normalnie pomyślałbym - dawna miłość, ale przecież równie dobrze mogła to być jego babka. Wytrzeszczał swoje ogromne oczy, potem spojrzał na mnie i zrobił znak krzyża, bardzo powoli, lecz za wajchę przy skafandrze chwycił szybko jak cholera.

Ruszyłem w jego stronę tak szybko, jak mogłem. Szarpał wajchę niezdarnie. Kłapa z tyłu otworzyła się w straszliwej ciszy, a Klarek znalazł się na zewnątrz. W Zatoce Tęczy, nagrzonej słońcem, panował upał. Zrobił chwiejny krok i rozejrzał się, zdziwiony, jakby się zastanawiał, czy ktoś nie czai się za jego plecami. Na jego policzkach, czole i nosie wykwitły czerwone pęcherze, żyły napięły się jak sznury i nagle brzuch mu wydeło, rozszerzyła się klatka piersiowa, jakby coś usiłowało gwałtownie wyjść na zewnątrz. Wywrócił oczami, próbował złapać oddech, a język eksplodował mu w ustach. Zmarł, nim do niego doszedłem.

Zbaraniały, zdjęty przerażeniem, klęczałem nad ciałem Klarka. Podniosłem się wreszcie, lecz dziewczyny, dla której opuścił skafander, już nie było, i do dzisiaj nie wiem, co ich łączyło. Zaraz potem, kiedy tak stałem, bezradny, zastanawiając się, co robić i czy wyczerpałem już limit szczęścia, zobaczyłem Klarka, jak mknie na grzbiecie delfina. Był półprzezroczysty i wpatrzony przed siebie. Odwróciłem głowę. Nie chciałem wiedzieć, dokąd go poniosą.

Powinienem wracać, czego zrobić nie mogłem. Ocenilem czas, powinno wystarczyć go na krótką wizytę w pałacu. Jeden trup wystarczy, wrócę i opowiem, co zobaczyłem,

pokażę zdjęcia, będę wielkim człowiekiem, a każdy, z kim się napiję, usłyszy także o Klarku. Więc poszedłem. Pałac znajdował się bliżej, niż sądziłem, otaczało go więcej umarłych, byli też bardziej zasmuceni. Przypominali mi teraz ludzi, którzy opiekują się kimś bliskim, ale bardzo chorym, dzieckiem albo ojcem. Zabrzmi to dziwnie - dochodząc do perłowych drzwi, zacząłem im współczuć i czułem się winny, bo żyję.

Przeszedłem przez drzwi i znalazłem się w wysokim korytarzu z krużgankami po bokach. Na ścianach wisiały gobeliny. Nie widziałem nikogo, więc ruszyłem naprzód, ku drugim drzwiom, jeszcze większym i wspanialszym, z pięknymi ozdobami w kształcie kielichów, kwiatów i gołębi. Widziałem już, co jest za nimi, musiałem tylko uwierzyć. Tak, filozofie, wierzę i wiem, tam Go zobaczyłem.

Kąty sali, w której się znalazłem, ginęły w mroku, sufitu w ogóle nie potrafiłem dostrzec. To pomieszczenie nie miało szans, by zmieścić się w pałacu, który widziałem na zewnątrz. Wysoko nade mną, skryte w półmroku, oczekiwały ogromne morskie węże, mignął biały brzuch delfina, to akurat nie miało znaczenia. Runąłem na kolana, On jednak w ogóle mnie nie widział, a jeśli widział, nie dał poznać po sobie. Siedział na gigantycznym tronie, same okucia miały rozmiary miasta, wszystko ociekało złotem. Był nagi, bosy, ciało okalała Mu długa do kolan broda. Pływały w niej ryby i wiły się twarze, a wyżej, w pożółkłym obliczu, przygasały dwie skarłate gwiazdy. Bruzdy przecinały Jego policzki, jakby powstałe po biczach i cięciach, a zęby porośnięte miał czarnym mchem. Długie włosy opadały na pomięty kark i nie sposób było ich odróżnić od płatów martwej skóry przy skroniach. Głowę wieńczyła mu korona z komet i rozgrzanych kamieni.

Dwie ogromne dłonie spletały się na kolanach. Między brudnymi palcami błędził biały ogień. Uniósł prawą rękę, bardzo powoli, nadgarstek był kościsty i żółty, pokryty siwiuteńkimi włosami. Dotknął opuszkami policzków, wielkiego nosa, przejechał po suchych ustach i zrozumiałem, że sprawdza, czy jeszcze nie zniknęła mu twarz. A potem zerknął na mnie i ten wzrok mnie przemienił, tylko na sekundę, w gwiazdnej przenikliwości, poczułem się nagi i prześwietlony. Znał każdą moją kość i każdy zły uczynek.

Wstrząsnął Nim dreszcz, usta otwarły się i zamknęły, twarze w brodzie przymknęły oczy. Po Jego policzku popłynęła łza, tak wielka, że mógłbym w niej utonąć wraz z całym Tiuratamem, ale gdy spadła, prosto w moje ręce, miała już rozmiar gruszki. Zamrożona na kość. I już nie patrzył na mnie, salę przeciął Jego szloch, ziemia zadrżała i pękła czarną raną. Czułem, że ciało mi obumiera, rozpada się i gniję. To było tylko złudzenie, żyję przecież, wtedy też żyłem, bo uciekłem.

Nikt mnie nie zatrzymywał, a swoją tajemnicę zabrałem nie do grobu, lecz w życie

wieczne. Ostatnie, co pamiętam sprzed oderwania się od księżycowej powierzchni, to nie Bóg, konający w Swym srebrnym królestwie, nie ludzkie cienie i delfiny, które nawet mnie nie dostrzegły, lecz flaga Związku Radzieckiego, którą wbiłem z Klarkiem zaledwie kilka godzin wcześniej. Była czerwona, to takie oczywiste. Wiedziałem już, co będzie potem.

To już prawie koniec mojej opowieści, ale przecież musisz wiedzieć, co stało się potem. Ano, wiele dziwności. Zastanawiałem się, co mówić, ale rozumiesz, od pewnych rzeczy nie uciekniesz, więc wybrałem prawdę. Miałem zdjęcia, miałem minerał inny niż te, po które przylecieliśmy, jedną lodową łzę. Fotografie, wraz z tą szczególną, Jego obumierającą twarzy, do dzisiaj trzymają gdzieś w Moskwie.

Nie muszę ci mówić, jak kłopotliwe okazało się moje odkrycie. Kazano mi zamknąć gębę, przynajmniej do czasu, w którym czegoś nie postanowią. Wyróżniły się dwie frakcje - jedna, skupiona wokół Breżniewa, Kosygina i Gromyki, stała na stanowisku, że rzecz trzeba po prostu zakopać, udawać, że nic nie ma, i wypracować nowe stanowisko wobec badania Księżyca, to, które znamy. Przenieść ciężar z lotów załogowych na sondy, to wszystko. Wyjawienie prawdy oznaczałoby koniec Sowietów, a przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie liczył na to, że Breżniew może być zbawiony. Słyszałem, że porobili sobie kaplice w podziemiach Kremla i nawet Putin ma taką. Nie wiem, czy to prawda.

Drugą opcję reprezentował Siergiej Korolow. Znałem go na tyle, by wiedzieć, że ujawnienie takiej prawdy jest powinnością każdego badacza i pieprzyć to, w co wierzysz. Przecież był komunistą. W dyskusji używał innych argumentów - przecież Amerykańce prędzej czy później tam polecą, zobaczą i się z tego nie wykaraskamy. Lepiej samemu ujawnić niewygodną prawdę i dać ludziom nadzieję. Tak się wyraził. Nigdy nie widziałem go równie zdeterminowanego.

Breżniew z kolegami wiedział swoje i nas zabito. Najpierw zmarł Siergiej. Tego się nie spodziewałem. Mnie mogli sprzątnąć bez problemu. Ale on? Sądziłem, że będzie jeszcze potrzebny, wiesz, on był facetem, który wszystko ustawiał. Zmarł parę dni po moim locie. Już kiedy go poznałem, bardzo chorował. Takie pamiątki zbieramy, filozofie, boskie lzy i rany po Kołymie. Podobno miał raka jelita, ale swoje wiem. Zarżnięto go na stole operacyjnym.

Kiedy dowiedziałem się, że Siergiej zmarł, mogłem tylko czekać, aż po mnie przyjdą. No i się doczekałem. Pojechałem na Krym, do naszego kurortu, gdzie lizaliśmy rany po treningach, do tego samego budynku, w którym Jura skakał oknem. I tam próbowałem zapomnieć, czekałem i chlałem na umór. Załatwili to nawet z poczuciem humoru, tacy są Rosjanie. Siedziałem w restauracji. Przyszło dwóch facetów, Flip i Flap, tak mi się skojarzyli, to już wiesz, jak wyglądali. Przysiedli się i zagadują - a wy, towarzyszu, tak sami pijecie, wy

lotnik jesteście, to może wypijemy razem to i owo. Ja już wiedziałem, o co chodzi, więc odpowiadam, że nie ma problemu i wypijemy tyle, ile chcemy. Pół nocy przed nami.

Więc gadaliśmy przy kieliszku przez kilka godzin. Najpierw opowiadałem o drobiazgach, swoich dziewczynach, kolegach, jak to fajnie jest popić, potaćzyć i poobrać młode sekretarki albo studentki ze szkoły technicznej w Moskwie. Mówię dalej, słuchaj, mówię i się śmieję, jak to byłem na Księżycu, widziałem umarłych, anioły i samego Stwórcę, świetna sprawa, nic, tylko organizować loty załogowe dla całej ludzkości. Tylko jest taki małeńki problem, bo z tego co słyszałem, nie ma tam komunistów, ci akurat siedzą gdzie indziej, a najgorzej mają goście z aparatu bezpieczeństwa, bo muszą codziennie rano obciążać samemu Belzebubowi. Nie tylko oni, ale także ich matki, kobiety i pomiot kurewski.

Flip ledwo to zniósł, ale Flap zachował kamienną twarz. A ja się śmieję, choć łyż cisną mi się do oczu, i mówię - to teraz może, towarzysze, mały spacer. Pokiwali głowami. Wstali z wyraźną ulgą. Nie myśl sobie, że taki ze mnie twardziel, po prostu parę rzeczy mi się już wyjaśniło. Gdybym nie poleciał, na kolanach błagałbym o życie, jak Beria.

Puścili mnie przodem. Szliśmy w ciemność, za kurort, jakieś dziesięć minut. Nie chciało mi się już gadać. Tylko paliliśmy. Nad nami wisiał wielki księżyc, och, filozofie, księżyc na Krymie i gdzie indziej to dwie różne sprawy. Wydawało mi się, że mogę go dotknąć, a nawet zdjąć z nieba i zabrać do kieszeni. O czym myślałem? Nie pamiętam dokładnie, ale chyba zastanawiałem się, co by było, gdybym został normalnym pilotem, ożenił się i miał troje dzieci. A potem usłyszałem szcęk odbezpieczanej broni, odwróciłem się. Widziałem tylko dwa cienie i papierosowy żar. Nie w twarz, tak powiedziałem. Nie wiem dlaczego. Dostałem więc w środek czoła, druga kula trafiła w pierś, odrzuciło mnie w krzaki, upadłem i stoczyłem się po zboczach. To było przedziwne, bo myślałem jasno, choć przecież miałem dziurę w głowie. Serce wciąż biło. Leżałem bez ruchu. Tak poczekałem do świtu. Potem poszedłem i wędruję do dzisiaj.

Tej nocy zrozumiałem, że nie będę się starzał, że można mnie ciąć i miażdżyć w żarnach albo przebić serce kołkiem, nie pomoże. Na początku ogarnęło mnie przerażenie, potem ogromna radość. Taki dar! Dziś oczywiście moje życie się zużyło, zgorzkniałem i chciałbym umrzeć. Życie bez śmierci to gówno, a jedyne, co wyrobisz sobie przez tę zasaną nieśmiertelność, to poczucie humoru.

Dlaczego, pytałem siebie, i teraz już wiem: bo na Księżycu dopuściłem się fatalnej pomyłki. Wiedzieć jest ważniejsze, niż żyć, myślałem, a to akurat nieprawda, bo wiedza i życie to jedno. Tak to sobie tłumaczę - pewne rzeczy poznajemy dopiero po śmierci, a skoro zobaczyłem je wcześniej, to nie ma przebaczenia, kostucha wypisała mnie z listy i muszę czekać

na koniec całego rozgardiaszu. A może, ktoś to wie, jestem częścią innego planu - jeśli ta wszechmocna konająca istota jeszcze jakieś plany posiada - może zyskałem tylko czas, aby coś zrobić lub zrozumieć? Jak myślisz, filozofie, przeżyłem kosmos, kule i koła samochodów tylko po to, żeby opowiedzieć ci tę historię?

* * *

Filozof nie umiał odpowiedzieć na to pytanie lub na jakiegokolwiek inne nie tylko dlatego, że usłyszał księżycową historię - wstawał nowy dzień, księżyc już zbladł, trawa i pień, na którym siedzieli, zwilgotniały od rosy. Karol szcząkał zębami i niezdarnie otulał się marynarką.

- Co stało się z łąką? - zapytał wreszcie Konstantego Mikołajewicza. Ten tylko wzruszył ramionami. Miał ją. Musiał mieć.

- I co stało się potem? Co z Amerykanami, Armstrongiem? Wysłaliście tam sondy?

Kosmonauta podrapał się po głowie. Dopił wódkę i cisnął butelkę między drzewa. Rozprysła się o korzeń.

- Mogę się tylko domyślać. Dowiadywałem się tego i owego. Amerykanie oczywiście poleciecieli, ale lądowali gdzie indziej, może zobaczyć to co ja, coś innego, może nic. Coś widzieli, tak sądzę. Widzieli i oni, inaczej niż Sowieci, chcą wiedzieć. To szalenie naiwne myślenie. Ja to pieprzę. Naiwny jest nawet kosmos.

Karol gapił się w miejsce, gdzie pękła butelka.

- Powinniśmy iść - powiedział Rosjanin. - Najlepiej w różne strony. Możesz wybrać. Mnie tam wszystko jedno.

Zza pagórka wystrzelił pierwszy słoneczny promień, rozdzwonił się kościelny dzwon, a dwie ludzkie, przygięte starością drobinki w chustach naciągniętych na czoło dreptały w kierunku wieży kościelnej. Kogutom nie chciało się pisać, a psom ujadać.

Rozeszli się bez pożegnalnego uścisku dłoni. Karol widział krępą sylwetkę kosmonauty. Nieszczęśliwy Rosjanin rozprostowywał w słońcu stare kości.

- Miałeś mi coś zostawić - powiedział Karol.

Konstanty Mikołajewicz Kamiński znieruchomiał, odwrócił się płynnym ruchem. Jego twarz wyrażała spokój, taki jak u trupa na dnie oceanu.

- Porządny z ciebie facet - rzekł. Podszedł do Karola i wyciągnął prawą dłoń. - To będzie szybkie - obiecał.

Przycisnął mu rękę do prawego oka, kciukiem nacisnął powiekę, zabolalo, palec wskazujący wbił w skroń. Coś szepnęło. Karolem zatrzęsło, od kosmonauty przeszedł

energetyczny strumień, niby wyładowanie, ale ciepły i znośny, może nawet przyjemny, coś strzeliło, ciemność pod zamkniętą powieką rozbłysła światłem fraktali. Karol poleciał do tyłu, na miękką trawę. Rosjanin stał nad nim i wyciągał rękę.

- Już po wszystkim - zapewnił. - Wszystko będzie w porządku, dobry człowieku. Dla ciebie - wszystko.

* * *

Kiedy ten sen przyszedł po raz pierwszy, Karol zrozumiał, co Rosjanin mu pozostawił. Sen powracał regularnie, pilnując, by o nim nie zapomnieć. W tym śnie Karol wędrował bez skafandra przez kratery, przepływał przez morza księżycowe, aż do Zatoki Tęczy, między delfinami, nad głowami umarłych. Widział salę tronową, a w niej On, udręczony, wydawał ostatnie tchnienie, gwiazdy w boskich oczodołach gasły, głowa opadała między kościste ramiona, a wypalona korona z brzękiem toczyła się po posadzce.

Budził się i wyczekiwał poranka, zasłuchany we własny oddech. Widział księżyc przez otwarte okno. Wspomnienie snu powracało uparcie. Wiedział, że to już niedługo.

Nadchodzi

W wilgotnych jamach i czerwonych rzekach śnię o zmarłych. O szarych kolumnach anonimowych armii i łunach za nimi. O taborach i dzieciach, o kudłach zlepionych krwią i rozprutych brzuchach matek. Wstawaj, mówię sobie, i rozklejam powieki.

Leżę w tej chwili i jakoś nie mogę się podnieść. Nic mnie nie boli, chyba nie.

Teraz czekam już w kuchni, aż woda się zagotuje, wbijam jajka, zaraz białawy kożuch rozlewa się na powierzchni. Nie słodzę już kawy, ale nie zaczęła mi smakować, piję małymi łykami. Jajka są gotowe. Jem.

Lubię te poranne pół godziny, kiedy świat jeszcze śpi, a ja wcale, mogę rozwalić się przed telewizorem, wyciągnąć wygodnie nogi. Jest mi obojętne, co nadają, właściwie obraz mógłby uwolnić się od dźwięku albo zmieszać z innym, tak żeby na wiadomościach brzmiał głos z teleshoppingów. Myślę, czy nie zadzwonić do taty. Tato sobie radę da.

Człowiek w pewnym wieku nie śmierdzi, a przynajmniej ja myślę o sobie jako o kimś pozbawionym zapachu, zupełnie jak telewizor: wydają dźwięki, mam jakąś barwę i swoje własne nasycenie, jednak nie pachnę, a gdyby mnie polizać, okazałbym się zupełnie bez smaku. Ruszam się też niemrawo.

Boże, jakie bzdury przychodzą człowiekowi do głowy o świcie. Śmieję się, wstaję.

Jestem już ubrany: koszula rozpięta pod szyją, brązowa marynarka, dobrze, gotowy do drogi. Zegarek. Nie ma jeszcze siódmej, zastanawiam się, co robić, skoro orka zaczyna się o dziesiątej, jak bym nie poszedł, będę za wcześnie. Nie lubię się spóźniać, ale i w czekaniu nie znajduję nic przyjemnego. Zerkam w kalendarz, nic nie wyskoczyło, żadna niespodzianka nie wylazła spod karty, czego trochę żałuję.

Po ósmej dzwoni telefon.

- Cześć - słyszę.

- No witam.

- Będziesz?

- Aha. Idę.

- To wpadnij. Wiesz, co się stało?

- Nie, nie wiem.

- Barciszak chce cię uwalić. Nie sądzę, żeby to przeszło, nawet na pewno nie

przejdzie. Mirek będzie za tobą na mur, no a Raczyk, wiadomo.

- Chuj z Raczykiem - mówię. Robię pauzę i dodaję: - Czy on się kiedyś ode mnie odpierdoli?

- Nie wiem, stary. Twój ojciec.

- Mój ojciec szcza pod siebie, człowieku. Mało im? Mało mu zaszkadzili?

- No wiesz...

- Powiem ci tak: Mój ojciec ma mnie w czterech literach, i to tak głęboko, że nie wiem, jak wygląda słońce. Jeśli Barciszak z resztą chcą mnie uwalić, to zrobią mu tym przyjemność. Powie jeszcze, że to moja wina.

Odkładam słuchawkę.

Zastanawiam się, czy jestem zadowolony, czy niezadowolony. Czytam książkę, której nie rozumiem.

* * *

Wychodzę, jest dziewiąta. Od Instytutu dzieli mnie pięć przystanków, ale lekarz poradził mi chodzenie. Więc chodzę, dobrze, że jest ciepło jak na taką porę, dobrze, że ludzi wielu nie ma, tych, których mijam, wcale nie trącam. Sprawdzam czas, zwalniam, przysiadam na ławce. Czuję się w tej chwili starzej, niż powinienem, przyglądam się swoim dłoniom, zaciskam w pięści. Są chude. Mam włochate nadgarstki.

Myślę sobie, że to dobrze, że nie mam żadnych problemów ze zdrowiem. Koledzy mają, a ja nie. Kilka lat temu bolało mnie w krzyżu, i to tak, że nie mogłem się schylić, tato akurat zjechał do Krakowa, był z tym cyrk, użeranie się, schylenie i ledwo dawałem radę. Oblewam się potem w najmniej spodziewanych sytuacjach: w środku wykładu, w sklepie albo tuż przed zaśnieciem. Usuwali mi hemoroidy na wiosnę zeszłego roku, miałem w dupie małą rurkę, ale zakleszczyła w sobie złośliwą żyłkę i odpadła.

Inni, myślę, to co innego. Taki Szamański habilitował się dwa lata przede mną, młody facet, wylało mu się coś w głowie i teraz chodzi o dwóch laskach. Albo wcale. Pech chciał, wziął sobie studentkę, dwadzieścia trzy lata, ładna jak cholera, po co jej półtrup. Uświadamiam sobie nagle, że chyba nie prześpię się już z młodą kobietą. Przepęlnia mnie smutek. A może się prześpię. W życiu nigdy nic nie wiadomo.

Barciszak też jest chory, nie wiem nawet, co mu jest. Taki żółty troll, z samej skóry. Ma szkielet? Nie wiem, czy ma. Chyba ma. Kiedyś miał, to był kawał faceta i zawsze trzymał się prosto. A Raczyk, nie wiem, jakim cudem w ogóle on żyje, dwa metry, brzuch jak bęben, a młodszy ode mnie. Czterdzieści osiem lat. Zawał jak nic. Niech zdycha, mówię sobie -

wstaję, dwadzieścia po - niech zdycha.

Mam ręce w kieszeniach, wieje chłodny wiatr, muszę mrużyć oczy.

Sprawdzam jeszcze komórkę, czy nikt nie dzwonił.

Gdybym na przykład miał działkę, mógłbym tam jeździć co weekend, mało tego, mógłbym zapraszać tam tych wszystkich sukinsynów, żeby widzieli, że nie wiedzie mi się źle. Wracam do nich myślą i jestem wściekły, to żaden splendor być szefem instytutu, choćby to był Instytut Badań Prasowych, ale zawsze, ale można, ale przecież - czemu nie ja. Co to znaczy, że zabrać? Przegłosować? No mogę.

Mijam kobietę w eleganckim płaszczu, przesyła mi spojrzenie. Takie dziwne.

Pewno jej się nie podobam, bo jestem niski.

Ale sprawdzam, nic mnie nie ochlapało, koszula nie wychodzi ze spodni, jestem zapięty pod szyję. Można wrócić do sukinsynów, wracam szybciej, niż zdołałem o wracaniu pomyśleć, zdumiewa mnie taka mała zazdrość, bo rozumiem ukraść milion dolarów, skrócić kark ministrowi, lecz czemu, u diabła, ludzie szarpią się za drobne? Jak te robale. Chcecie ten fotelik, bierzcie, mnie to pasuje, więcej czasu dla mnie.

Barcizak. Suchy, papierowy, oczka złe, a łapki mu krążą, jakby próbował coś zwędzić, zawsze tłucze łyżeczką.

Raczyk. Olbrzym bez cienia gracji, ponury drab o oczach jakby w nie naszczać, dudni, a nie gada, kołysze się, nie chodzi, tępy, ograniczony, wyczyszczony z wyobraźni tłuk.

Teraz gapi się na mnie starsze małżeństwo, ona siwa, on grzyb. Chwyta ją mocniej, nie umie wzroku ode mnie oderwać.

Barcizak, Raczyk. Jak oni się nauczyli czytać?

- Skurwysyny. Skurwysyny.

Preclarka podnosi głowę, nagle pojmuję, przyspieszam, bo mi wstyd. To nie były myśli, ja gadałem do siebie, szedłem przez miasto, na Filipa, i przez całą drogę mówiłem na głos: skurwysyny, skurwysyny.

* * *

Uwielbiam nieruchome widoki za oknem.

To czwarte piętro, poddasze, spoglądam na dachy kamienic, na rzadkie drzewa i bloki za nimi. Wiem, że między kamienicami są podwórka, na podwórkach dzieci i trzepaki, ulicami chodzą ludzie, jeżdżą samochody. Nie obchodzi mnie to. Cieszę się, że niebo jest czyste, bez chmur i ptaków.

Wszystko zastygło, nikogo w oknach, nikogo na balkonach. Cieszę się, ten bezruch

jest chyba dla mnie.

Do pokoju wpada zaaferowany Raczyk i już, już do mnie z ręką.

- Serwus - mówię mu.

A on mi o pracy.

Składamy kolejny numer „Kwartalnika Prasoznawczego” i Raczyk się nie wysra, jeśli przedtem nie opowie mi o wszystkich kłopotach z drukiem. Jego wielkie ciało faluje przy każdej sylabie, do tego nieustannie mruży oczy. A ja się nie złościę, jestem troszkę poirytowany.

Mówię:

- To ścięśnij, nie przełamie się, tamtego wyeksponuj.

Raczyk rozumie. Chyba. Pyta:

- A jak tam u ciebie?

Łapię w lot.

- Dobrze. Tylko na samą myśl o papierach coś mi się robi.

- Świetnie cię rozumiem - odpowiada Raczyk i idzie w jasną cholerę.

Gapię się w okno, żadnego drżenia, nic z tego, o czym tyle słyszałem. Znajduję w sobie spokój w miarę wpatrywania się w miejski bezruch, w miarę jak kroki Raczyka przestają dudnić. Zalega cisza, na zewnątrz, wewnątrz mnie. Pukanie. Coś każe mi się podnieść, zupełnie nie wiem czemu, wchodzi dziewczyna, opadam na fotel z cichym westchnieniem.

Dziewczyna jest nieśmiała i przy kości.

Ma bluzeczkę odsłaniającą pulchne ramiona, jasne włosy zaplecione w warkocz, spod sukienki wystają solidne nogi. Próbuje utrzymać wzrok na jej czerwonej twarzy, proszę, żeby usiadła. Mówi do mnie brzydko, niechlujnie.

Patrzę na nią, cały się spinam, wyobrażam sobie to ciało odarte z ubrań, płaskie piersi, mięsisty tyłek, jak obraca się przede mną, różowe krocze jak dwa płaty mięsa, moje dłonie na jej szyi. Widzę to wszystko jednocześnie, w wielkim zwarciu, nachyl się do mnie, nachyl - proszę, żeby powtórzyła, źle słyszę.

- ...nie zdążyłam, naprawdę. Wiem, że powinnam. Pracuję w pizzerii, czasem do drugiej, trzeciej w nocy, wracam na butach, nie zawsze mogę, nie zawsze mam czas. Zajęcia się skończą, spróbuję. Mój konspekt...

- Tak, widziałem, pamiętam - kłamię.

Jest zupełnie siebie nieświadoma, w gruncie rzeczy to najzwyczajniejsza z dziewczyn, tłusta i głupia, gorący kawał mięsa, w który chcę włożyć palec, dwadzieścia lat temu nawet

bym na taką nie spojrział. Nic nie dostrzegł. Ale jej skóra jest bez zmarszczek. Jej uśmiech nie zostawia śladów na twarzy, jej oczy tępe, przykro tępe, jak u głodnego kota.

- To dobry konspekt - dodaję - nie ma problemu.

- Problemu z czym?

- Niech pani przyjdzie we wrześnieu - odpowiadam z wysiłkiem. Ona nic nie rozumie. - Zrobimy w ten sposób, że pani do mnie zadzwoni, przyjmę pracę, przeczytam. Zorganizujemy obronę.

Dziewczyna mięknie, zaraz rozleje się po gabinecie, kiwa głową, mało jej coś z uszu nie pocieknie, wyobrażam sobie ten wyraz ulgi, gdy znajdzie się za drzwiami, niemal słyszę, jak opowiada koleżankom, może swojemu facetowi, jeśli oczywiście kogoś dosiada: „Stary pierdziel mnie puścił”. Pozwalam jej odejść, zrywa się natychmiast, ciężka, oczy chcą mi wyjść na wierzch, coś jeszcze, przesyłam niewyraźny uśmiech, pytam, jak już jest przy drzwiach:

- Jaka to pizzeria?

Marszczy brwi. Podaje adres, Sienna 12, przerzucam numery w głowie, już wiem.

- Niech pan tam lepiej nie je - śmieje się słabo.

Zostawia mnie z tą myślą, jestem niezadowolony, cały spięty i nie mogę się opanować.

Wracam do przytomności i mam nos w gazecie, sprawdzam godzinę, jeszcze dziesięć minut, nikt nie powinien przyjść, to cud, że zjawiała się ta mała, powinienem może złożyć w ofierze jakiegoś starego profesora, spopielić jego kości na ołtarzu ku czci uniwersyteckich potworów.

Zamyślony, nie słyszę pukania. Kiedy podnoszę głowę, ten człowiek jest już w środku.

Nie przypomina studenta, za wielki, za stary, wygląda, jakby przyszedł na pogrzeb albo egzamin. Niemodny czarny garnitur, wąski krawat, wykrochmalona koszula, wypastowane buty. Jest ogromny. Jakby mi przywalił, zostałyby ze mnie prenumerata - takie skojarzenie przychodzi mi do głowy i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Facet jest poważny.

Mówię mu, żeby usiadł, co z wahaniem czyni.

Milczy, więc pytam:

- Z czym pan do mnie przychodzi?

- Piszę książkę.

- Jaką znowu książkę?

Patrzy mi prosto w oczy, nie mruga. Dałbym głowę, że widziałem go już wcześniej. Na zajęciach na pewno nie, zapamiętałbym takiego dragala między chuderlawymi studentami. Czyli gdzieś indziej, może sąsiad? To musiało być dawno.

- Piszę o Witoldzie Darskim, panie profesorze.

Kurwa.

Może przez złość rodzi się wątpliwość, że się przesłyszałem.

- To proszę iść na polonistykę, tam pan znajdzie profesora Stępnia chociażby, więcej panu powie o jego książkach.

Uśmiecha się beczelnie, nie ma w nim strachu ani wątpliwości, to ja się kulę.

- Chciałbym z panem porozmawiać o pańskim ojcu.

Patrzy na mnie. Bardzo spokojnie, i mnie ten spokój raptem się udziela, cały jest we mnie, rozlany, miodowy.

- Chcę napisać o wojnie. I latach zaraz po. A do tego nie ma źródeł, sam o tym nie pisał, z tego co wiem.

- Są wspomnienia.

- Wspomnienia są nieprawdziwe.

Bezczelność tego faceta odbiera mi mowę.

Gapi się na mnie jakby nigdy nic.

- Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Mamy rok dziewięćdziesiąty siódmy, dał Bóg, ósma wiosna demokracji nam się zaczęła, więc może weźmie pan Forsytha z Ludlumem i z tego pan coś złoży. Nie wydaje się panu ciekawsze takie rozwiązanie? Tam ma pan wojnę, tam ma pan temat.

Zaciska usta, kręci głową.

- Chcę porozmawiać z panem.

- A po jasną cholere?

- Pan wie. Ojciec opowiadał panu te rzeczy. Jestem pewien, że opowiadał.

Wstaje. Facet musiał zgadywać, skąd może wiedzieć, o czym ojciec mi mówi? Zaczynam żałować, że nie mogę tego gnojka chwycić za kudły, zaciągnąć do ojca, żeby posłuchał dyrdymałów, którymi tato mnie dręczy. Chcesz? Proszę! Będzie o wędrujących domach, duchach, partyzantach, zdradach, rzeziach i wszystkim, co się nie mogło wydarzyć. Powie ci to dwadzieścia razy, aż będziesz znał każdy kawałek cegły w Nowogródku.

- Niech pan przyjdzie w piątek - odpowiadam - ojciec ma benefis na Krupniczej, pan posłucha, pan porozmawia.

- To niemożliwe - odpowiada natychmiast. - Powinienem porozmawiać z panem.

- Czemu znowu?

- Pana ojciec od dawna nie żyje - mówi zupełnie spokojnie, a ja robię wielkie oczy, bo u taty byłem wczoraj.

- Pan stąd wyjdzie.

- Proszę mnie posłuchać...

Zaciskam pięści. Uderzam kostkami o blat.

- Wynoś się.

Kuli się, jakbym bił go łańcuchem po plecach, wyraźnie jest mu przykro, opuszcza te wielkie dłonie, cofa się niezdarnie w kierunku drzwi.

- To nie moja wina - uśmiecha się lekko - on po prostu nie żyje.

Znika, nim zdążyłem coś powiedzieć.

Dyżur się skończył, ale nie mogę się ruszyć. Na dachu przeciwległej kamienicy przysiadły wielkie czarne ptaki. Próbuję złożyć do kupy to, czego właśnie doświadczyłem, i po chwili dochodzę do wniosku, że ten facet jest jednym z tych oszołomów, o których czasem czytam: gnojkiem, który nie rozumie historii, a z chrześcijaństwa przejął głównie zapał do krzyżowania.

Żałuję w tej chwili, że powiedziałem o benefisie, przyjdzie, skurwiel, i narozrabia. Weźmie łysych kolegów.

Tacy jak on śnią o procesach i chcą wygrzebywać winy.

Pewno liczył, że opowiem, jakie to bydlę z mojego taty. Co mógłbym zrobić, ale nie dla niego.

Jednak zasiał we mnie ziarenko niepokoju, gdy wychodzę na korytarz, rozrasta mi się ono w płucach ostrymi gałązkami, na schodach czuję, jak serce jęczy pod ich naporem, zaraz wyjdzie mi z ust.

Słońce jest silne, prawie że boli.

„On po prostu nie żyje”, słyszę w sobie samym i przez moment mam wrażenie, że znalazłem się w jednej z ojcowskich opowieści. Chwila wahania i dzwonię. Jeden sygnał, drugi.

Odbiera.

Najpierw oddech, potem słowa.

- Kiedy, synku, do mnie przyjdiesz?

* * *

W centrum natykam się na manifestację, zielony tłum przecina mi drogę, łopoczą proporce.

Ludzka fala wylewa się z kościoła Dominikanów. Muszę się zatrzymać, rozglądam się nawet, gdzie by tu usiąść, nie ma, tylko jakiś murek.

Pochód otwiera zadowolony z siebie ksiądz. Brzuch ma taki, jakby żywił się wyłącznie słoniną, ten bęben ciągnie go naprzód, przed patriotami, zamiast pałeczek targa wielki drewniany krzyż, obok ministranci i żołnierze, najbardziej szacowni, jeśli sędzić po mundurach, rzędach odznaczeń. Medale ciągną ich do ziemi, tam ich miejsce.

Za nimi ze dwie setki innych, mniej utytułowanych. Coś tam śpiewają.

To bohaterowie drugiej wojny światowej, jak znam życie, trafiło się paru legionistów, a są tak pomarszczeni, jakby walczyli jeszcze pod Cezarem. Mają plamy na rękach. Wychudzone, białe twarze z nosami czarownic. Wysuszone, wypiełgnowane mundury sprzed pół wieku. Nogi i ramiona zupełnie bez mięśni. Wychodzą wprost na słońce, mrużą oczy - czy w ogóle wiedzą, dokąd idą?

Są tak podobni do siebie nawzajem, że nie mogę przestać się dziwić, może to jeden stary żołnierz, jedynie powielony? Maszerują poważni, choć ledwo unoszą głowy, choć czapki mało co z łbów nie pospadają. Suną wzrokiem po ludziach: po mnie i starych babach, po rodzinach z dziećmi, chłopakach z wojskowymi plecakami. Brak mi życzliwości w tym spojrzeniu, tak starcy gapią się na brudne mury, nie dość godne ich wzroku. Mogę tylko przeczuć skalę ich rozczarowania, nie o taką Polskę walczyli, nie o te kolory, nie o kuse stroje i kościoły bez Boga. O co walczyli, kurwa, nie wiem.

Mam ochotę podejść do pierwszego lepszego, chwycić za frak: nikogo, łącznie z grubym księdzem, nie interesuje, co tam się działo pół wieku temu, ludzie mają serdecznie w dupie wasze lasy, wysadzane pociągi, piłowane słupy, szczają na to, co działo się potem, i właśnie taki jest sens waszej młodości: żeby ludzie o niej zapomnieli, żeby wreszcie, po dziesiątkach lat patriotycznych szaleństw, dało się pójść tak po prostu na kawę albo żeby zrobili supermarket na osiedlu. Po co nam teraz wasze ponure flagi, wasze żadne wojny mordy, oj, postrzelałoby się jeszcze, no nie? Widzę was, jak siedzicie w zadymionych pokojach, jak opowiadacie sobie po raz setny te same historie, och, znam je dobrze, lepiej, niż wam się zdaje, wy popieprzeńcy, wy stare, głupie gnoje, macie teraz jesień życia, ostatnie lata, więc może niech jeden z drugim praśnie mundurem o ziemię i zacznie żyć jak trzeba.

Przestraszyłem się siebie.

Stoję na skraju krawężnika i wytrzeszczam oczy na pochód.

Chciałbym przejść, nie mogę, są szczelni, gdzieś za mną wściekły taksówkarz zapala papierosa i staje obok równie niezadowolonego pasażera.

Starzy żołnierze wylewają się z kościoła, gnąc się pod tymi zafredzlonymi

proporcami, nie przypuszczałem, że aż tylu mogło się tam zmieścić. Gruby ksiądz już dawno zniknął mi z oczu, a tamci się nie kończą, ci dalej są wyraźnie młodszy. Wreszcie mający mi koniec, szykuję się do drogi, gdzie tam - za weteranami wysypuje się hałast rodziny i patriotów w cywilu. Stare baby. Wąsaci czterdziestolatkowie, smukli młodzieńcy o wyglądzie hitlerowców, zaferowane dzieci, kotłowanina starych bab. Są jak piana bezzębna. Jak smród na krótkich nogach.

Skręcam, bo zaraz zwymiotuję, przez moment pochód przesłania mi lekka mgiełka i mam wrażenie, że drzewce proporca wyrasta z rąk weterana, weteran z kolegi, razem ciągną za sobą kolorowy odwłok rodziny i dewotek. Wielki robał pod biało-czerwonym sztandarem.

Idę. Ale nie w bok. Ładuję się w ten tłum i w nim niknę, uzbrojony w ostry wachlarz uśmiechów, przeproszeń, uniesionych dłoni, po prostu spieszę się, nikomu nie patrzę w oczy, zerkam tylko na nosy pokryte czerwoną pajęczynką. Ci ludzie śmierzdzą, nie wiem jednak czym. Zostawiam ich za sobą, ani myślę spojrzeć.

Zatrzymuję się sto metrów dalej, otrzepuję rękawy marynarki, pierś, uda. Kręci mi się w głowie. Upadnę albo siądę. Więc wlokę się do Noworola.

Nie lubię tej knajpy z wiadomych powodów, na szczęście jest dość ciepło, bym mógł usiąść na zewnątrz. Zjawia się kelnerka, proszę o kawę, oddycham z trudem, a ona uśmiecha się, tak, uśmiecha się do mnie, łagodząc wszystko, bieg, tych starych ludzi w mundurach, nawet męczące słońce, tamtego wielkiego studenta i wszystkich sukinsynów.

Dziewczyna odchodzi, a ja patrzę na miasto, na stare kamienice, kwadratowe płyty Rynku, na kolorowe szyldy i czuję, że wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno, zwłaszcza jeśli dziewczyna wróci, jeśli się uśmiechnie.

* * *

Lubię swoje mieszkanie, swoje w nim wieczory. W niespieszności jest coś cudownego, co osiągamy dopiero w wieku, w którym się znalazłem. Nie rozumiem powolności u młodych, cenię u siebie, czasem mam poczucie, że świat mógłby się za mnie pospieszyć, zostawić pył za sobą.

Przespałem się kilka godzin, za oknem ciemniej.

Spokojnie robię sobie kolację, gra mi radio, kroję kurczaka i wrzucam do garnka. Obsypuję vegetą, dolewam trochę wody, niech się dusi. Gotuję też ryż w woreczku, siadam przy kuchennym stole i otwieram książkę, jakąś powieść zachodnią, mógłbym je czytać bez okładek, nie poznawszy tytułu ani autora, tak nawet lepiej. Pojawiły się niedawno, co tydzień kupuję sobie kilka: Jack Higgins, Tom Clancy, Colin Forbes, Robert Ludlum. Dzięki nim

czuję się młody, żałuję, że ówczesność w wieku wcześniej pozbawiono mnie takich lektur.

Bawię się świetnie. Samochody są szybkie, a kobiety piękne.

Tarzam kurczaka w ryżu, zaczynam jeść.

Nie znoszę ludzi, którzy jedzą szybko, którzy godzą się na pęd nawet w kuchni i zastajemy ich z napchanymi policzkami. Jedzenie nie jest przyjemne, w gruncie rzeczy znam niewiele czynności bardziej przykrych, ta konieczność żucia, przełykania, posiadania mięsa między zębami, nie mogę znieść myśli, że to, co ładnie wygląda na talerzu - kurczak, ryż, sałatka z rzepy, wszystko białe - staje się mokrą kulką w moich ustach. Uświadamiam to sobie i kulka staje mi w gardle.

Zmywam i dokładnie wycieram dłonie.

Zmieniam książkę na „Dziennik Polski”, przerzucam niedbale, a przejrawszy gazetę, odczuwam rozczarowanie. Nikt nie wspomniał o tacie w piątek, co w pewien sposób rozumiem i czego żałuję, sam bym go przemilczał. Przypominam sobie gazety, które pokazywał mi, gdy byłem dzieckiem, całe szpalty wypełnione moim tatą. Jak on z tych zdjęć patrzył! Jakby chciał uderzyć za czytanie siebie.

Pamiętam, jak tato, raz na miesiąc, dwa, siadał przy swoim ogromnym biurku, zakładał okulary, układał stos gazet przed sobą i ciął nożyczkami, obracał papier we włóchatych dłoniach. Tak śmiesznie wysuwał język.

Potem wkładał wycinki w teczkę opatrzoną datą, jedna teczka na każdy rok.

Raz zabrałem mu parę tych karteluszków. Zmieniłem szkołę i chciałem pokazać kumplom, jaki sławny ten mój ojciec. Sprzął mnie za to jak nigdy wcześniej.

A teraz nic. Zupełnie.

Przerzucam szpalty w poszukiwaniu wzmianki.

Dużo tu pierdół i głupiej sensacji, jakieś wiadomości, które zupełnie mnie nie obchodzą, nie ma też świata, prawdę mówiąc, nie umiem wyobrazić sobie człowieka, dla którego to napisano. Michnik z Jaruzelskim coś otwierają, ogromny Urban wyłania się z fotografii, Leszek Moczulski szczeka dziennikarzom, jego słowa nawet na papierze są cienkie, chwiejne, głupie; recenzje kolorowych filmów, gdzie strzelaniny są jak dzikie sny, przepisy kulinarne i felietony o niczym. Nagle nabieram przekonania, że tato w tej właśnie chwili robi to samo, poszukuje sam siebie.

Odkładam gazetę, mam ochotę ją zmiąć, cisnąć, chcę, żeby była ze szkła i się stłukła.

Krażę chwilę po mieszkaniu.

Mam dwa pokoje z kuchnią plus przekonanie, że to za dużo, zmieściłbym się w jednym, ten drugi dopomina się o psa lub kobietę. Na pierwsze jestem zbyt młody, na drugie

za stary. Nie ma co nad sobą jęczeć, trzeba wstawiać książki i wieszać obrazy. Przypominają mi się zdjęcia w rodzinnym domu, były ich całe rzędy. Mogłem jakieś sobie wziąć.

Nie jest jeszcze późno, próbuję coś robić, otwieram pierwszą z brzegu pracę. Zaczynam czytać. Jeżdżę palcem, linijka pod linijką, wolną ręką podpieram sobie głowę. Dopada mnie senność, takie to nudne, do tego plecy mnie bołą, ale jeśli przeniosę się na fotel, zasnę.

Więc poprawiam pięćdziesiąt stron.

Zamieniam licencjat na bury notes.

Znajduję wolną stronę, rozpisuję sobie jutrzejszy dzień. Rano pójdę do mamy, na cmentarz, dawno nie byłem. Podkreślam. Z cmentarza do instytutu, a potem, co robić, cztery godziny wolne, nie chce mi się wracać, do kawiarni też mi się nie chce, może powinienem wcześniej wpaść na Krupniczą. Zobaczyc, czy wszystko w porządku.

A jeśli ktoś będzie dzwonił i nie zastanie mnie w domu?

W gruncie rzeczy posiedziałybym sobie, tak jak teraz, cały jutrzejszy wieczór.

Pojawia się we mnie myśl, by nie iść na Krupniczą - jest zaskakująco przyjemna. Podoba mi się dzisiejsza cisza, podoba też wyobrazenie tamtej małej salki uboższej o mnie. Oczu, które mnie szukają, kieliszka, co nie stuknie się z moim kieliszkiem. Tak, rozważam, żeby nie iść.

Podnoszę gazetę i ciskam do kosza.

Włączam telewizor, rozbieram się do majtek i podkoszulka, kulę się na fotelu, jakbym wciąż był dzieckiem, ekran błyszczący, cienie rosna wokół mnie.

* * *

Grób matki był cichy i smutny. Chyba ukradli kwiaty. W instytucie patrzą na mnie, jakbym miał brudne czoło. Odbieram telefon. Domyślam się, kto i z czym.

- Spadłeś, stary. Cholernie mi przykro.

Akurat, myślę, ale odpowiadam:

- Przecież nic się nie dzieje. Raczyk.

- Aha.

W tej właśnie chwili chciałbym móc mówić z zaciśniętymi ustami. Próbuję stłumić złość, ale idzie mi średnio.

- Przecież ten dureń nie da sobie rady.

- Ano nie da.

Milczymy chwilę, Bartosz chyba chce mnie pocieszyć, zbiera się w sobie, muszę mu

przeszkodzić, nie zniosę pocieszenia. Myślę o tym, jak bardzo zmieni się moje życie.

- Będę miał więcej czasu na pracę. Powyżej uszu tych papierków, nie? - Pauza, nie wytrzymuję: - Kto mnie tak urządził?

Myśli, ciekawe, co powie.

- Ja byłem za tobą - słyszę.

Dziękuję i odkładam słuchawkę.

Chwila absolutnego bezruchu, ćmi mi się przed oczyma. Jak długo byłem naczelnym „Kwartalnika”? Cholera, siedem lat - zaciskam pięści. - Zrobiłem od zera tę gazetę, ci skończeni durnie nie skleciliby sensownego zdania, nawet gdyby im dać sto lat i czarodziejski komputer. Albo duchy im dyktowały. Co ty na taki pomysł, tato?

Jak głęboko trzeba schować się przed przeszłością, żeby nas nie wygrzebała? I żeby to jeszcze moja przeszłość! Jest obca jak rak. Znowu mi dowaliłeś, stary sukinsynu. Nic nie musisz robić, wystarczy, że ludzie cię pamiętają.

Czemu Urbany, Jaruzele umieją ustawić siebie i ustawić swoich? Czemu ty nie umiesz?

Ludzie mają wille, baseny, kochanki i czwarte żony, rozbijają się zachodnimi samochodami, prowadzą gazety, stacje telewizyjne, mają firmy jak miasta, a ty, tatusiu, wepchałeś mnie w tę norę, podobną do swojej, dałeś koronę z gazety tylko po to, by mi łeb ciążył. Na cholere były ci te draństwa, myślałeś, że to nie wróci, prawda? Ani do ciebie, ani do mnie. Myślałeś.

* * *

Zazwyczaj nie piję. Nie lubię i nie umiem.

Na Krupniczej stawiam się po paru głębszych. Wypiłem sam, w domu. Zwyczajnie poszedłem, kupiłem butelkę gorzkiej i walnąłem trzy kieliszki, jeden po drugim, bach, bach, bach, tłuką mi się w sercu.

Krupnicza w ogóle nie powinna istnieć. Odchodzi od teatru, wyłania się z jego czarnej ściany, kamienice są niskie i brudne, po prawej mijam podworec i dom za tym podworcem, taki prawdziwie przedwojenny, masywny, o ciężkich, brzydkich oknach. Chmary gołębi kotłują się w powietrzu.

Drzwi od literatów są otwarte. Dostępu do niskich okien bronią fantazyjne kraty. Na dole mają knajpę, wyżej pisarze mogą mieszkać. Słyszałem, że znalazł się właściciel i mają im to odebrać. Przynajmniej tato tak mówi i chyba jest zadowolony.

Wewnątrz, w knajpie, jest ciemno.

To nora jakich wiele, pełna ciężkich stołów, blaszanych popielniczek i serwetek w srebrnawych widelkach. Obrusy są zielone, za to kelner z blizną na ustach - wręcz fioletowy. Nosi krawat, ciemną kamizelkę, podwinął rękawy koszuli i wygląda na takiego, co urwał się z lat dwudziestych. Temu miejscu nie pomógłby nawet Omar Sharif w garniturze od Armaniego, ale kelner zachowuje się, jakby był udzielnym księciem - patrzy z ukosa, kroczy godnie, donosi kieliszki z wyraźnym obrzydzeniem.

Paru już siedzi, pije.

Brodacz o krwistoczerwonej, napuchłej od wódy twarzy włożył spodnie od garnituru i turecki sweter, spod którego wystaje zmięty kawałek kołnierzyka. Peroruje bez przerwy, głos ma wyjątkowo głęboki i mocny. A gada do trzydziestolatki w bluzeczce, która nie przepuszcza powietrza, daje głowę, że policzki tej kobiety porasta meszek.

Samotny facet w tanim garniturze, tak koło sześćdziesiątki, garnitur i on. Założył ciemne okulary w grubych, półprzezroczystych oprawkach, po obu stronach łysej glacy sterczą kępki włosów. Facet właśnie zamawia kawę i leci w moją stronę, wyciągając rękę tak daleko jak umie. Gorączkowo próbuję przypomnieć sobie jego imię i dochodzę do wniosku, że jest to niepotrzebne. Witamy się.

- Są na zapleczu - mówi - ale pańskiego ojca jeszcze nie ma.

Dopiero teraz puszcza moją dłoń, zostawiam go pośrodku knajpy, przy stole bilardowym.

Za knajpą mieści się niska kanciapa, której okno wychodzi na podwórze. To miejsce nadaje się najwyżej na graciarnię, ewentualnie zaplecze.

Zazwyczaj stoi tutaj stół, teraz jednak został wyniesiony.

Zamiast niego wstawili krzesła.

Po drugiej stronie zamontowano podwyższenie, nie wiem dokładnie z czego, przypuszczam, że jest to paka. Narzucono nań ciemne sukno. Na suknie stoi zdobiony fotel, maleńki stolik i kwiat na tym stoliku. Jest też miejsce dla prowadzącego. To wczesny emeryt z włosami zaczesanymi na boczek. Nosi muszkę, cienką marynarkę i różową koszulę. Nerwowo się kręci, zamachał do mnie, zszedł i się witamy.

- Mamy jeszcze piętnaście minut - słyszę.

Na jubileusz mojego taty przyszło siedem osób.

Młody człowiek w obcisłym swetrze wygląda komicznie za sprawą połączenia ogromnego, niekształtnego łba z karykaturalnie chudym tułowiem. Okulary upodabniają go do muchy. Krzyżuje ramiona na piersi, rozgląda się, usiłuje wychwycić sens pokątnych rozmów. Rozumiem już, to jakiś nieszczęśliwy licealista, któremu zamarzyło się pisanie.

Prócz niego najmłodziej wygląda łże-poeta z szopą nastroszonych czarnych włosów i wysoko uniesionymi brwiami. Założył nogę na nogę, podparł brodę ręką, patrzy, czeka. Nie zauważa mnie, nie wie, kim jestem. Na pewno tego pije.

Reszta to starcy. Potworna kobieta z nosem więdzmy ponakładała na siebie tyle apaszek i bransolet, że wygląda jak szary dodatek do tego dziadostwa. Usta jak zyletka, siwe włosy spięte w kok. Rozmawia ze staruszką zadziwiająco podobnym do gada, ten rozchyła wargi i daje głowę, że język, jeśli go wysunie, będzie rozdwojony. Ten przynajmniej zachował pozory elegancji, buty mu się błyszczą równie intensywnie jak czoło.

Jednego kojarzę, i to dobrze, robił jako cenzor czy ktoś podobny, a znam go stąd, że jego upadek dokonał się z większym hukiem niż ojcowski. Teraz coś go wścieka, burczy pod wielkim nosem.

A kobieta z nosem więdzmy odwraca się i:

- Nie denerwuj się, Leszku. Wszyscy cię bardzo lubimy.

Podgardle ma większe od twarzy, za to siwe włosy opadają mu aż za kark, po artystowsku. Okulary zawisły na końcu nosa, palec zdobi mu sygnet, pasek zegarka opina gruby nadgarstek i mało nie pęknie. Ścisną plik kartek z maszynopisem, zerka w nie, raptem podnosi głowę i gapi się na mnie.

W samym rogu kokosi się mężczyzna tak zabiedzony, że mam ochotę dać mu drobne. Brodę ma niechlujną, wąsy zbrązowiałe od papierosów, wlał się w sweter jak w naczynie, jego ręce - brudne, z czarnymi paznokciami - najwyraźniej czegoś szukają.

Między krzesłami znajduje się szkolna ławka. Na ławce ciastka, kubeczki, butelka wyborowej.

Otwierają się drzwi. Myślę, że to tato. Ale nie. Wpada kobieta z meszkiem na policzkach, czerwonicy wtacza się za nią, budząc wyraźny odruch niezadowolenia. Unika spojrzeń, wije się między nimi, tak do stolika. Przejmuje siatkę od młodszej przyjaciółki. Przesuwa wazon z kwiatem.

Prowadzący spogląda na niego wściekle, nic jednak nie mówi.

Facet o czerwonej twarzy wyjmuję z siatki książki, które napisał mój tato i zaczyna je rozkładać na blacie, jedna przy drugiej. Smutnoszare, straszą beżowymi tytułami. Zbiera je ta kobieta. Na stoliku zaczyna brakować miejsca, więc czerwonicy najpierw próbuje je ułożyć na stoliku z ciastkami i wódką, lecz nie zostaje tam dopuszczony i chyba rozumie, że postawienie dzieł jubilata przy żarciu i flaszce byłoby czymś niestosownym. Zapelnia nimi okienny parapet, kolekcja się kończy, zostają mu dwie w rękach.

W tym czasie kobieta wieszka pod sufitem szarfę z napisem:

SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE PRACY TWÓRCZEJ WITOLDA DARSKIEGO.

Wygina się przy tym, widzę pot pod jej pachami, oczko w pończosze.

Czerwonolicy zbaraniał dokumentnie, zerka w stronę siatki, czy przypadkiem tych dwóch książek nie da się schować i o nich zapomnieć, ale jest już za późno, bo w drzwiach staje mój tato. Czerwonolicy nieruchomieje na sekundę z powieściami w obu rękach, przesyła ukłon, nogą przestawia krzesło i siada. Książki mojego taty ustawia sobie na kolanach.

* * *

Godzina duchów.

Myślę o umieraniu, o tym, kiedy należy się pożegnać. Mówię do siebie na głos, w pustym mieszkaniu:

- Ci, co zabijają się z rozpacz, to durnie. Są jak ten gówniarz, co powiesił się, bo nie zdał do następnej klasy. Rozpacz mija. Smutek zostaje, ze smutkiem można żyć.

Siedzę w kuchni, przy gołym stole, i gapię się w herbatę.

- Są jeszcze głupsi, honorowi samobójcy. Zabił się, bo nie dotrzymał przysięgi. Nie miał jak oddać długów. Nie wykonał rozkazu. Zdradził swój kraj.

Książki mojego taty pełne są takich osłów. Strzelają sobie w głowy i piersi. Rozpędzają samochód i trach, w mur. Skaczą z urwisk i dachów, a potem pełzną, konający, potrzaskani, ciągną flaki za sobą. Wieszają się na drzewach i klamkach. Wyobrażam sobie, jak musi być z taką klamką, i nie bardzo umiem, trzeba by chyba rzucić się na podłogę, żeby pęknał kark, człowiek musi strasznie po tym wyglądać.

- Samobójstwo to kalkulacja - mówię sobie.

Nie wiem, czy na głos. W sobie, może, nie umiem tego uchwycić, bo robi mi się słabo.

Póki jest nadzieja, warto żyć, ale jeśli wiesz, nie masz cienia wątpliwości, że życie pobiegnie nieodwołalnie ku gorszemu, ku chorobom, starości, śmierci, zapomnieniu, trzeba wziąć się w garść. Powziąć męską decyzję, jedyną możliwą, nie płakać nad sobą i niczego nie żałować.

Każdy w takiej chwili chce się porozczulić nad sobą, każdy myśli, że przegrał życie, przetoczył jak kulkę gnoju, nie wiadomo po co. U mnie to poczucie jest bardzo silne.

Biorę nóż.

Przecież nie mam broni ani się nie powieszę.

Mógłbym skoczyć, obawiam się jednak nieodwołalności lotu w dół.

To dobry nóż, przywiozłem z Niemiec. Jadę palcem po ostrzu. Wspominam. Mam

przed oczyma naukę w świeżo wybudowanej tysiąclatce i to, jak kradliśmy chłopom czereśnie. Szczuli nas psami, jeden obił kijem, ale nie żałowałem, czereśnie były pyszne. Przed oczyma wyrastają twarze kolegów, zaraz zmyte przez zapchaną po dach syrenkę. Orientuję się, że pamiętam głównie przeprowadzki. Nieustanny ruch, z miejsca na miejsce, ojca uciekającego przed kłatwą, która go prześladowała i którą sobie wymyślił.

Staję przed lustrem w łazience. Mam wąskie ramiona, chudą szyję i nieprzyjemną twarz. Skronie są siwe, łysieję, zmarszczki gęstnieją wokół oczu i ust, nie wiem od czego, przecież nie od śmiania się. Robię głupi grymas. Jednym ruchem zmiotam wszystko sprzed lustra.

Przypomina mi się, jak umierała mama. W kilka miesięcy schudła o połowę, nie wiedziałem, co jej jest. Przeszła na jakąś dietę, chyba żeby odchudzić się po ojcu. Sąsiad ją znalazł, w ostatnich chwilach życia próbowała dostać się na balkon i zawołać pomocy, zmarła już z głową wciśniętą między pręty, ludzie myśleli że to dziwna piłka. Tato przyszedł na pogrzeb. „Zostałem sam”, tak powiedział. Dziwne, nie rozmawiali ze sobą od rozvodu.

Dotykam ostrzem szyi, planuję ruch.

Jest za tępe, najwyżej się oszpecę. Ciskam nim, brzęczy o wannę.

Dobrze, że się rozstali, pamiętam ich kłótnie, mama złościła się, że wytykają ją w pracy palcami. „Powiedz mi kto?”, odpowiadał ojciec, więc milkła. A on wściekał się dalej, nakręcał, opowiadał, że przecież wyszła za kogo wyszła, wiedziała, co robi, a jemu, kurwa mać, jest potrzebne wsparcie. W czasie takich rozmów najpierw siedziałem w swoim pokoju, potem, jak podrosłem, wychodziłem z domu.

Czasem zwyczajnie siedziałem na ławce, czekając, aż zgaszą światła.

Mam problem z nożem, wściekam się, żaden nie jest dobry. Trzonek nie ten. Ostrze za krótkie, nie dość ostre, albo przypominam sobie, co robiłem tym nożem, i nie umiem go już użyć. Znajduję właściwy na samym dnie szuflady, między łyżkami. Jest tak cienki, że przypomina szpikulec. Modyfikuję swój plan.

W sypialni zdejmuję koszulę. Bojaźliwie kłuję się w pierś.

Rodzice rozstali się po stanie wojennym.

Chyba na studiach było mi najlepiej, choć zazdrościłem kolegom z mniejszych miejscowości, którzy pieprzyli się po akademikach, pili i chodzili na manifestacje. Kiedy zabili Przemyka, patrzyłem z okna na te ponure juwenalia, dzwony biły, a ludzie ganiłi się po ulicach z milicją. Coś mnie tam gnało, ale nie poszedłem. Kiedy ojciec z matką wyjechali, byłem na czwartym roku, próbowałem się bawić, co trudno robić bez bandy kolegów.

Ale pamiętam dziewczyny w beretach na skos i smak tanich papierosów.

Idę po młotek i dłuto.

Kochałem się kiedyś na schodach, miałem potem sińce na kolanach. Tamte lata były w porządku. W Moskwie było jeszcze weselej.

Siadam na brzegu łóżka.

Wspomnienia biegną coraz szybciej. Mój pokój w Moskwie, obrona doktoratu.

Kobieta, z którą się omal nie ożeniłem - dobrze zrobiłem, bo była zbyt zasadnicza i zmieniłaby się w kwokę.

Przebijam sobie skórę, pojawia się duża kropla krwi. Nie czuję bólu, tylko łaskotanie.

Kiedy wróciłem, nie poznałem kraju, tak było kolorowo.

Mieszkam w starym budynku, między deski w podłodze mogę włożyć mały palec, wiele razy wbiłem sobie drzazgę w stopę. Zaczynam dłubać dłutem przy brzegu deski, odłupuję drewno po kawałeczku, aż robi się dziura o średnicy mojego kciuka.

Co jeszcze? Chyba pierwsze miesiące tutaj, kiedy wydawało mi się, że podbiję cały świat, kiedy wyrastała firma za firmą, miliony leżały na wyciągnięcie ręki. Włóczyłem się wtedy. Kupiłem ładę. Rzuciłem papierosy, Rosja załatwiła mi zdrowie.

Trzonek jeszcze nie chce się zmieścić. Wracam do dłuta.

Właśnie zaczynam rozumieć, że wspominam tylko dlatego, że powinienem. Wydarzenia są martwe, wyciągam te trupy, odurzam się ich smrodem. Bez znaczenia. W głowie nie mam nic, tylko te słowa.

Lekki niepokój.

Odwracam się i nic nie widzę.

Szpara osiąga właściwy rozmiar, wkładam nóż ostrzem na sztorc. Rączka wchodzi tak na trzy centymetry i nie chce dalej. Młotek. Uderzam w górę rączki, tuż przy ostrzu.

Ogarnia mnie przejmująca żalność, nie mam się czego chwycić. Wstaję. Przyglądam się cienkiemu ostrzu, sterzącemu z podłogi. Trącam je nogą. Ani drgnie. Jeszcze zerkam w lustro, poczerwieniałem i obrzydliwie się pocę.

Jak miałem dwadzieścia lat, przejechałem stopem z Gdańska do Torunia. Co z tego?

Klękam na podłodze, podpieram się dłońmi i prostuję nogi jak do robienia pompek.

Ostrze sterczy na wysokości serca. Raz, dwa, trzy. Z nosa spływa mi kropla potu i rozpryskuje się na podłodze. Przymykam oczy, przywołuję jakąś myśl, ale łeb mam pusty. Prostuję ramiona, tak jak tylko umiem, i w dół, robię niepełną pompkę, tak że czuję klucie tuż pod sutkiem. Teraz tylko wybić się i rozłożyć ramiona. Chwytam powietrze.

Nie wierzę. Śmiać mi się chce. Dzwoni telefon.

Klękam. Obiecuję sobie, że jeśli to ojciec, a tylko ojciec może dzwonić o pierwszej w

nocy, to nie powiem ani słowa i położę słuchawkę przy aparacie.

Odbieram.

- Dobry wieczór, mówi Jakub Weiss.

Odpowiadam szybko:

- To pomyłka.

- Nie mogłem być na Krupniczej. Ale chciałbym jednak porozmawiać o pańskim ojcu.

Krztuszę się, mam sucho w gardle.

- Pamięta pan? Byłem wczoraj w instytucie. Kiedy mogę znowu pana zastać? Z dyżurami nigdy nic nie wiadomo. Dlatego...

Tak gada, aż przestaję rozumieć.

Spoglądam w słuchawkę jak w ciemność.

* * *

Ojca odwiedzam raz w tygodniu, czasem częściej, teraz wlokę się niewyspany, pod wiaduktem. Nie wiem, jak się zebrałem, wiem, że spałem trochę, owinięty w prześcieradło, nóż sterczał przy mojej twarzy.

Nie znam smutniejszej drogi niż ta właśnie: wychodzę z tramwaju, zbiegam po schodach z mostu i zaczynam się piąć w stronę ronda, pod dwoma wiaduktami. Pociąg huczy mi nad głową, obok pędzą samochody, a na poboczu, w brudnym dołku, tkwią wypalone znicze. Dalej nie ma nic, żadnych szyldów, tylko nasyp i krzaki.

Po dziesięciu minutach marszu docieram do ronda.

Po drugiej stronie pyszni się świeżo wzniesiony Makro Cash i jeszcze nowsza Ikea, podobno studenci marzą o meblach stamtąd, a ja nawet nie wiem, jak te meble wyglądają. Mam tylko mgliste wyobrażenie opływowych kształtów.

Jest jeszcze stacja benzynowa, dalej ogródki działkowe, dwupasmówka prowadząca do Katowic, a pośrodku sterczą osiedlowe domy o czerwonych dachach, ogrodzone płotem. Są spod igły. Cztery rzędy po trzy piętra każdy. Między nimi trawniki, huśtawki z opon. Kręcą się koty.

Jeden mały sklep.

Kupuję sok, wodę, pakuję do siatki.

Osiedle wzniesiono jakiś rok temu i idę o zakład, że ojciec był pierwszym jego mieszkańcem; w moment zdołał zmienić nowiutkie mieszkanie w świątynię własnego zgrzybienia. Stoję przed bramą, jego okno na wprost mnie, mrużę oczy i widzę wyraźnie szeroką szparę między paskami żaluzji. Ojciec znowu spogląda na swoje duchy.

Pewno widzi także mnie.

Mimo to muszę zadzwonić cztery razy, żeby otworzył.

* * *

- Chcę zostać skremowany - mówi tato. To chyba nie kaprys, zaznacza tak zbyt często. Tak zrobię.

Najsilniej rozpoznaję go w tej chwili właśnie, w całej jego bezzębności i podkrążeniu, w tych papierowych dłoniach ze sterzącymi drutami kości, w kruchości paznokcia u nogi i samym paluchu, który zdaje się, wbrew ojcu, już mościć się tam, po drugiej stronie tęczy. Czy czegoś. Czegokolwiek, gdzie ojciec niedługo się wybierze. Nie rozpoznaję tej wewnętrznej rozgrywki, a przecież musi ją toczyć, gdzieś pod warstwami bzdur, jakimi mnie faszeruje. Źle powiedziane. On je wypluwa. Smarka bujda, obraca ku mnie te zmatowiałe oczy, co chciałyby rozblysnąć, lecz nie potrafią, łypie nimi w wystudiowany sposób, stary spryciarz stęskniony za własną brutalnością. Unosi się na łokciach, unosi kubek, wargi jak noże zakleszczają się na brzeżku, pije i rozumiem go w tej chwili - wciąż jest żarłocznością.

Za każdym razem, kiedy idę do niego, a także kiedy zasypiam w drugim pokoju, mam w głowie pytania, które chcę mu zadać, lecz gubię je między słowami. Dlaczego, tato, przeprowadzaliśmy się trzynastą razą, krążąc po całej Polsce, aż matka nie wytrzymała? Czemu zamiast ze mną spędzałeś wieczory przy oknie, patrząc nie wiadomo na co, czemu wreszcie mówisz mi to, co mówisz: o domach, duchach i wojnie. Czemu mi, tato, o tym opowiadasz, skoro chcę usłyszeć coś innego?

- Chcę zostać skremowany - powtarza - pamiętaj o tym.

Tato leży na łóżku pod starą kołdrą, nie chciał nigdy wymienić jej na inną i to dziwactwo jeszcze mogę pojąć. Na ścianie wiszą obrazy, tanie przedwojenne landszafty ze wschodu: akwarela z widokiem na młyn, ogromny las wspięty na pagórku, ściemniały portret rodzinny, no i jakiś święty z kluczem i księgą. Są książki, także te, które napisałeś, oprawione w płótno, z pobladłym nazwiskiem: Darski. Tak, o nich też zapomniano. Są zdjęcia. Tato w przedwojennej Warszawie, obok ślepy człowiek sprzedaje czapki, kobiety w kapeluszach przysłaniających oczy człapią przez bruk, jest i tato w okresie heroicznym: potężny facet wyjęty z nawiasu kolegów, tropiciel i bestia; jest tato za biurkiem безпеki, z mamą i braćmi, w innych ramkach trzyma mnie na rękach. Wygląda na dobrego człowieka. Jest pudełko z medalami, z komody zwisa sobie krawat.

- Późno jesteś - mówi.

Jego głos brzmi, jakby dobywał się z metalowej tuby. Tato odkłada kubek, chrząka i

pewno chce, żebym coś odpowiedział, a nawet się odniósł. Oczy mu się zwięzły. Tak patrzy. Więc odpowiadam to, co mogę powiedzieć, rzeczywiście, przyszedłem późno, ale zostanę już na noc, prześpię się w małym pokoju i obudzi mnie twój głos.

- Co jest za oknem? - pyta tato. Sam może podejść, nie jest aż taki słaby. Lecz idę, żeby odpowiedzieć: mam widok na globalizację, podłużną Ikeę, Makro Cash i rąbek MacDonalda. Tylko plac pod budowę oddziela mnie od tego dobrobytu. Nie mówię mu tego, bo wiem, co odpowie. Patrzę uważniej i przykro mi trochę - widzę tylko to, co zwykle.

- Dom nadchodzi. Jest tam? - słyszę.

- Jaki dom, tato?

Świetnie wiem jaki.

- Piętrowy, z drewna, ale możesz tego nie rozpoznać, jest ciemno - mówi. - Powinien tam być. Wiesz, wstałem wczoraj, zaraz go zobaczyłem, na tym skwerku między ulicą a nami. Stał tam, jakby był od zawsze. Jego okna zaglądały w nasze - chrząka. - Tak sobie właśnie pomyślałem. Okna patrzą w okna.

Poprawiam ojcu poduszkę, on sarka, marszczy nos. Obraca się gwałtownie i siada, chude nogi zwisają teraz poza łóżko. Krzyżuje dłonie na piersi, jakby chciał w sobie podtrzymać życie. Znowu pije i zerka za okno.

- Przyszedł? Jak nie, to przyjdzie.

Zawsze tak było. Dom, jego dom.

Zapada chwila ciszy i odpadamy od siebie, on milczy, a ja nie wiem, co ze sobą zrobić. Zmywam naczynia. Szoruję zlew. Wracam - wciąż siedzi i patrzy, porusza ustami. Zaczął obierać sobie jabłko, czyni to powoli, małym zakrzywionym nożem, odkrawa płaty skórki, kroi na ćwiartki i wykrawa gniazdo. Przekłada dwa kawałki na talerzyk i podsuwa w moją stronę.

- Jedz - mówi. - Jabłka są zdrowe. Pamiętam te, które mieliśmy w Nowogródku. Takie pyszne. Nie te, co teraz - żuje - prosto z sadu, teraz by ludzie je wyrzucili. Masła, chleby, jabłka to już całkiem. Cudowne, cudowne jedzenie.

Już wiem, co będzie, więc siadam z kawą, by posłuchać, i sam rozdaję się w sobie, tak samo jak wiem, że jabłka w Nowogródku przed wojną były zupełnie zwyczajnymi jabłkami, chleb pewno także. Młodość smakuje lepiej, trawa jest zieleńsza, gdy można grać na niej w piłkę i nic - ani niebo nie zakopcone spalinami, ani świeże srebro strumienia, psi szczek, drewniana wygodka za domem - nie wskazuje, że ludzie zmieniają się w ubeków i innych skurwysynów. Znam też te opowieści jak codzienną drogę do pracy, właśnie dlatego łudzę się, że w nich także dostrzegę coś innego niż brednię, maskę dla własnej niegodziwości.

Tato opowiada o duchach.

- Mieliśmy je w Nowogródku. Ludzie wierzyli. Po wsiach co starsi opowiadali nam o upiorach i innych widmach, które ich nawiedzały. Wampiry nawet były, jak piekarz Józef powiesił się na belce w magazynie, ludzie domagali się, by uciąć mu głowę i wsadzić między nogi. Pochowali go za cmentarzem i słyszałem, że nocami pod płotem można spotkać ogromne białe widmo, jak jęczy, błagając o miejsce w poświęconej ziemi. Więc ludzie poszli tam w nocy, wykopali trumnę, obcięli piekarzowi głowę i wsadzili między nogi, żeby nie wstał już i nie pił ludzkiej krwi. Jego żona mówiła potem z przerażeniem, że widziała głowę unoszącą się nad ziemią, białą, jakby wytarzaną w mące.

Ojciec schyla się i pokazuje dłonią, jak wysoko unosiła się ta głowa.

- Mieliśmy też starą synagogę. To znaczy w mieście było kilka synagog, ale ta była największa i najstarsza. Dużo Żydów tam mieszkało przed wojną, wiesz? Tam modlili się tylko w soboty, Żydzi, Żydóweczki, Żydziątka szli na nabożeństwo w takich czarnych strojach. Jak teraz to wspominam, to dziwnie się czuję, bo z jednej strony to takie wyraźne, synku, nic się nie zatarło, a z drugiej, no, strasznie dużo na świecie się zmieniło. Wszyscy wierzyli, że nocą duchy straszą w tej synagodze, i nawet człowiek, który jej pilnował, co rano walił w drzwi i wołał na umarłych, żeby już odeszli, że nastał nowy dzień, co nie jest już dla nich. Jedz jabłko, jedz. W każdym razie baliśmy się tam podchodzić po zmroku. Słyszałem, że to duchy chrześcijańskich dzieci, pomordowanych podczas jakichś straszliwych obrzędów. A raz sąsiadka opowiadała, że jej babcia przechodziła koło synagogi po zmroku. Tam spotkała chłopca - na oko, synuś, siedem lat - ten chłopiec poprosił, żeby go zaprowadziła. Gdzie zaprowadziła, pyta tamta i słyszy, że do kościoła. Dobrze, więc bierze go za rękę i idą, a ona czuje, że uścisk robi się bardzo zimny i jakiś słabszy, jakby kawał lodu topniał jej w rękach. Odwróciła się i nikogo nie było. Ręka dokuczała jej potem przez wiele tygodni.

Dostrzega moje znużenie, podciąga nogi i milknie na chwilę. Skórę na policzkach ma suchą, prawie przejrzystą. Zwracam uwagę na jego przedramiona, chude i brzydkie, wciąż zachowały odrobinę siły. Tato wgryza się w kolejną ćwiartkę jabłka.

- Jeszcze straszniejszy był dom Nowakowskich pod Nowogródkiem. Można tam było dojść w godzinę, a lasem nawet szybciej, tylko nikt tam nie chodził, bo nie było po co. Opowiadałem ci o Nowakowskim? - pyta i zaraz mówi szybciej. - Nie żył już, jak się urodziłem, i dom stał pusty. Taki goły. Patrzyłem na niego i czułem, że goły to dobre słowo. Rozumiesz mnie, synku? - Nie czeka na odpowiedź. - Juliusz Nowakowski walczył w powstaniu styczniowym, mieli duży oddział w pobliskich lasach. Myślę, że gdyby dożył swojego wieku, byłby jednym z tych starych, brodatych weteranów, których widywałem na

uroczystościach już po pierwszej wojnie, w wolnej Warszawie. Tych to na rękach noszono, dawano ordery i nikt nawet się nie zająknął, jakim szaleństwem było to powstanie. Nowakowski to zrozumiał. Poszedł walczyć zaraz po dwudziestce. Zostawił żonę z małym dzieckiem, wsiadł na konia, pojechał. Nie wiem, na co liczył. Powstańcy mieli kłopoty z bronią i zaopatrzeniem, Rosjanie szybko zepchnęli ich do lasów. To wiesz, prawda?

Tak, tato, wiem wszystko i dużo więcej, chcę powiedzieć, lecz milczę. Uczę się na pamięć pęknięć w suficie i zastanawiam się, co zrobiłby ojciec, gdybym wreszcie przyniósł ten telewizor. Ucieszyłby się czy przeciwnie, uznał, że mam dosyć i zamykam mu usta płaskim ekranem. Tato tymczasem mówi dalej, podnosi głowę, chce wyjrzeć za okno, lecz z łóżka widzi jedynie niebo.

- Nowakowski był dzielny, sprytny i głupi jak kowadło. Nazywali go cudotwórcą, ech, po prostu zawsze skombinował jedzenie, tytoń i kawę, dogadał się z chłopem, żeby go przenocował i nakarmił, miał układy w miastach i z lekarzami, rannych czasem przewożono do szpitali miejskich, leczyć w tajemnicy. Zorganizował prawdziwą wigilię w leśniczówce. Tylko poddać się nie chciał, przeciwnie, im gorzej szło powstańcom, tym on robił się bardziej zacięty. Myślę, że Juliusz polubił życie w ciągłym napięciu, choć są tacy, co mówią, że po prostu nie chciał wracać do żony. Więc wszystko waliło się ludziom na głowy, a on swoje, walczyć do końca i jeszcze dłużej, jak ci biedni głupcy, których potem tropiliśmy z Wałachem. Powiedz mi, synek, skąd w ludziach biorą się takie rzeczy?

Teraz rzeczywiście milknie, patrzy na mnie i rozumiem, że naprawdę oczekuje odpowiedzi. Nic nie przychodzi mi do głowy, bo przecież ten świat z Nowakowskim i straszliwym pułkownikiem Wałachem jest dla mnie równie tajemniczy co ojciec. Ale trzeba odpowiedzieć, więc mówię:

- Ludziom ciężko przyjąć, że coś się nie udało.

Brakuje tylko wzruszenia ramionami, tato siada na brzegu łóżka, otrząsa się i zakłada okulary. Znów mruży oczy, rozgląda się chwilę zupełnie bezradnie, jakby obudził się w obcym miejscu i przy obcym człowieku. Odzywa się głucho:

- Powoli swoi opuszczali Juliusza, za to ciążyli ku niemu kryminaliści, zwykli zbrojcy bawiący się w wojsko. Nowakowski ich nie chciał, więc jeden go wydał Rosjanom i tu kończy się prawda, a zaczyna opowieść. To, co mi mówiono, to, czemu ja wierzę. Słuchaj, synuś. Juliusz Nowakowski leży postrzelony na śniegu, czołga się ku krzakom, a wszędzie, przed nim, za nim, jest rosyjskie wojsko. Wie, że nie ujdzie pogoni, będą mieli swojego powstańca, i dopiero w tej chwili, kiedy próbuje nie krzyczeć, kiedy tamuje juchę, próbuje obwiązać ranę, rozumie, że to naprawdę koniec. Nie ma już powstań i partyzantów, jest rana,

Ruskie i nadchodząca noc. Bóg, do którego się modlił, milczał jak zwykle, więc Julian poprosił o ocalenie diabła. Cud stał się, synu, prawdziwy cud. Nie wiem, czy to czarna chmura zakryła niebo, ale najpewniej słońce zaszło wcześniej tego dnia i Rosjanie nie znaleźli partyzanta. Nowakowski dotarł jakoś do znajomych chłopów. Ci go opatrzyl.

Ojciec powoli wstaje. W dziwny sposób kojarzy mi się z kimś ciężko rannym - krąży po pokoju, opierając się o meble. Ma świszczący, płytki oddech, jak u człowieka, który mnóstwo pali.

- Juliusz odszedł, a po kilku dniach do chłopów dotarło rosyjskie wojsko. Żołnierze zwyczajnie ich pobili, pytali o Juliusza, lecz nie dostali odpowiedzi. Zaraz potem zjawili się partyzanci z rozbitego oddziału. Wiedzieli dobrze, że chłopci mają pieniądze i jedzenie. Zabili wszystkich i poszli, nie wiem, czy znaleźli coś cennego, czy może nie. Był to dopiero początek. - Ojciec próbuje nalać sobie wody, pomagam mu. - Juliusz wrócił pod Nowogródek i próbował normalnie żyć, choć wszystkim, nawet żonie, wydawał się dziwnie odmieniony. Przekonywał, że to chwilowe, że za długo siedział po wsiach, zdziczał po prostu. Chyba sam w to nie wierzył. Latem utopił mu się syn.

Wypowiada te słowa pozornie lekko, naprawdę toną w nim, podszyte przejęciem, chce w ten sposób dać mi do zrozumienia, jaka ważna to sprawa, tamten martwy chłopiec.

- Musiał utonąć podczas kąpieli, woda poniosła go aż do młyna Bielskich, gdzie utknął na zastawce. Nie koniec na tym, miesiąc minął i było już po pani Nowakowskiej. Nieszczęśliwy splot okoliczności, tak bym rzekł, zasłabła, schodząc z piętra, opadła na barierkę, barierka nie wytrzymała, jak mówią. Juliusz, zajęty partyzantką, wspomnianiem partyzantki i tak dalej, nie miał głowy do prac domowych. Nowakowska połamano się strasznie, przewieziono ją do szpitala, aż do Wilna, tam zmarła, poraniona w środku. - Mówi to z udawaną zgrozą, jak bajkę dla dziecka. - Juliusz wrócił do pustego domu. Już ludzie szeptali. A potem także zaczęli umierać. Młody sklepikarz, u którego Nowakowski kupował jedzenie, upił się na żydowskiej zabawie i wpadł pod koła bryczki. Fryzjer dostał zawału. Niby nic, a jednak. Wkrótce zrozumiano.

Milknie i przysiada na krześle. Czekając, więc pytam:

- Co rozumiano, tato?

Ożywia się natychmiast, nawet oczy jaśniejają przelotnie, jak światła samochodu przy ostatnim kaszlnięciu silnika.

- Otóż uznano, że Nowakowski przyniósł z lasu jakąś klątwę. Już wtedy wiedziano o diable zamieszkującym okolicę, uznano więc, że przeklął żołnierza. Jeszcze raz ci mówię, takie rzeczy działy się przed wojną. Ludzie pomyśleli, że każdy, kogo Nowakowski dotknie,

niedługo umrze. Kiedy przychodził do miasta, posiwiały i chmurny, ludzie łązili na drugą stronę ulicy, place pustoszały nawet w dni targowe, dzieci bawiły się w dziwną grę, kto bliżej do niego podejdzie. I podchodziły. Nigdy jednak na wyciągnięcie ręki.

- Ty też się tak bawiłeś? - pytam.

Uśmiecha się, wargi robią się jeszcze węższe, zmarszczki zbijają się w dwie splątane wiązki; sztuczna szczeka kontrastuje z miękką szarością dziąseł. Nos mu się czerwieni.

- Jeszcze nie żyłem - wyjaśnia. - W końcu nikt nie miał odwagi zbliżyć się do Nowakowskiego, parobek ze służącą uciekli, nikt nie chciał się nająć. Widywano Nowakowskiego, przemienionego już w szmatę, jak chłepcze wodę ze strumieni, podkrada chłopom zboże albo idzie do lasu ze strzelbą. W końcu umarł w swoim domu. Tak mówią, z głodu i zimna, mrozy były, lód stał na rzece. Zmarł w piwnicy i nikt nie miał odwagi iść po ciało, nie wiem nawet, gdzie Nowakowski teraz leży. Dom został pusty i coś tłukło się w środku.

Podnosi się znowu i drepcze do okna, opiera łokciami o parapet. Nachodzi mnie złośliwa myśl, przykładam palec do ust, wiem, że dostrzegł to kątem oka. Staję przy nim i też spoglądam za okno. Nie widzimy tego samego, to pewne.

- Tato, a czemu ten człowiek, Nowakowski, nie przeniósł się gdzieś, gdzie nikt o nim nie słyszał? Czemu nie nosił rękawiczek? Skąd wiesz o diable w lesie, skoro nikogo tam nie było? Skąd wiesz, kto zabił chłopów, skoro chłopci, w rzeczy samej, są martwi?

Kuli się nieznacznie pod każdym pytaniem i nie odrywa wzroku od tego, co jest za szybą. Rozumiem znowu, że jeśli mnie okłamuje - a robi to z całą pewnością - czyni podobnie sam ze sobą. Cokolwiek tam widzi, przeraża go do głębi. Patrzę uważniej, chcę wierzyć, lecz za szybą znajduje się to co zwykle: trawiasty kwadrat, ulica, hipermarkety, mrugnięcia samochodów i dalekiego osiedla.

- Nadchodzi - mówi mój ojciec.

* * *

Tato był dla mnie bardziej kształtem niż czymkolwiek innym: pudełkiem ze skarbami lub śmieciem, do którego nie posiadałem klucza. Butelką zakręconą na amen, tak, że nigdy nie dowiem się, co w niej było - dobre wino czy sikacz. Figurą widzianą pod słońce, człowiekiem albo manekinem.

Podczas spacerów takich jak ten odczuwałem to szczególnie. Zeszliśmy pod wiaduktem, bo tato nie chciał słyszeć o żadnych taksówkach. Zrobił się oszczędny na starość i mnie też próbuje uczyć oszczędzania. Proponowałem Wisłę, lecz zdecydował się na alejki

Grottgera, gdzie nie ma niczego ciekawego: dwa pasma zieleni przecięte betonową dróżką, parę huśtawek, zwalony pień, dalej bloki. Usiedliśmy na ławce. Nudziłem się.

To zabawne i dziwne, siedzi koło mnie, a ja już go wspominam. Na przykład, jak miałem dwanaście lat i brał mnie pod rękę. Szliśmy przez miasto. Rozpierała mnie duma, choć nic nie wiedziałem o moim ojcu. Jeździł na polowania i za najczarniejszego Gomułki mieliśmy na stole świeże mięso, a potem kolega, który na polowania nie chodził, popił z tatą i zaczął tak go trącać: „Witek, słuchaj, ludzie mówią, że wy do tych zwierząt strzelacie z pepeszy. Żadne tam sztucery, bierzesz po prostu kłamkę i prujesz do sarenek”. Jak tato się śmiał! Ale ten człowiek więcej nie przyszedł.

Tato kokosi się na ławce. Kaszle i marszczy nos.

- Pamiętam to miasto jak dziś - zaczyna, a ja wiem, co będzie dalej. - Farę z obrazem cudownym, gdzie czasem zachodziłem prosić Matkę Boską, by za jej sprawą ojciec oszczędził mi lania. Ruiny zamku, właściwie dwie odrapane baszty pełne ptaków i cieni. Jak siadłeś tam na murku, widziałeś cały Nowogródek: domy z ciemnego drewna, o białych lub niebieskich framugach okiennych, wieżę ciśnię, szeroką fasadę kościoła i wszystko w zieleni. Było nas trzech w Nowogródku. Trzymaliśmy się razem. Stasiek, jedyny syn Górczyńskich, strasznie na niego chuchali. Bo jedyny właśnie. I Aron Bielski. Jego rodzina miała młyn pod miastem. Taki wielki. - Robi ruch ręką. - Ten sam młyn, przy którym znaleziono syna Nowakowskich. Strasznie lubiłem tam przychodzić, choć oczywiście nie z tego powodu. Aron miał mnóstwo braci i siostr, policzyć ich się nie dało. - Przymyka oczy. - Czeka, czeka. Jedenaścioro, piętnaścioro. Pokazywałem ci jego zdjęcie? Wisi u mnie.

Pokazywałeś ze sto razy, zdejmowałeś z gwoźdźca i podtykałeś pod nos. Pamiętam wyraźnie poważnego ojca, małą, brzydką matkę, czarnowłosą dzieciarnię i jednego blondyna. To Aron właśnie, stał z boku i miał minę, jakby właśnie wrócił z grandy.

Słońce na moment przebija się zza chmur i tato zamyka oczy, rusza ustami, widzę, że zanurza się we własnej głowie, wydobywa z niej imiona. Powtarza je sobie szeptem i to go męczy.

- Rodzice kłócili się, wolno mi się zadawać z Żydami czy nie wolno, ojciec był na tak, matka miała wątpliwości. Właściwie zdecydowałem za nich. Strasznie lubiłem chodzić do tego domu, gdzie wszyscy mieszkali na kupie. Dzieci spały po troje, czworo na jednym łóżku. Kradłem z domu boczek, kradłem kielbasę. Siadaliśmy sobie z Aronem, on jadł, aż mu się uszy trzęsły. Nie mógł, wiesz? - Teraz brzmi naiwnie jak dziecko. - Żydzi nie mogli jeść takich rzeczy. Strasznie zadowolony był, bo bał się trochę tego swojego żydostwa. Nieustannie opowiadał o dziadku, poważnym, ortodoksyjnym Żydzie, który przyjeżdżał do

nich raz na miesiąc z Wilna, patrzył, narzekał, a przede wszystkim zapowiadał, że wybierze któregoś chłopca, zabierze ze sobą i wychowa po swojemu. Aron strasznie nie chciał być rabinem. Chodził do Tarbutu i zazdrościł mi i Staśkowi, że rodzice posłali nas do normalnej szkoły.

- A do jakiej innej mieli? - pytam.

Tato się śmieje.

- Dobrze powiedziane. - Przechyla głowę. - Dokładnie tak, dobrze powiedziane.

Przed nami spacerują ludzie: objęte pary, nerwowe matki z wózkami, poważny chłopiec z książką pod pachą.

- Łowiliśmy ryby, graliśmy w zośkę, a przede wszystkim robiliśmy różne głupoty. Uwielbialiśmy opowieści o duchach i teraz nawet się sobie dziwię z tego powodu. Raz poszliśmy na cmentarz, w środku nocy. Wymknąłem się z domu. Czekaliśmy koło bramy i każdy po kolei przeciskał się przez kraty. Zadanie było proste, dojść do jak najdalszego grobu. Jak masz siedem lat, wędrówka w takiej ciszy, synku, między cichymi nagrobkami niemal zatrzymuje ci serce. Byłem drugi, Aron doszedł najdalej.

Macha ręką. Spieszy się z tą historią. A przecież wiem, jaka będzie, i nawet nie jestem ciekaw. Przyglądam się tacie, on naprawdę wierzy, że opowiada ją po raz pierwszy. Jeśli tak, myślę, to jak może być nieprawdziwa? Nieustannie, dzień po dniu, wymyśla ją od nowa, dokładnie taką samą? Próbuję przypomnieć ją sobie, nim zacznie mówić, wyróżnić szczegóły. A tato kaszle. I mówi dalej, nim zdążę zebrać myśli:

- To właśnie Aron wymyślił, żeby iść na noc do domu Nowakowskich. Potem się tym usprawiedliwialiśmy. Protestowaliśmy dzielnie, Stasiak najbardziej, straszliwie bał się matki. Stara Górczyńska stawała na uszach, żeby zachuchać go na śmierć - składa usta, jakby chciał powiedzieć: „suka” lecz tylko wydmuchuje powietrze. - Aron to się nie dał. Aż mu oczy płonęły. „Pójdziemy, pójdziemy - mówił, krzyczał nawet - weźmiemy chleb i wodę, jakby duch żołnierza był głodny”. „Co będzie, jeśli rzeczywiście się zjawi, dotknie nas i poumieramy?”, zapytał rzeczowo Stasiak, a Aron zrobił idiotyczną minę.

Łapie oddech. Mówi z coraz większym wysiłkiem, ostatnie słowa padły niemal niesłyszalne. Grzebię mu w torbie, tato warczy i wrywa mi torbę. Wyjmuje z niej wodę niegazowaną, odkręca z namaszczeniem, jakby w butelce znajdowało się zaklęte jego własne życie. Zaraz się napije, myślę, i zacznie znowu.

- Poszlibyśmy tam wcześniej, gdyby nie Armia Czerwona. Pogonili Piłsudskiego i weszli do Nowogródka. Rodzice byli przerażeni i prosili mnie, żebym za żadne skarby świata nie odwiedzał już Arona. Teraz wiem, myśleli, że zaraz Sowietci zrobią z nich swoich

agentów - rzekł gładko, jakby zapomniał, kim był. - No rzeczywiście, wielu Żydów witało ich bardzo serdecznie. Nie Bielscy, ci trzymali się z boku, żaden się nie wychylił - dodaje z szacunkiem.

Drapie się w nos.

- Pamiętam to wojsko - mruży. - Szły kolumny przez miasto. Ludzie się chowali, a ja nie bałem się zupełnie, więcej, rwałem się do tych żołnierzy. Wydawali mi się inni, jacyś mniej groźni, może dlatego, że z reguły żołnierz do żołnierza jest podobny. Tak samo ostrzyżony, nie różni się budową ani wzrostem, i kiedy przyglądałem się armii polskiej, miałem wrażenie, że całą odlano z tej samej formy. Bolszewicy inaczej. Jeden mały i pogięty, inny znów olbrzymi i z łapą jak kamień młyński, w niedopasowanych mundurach, z wąsem albo bez, tak różni, a jednak razem. Zastanawiałem się, pęta, co ich naprawdę połączyło.

Mówi to tak, jakby nie wierzył we własne słowa. Zaciska palce na buteleczce, przytomnieje, rozluźnia uścisk, odbieram mu ją. Wodzi oczyma po ludziach, tężeje mu twarz i mam wrażenie, że przez moment naprawdę widział Nowogródek, tuż przed sobą.

- Nie bardzo rozumiałem, czym jest ta wojna i po co się ją prowadzi. Towarzyszyło mi poczucie nieustannej zmiany. Niedawno byliśmy w Rosji, zaraz potem w Niemczech, teraz należeliśmy do Polski, tylko po to, by wrócili Rosjanie. Tylko że inni, myślałem, straszniejsi i zjednoczeni czymś, czego nie rozumiałem. „Chodźmy do domu Nowakowskich! Chodźmy do domu Nowakowskich!”, tak powtarzał nam Aron.

Teraz wzdycha. Pewno chce pokazać, jak bardzo, mimo lat, kłuje go ta historia. Nie wątpię, że jest w niej część prawdy, tylko co z tego, skoro wbrew tej prawdzie tato dokleja widma i wędrujące domy? Coś w nim cieszy się na tę opowieść. Wiem, że zaraz jak skończy, pójdziemy, wezmę go pod rękę, a on będzie się wyrywał.

- Mieliśmy iść w środku nocy, ale Stasiak, który bał się najbardziej, twierdził, że późny wieczór to tak samo jak noc. Poszliśmy więc po południu, żeby przynajmniej drogi w jedną stronę nie przebywać w ciemności. Las pachniał intensywnie i był intensywnie zielony, szliśmy na przelaj, milczący, nawet Aron się zamknął, i tylko gałęzie trzeszczały nam pod stopami. Spłoszone ptaki wzbijały się w niebo. Aż wreszcie wyłonił się dom. Pamiętam go dokładnie, jakbym był tam wczoraj. W pewnym sensie byłem.

Ta pauza ma mi uświadomić, że każde jego słowo jest prawdą.

- Miał dwa piętra i był bardzo zniszczony - podejmuje temat. - Spod białej farby wyłaziło ciemne drewno, szyby zastaliśmy wybite lub brudne, a mnie zrobiło się ciut zimno. Taka ciemność biła z okien - opowiada, przejęty - jakby wewnątrz domu Nowakowskich już zapadła noc. Usiedliśmy pod lasem, patrzyłem i gryzłem kielbasę. Tak, wszystko pamiętam,

poza jej smakiem. Aron się ożywił, próbował nas rozruszać, mówił, jaka to przygoda i jak będzie okropnie wesoło. Nie bardzo mu wierzyliśmy. Stasiak chyba chciał wracać, zerkał na nas co chwilę, czy też się boimy. Ściemniało się, dom Nowakowskich zdawał się rosnać, mój synku. - Wytrzeszcza oczy, mówiąc, pomaga sobie dłońmi i nie ma pojęcia, jak karykaturalnie wygląda. - Szarpałem się ze sobą, pragnąłem z jednej strony wejść tam jak najprędzej, nim zrobi się całkiem ciemno, a z drugiej bardzo chciałem odwlec tę chwilę jak najdłużej. To Aron dał znak. Jeszcze zawróciłem do lasu i zabrałem gruby kij. Stasiak miał nóż, a Aron nie miał nic.

Oddycha płytko, obraca głowę do mnie. Mam ochotę zapytać go o cokolwiek innego, jak sypia, co tam w prasie, kogo widział, a jeszcze lepiej, żeby to tato zadawał pytania. Jestem jego synem, niech zapyta co u mnie, a liczą się tylko ci dwaj chłopcy, co dawno nie żyją.

Jakby zgadł moje myśli:

- Aron zupełnie nie przypominał Żyda. Był rok młodszy ode mnie i zdecydowanie wyższy, może tylko ciemne oczy zdradzały pochodzenie. Strasznie silny. Miał ledwo dziesięć lat i prawdziwe mięśnie. Stasiak inny, Stasiak pulchny, nie wiem, na czym on tak się spał w tej swojej biedzie, mówię ci, takich grubasów było niewielu w Nowogródku. Więc poszliśmy. Drzwi zastaliśmy zamknięte i pomyślałem, że teraz możemy już wracać. Gdzie tam. Aron zaraz znalazł niskie okno, szyba była wybita, więc ostrożnie powyjmował ostre krawędzie. Przeskoczył pierwszy, słyszałem, jak ląduje, coś się stłukło, coś przewróciło. I cisza. Umarł, przeraziłem się. Już go tam pożarli. Zawołał zaraz, żebyśmy szli, i był rozbawiony.

- Przeskoczyłem przez okno i znalazłem się w ciemności, dosłownie, synku, jakbyś wylądował na dnie studni - powiada. Myślę sobie, tato, nawet nie wiesz, ile masz racji, jestem na dnie studni, tkwimy tam obaj. - Nim wygrzebałem świeczkę i zapałki, z ciemności wyłoniły się kontury sprzętów. To, na czym wylądowałem, okazało się zabawkami. Dziwne, że nikt ich nie zabrał. Tu był pokój dziecinny. Pomyślałem zaraz, że chłopiec, który mieszkał na parterze, nie jak ja, na piętrze, i mógł w każdej chwili wyskoczyć do ogrodu, musiał mieć dobre dzieciństwo. Nie wiedziałem nawet, czy Nowakowscy mieli ogród.

Teraz zaczniesz opowiadać mi o ogrodzie, którego nie ma - myślę, pijąc wodę - wymyślisz sobie kwiaty stubarwne i chuchniesz w nie widmowym wiatrem. Będą tam żyły pasikoniki i żwawe myszki, mignie motyl i pszczoła, opowiesz mi zaraz o dłoniach, co pielęgnowały te kwiaty, o stopach dziecinnych odcisniętych w pulchnej ziemi, i jeszcze bardziej się od siebie oddalimy. Słucham cię, tato.

- Pachniało paskudnie. Zgnilizną, kurzem i piżmem. Niby mieliśmy plan, o którym każdy zaraz natychmiast zapomniał. Trzy rzeczy wiedziałem: musimy przejść przez wszystkie

pomieszczenia, nie rozdzielać się i zabrać sobie jakieś pamiątki. Aron zaraz wybrał drewniane pudełko z metalowymi okuciami. Zapytałem, czemu nie zobaczy, co jest w środku. Odpowiedział, że zrobi to dopiero w domu i będzie miał niespodziankę. W ten sposób przygoda zostanie z nim na dłużej. Tak chyba myślał. Synku, pamiętasz jeszcze to pudełko?

- Jak mam nie pamiętać? - odpowiadam. - Stoi przy twoim łóżku.

I nigdy go nie otwierasz. Nie pozwalasz nikomu otworzyć.

- Tam jest zamknięty jego krzyk - rzecze mój tato. Robi pauzę, żebym przetrawił tę istotną wiadomość. Mój ojciec jest człowiekiem, który z siebie tylko znanych przyczyn trzyma w domu wrzeszczące pudełko. - Niech ci będzie - wraca na stare tory. - Poszliśmy w głąb domu. Mało brakowało, a chwycilibyśmy się za ręce. Zapaliłem świeczkę. Mijałem cienie czyjś życia, w rzeczy samej potworniejsze od najgorszych upiorów. Szafy o wyłamanych drzwiach, ubrania wiszące jak chude trupy i mole, wszędzie, wszędzie. Stłuczony talerz, lampa naftowa z ubitym kloszem. Buty nie do pary. Takie tam. Szukałem czegoś, co mógłbym zabrać, najlepiej noża albo pistoletu, wyobrażasz sobie, synuś, mam dziesięć lat i prawdziwy pistolet, może lepszy niż ten ojca. Ale nie znalazłem. Za to widziałem trofea myśliwskie, wielkie łby patrzące ze ściany szklanymi kulkami. Stasiak chciał jedną wydłubać, nie pozwoliłem.

- W drodze na piętro pojawił się problem, schody mogły się rozpaść od samego patrzenia w ich stronę, trąciłem barierkę, zachwiała się. Ustaliliśmy, że wejdziemy po kolei. Aron skręcił papierosa i wypaliliśmy go we trzech - śmieje się tato. - Za oknem zrobiło się już całkiem ciemno i w pewnej chwili coś usłyszałem. Szuranie. Ciche, lecz wyraźne, jakby ktoś czułgał się ku nam. Umilkło po paru sekundach. Wstrzymaliśmy oddech. „Wiatr - rzekł Aron. - Tylko wiatr suwa papierami”. Jaki wiatr? - małpuje głosy, skrzeczy. - „Wpada przez wybite okna”, odparł Aron, choć bardzo się bał.

Mówienie już go męczy, znam ten stan, znów pije, bierze głęboki oddech i obojętnie, obserwuje ludzi, nawet do dzieci się uśmiecha, ściska kolanami swoją laskę. Przygryza wargę. Nie wiedzieć czemu zaczynam myśleć o pudełku i o tym, kiedy ostatni raz miał je w ręku.

- Poszedłem pierwszy. Nie było tak źle, tylko stopnie trzeszczały. Stasiak omal się nie zesrał, Aron zrobił pierwszy krok i powiedział, że z pudełkiem nie da rady, trudniej utrzymać równowagę. „Zostaw na dole, wrócisz, to weźmiesz”, ja na to. On swoje. „Rzucę, ty złapiesz”. Po co mu to pudełko? Rzucił, złapałem. Nowakowski nie wykończył piętra, albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś, kto plądrował dom, tu skoncentrował swoje wysiłki. W kilku pokojach znalazłem potrząskaną komodę, książki o wyszarpanych okładkach, połamany

krzyż, stłuczone figurki. Krzesło stało nogami do góry, nogą właściwie, bo trzy pozostałe urwano. Na tę jedną nogę nadziano obrazy. Ze trzy. Pewno ściany w miejscach po nich były jaśniejsze.

- Stasiak szukał skarbów, Aron popędził za nim, grzebali w wywalonych szufladach, rozbebeszyli komodę do reszty, przerzucali nawet książki, zapewne wierząc w opowieści o skarbach. Ja chodziłem spokojniej i po prostu patrzyłem, także dlatego że obie ręce miałem zajęte. W jednej świeczka, w drugiej pudełko. Syknąłem, żebyśmy się pospieszyli. Koledzy ruszyli niechętnie. Na mój rozum zdaliśmy egzamin, wracać trzeba było, a nie patrzeć dokładnie pokój po pokoju.

Ojciec nie znosi gołębi. Odkąd pamiętam. Akurat jeden sfruwa, może rozpoznał kształt roboczo mu przyjazny: drobny, zgarbiony, wsparty na lasce. Więc idzie wprost na tatę, kiwając główką, tato ani drgnie, tylko mocniej zaciska palce na główce laski. Gołąb, nieświadomy niebezpieczeństwa, wchodzi w zasięg ciosu, laska zatacza łuk i spada, choć nie z taką siłą co kiedyś, na ptasi bok. Wyrzuca gołębia w górę, ten wygląda niczym pierzasta kula, rozczapierza skrzydła i mknie kulawo ku bezpiecznym dachom.

Kobieta, akurat siwa jak gołąb, aż kamienieje, jakby się bała, że będzie następna. Odciąga od nas małą dziewczynkę.

- Pan nie jest dobrym człowiekiem, bo bije pan gołębie - mówi.

A ojciec wybucha śmiechem.

- Szedłem pierwszy, korytarz był długi i wąski, myślałem nawet, że magicznym sposobem piętro się rozrosło, podczas naszej wędrówki po schodach. Jakim cudem dom Nowakowskich pomieścił aż tyle pokoi? Skręciłem. Pomieszczenie było duże, kąty ginęły w mroku, załamywała się geometria ścian, zrobiło mi się zimno - opowiada szybko, przejęty - wszędzie wisiały ubrania. Garderoba. Szafy o wyłamanych drzwiach - tato dyszy - trąciłem coś, nie, Stasiak trącił, był taki rząd wieszaków i ryms! - klaszcze w dłonie, lecz twarz ma nieobecna - leca, jeden na drugi, hałas straszny, odruchowo przycisnęliśmy się do siebie, i nagle pisk, i nagle furkot, my wrzeszczymy, w powietrzu kłębią się czarne widma. Łopoczą skrzydłami, coś śmignęło mi przy uchu, zawirowały pióra, myślałem, że duszę wypluję. Aron połapał się pierwszy. „To ptaki! - wrzasnął. - Ptaki! Ptaki!”.

Ludzie odwracają głowy, bo tato naprawdę wrzeszczy i stuka laską o ziemię. Uspokaja się momentalnie i jego krzyk przechodzi w szept.

- Uspokoiliśmy się, jak i ptaki wcześniej. Świece nam pogasły, zajęła się sukienka, ale Aron zdeptał płomień. Staliśmy chwilę, słuchając, jak bicie skrzydeł milknie, widziałem czarne kształty ulatujące przez okno. Nie wiem już, kto powiedział, że ma dosyć. Wszyscy

odetchnęliśmy z ulgą. Czas wracać. Świeczkę schowałem do kieszeni, chciałem oddać Aronowi pudełko, lecz ten chyba o nim zapomniał, wyszedł na korytarz i tam znieruchomiał. Tylko patrzył się przed siebie. Dał znak ręką, taki nieokreślony. Podszedłem, Stasiak ze mną i wtedy go zobaczyliśmy.

Znów przerywa, niby że zmęczony, szuka w moich oczach ciekawości. Przecież znam tę historię lepiej, niż znam jego, zastanawiam się, jakim cudem za każdym razem dobiera nowe słowa. Ptaki raz skrzeczą, raz biją skrzydłami, wyławiam szczegóły, na których się wyłożył - poprzednim razem mówił chyba, że to frak zapłonął, nie sukienka. Nieważne, bo dalej scenariusz biegnie już podobnie. Tak, tato, teraz opowiesz mi o psie.

- Byłem prawie pewien, że to duch, widmo zakłęte w zwierzę. Wydawał się nam wielki jak lew, był jednak psem, zdziaczałym, wielkim zwierzęciem, jakie często włóczyły się po okolicy. Jak się tam dostał? Może ktoś był tu wcześniej, wpuścił go i zatrzasnął drzwi. Ludzie mówili, że stary Nowakowski miał psa i zwierzę za nic nie chciało opuścić domu. Na szczury polował. Wysunął się akurat z pokoju i patrzył na nas zdziwiony. Stasiak zaciskał ręce na kiju. Pies był tak ogromny, że mogliśmy na nim usiąść i gdzieś popędzić. Obnażył kły. Mierzył siły.

- Przycisnąłem pudełko do piersi, jakby ono mogło mnie ochronić. Stasiak wysunął ręce przed siebie. Porozumiewawcze spojrzenia. Tak, wycofamy się tyłem, bardzo powoli, pies nie może poczuć, jak bardzo się boimy. Sam też się bał. Warknął znowu. Wyszedł na środek korytarza i tam stał. Strasznie zabiedzony, skóra wisiała po bokach, kiwał wyłysiałym łbem. Idźcie, idźcie, nie ważcie się podchodzić. Cofaliśmy się coraz szybciej, zwalczyłem chęć panicznej ucieczki. Pies ani drgnął. Schody były już blisko, za nami ciemny korytarz. Zerknąłem przez ramię w poszukiwaniu nowego niebezpieczeństwa - sapie, świszczy. - Dobry Boże, synku, wtedy go zobaczyłem.

Jeśli nawet ojciec kłamie - a nie mam co do tego wątpliwości - to są chwile, w których kłamstwo przyjmuje za prawdziwsze niż trawę przy alejce, zwalone drzewo, rozwrzeszczane dzieci wokoło. Mówi dalej, poważnie i powoli, jakby referował mi prawdy ostateczne.

- Stał naprzeciw psa, za nami, kilka metrów od schodów. Wysoki i straszny. Z pistoletem w ręku, broń, przysięgam, lśniła w ciemności jak fosfor. Oczy podobnie, ich blask rozjaśniał twarz. Teraz wiem, że pewno mi się zdawało - przyznaje z udawaną skruchą. - Po prostu mój umysł oszalał ze strachu. On był, rozumiesz, o parę kroków, w ubłoconym wojskowym płaszczu, w mundurze, z wąsem, przystrzyżony po wojskowemu. Duch Juliusza Nowakowskiego. Zrobił krok w naszą stronę, wykonał gest, który w innych okolicznościach uchodziłby nawet za przyjazny. Taka ręka uniesiona. Przyłożył palec do ust, tak, powinniśmy

być cicho, lecz jak to zrobić w takiej chwili, wrzasnęliśmy jednocześnie, zapomniałem o psie, wyparował z naszych głów. Jednym skokiem znalazłem się na stopniach, drugim - na samym dole, Stasiek gnał za mną, Aron ostatni, obróciłem się, już przed pokojem, przez który weszliśmy. Widmo stało u szczytu schodów, rozkładając bezwładne dłonie, takie chude, upiór człowieka, co umarł z głodu. Stasiek już do mnie dołączył, pędziliśmy dalej, kątem oka zerknąłem, jak Aron skacze na stopień, ten stopień się łamie, zawierzył barierce, niepotrzebnie. Czegoś jeszcze próbował się chwycić i poleciał głową w dół, uderzył gdzieś w ciemności, słyszałem tylko odgłos, krzyk straszny, chlipanie: „Pomóżcie, pomóżcie”. Duch zachwiał się, pochylił głowę i niepewnym krokiem zszedł na pierwszy stopień. Myślałem: to dziwne, powinien unieść się w powietrze. Spod schodów wyczołgał się Aron, twarz miał czarną od krwi, bark mu się wygiął, nogi miał powykrzywiane - ojciec wywija dłońmi, żeby uzmysłowić mi ogrom okaleczenia - coś jęczał, podciągał się na sprawnym ramieniu. Widmo schodziło ostrożnie, a nam brakło odwagi. Pobiegliśmy, odprowadzani jego krzykiem. Długo go słyszałem, przez całą drogę do miasta, nie wiem tylko, czy brzmiał z domu Nowakowskich, czy w mojej głowie. Zapytałbym Staśka, ale nigdy już nie rozmawialiśmy o tym, co się stało.

* * *

Godziny wieczorne z ojcem są najgorsze, nieodmiennie odwleka chwilę, kiedy się wreszcie położy, nie wiem tylko, robi to specjalnie, żeby mnie zmęczyć, czy próbuje wyrwać jak najwięcej chwil z kurczących się dni, które mu pozostały. Drepcze przez mieszkanie, od biblioteczki do stolika z gazetami, włącza telewizor, choć nie rozumie już, co się w nim dzieje. Je kromkę z masłem orzechowym. Przebiera się w piżamę, wcina drugą, łyka lekarstwa i popija wodą. Niedawno odkrył te smakowe i cały czas prosi mnie, bym przynosił nowe. W pokoju pełno niedopitych butelek: cytryna, malina, owoce leśne. Nie daje sobie pomóc, więc czuję się bezradny, krążę za nim jak widmo z jego własnych opowieści. Czuję się zmęczony. Gdyby chociaż mówił. Jest jednak milczący, skupiony na zwykłych czynnościach. Wreszcie odrzuca kołdrę i siada na brzegu łóżka. Sprawdza, czy niczego nie brakuje: jest i laska, i lampka na wyciągnięcie ręki, książka, pudełko z lekarstwami. Tak tkwi.

- Podaj mi, proszę, pudełko z półki. Nie otwieraj pod żadnym pozorem - ostrzega. Podaję i nie mam najmniejszej ochoty zobaczyć, co jest w środku. Zaciska na nim palce. Wiem, co zaraz powie.

- To pudełko z domu Nowakowskich. Zabrał je Aron w noc, kiedy umarł.

Odkłada je i głaszcze.

- Zobacz, co jest za oknem - prosi.

Wstaję bez słowa. Patrzyłem tam tyle razy, że mógłbym opowiadać z zamkniętymi oczami. Już ciemno, powietrze jest czyste, przez co światła dalekiego osiedla widać trochę wyraźniej. Kiedyś próbowałem je liczyć dla zabicia czasu. Gubiłem się. Dziś płonie ich więcej.

- Wszystko w porządku, tato.

- Ochłonęliśmy jeszcze przed Nowogródkiem - zaczyna znowu. - Stanęliśmy pod lasem, widziałem kontury domów i ruiny zamku na wzgórzu. Zwykłą kupę kamieni, bez żadnych duchów. Długo, długo patrzyliśmy na siebie. To Stasiak powiedział pierwszy, że trzeba wracać. Zaostrzyliśmy dwa kije na wszelki wypadek. Do walki z psem, nie z widmem. Las był już ciemny, z trudem znajdowaliśmy drogę, żalując bardzo, że nie zawróciliśmy, kiedy jeszcze była okazja. Każdy trzask był jękiem, świst wiatru westchnieniem. Nie śmieliśmy odzywać się do siebie, była we mnie dziwna nadzieja, że dom po prostu zniknie, zapadnie się w widmowym świecie, do którego należał. Jakaś część mnie próbowała to wszystko jakoś ułożyć, nie dla siebie, lecz dla rodziny. Co powiemy ojcu Arona, jak ten nie wróci? Czy w Nowogrodkiem wszyscy już śpią? Matka mogła na mnie czekać. Kto wiedział, że wybieramy się do Nowakowskich? Nikomu nie mówiłem. Co jeśli Aron wypaplał rodzeństwu? Zwykle trzymał gębę na kłódkę.

Bębni palcami w pudełko.

- Zabrałem je ze sobą, żeby oddać Aronowi, gdy tylko go zobaczę. „Proszę, nie zapomnieliście o tobie, masz, to twoje - małpuje głos pełen troski - schowałem je dla ciebie”. Nieważne, ważny jest las, co nie chciał się skończyć, i ptasie krzyki. Tak dotarliśmy do domu. Był taki cichy... - zawiesza głos i rzeczywiście, cisza zapada w powietrzu. Nikt nie rozmawia na dole, nie brzmi warkot silników. Bierze oddech i opowiada dalej. - Początkowo baliśmy się podnieść głos. Stasiak, blady jak trup, popukał się w czoło. „Już nie ma czego się bać, Aron nas usłyszy. Umarli przyjdą lub nie przyjdą”. Zmroziło mnie.

- Weszliśmy tą samą drogą co poprzednio. Zapaliłem świecę. Wołałem po imieniu swojego przyjaciela. Pies chyba umknął, żaden duch nie majaczył na piętrze, tylko złamana barierka przypominała o tym, co się wydarzyło. Najchętniej ciągnąłbym słomki. Poszedłem bez tego. W dół, pod schody, przejęty, że znajdę tam trupa. Poświeciłem, tylko krew, wcale nie tak dużo, jak się spodziewałem. I drzazgi. But. Podniosłem, mokry. Jąłem się wycofywać, oświetlając czarną, zakrzepłą smugę na podłodze. Aron czołgał się przez hol aż do otwartych drzwi. Krew ginęła w trawie. „Uszedł, udało mu się”, powiedziałem do Staśki.

- Odetchnęliście? - pytam, by sprawić mu przyjemność.

- Wtedy tak - kiwa głową, markotnieje. - Niestety, na krótko.

Za oknem śmigają ptaki. To niewiarygodne, ale chyba gdzieś w pobliżu sokół ma swoje gniazdo. Czasem widuję trójkątny kształt tnący niebo. Takie to dziwne, sokół w centrum miasta. Wiem, że sokół, bo jest zbyt mały na jastrzębia.

- Poszliśmy do lasu, wykrzykując jego imię. Trwało to parę godzin, stanowczo zbyt krótko. Nie znaleźliśmy. W miarę oddalania się od domu Nowakowskich czułem się coraz lepiej. Głupi, obiecywałem sobie, że nigdy już tam nie wrócę, aby w to uwierzyć, podparłbym się każdym kłamstwem. „Durnie z nas - powiedziałem do Staśka - Aron dawno się pozbierał i siedzi w domu. Martwi się o nas tak, jak my o niego”. Stasiak zapytał, co będzie, jeśli jednak nie wrócił. Co powiemy? Wymyśliłem coś takiego: poszliśmy sobie do lasu we trzech, wróciliśmy razem i tuż przed Nowogródkiem Aron powiedział, że jeszcze wraca, połowić ryby nad rzeką. Często tak robił, więc kłamstwo brzmiało wiarygodnie. Stasiak zgodził się i powiedział, byśmy jeszcze poszukali. Ale wołaliśmy coraz słabiej, ogarniała mnie senność. Więc wróciliśmy do domu. Nikt mnie nie widział. Rodzice spali. Miasto było ciche i wszystko, co przeżyliśmy, wydało mi się snem.

Kładzie się ostrożnie i przykrywa kołdrą. Znow bierze pudełko i kładzie je sobie na piersi, przypomina mi teraz martwego króla, którego chowają z jabłkiem, a potem wykuwają w sarkofagu. Przymyka zadowolone oczy, wysuwa czubek języka. Mówi.

:- Rano zbudziła mnie matka, czy nie widziałem Arona. Ja na to, że nie. Przypatrzyła mi się uważnie, chyba się domyśliła, może przeczuwała, za to ojciec patrzył na mnie ponuro, przed nim to nic nie dało się ukryć. Powtórzyłem naszą wersję, modląc się do Maryi z naszego kościoła, by jeszcze raz uchroniła mnie przed kłopotami. Co zrobi Stasiak? Pamięta naszą wersję? - Podnosi się na łokciach, ożywiony innym wspomnieniem. - Potem zawsze bandytów przesłuchiwałem osobno, na początku grzecznie, a jak się nie zgadzali, praliśmy równo, czasem major też prał, aż taki skurwiel nie wypluł prawdy razem z zębami. - Zaciska pięść na wspomnienie dawnej siły.

Nie lubię, kiedy opowiada, co robił zaraz po wojnie, więc proszę:

- Wróćmy do Nowogródka.

Tato wyraźnie się cieszy, w jego głowie przetacza się radosne skojarzenie: skoro tak mówię, to chcę słuchać, nie pojmie, że najchętniej oglądałbym go śpiącego, jak tylko przez nos świszczy, a jak już gadać musi, wolę bajanie o białoruskich zjawach niż prawdę o katowaniu partyzantów.

- Wracamy do Nowogródka - teraz głos ma młody. - Ledwo słońce wzeszło, a już miasto na równych nogach stoi, co ja gadam, biega wte i wewte, młodzi, starzy, Arona

szukają. Każdy mnie pytał, każdemu odpowiadałem to samo, tylko innymi słowami, żeby nie wyszło, że coś na pamięć wkułem. Zobaczyłem Staska, miał śliwę pod okiem. Tylko łypnął na mnie, rozpoznałem błysk. Farby nie puścił. Zuch gość.

Podważa paznokciem wieczko pudełka, jakby chciał je unieść. Nie zrobi tego. Wiem.

- Bez szemrania wzięliśmy udział w poszukiwaniach, wołaliśmy „Aron! Aron!”, na szczęście skierowano nas w kierunku odwrotnym do domu Nowakowskich. Stasiak miał pietra. Jak się połapał, że jesteśmy sami, nachylił się i szepnął coś takiego: „Boję się. Znajdą go i powie prawdę. Gdzie byliśmy. Gdzie został. Może czołga się tam w lesie. Albo, co gorsza, umrze potem w szpitalu i na nas będzie ta śmierć” - szepcze mój tato, naśladując głos dziecka. - No to i ja się przeraziłem. „Nie martw się, nie znajdą go - powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu. - Nie znajdą go”. Jezu, ale popatrzył na mnie wtedy. Ale popatrzył!

Tato się śmieje i bębni palcami w pudełko.

- No i go znaleźli - opowiada, wypogodzony. - Leżał kilkaset metrów od domu Nowakowskich, zimny jak woda w grudniu. Nogi miał połamane, bark też, zmarł od czego innego. Najpewniej jakimś cudem się wyczołgał, nie chcę nawet myśleć, ile bólu go to kosztowało. Pełził w stronę Nowogródka. Nie doszedłby. Naprawdę, nie da się przebyć takiej odległości przez las z połamanymi nogami, jak masz sprawną tylko jedną rękę. Więc pies zrobił mu przysługę. Tak właśnie myślę, choć wtedy byłem przerażony.

Jakaś zmiana w nim zachodzi, spina się w sobie, na znak, że opowieść na dziś dobiega końca. Pudełko łąduje na półce przy wezglowiu, siorbie wodę, masuje brodę, ani myśli wyjąć szczękę. Jeszcze nie.

- Ludzie mówili, że to zwierzęta, lecz wiem swoje. To pies. Nie wiem skąd. Tam poczułem. Poszedł za nim i odgryzł mu twarz. Dosłownie - cedzi każde słowo. - Po portkach go poznali. Nikt nas o nic już nie pytał. Poryczałem się. Naprawdę było mi przykro. A potem wyszło coś jeszcze - masuje palcem po okularach. - Sprawdzili dom Nowakowskich. O tak - mlaszcze. - Sprawdzili.

Czuję się teraz jak uczeń powtarzający klasę, nie po raz drugi, lecz setny, na własne życzenie wałkujący ten sam przedmiot. Albo jak wariat puszczający sobie nieustannie w kółko jeden film w idiotycznej nadziei, że ulubiony bohater nie zginie, nie zostawi go dziewczyna i nigdy nie zajdzie słońce.

- Wiesz, co tam znaleźli, synuś? - znów się śmieje, choć oczy mu się kleją, rehot zamyka się ziewnięciem. - Żołnierza! Żadnego tam ducha, szeregowca armii polskiej z krwi i kości, co dał dyla z dywizji i skrył się w rodzinnych stronach, chciał przeczekać. Podobno był błądy, wychudzony, w brudnym płaszczu, rzeczywiście przypominał widmo. Pochodził z

Lachowicz, niedaleko od Nowogródka, nie wrócił do rodziny ani wcześniej, ani potem, wcześniej się bał, a potem, jako dezertera, rozwaliliby. Cudem uszedł z rąk ludzi, którzy go znaleźli. Myśleli, że zabił Arona, a ja najbardziej bałem się, że opowie o nas. Nie opowiedział. Chyba nie.

Odwraca się jeszcze i trąca pudełko paznokciem. Tak mówi:

- Otworzyłem je kilka dni później, nie dlatego że się bałem. Zwyczajnie zapomniałem przez to wszystko i jeśli dziwiłem się czemuś, to tylko temu, że w ogóle je zabrałem. Leżało pod łóżkiem, nie pamiętam, bym je tam dawał - Przygryza wargę, zwalnia, obraca jakąś myśl.

- Może pudełko jest jak dom Nowakowskich? - rzuca w przestrzeń pytanie i wraca do starego wątku. - Może powinienem zanieść mu na grób? Dzieci nie mają takich myśli, dzieci są ciekawe, drapieżne. - Tatę coś nachodzi na mądrości. - Więc je otworzyłem. Tam był zamknięty jego krzyk. Ostatni krzyk Arona, któremu pies odrywał strzępy twarzy, Arona, którego zostawiłem, zwiewając przed fałszywym widmem. Krzyk ściał mi krew. Odebrał wzrok, zostałem w ciemności na kilka sekund. „Był”, powiedziałem? Jurek... - wreszcie zwraca się do mnie po imieniu - on tam ciągle jest.

Milknie, zabiera pudełko i przestawia na drugą stronę, tuż przy sobie, żebym przypadkiem tam nie zaglądnął. Ani mi to w głowie.

* * *

Dzikię zwierzęta budzą w nas dzieci, przywracają zachwyty pierwotnego odkrywania świata, tak sobie myślę, wsparty łokciami o parapet, za plecami szumi mi woda, ojciec się kąpie, a ja, oczarowany, przyglądam się sokołowi. Przycupnął na skraju parapetu i przekrzywia główkę. Ma piaskowe skrzydła, szary kark i ciemne korale oczu, łypie nimi bez przerwy, przestępuje z nogi na nogę, te są łyse i wyraźnie do niego nie pasują. Otwiera i zamyka dziób. Przypomina mi fanatyka siłowni, ubitego nierównomiernie: potężne ramiona, szerokie plecy, a wszystko na wątych, malusieńkich nóżkach.

Ojciec wychodzi z łazienki, przepasany ręcznikiem, w kapciach. Obwisłą skórę na torsie porasta siwizna, sutki są czarne i martwe, jakby zgniłe. Resztki mięśni pokrywa cienka, pomarszczona skóra. Posuwa nogami, marszczy brwi. Zabiera okulary. Teraz sam przypomina ptaka.

- Zobacz, mamy tu sokoła.

Przyspiesza, a ja orientuję się, że powinienem powiedzieć „sokoły”, bo właśnie niebo przecina drugi, drapieżną kreską, zatacza półokrąg i mknie ku górze. Ojciec jest już przy mnie, chciał pewno położyć mi dłoń na ramieniu, zamiast tego wpija mi palce w ramię, aż

boli, chwieje się, więc jeszcze go podtrzymuję. Jest blady. Oddech zamiera mu w piersi. Unosi drugą dłoń.

- Widzisz go?

- Sokoła?

- Nie! Dalej! Tam! Za Ikeą! Przecież on tam jest! - zwalnia uścisk, uspokaja się trochę, ociera sobie brodę. - Właściwie to było do przewidzenia - opada na parapet koło mnie i patrzy. - Zawsze przychodził, to przyszedł i teraz. To nawet dziwne, tak długo go nie było.

Brzmi w nim bezbrzeżny smutek, związany z przecuciem śmierci, jakby to, co nawiedzało go przez ostatnie pół wieku, zjawiało się już po raz ostatni. Z lekkim westchnieniem cofa się w kierunku fotela. Dłoń ma przy ustach. Przytomnieje, chyba już pamięta, co mówiłem.

- Sokół? Jaki sokół? - pyta.

W tej samej chwili ptak zrywa się do lotu, a na twarzy mojego ojca nie zachodzi najmniejsza nawet zmiana. Robi mi się dziwnie i zaraz przychodzi myśl dziwniejsza, czy czasem nie jest tak ze mną: zjawiam się tutaj, obcinam mu paznokcie, robię herbatę, czytam do snu, a on naprawdę, szczerze, sądzi, że w pobliżu nie ma nikogo.

Teraz będzie o domu, skoro już go zobaczył, tym domu, który nadchodzi.

- Zacząłem go widywać dopiero po wojnie. Znaki pojawiły się wcześniej - zaczyna z wysiłkiem. - Przez parę lat miałem spokój. Wspomnienia się zatarty i nie myślałem już tyle o Aronie. Miałem trzynaście lat, może trochę więcej, obudziłem się w swoim pokoju na piętrze. Była piękna noc lipcowa, parno jak w saunie, więc pootwierałem okna. Zapachy tamtych lat to coś niezwykłego, miało się wrażenie, że nawet niebo, z gwiazdami i księżycem, posiada swoją woń. Czulem coś innego, znajomego w złowrogi sposób. Piżmo i kurz bez konkretnego źródła, nie z dołu, nie z góry, ten zapach brał się zewsząd i specjalnie dla mnie. Przestraszyłem się i zawołałem matkę. Powiedziała, że nic nie czuje i mam się nie wygłupiać. Drzwi się za nią zamknęły i już rozumiałem. Ten zapach czulem w domu Nowakowskich i teraz przyszedł do mnie. Nie opuścił mnie do rana, lecz ja próbowałem go opuścić. Wybiegłem, a woń domu biegła za mną.

Mówi to zrezygnowany, garbi się, jakby coś mu siedziało na plecach. Głowę ma odwróconą od okna.

- Jeszcze coś się zdarzyło, nie wiem już tylko, na jawie czy we śnie. Mieliśmy rzekę, głęboką w paru miejscach. Pływałem tam przez całe lato, ze Staśkiem lub sam, wtedy akurat Staśka nie było. Już wiedziałem, że jadę do Warszawy, już byłem pewien, że w Nowogrodzku będę gościem, nie czulem jednak żalu, przeciwnie, wiesz, synuś, co znaczy wyrwać się z

zadupia. Tylko rzeki mi brakowało. Wiedziałem, mogę pływać w Wiśle, to jednak nie to samo - bierze oddech, przywołuje miejsca w swych słowach, nie opuszcza mnie wrażenie, że po tylu wieczorach znam je lepiej niż on. Więc tak: fajne głębokie miejsce było w zakolu, należało zejść po skarpie na kamienisty brzeg, gdzie był, tato, taki duży kamień, na którym składałeś ubranie. Raki czaiły się pod kamieniami, spojrzawsz w lewo i już widziałeś błyski kleni w małym wodospadzie. Przy brzegu woda była przezroczysta, każdy kamień wydawał się bliski, gęstniała w zieleń po paru krokach. Tam zanurzałeś się po pas, składałeś dłonie, skakałeś i sunałeś przy samym dnie.

- ...tego dnia słońce prześwietlało wodę - snuje znaną mi opowieść. - Zanurkowałem głęboko, wybiłem się ku górze i przepłynąłem kilkanaście metrów, walcząc z nurtem, ku miejscu, gdzie było najgłębiej. Kiedyś zbudowaliśmy trampolinę ze Staśkiem, ale kra ją zerwała. Więc tam zanurkowałem, ostro w dół, by przepłynąć przy samym dnie. Nie zobaczyłem jednak dna, tylko Nowogródek, jaki można podziwiać z nisko lecącego samolotu. To znaczy nie pomyślałem o samolocie, czułem, że sam latam, więc popłynąłem niżej i dostrzegłem, że miasto jest odmienione.

- Domy stały zburzone i szerniały od ognia, w kilku miejscach straszły dziury, będące, jak myślą teraz, lejami po bombach. Kolory utonęły w wielkiej szarości i dopiero wtedy zrozumiałem, że nie poznałbym tego miasta, gdyby nie ruiny zamku. Te były jak zawsze. Zobaczyłem kruche ludzkie sylwetki nie większe od narybku, początkowo kłębiły się między sobą, by sformować z siebie ze cztery luźne kolumny i odejść od ruin. Wiedziałem, dokąd wędrowały, wiedziałem aż za dobrze, człowieczek za człowieczkiem przepadały w lesie, by zaraz wyłonić się na polanie, przy domu Nowakowskich.

Unosi dłonie, jakby chciał coś chwycić. Opuszcza powoli, wpija palce w gołe kolana. Te przypominają czaszki.

- A dom ich zjadał - kończy z przejściem. - Jednego po drugim. Pyski zamiast okien, ciemna gęba w miejscu drzwi, żarł ich łączywie, a oni chcieli, jak chcieli, pchali się nawet jeden przez drugiego, tratowali nawzajem, szklane zęby miały ich ciała, przepoławiały, tarły, a wszystko było zupełnie bezgłośnie. Tylko krew szła ku górze, prawdziwa, jak wtedy gdy się skaleczysz podczas kąpieli. Patrzyłem na to, bardziej zafascynowany niż przerażony, i patrzyłbym dalej, gdyby organizm się nie upomniał. Wybiłem się ku górze, popędzany przez ściśnięte płuca. Ledwo uspokoiłem oddech, zanurkowałem znowu. Tym razem nic. Tylko dom, który znałem. - Milknie i zaraz śmieje się niepewnie. - Dno. Oczywiście, chciałem powiedzieć: dno.

Wstaje i zaczyna się ubierać, więc próbuję nie patrzeć, odwracam głowę. Kiedy ma

już na sobie koszulę i białawe slipy, zaczyna mordować się ze spodniami. Nigdy nie pozwala sobie pomóc, krzywi się nawet na litościwe spojrzenia, wiem, że nic nie wskóram, tylko patrzę na ten cudaczny taniec w ciszy. Podtrzymuje się mebli, naciąga nogawki, wykrzywia nogi, zastyga na moment jak postać z kreskówki, na jego twarzy, jak zawsze podczas wkładania gaci, maluje się najwyższe napięcie. Wzdycha. Sapie. Wreszcie spodnie lądują na tyłku, upycha koszulę i z miną zwycięzcy zasuwa rozporek.

- Warszawa była piękna - zaczyna. - Nie do porównania z tym, co mamy teraz. Pamiętam tramwaje jak pudełka, stłoczone na Marszałkowskiej, imponującą katedrę Świętego Jana i coś nowoczesnego, mianowicie potężną stację Fiata na Krakowskim Przedmieściu. I jeszcze Prudentiala pamiętam. Jak kmiot, jak kmiot - kręci głową - gapiłem się na niego i liczyłem piętra. Z mojego pokoju wyruszałem na dalekie spacer. Przez pierwsze tygodnie w wolnych chwilach głównie wędrowałem, czując się jak sznur, który po latach opuścił dziurawą łajbę, schodząc do ogromnego portu. - Ożywia się i w zachwycie wykrzykuje nazwy: - Nowe Miasto! Ryneček na Nowym Mieście! Kościół! Zamek! Teatr Letni!

Twoim zdaniem, tato, miasto składa się z miejsc, nie z ludzi, chcę powiedzieć i gryzę się w język.

- Poznałem zupełnie nowy rodzaj przestrzeni. Nowogródek był zielony, zwiewny i tak łagodnie przechodził w las. Na tym polega różnica pomiędzy miastem a miasteczkiem: miasto jest bryłą, miasteczko ciecżą - znam to porównanie, bardzo je lubi. - Nowogródek wylewał się domami między leśne drzewa, Warszawa była ostra - pokazuje mi dłońmi wyraźną granicę - pozwalała sobie na zbytki. Po co, pytałem, okrągły plac Zamkowy, po co kolumna, skoro ludzie głodni? - Chrząka. - Właśnie, głód.

- Nie przelewało mi się przez pierwsze lata studiów, potem zaczęły się korepetycje i jakoś pociągnąłem. Nie każdy chciał uczyć się polskiego od chłopaka z Nowogródka. Pamiętam swój pokój, tak mały, że mieścił szafę, łóżko i małe biurko, ledwo się obracałem, a gdybym zaprosił gościa, musiałby usiąść mi na głowie. Wstydziałem się trochę skromnego życia, które wiodłem. Wyobrażałem sobie mianowicie, że zdołam się odwdziżyć rodzicom, wyobraziłem sobie, jakim to będę nauczycielem, jak zabiorę ich w podróż po Warszawie, jak odbiorę ich z dworca, przewiozę taksówką do kamieniczki na Nowym Mieście, wskażę ręką i powiem: „To mój dom”. To pewno wiesz? Opowiadałem ci o pierwszych miłościach, o Soni, którą uczyłem przez ostatni rok przed wojną. Młodsza była. Nie wiem już, szesnaście lat, strasznie ciekawa idei, ciekawa świata. Dyskutowaliśmy o nowym porządku, o procesach moskiewskich, wierząc święcie, że Stalin robi dobrze, pakując zdrajców do łagrów, zastanawialiśmy się, jak to będzie w Polsce, gdy już skolektywizujemy

przedsiębiorstwa. Cieszyła się z mojej działalności w „Spartakusie” i w swojej młodej głowie już widziałem nas dwoje maszerujących ręką w rękę, objętych, przez miasto ogarnięte rewolucją. Głupi byłem, z Sonią dzieliliśmy idee, lecz nigdy nie pomyślała o mnie serio. Podobał jej się kto inny, syn przedsiębiorcy tekstylnego, przechrzta, tak myślałem. Starszy ode mnie. Sonia - przygryza wargę - zginęła podczas pierwszych bombardowań.

Zbieram się w sobie, pytam, chcę być złośliwy.

- A ciebie nie przerażały te trupy w Moskwie? Głód na Ukrainie.

Marszczy się w ułamku sekundy.

- Synuś, jak ty nie rozumiesz. Co to komunizm jest? To wiara. Wierzysz partii, słuchasz partii, partia rozwiewa twoje wątpliwości. I jeśli partia mówi, że Kazia lub Stasia trzeba przez śnieg, na Sybir przegonić, znaczy to tyle, że Kazio ze Stasiem będą przegonieni. Myśmy rewolucję chcieli robić, nie babki stawiać.

- Partia, czyli kto?

Rozgląda się po pokoju bezrozumnym wzrokiem, czasem tak ma, zapada się w sobie na minutę lub dwie, nie mówi i najwyraźniej nic nie pojmuje, może jego stare oczy widzą wtedy coś innego, tę Warszawę, Sonię zgarbioną nad Trockim, może dom Nowakowskich. Marszczy czoło. Przesuwa dłońmi po udach, nagle spina się w sobie, niby że pęka, i zjawia się z powrotem.

- Stasiak przyjechał do Warszawy dwa lata po mnie. Jeszcze w Nowogródku chciał zostać inżynierem, nie wyszło i przywitał mnie w mundurze żołnierza piechoty. Był obcy w mieście, ja już się otrząsałem. Nie poznawałem go. Stwardniał. Jeśli coś bardziej kochał od kobiet, to tylko bijatyki. Wystarczyło słowo, by go rozdrażnić, nieraz oberwałem przez niego, a przywaliłem komuś jeszcze częściej. Zastanawiałem się, jak on w ogóle wytrzymuje w wojsku z tym krnąbrnym charakterem.

Pociąga nosem.

- Pomagaliśmy sobie - opowiada ze śmiechem. - Potrafił umawiać się z dwoma dziewczynami naraz i nieraz wpadał przez to w kłopoty. Raz kręcił z taką Basią, czarnooką, krępą, dziś powiedziałałyby: jebliwa. - Mało okiem do mnie nie mrugnie. - A w odwodzie była Zosia. Taka kruszynka. - Palcem wskazującym i kciukiem pokazuje dokładnie jaka. - No i panie o mało na siebie nie wpadły. Stasiak siedział przy stoliku, grucha z Baską w najlepsze, no i Zosia wchodzi, dobrze, że tłok był, dostrzegłem przerażenie w jego oczach, w lot złapałem, co jest grane, wyskoczyłem i zaraz do niej, do Zośki, kłaniam się, mówię, jaka śliczna, do stolika ciągnę, opowiadam, zagaduję i tak ją skołowałem, że usiadła, nawet plecami do sali. - Rechocze, tak go zdumiewa własny przedwojenny spryt. - Stasiak się

wymknął, a ja miałem już dziewczynę. Chodziliśmy ze sobą przez rok i chyba byłem naprawdę zakochany. Nauczyłem się szybko, żeby ze Staśkiem nie rozmawiać o polityce. Nie tylko nie rozumiał moich pomysłów. Wściekał się o nie. Marzył mu się ustrój jak pod Mussolinim - kpiący uśmiech rozjaśnia twarz taty - wielka Polska pełna krzyży i przedsiębiorców, ślących Żydom pocztówki na Madagaskar. Skoczyliśmy sobie do gardeł raz i drugi, zapytałem: „Arona pamiętasz?”, omal mi wtedy nie przywalił.

Chce jeszcze coś o tym powiedzieć, zerka za okno i gubi słowa, nawet ręce ma takie bezradne, jakby coś, korale zerwane ze sznura na przykład, przeleciało mu właśnie przez palce. Kręci głową, coś szepcze, nie słyszę. Odchyła głowę i mówi, gapiąc się w sufit.

- Na przedostatnim roku studiów polepszyło mi się na tyle, że mogłem wynająć większy pokój, na piętrze w oficynie. Do mojej dyspozycji była kuchnia na dole. W teorii parter zajmował właściciel, starzejący się Żyd z wąsem jak u włoskiego amanta. Widywałem go od święta i nie wiem, co robił. Lubilem to miejsce. Mieliśmy Matkę Boską na podwórku.

- Wróciłem od Staśka, trochę podпиты. Obudziłem się w środku nocy z suchym gardłem i postanowiłem zejść do kuchni, napić się wody. Musiałem zejść po schodach, drewnianych i mocnych. Nie paliłem światła. Cisza, tylko świerszcz cykał. Prawie po omacku znalazłem stopień, zatrzeszczał, choć wcześniej tego nie robił, chwyciłem się barierki, barierka się zachwiała. Zamarłem, owładnięty przerażeniem. Rozejrzałem się. Ściana ta co zwykle, na dole znajoma podłoga, szafa kuchenna, piecyk. Nic się nie zmieniło. Tylko schody inne. Więc poszedłem dalej po jęczących stopniach, ledwo dotykając chyboczącej się barierki. Krok po kroku, i nagle moja stopa osunęła się w pustkę, omal nie wpadłem w nią cały, oparłem się o ścianę, zerknąłem w dół. Dziura ziała zamiast stopnia, a w niej, wprost na mnie, gapiły się przerażone oczy. Oczy Arona.

- Ale uciekałem! Nie wiem nawet, jak znalazłem się w pokoju. Kucnąłem przy ścianie i cały się trząsałem. Nie wierzyłem i wierzyłem zarazem. Próbowiałem liczyć, do dziesięciu, do stu, do dwustu. Zapaliłem lampę. Poszedłem. Schody były już zwykłe, znajome, nie skrzypiały pod butami, poręcz ani drgnęła.

Zaciska dłonie na oparciach fotela, szarpie, jakby chciał je wyłamać. Uspokaja się momentalnie i prosi mnie o herbatę. Wracam z parującą filiżanką i zastaję tatę w znajomej pozycji, wiszącego na parapecie. Pytam, gdzie postawić. Odpowiada wzruszeniem ramion.

- Miałem ulubioną kawiarnię na Starym Mieście. Zasiedziałem się tak, że chyba zasnąłem z otwartymi oczyma, w każdym razie zrobiło się ciemno i pusto wokół mnie. Więc wyszedłem, próbując się nie chwiać. Bardziej próbowałem, niż się nie chwiałem - tak sobie żartuje. - Poszedłem pustymi ulicami. Lubilem Warszawę nocą. W pewnej chwili poczułem,

że ktoś idzie za mną. Najgłupszym, co mogłem zrobić, było spojrzenie za siebie, więc odczekałem swoje i skręciłem w przecznicę. Wtedy zerknąłem. Szedł za mną pies. Od Nowakowskich, z tego domu - patrzy mi w oczy. - Pytasz, jak go poznałem po ciemku, pijany i z dużej odległości. Otóż, synuś, ja bym go rozpoznał nawet u hycła, gdy zgaszą światło, odbij mi go w stu lustrach, wskażę właściwego. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Co dalej? Co z tym psem? - pytam, choć wiem, że nic.

- Po prostu szedł za mną. Próbowałem go zgubić, laźł łajdak nieustępliwie i utykał, pewno uszkodził sobie łapę. Zwalniałem, on też zwalniał. Przyspieszałem, podbiegał. Nie zdołałem go zgubić, za to wytrzeźwiałem gdzieś w rejonie Hożej, Kruczej. Zatrzasnąłem drzwi, przekręciłem klucz, wyobraźnia podpowiadała mi, że zastanę go u siebie na górze. Jak dziecko, zajrzałem pod łóżko. Potem siadłem przy oknie. Czekał na zewnątrz. Siedział i patrzył. Chciałem go przetrzymać, wyszło na odwrót. Zasnąłem i nie wiem, co mi się śniło.

Milknie i wreszcie zwraca uwagę na herbatę. Mam zwyczaj napełniania filiżanki do połowy, i tak rozlewa. Dlatego pija zimną, nie chce poparzyć sobie palców.

- Ostatnia rzecz - powiada zmęczonym głosem. - Leżałem w łóżku, nie mogąc zasnąć. Już powoli świtało. Nagle trach! - podnosi głos. - Znowu! Wyją syreny, wszędzie zapalają się światła, dopadam okna, patrzę, coś śmignęło i daleko zapłonął ogień. Wojna się zaczęła. Bombardowano miasto. Wycofałem się na środek pokoju, skołowany i przerażony. Co będzie ze mną? Ze Staśkiem? Rozejrzałem się bezradnie, znów uderzyło, tym razem blisko, aż tynk poszedł ze ścian. Podniósł się pisk i wokoło zawirowały przerażone pierzaste kształty. Ptaki! - wykrzykuje. - Ptaki w moim pokoju! Wydawały się czarne. Zdezorientowane, przerażone albo udające przerażenie, biły mnie po głowie, pazury wpijały w ramiona i plecy, dziób wbił mi się w szyję, opędzałem się, jak mogłem, wrzeszcząc, krzycząc, nie wiadomo do kogo, Żyda z dołu przecież nie było. Oczy mi wydrapiecie, myślałem. - Wymachuje rękami ten mój ojciec. - Przeganiałem je ku oknu, próbowałem przynajmniej, lecz okno zamknięte, jak tu weszły, pytałem siebie, rozumiałem już, skąd je znam, o tak, rozumiałem świetnie, więc krzyczałem, odpychałem czarne kształty jak ciała trędowatych, jakbym się wygrzebywał spod ziemi, spod zwału trupów ku żyjącym. Rzuciłem butem w szybę, i zaraz drugim. Ptaki popędziły ku wolności, chaotycznie, głupio, nadziejąc się na szklane kły, jeden zostawił pióro, drugi krew, nóżkę, kawałek mięsa, któryś wreszcie przeciął skrzydło, machnął tym zdrowym, spadł, zniknął mi z oczu. Ptaki trącały mnie, śmigały nad głową, jeden, wyjątkowo skołowany, wbił się dziobem w środek pleców, opadł, człapać próbował, mój kopniak pomógł mu znaleźć drogę na wolność, razem z nim wypadły resztki szyby. I nagle cisza. Żadnych gwizdów. Pokój bez ptaków. Tylko potłuczone szyby, tylko pióra przyklejone do krwi na

szybach.

Dopija herbatę potężnym łykiem i odstawia. Bez słowa zabieram talerzyk z filiżanką, wracam ze ścierką i sprzątam. Tato spogląda na mnie z uznaniem, jakbym właśnie dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu, na przykład zastrzelił partyzanta. Chcę iść do kuchni, ale chwyta mnie za przegub nadgarstka. Wyrwałbym się, nie mam ochoty na siłowanie.

- Poszedłem potem na dół i wypilem ćwiartkę wódki. Wróciłem, przekonany, że zastanę szyby całe i czyste. Przecież to były duchy, te ptaki to duchy były - chce mnie do tego przekonać, nie zwalnia uścisku. - Zastałem rozwaloną szybę, krew i pióra. Zamiotłem, co się dało, wywaliłem kawałki szkła. Warszawa się trzęsła. Postanowiłem powiedzieć Żydowi, że szyby pękły od bombardowań, ale Żyd już nie wrócił.

Tato puszcza moją rękę.

* * *

Zdumiewa mnie sposób, w jaki ojciec patrzy na świat, zwłaszcza jeśli nie domyśla się, że jest obserwowany.

Tato lubi wyprawy do miasta i domaga się, aby go zabierać. Więc jeździmy raz w tygodniu na Rynek, tato siada nad herbatą u Noworola, a jak jest taki dzień jak dzisiaj, wybiera stolik na zewnątrz. Wodzi nieustannie oczyma po tym, co dla niego nowe, lustruje kioski pełne kolorowych gazet, sklep muzyczny naprzeciwko, parasole nad ogródkami, wreszcie - ludzi: nastolatków w zbyt szerokich lub strasznie obcisłych spodniach, dziewczyny w bluzeczkach zaledwie do pępka; zaczyna poruszać rękami, niby czarodziej nad szklaną kulą. Wiem, co robi, wiem, co myśli, w swojej głowie wyciska z Rynku wszelką nowość, bo chce, żeby było jak dawniej. Jego palce zdzierają szyldy, obalają kioski i parasole, odbierają krzykliwość każdej barwie i ponętność wszelkim odsłoniętym ciałom, jego świst wysysa mięśnie kulturystom, wciska ludzi w swetry z golfem i bluzy non-iron, wycina pipy z piwem na rzecz jednej i pustej, odziera kamienice ze świeżej farby. Nie może znieść, że w jego jesieni lato rozkwita nad Polską, że kiedy sam drepcze z laską, inni chodzą szybciej i mają jakiś cel, że sam pogięty wciska wredny łeb w świat łatwej miłości. Więc czaruje dłońmi i nieruchomieje. Przypomina teraz pomnik, tylko czekać, aż obsiądą go gołębie.

- Ale to miasto się przemieniło - mówi o Warszawie, nie Krakowie. - W pierwszych tygodniach wojny nastąpiło całkowite przeobrażenie. Bomby zniszczyły wiele kamienic i Zamek Królewski. Brakowało wszystkiego. Zniknęły samochody, bo benzyna szła dla wojska, dorożki też przepadły, za to widziałem ludzi ćwiartujących konie. Jedzenia brakowało. Dużo rozmawiałem, nikt nie wierzył, że to długo potrwa, czas wojny liczono w

tygodniach. Wpadłem na Staśka, zamieniliśmy parę słów, powiedział tylko, że rusza na wschód, gdzie wciąż czeka polska armia, gotowa do kontrataku. Nim tam dotarł, weszli Rosjanie i Stasiak skierował się na południe. Tyle go widziałem. W rzeczy samej, nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze się zobaczymy.

- Zastanawiałem się, zostać czy jechać na wschód, do swoich. Zostałem. Nie wiedziałem, czego spodziewać się po Niemcach, i jakaś część mnie liczyła na szybką odsiecz z zachodu. Bałem się trochę, ze względu na swoją działalność w „Spartakusie”. Zastanawiałem się: hitlerowcy przejęli archiwa czy nie przejęli, mieli wśród nas swoich ludzi czy nie mieli. Czekać tylko, aż do mnie zastukają i gdzieś zabiorą. Więc zaszyłem się u kolegi. Tu zrobiłem błąd. Nie dlatego że się zaszyłem - mruży pod nosem. - Nie próbowałem układać sobie życia na nowo, nie szukałem zajęcia, zwyczajnie patrzyłem, co dalej się podzieje. Nim się połapałem, setki ludzi znalazło się na ulicy: malarze, muzycy, inteligencja, w tym nieopierzeni poloniści, jak ja. Miałem uczyć w szkole, lecz szkół już nie było. Koledzy ze studiów, zamiast uczyć, nosili węgiel, jeździli rykszą, malowali szyldy albo robili za pomocników murarzy lub tapeciarzy. Obudziłem się z ręką w nocniku.

Miesza herbatę, garbi się, jednocześnie unosząc głowę, jest w tym jakaś nieśmiałość przemieszana z pogardą dla otoczenia. Mój wzrok wędruje za jego wzrokiem: trąca młodą dziewczynę, zaraz się cofa, za stary, nie wolno, dalej, porównuje się z krzepkim czterdziestolatkiem, którego ramię oplata wytatuowany łańcuch. Ojciec pewno chciałby splunąć, lecz tylko przymyka oczy, wyobraża sobie swoją Warszawę i obraca twarz ku słońcu.

- W końcu się odnalazłem na tyle, na ile warunki pozwalały. Chwytałem się wszystkiego. Byłem silny, więc nosiłem węgiel, nauczyłem się trochę stolarki i nawet mnie to cieszyło, raz omal palca nie straciłem, życie stało się prostsze. Praca i powrót do kąta, jakaś książka, gapienie się w okno, takie tam. Nic oczywiście się nie stało, nikt nie ruszył na pomoc, nim zdążyłbyś splunąć, Hitler już był w Paryżu, i wtedy zrozumiałem, że po nas, koledzy. Oni naprawdę wydawali się wieczni, prawie jak bogowie - mówi z dziwnym zachwytem - zdołali przeobrazić miasto po swojemu, Żydów stłoczyli jak w puszcze, nas odcięli, ale dało się jakoś żyć. Przywyknę, myślałem, coraz mocniej tęskniąc do Nowogródka. Tam, czułem, jest moje miejsce. Zastanawiałem się tylko, jak pojechać.

- No i myślałem tak długo, aż przyszedł czerwiec czterdziestego pierwszego i musiałem już w Warszawie pozostać. Więc tęskniłem do wsi jako takiej, do miejsca, gdzie może jest posterunek, ale nie ma nieustannych patroli, defilad, gdzie nie jest tak brunatnie, wieś, zrozum, oporniej poddaje się zmianom, a drzewa są wszędzie takie same. - Milknie,

zawiesza wzrok na fasadzie kościoła Świętego Wojciecha, duma nad czymś i zaczyna znowu:

- Pewno pojechałbym, gdyby nie matka Soni. Spotkałem ją przypadkiem, cień dawnej kobiety, czaszka ze skórą i wytrzeszczonymi oczyma. To od niej dowiedziałem się, że Sonia już nie żyje i że jest robota dla mnie. Korepetycje z polskiego dla nastoletniego chłopca. Przychodziłem. Nie podobał mi się ten gówniarz, napalony gnojek, który chyba wierzył, że wystarczy wsiąść w pociąg do Berlina, wymierzyć z procy i ustrzelić samego Hitlera. Nieustannie wciągał mnie w rozmowy o Norwidzie, o Mickiewiczu, o sytuacji politycznej i o tym, że wojna Niemców z Ameryką jest dla nas największym błogosławieństwem od czasu hołdu pruskiego. Nawet przypominał tych dzisiejszych patriotów, solidaruchów od siedmiu boleści. Nad wiek poważny, o twarzy ponurego prawiczka, w wykrochmalonej koszuli i za dużej marynarce. Matka Soni powiedziała mi przed pierwszym spotkaniem, że nie wolno mi pisać słowa o komunizmie. Więc nie pisałem, choć sam gówniarz gadał o tym nieustannie. Aż chciałem go zapytać: Kto jest wrogiem naszego okupanta? Kogo ten prześladuje najusilniej? Co zrobisz, chłopczyku, jak karta dziejów spadnie koszulką do góry i przyjdą ci twoi czerwoni? To już lepiej daj się zastrzelić teraz. Nie minął rok, a mnie zadano to samo pytanie.

Podnosi się i zmierza do toalety, odtrąca moją pomoc i znika za drzwiami. Długo to trwa i już zaczynam się niepokoić. Wreszcie wychodzi, blady i zadowolony, domaga się przestrzeni, człapie między ludźmi, a ci się rozstępują. Krzywi się, wdychając papierosowy dym, dobija do mnie i zanurza nos w herbacie.

- To było tuż po przełamaniu frontu i kapitulacji Paulusa. Zjawił się u mnie człowiek, którego znałem jeszcze ze „Spartakusa”, Kazio mu było - wypowiada to imię z niesmakiem. - Nie mam pojęcia, jak mnie odnalazł, ale to nie było przypadkowe spotkanie. Zaprosił na wódkę, piliśmy, pytał, co u mnie, więc mówię, że raczej się nie przelewa. A on, że wiatr historii zmienia kierunek i trzeba coś z tym zrobić. „Niech sobie wieje, wiatru nie zakręcisz”, odpowiedziałem. Wyłożył kawę na ławę. Należał do Związku Walki Młodych i ten związek, jak się okazało, wprost nie może istnieć beze mnie - cedzi słowa, żeby nie zwątpił w ten żart - muszę przyjść. Muszę działać, wie z dobrych źródeł, że już jest po wojnie, Sowieci zwyciężą i tu przyjdą, zaprowadzą to, o co chodziło nam w „Spartakusie”. Ja na to, że chyba jednak nie o to. Kazio mrugnął okiem: „To, nie to, ludzi potrzebują już teraz”. Zrozumiałem.

- Widać nie chcieli mnie tak bardzo, bo trochę mnie wprowadzano. Miałem wyobrażenie wielkiej, tajnej organizacji, a tutaj banda drapichrustów głodująca na moskiewskim żołdzie. Ich działania także były małe. Jakiś sabotaż. Zbieranie informacji nie tyle o Niemcach, ile o Armii Krajowej. Wiesz, synuś, byłem nauczycielem, nie czułem się ani

szpiegiem, ani sabotażystą. Nie wierzyłem w przydatność takich działań i bałem się o życie. Kazek mnie przekonał. Po przełamaniu na Łuku Kurskim pojąłem nieuchronność zmian. Tak można to nazwać - uśmiecha się kwaśno. - Podałem się im.

Tato nigdy nie zmienia zdania, prędzej świat się pomyli, on nigdy, poza tym jednym przypadkiem - przekonuje mnie nieustannie, że w komunizm to wierzył przed wojną, naiwnie raczej, bo jak człowiek młody, to najróżniejsze rzeczy: miłość, przyjaźń, Sowieców przyjmuje za prawdę. Chyba naprawdę wierzy w nieuchronność historii. Tak, wierzy w to równie mocno jak w swoje duchy.

- Więc powiedziałem: „Psuć maszyny może każdy, pociąg też wam wysadzi każdy krety. Dajcie mi gazetę do robienia albo ulotki. Na tym się znam. Co wy chcecie, w parę tysięcy Hitlerowi dupę wysadzać? Albo swoim? Jacy tam swoi. Róbmy to, co możemy. Szykujemy się na przyjście Armii Czerwonej”. Po prawdzie to ja wierzyłem, że wojnę spędzę między maszyną drukarską a kartką papieru. Początkowo nawet tego nie robiłem, siedząc w uśpieniu i ucząc swojego gówniarza. Nadstawiałem ucha, co mówił, czy nie spróbuje gdzieś mnie zwerbować. Notatki robiłem po każdym spotkaniu i przekazywałem dalej. Nie mam pojęcia, czy moje informacje przydały się, czy też nie.

- Sprawy ruszyły z kopyta w lutym czterdziestego czwartego. Zbliżał się front, a ja pisywałem do „Gwardzisty”, do „Armii Ludowej”, zredagowałem trochę ulotek.

Nie podobała mi się ta robota. Otaczali mnie prostacy, co ledwo widelcem jedli, wysławić się nie umieli - pryca. - Dla takich miałem pisać? Zgłosiłem się na tajny kurs oficerski, licząc nie wiadomo na co. Ty byłeś malutki, ciągnęło mnie do domu. Nawet do twoich wrzasków. Ech, twoja matka to miała zdrowie, taki charakter to ma tylko kobieta ze wsi. Znajdziesz teraz taką? - robi się chmurny, milknie i znowu: - Awans nic nie zmienił w moim życiu. Dostawałem pieniądze, żyło mi się trochę lepiej, aż mój gówniarz przebaknął coś o powstaniu. Od dawna wiedzieliśmy, co się szykuje. Miałem swoje wątpliwości, poszedłem do Kazia i powiedziałem, że chyba mamy odrobinę oleju w głowie i nie damy się pogrzebać w tym mieście. „Takie właśnie są rozkazy - powiedział - ruszymy wraz z Sowietami albo wcale”. Myślałem o tym. Pozostanie w Warszawie wydawało mi się szaleństwem.

- Przypomniałem sobie stare marzenie. Nowogródek. Zaproponowałem, że chętnie bym tam pojechał i budował nową Polskę, Kazio popatrzył na mnie jak na idiotę i odparł - nie, o Nowogródku nie ma mowy. Marzy ci się prowincja? Pojedziesz na prowincję. Tam będziesz potrzebny, jeden światły wśród tych tumanów - szydzi mój ojciec. „Lubisz góry? - pytał. - Jak lubisz, pojedziesz na Sądecczyznę”. Zabrałem się więc i pojechałem, nie

przypuszczając nawet, że po raz ostatni patrzę na starą Warszawę. Kazio życzył mi powodzenia. Dowiedziałem się później, że sprzeciwił się własnym słowom, poszedł do powstania i zginął razem z innymi Czwartakami. Bomba go rozerwała. Czasem chodzę na jego grób.

Chodziłeś chyba, myślę, w Warszawie nie byłeś od lat dwudziestu. Tato tymczasem dopija herbatę, odsuwa filiżankę na brzeg stołu, pochyla głowę i splata dłonie. Taką minę ma człowiek, który musi wbrew sobie powiedzieć coś strasznego.

- Pytasz mnie, czy widywałem dom podczas wojny - zgaduje nietrafnie. - Prawie o nim zapomniałem, zastanawiam się teraz, jak mogłem zapomnieć. Pamiętasz tego chłopca patriotę, którego uczyłem? - pyta szczerze, choć przed chwilą o nim opowiadał. - Lubił rysować, choć szło mu to paskudnie. Pół pokoju miał w tych bohomazach. Sadził widoczki z Warszawy, malował żołnierzy i krajobrazy, uwielbiał też swojego kundla. To chyba foksterier był. Zrobił mi portret, który zaraz wyrzuciłem. Chciałem mieć jak najmniej wspólnego z tą rodziną i z tym człowiekiem.

- Niech zgadnę - pytam, by zrobić mu przyjemność. - Narysował twój dom, choć nigdy o nim nie słyszał.

- Nie! - tryumfuje tato. Boże, jak niewiele trzeba, żeby go uszczęśliwić. - Żebyś wiedział, ani trochę nie to! - wrzeszczy, ludzie odwracają ku nam głowy. - Przyszedłem i chciał się pochwalić nowymi pracami. Pokazuje blok. Przeglądam i robi mi się zimno. Jakby nagle wrzucono mnie do lodowatej wody. Oddechu nie mogę złapać. Rysunek był koszmarny jak zwykle, w odróżnieniu od pozostałych zrobiony niespokojną kreską. Przedstawiał schody spowite półmrokiem, pod którymi klęczał przerażony chłopiec. Znaczy gdybym go nie znał, wcale bym się nie domyślił, bo z czarnej kredki wychodziły tylko usta rozwarte do krzyku, rozwarte, lecz nie krzyczące jeszcze, tak to mój gówniarz narysował. I oczy wytrzeszczone wprost na mnie. Widziałem jeszcze klepki podłogowe i drobną dłoń wczepioną w psie futro. Nie zdołałem się opanować i odrzuciłem tę kartkę. Zapytałem chłopca, skąd to ma. Popatrzył na mnie tymi oczyma endeckiego idioty i oświadczył, najprościej w świecie, że mu się przyśniło. „Chciałem narysować coś dla pana - powiedział - tylko nie wiedziałem co. Myślałem o tym i ten rysunek mi się przyśnił”.

- Chciałem rzucić się na niego, zadusić. Złapałem oddech. Pomyślałem o przypadkach. O tym, że przyjaciele rozdzieleni przed trzydziestu laty mogą spotkać się przypadkiem w kawiarni na drugim końcu kuli ziemskiej. Że bracia się odnajdują. Rysunek, tłumaczyłem sobie, powstał w wyniku szczególnego przypadku i nie ma czego się bać. Więc zapytałem spokojniej, co to był za sen, co w nim zobaczył. „Nie pamiętam - odrzekł mój

chłopiec - zbudziłem się, to pamiętałem. Usiadłem przy biurku, zacząłem rysować i nim skończyłem, zapomniałem go całkiem. Tak jest ze snami - dodał i zapytał po chwili: - Chce pan go zatrzymać? Pan lubi straszne historie, prawda??"

Chłopiec, chłopiec, powtarza tato, wiem dlaczego, otóż lubi wyrzucać z pamięci ludzi nieistotnych, niewygodnych, złośliwych lub małych w jego ocenie. Czyni to poprzez odebranie imion. Pakuje ludzi w masę, w rój chłopców, laseczek, kobietek, kumpli i innych głupców, kotłujący się w jego starej głowie. Dlatego też złości mnie sposób, w jaki zwraca się do mnie. Mam imię, a on tylko synku, synuś, synu.

- Nie chciałem zrobić mu przykrości i zabrałem rysunek do siebie. Usiadłem przy stole i długo patrzyłem, rozumiejąc coraz lepiej, jaki to niewygodny prezent. Nie ukryjesz się, nie schowasz, na świecie nie ma tajemnic, mówiły wytrzeszczone oczy, ten sekret jest z tobą, zaraża ludzkie sny, przemienia zwierzęta. Wściekły, zmiąłem rysunek i cisnąłem do kosza. Jeszcze tej samej nocy wstałem i spaliłem go na podwórku.

* * *

Ojciec ma takie zdjęcie: stoi na tle lasu w niedopasowanym mundurze, przez ramię ma przerzuconą strzelbę, z kieszeni sterczy mu tetetka. Przypomina mi aktora, który nie wie, w jakim gra przedstawieniu. Śmieje się wraz z kolegami, tych jest trzech, równie wesołych, za nimi stroszy się pierzasty śnieg na gałęziach. Gdzieś za tymi drzewami mieli pewno bunkier. Zdjęcie zrobiono w grudniu 1945 roku, wisi na honorowym miejscu, koło biurka. Pamiętam je od dziecka, to i nie to zarazem, było małe, pomięte, o pogiętym rogu. Tato dowiedział się, że na Karmelickiej robią retusz starych fotek, poszedł, zamówił i wrócił z wydrukiem laserowym, który zaraz wetknął w przedwojenne ramy.

Tato siedzi za biurkiem i ma nos w papierach, okulary na tym nosie są starodawne, grube i paskudne. Poprawia je nieustannie zakrzywionym palcem, stęka, przerzucając kartki, a ja nie mam pojęcia, co on naprawdę tam czyta. Widzę gęsty ścieg literek maszynowych, pieczęcie i zamaszyste podpisy, tylko tyle i aż tyle - tato wzdycha, starannie przekłada kartkę z teczki do teczki. Chrzęst klucza, chrobot szuflady, na biurku ląduje skoroszyt. Tato szeleści i mówi.

- Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie bycie partyzantem. To zabawne, jak bardzo zniewalają nas własne skojarzenia, jak szedłem w las, śniłem o powstańcach styczniowych, wyobrażałem sobie potężne starcia, prucie do Niemców, jak to gówniarz. Teraz wiem nawet, co czuli chłopcy w Warszawie - poprawia okulary. - Rzeczywistość okazała się zwyczajna i ponura. Lato spędziliśmy, nocując po ludziach. Był to ponury czas, bez pieniędzy i na łasce

obcych. Nie mieliśmy nawet broni. Urządzało się wyprawy po głupią strzelbę. Raz na przykład dowiedzieliśmy się, że leśniczy donosi Niemcom, wydaje komunistów. Nie wiem, czy to była prawda, wiem za to, że miał dubeltówkę. Przynajmniej jedną. Poszliśmy tam we trzech, przycisnęliśmy chłopca. Sięgnął po broń, to mu ją wytrąciłem, w mordę dostał. Żona płakała. Nie zabiliśmy go, powiedziałem tylko, że jak jeszcze raz doniesie, kula w łeb. Chyba był naprawdę przerażony. Zabraliśmy dwie strzelby i amunicję.

- Czasem krążyliśmy po mieście, by zabić Niemca. Mieliśmy listę, lecz wiadomo, w kilkunastu nie rozwalisz garnizonu, nie rozwalisz wszystkich gestapowców. Sam zabiłem policjanta. Nazywał się Vulk, Josef chyba. Przyjechał z Hamburga, straszny sukinsyn, chudy i blady niczym upiór, Zadecydował przypadek. Szedłem z „Sikorką”, deszcz mżył, paskudnie - mówi szybko i gapi się w sufit, jak w niebo. - Mieliśmy cywilne ubrania i pewno nic by się nie stało, gdyby nie Vulk właśnie. Minałem go, prawie się otarłem, zza pleców słyszę: „Ausweis”. „Sikorka” skamieniał, pogrzebał w kieszeni. Miał jakieś dokumenty, legalne, pracował w tartaku. Pewno znali go jako komunistę. Wystarczyło spojrzeć w oczy Vulka, by wiedzieć, że nie będzie dobrze. Idiota, był sam. Miałem tetetkę za koszulą, Vulk podszedł do mnie, nie czekałem, wyszarpnąłem broń, strzeliłem prosto w pierś, z bliska, poczułem zapach prochu, a Vulk zrobił taką minę, jakby napchał sobie usta czymś dobrym i nagle językiem trafił na kamień albo gwóźdź. Osunął się na ziemię bez jęku, twarzą do dołu. Obszukałem go pospiesznie, porwałem pieniądze, teczkę, którą zaraz zgubiłem, i pistolet. Nie zdążyłem nawet pasa odpiąć, wyszarpnąłem parabelkę i popędziliśmy, ja ze spluwą w każdej ręce. Zakręt, zakręt - krzyczy tato - przez podwórka, ogrody, przez mur nawet, to tam przepadła teczka, polem, w las. Ledwo się skryliśmy, widziałem transportery pędzące na pełnym gazie. Cała obława była. Śmiał się ten głupi „Sikorka”, a ja myślałem: ludzie ucierpią czy nie ucierpią.

Ostatnie słowa wypowiada zimno - a może tylko ja odnoszę takie wrażenie, może to mnie się zdaje, że każde słowo ojca jest atrapą, każde uczucie kukielką i tak naprawdę nic nie ma w tych szklanych oczach? Tato chrząka, traci zainteresowanie dokumentami, składa je pospiesznie i wpycha do skoroszytu. Zamyka na nim dłonie.

- I takie rzeczy właśnie robiliśmy. Trzymałem się trochę z boku, nie umiałem rozmawiać, nie mieliśmy wspólnych tematów i coś mi mówiło, że jeśli pojawi się kłopot, ktoś zginie albo go zabiorą, ludzie zaraz powiedzą, że to ja sypię. Zarazem - mruży oczy - było w tym wszystkim coś chłopięcego, groźna zabawa w rozkręcanie torów. Nie mieliśmy nawet środków wybuchowych, więc nocą dłubaliśmy przy szynach. Szło ciężko, śruby nieraz nie chciały puścić, potem należało jeszcze odgiąć szynę, tak by zniszczyć tor obok. I w las.

Głupie to było, ale nie mogłem sobie darować, nie żałuję, to widok jedyny w swoim rodzaju - znów podnosi głos, lecą kropelki śliny - jedyne takie uczucie. Leżysz na brzuchu w krzakach, wierzysz się, z daleka dobiega łoskot lokomotywy, pojawiają się światła i ten płaski kształt, ledwo odróżnialny od nieba, sunie, słuchaj, aż wargi gryziesz, nagle robi się cicho, już dojeżdża, i nagle trach! jęk stali, lokomotywa wyskakuje z torów, widzisz wyraźnie, jak osuwa się po nasypie, myślisz nawet, że pęknie na pół. Za nią wagony wpadają na siebie w trzasku, gną się i nagle są bezkształtne, wszędzie pył, metal wyje już słabiej. - Ojcu także łamie się głos, jak pociąg w jego opowieści. - Wycie słabnie i nad nie wydobywa się inne, to ludzie wrzeszczą, strzelają, lecą na oślep. Wtedy się poderwaliśmy, pobiegliśmy, nie było ryzyka. Znaliśmy las.

- Podcinałem też słupy z trakcją elektryczną. Godzina roboty, a fabryka stała dzień lub dwa. Nic prostszego, miałem taką piłę składaną na czworo, cięliśmy we dwóch, trzeba było tylko wbić siekierkę w rosnącą szczelinę, inaczej ciężar słupa unieruchomiłby nam brzeszczot. Nie zawsze wiedzieliśmy, jak się przewróci, podziwiałem elektryczne bicze trzepoczące się po ziemi. No a potem było trudniej. Niemcy nie mogli upilnować wszystkich słupów, jednak patrole pojawiały się częściej. Same słupy wzmocniono, czasem nawet otoczono zasiekami i było nam trudniej - stwierdza ze smutkiem.

Wyraźnie szuka puenty, jakiegoś wielkiego gwoźdźca, żeby przybić swoją wypowiedź, nie znajduje i milknie. Jego nos wygląda, jakby ponuro zwisał z jego twarzy. Nie lubię, jak opowiada mi o partyzantach, wołę już duchy. Ojciec unika miejsc, nie powie nazwy miasta, nazwisk kolegów, jakby cała jego przygoda leśna rozgrywała się w jakiejś mitycznej krainie, tej samej, z której przywędrowały jego widma. A ja wiem, tato, żyłeś na Sądecczyźnie między wioskami, miasto, gdzie zastrzelił Vulka, to Stary Sącz. Przepiłowałeś parę słupów, tato, wywaliłeś pociąg, redagowałeś „Gwardzistę” i jakieś ulotki, nade wszystko jednak waliłeś wodę i śmiertelnie się nudziłeś.

- Najgorzej wspominam budowę bunkra i zimowanie w nim - podejmuje. Wiedziałem, że bunkra akurat nie mógł sobie darować. - Na jesieni czterdziestego czwartego wiedzieliśmy już, że wojna nie potrwa długo, powoli wokół oddziału rozrastały się struktury partyjne, gotowe do przejęcia władzy zaraz po wycofaniu się hitlerowców. Wiedzieliśmy też, że po ludziach już spać nie można. Donosili, a ci, co nie donosili, nie byli bezpieczni. Więc „Miły” wymyślił sobie bunkier w lesie. Wykopaliśmy jamę sześć na trzy - objaśnia mi wymiary ruchem dłoni - do tego doszło pomieszczenie magazynowe. Ziemię musieliśmy roznosić daleko, do jamy lub rzeki. Szalunek zrobiliśmy z drewna, strop z pni sosnowych, pokrytych papą. Na to nanieśliśmy ściółkę, przesadziliśmy krzaki, zamaskowaliśmy wejście, mogłeś,

synku, przejść metr koło kryjówki i nie mieć pojęcia, że w środku siedzi twój tato i morduje się z prasą.

Uśmiecha się do mnie, jakbym był małym dzieckiem.

- To były najtrudniejsze miesiące. Poświęciłem się pracy organizacyjnej i politycznej - mówi enigmatycznie - pisywałem artykuły, drukowałem, coraz lepiej rozumiejąc, że nie nadaję się na partyzanta. Dużo mówiłem o nowej, wolnej Polsce, widziałem już siebie za biurkiem dziennikarza albo powiatowego sekretarza, z piórem zamiast karabinu. Nie przypuszczałem nawet - kończy - jak trudne zadanie stanie przede mną właśnie wtedy, kiedy nikt by się nie spodziewał. Już po wojnie.

Mówi o „Zdychu” i Staśku, o roku czterdziestym dziewiątym. Wiem i nie chcę o tym słuchać, nie dzisiaj, dzień za ładny, a ojciec zbyt surowy. Więc nachylam się do niego i pytam:

- A widma? Co z twoimi widmami, tato?

Chrząka.

- Miałem widma, synu. Widmo rychłej śmierci, zdrady ze strony towarzyszy, widmo przedłużającej się, leśnej agonii, głodu, widmo nierównej walki, upiora ucieczki, ducha wywalanego pociągu, trzasku walącego się słupa - uderza pięścią w blat. - Widmo trzasku gałęzi w lesie, kiedy nie wiedziałeś, kto idzie i po co, widmo spaceru przez miasto i ocierania się o Niemców, wiedzą, kim jesteś, czy nie wiedzą, pytałem się. Widmo we własnej głowie, czy robię dobrze, czy nie. Tak, miałem swoje widma czasu wojny - podnosi się, opiera pięściami o biurko. - Miałem widma - obraca ku mnie twarz, wciąga powietrze - miałem. A jakie ty masz, synu?

Nie daje mi odpowiedzieć, drepcze do barku i nalewa nam koniaku. Nie powinien pić. Skołowany, głupi, patrzę, jak wsadza mi koniakówkę w sztywne palce, w głowie dźwięczy jego pytanie. Jest tak blady, że sam przypomina ducha. Siada. Jest spokojny, jakby nigdy nie miał umrzeć.

- Zżyliśmy się ze sobą, jak pijak z butelką, jak chromy ze swym garbem, jak burza i tęcza - wylicza, bawi się tymi porównaniami. - Z roku na rok dom zdawał się wyraźniejszy. Błądziliśmy koło siebie, czasem, leżąc w zaroślach, słyszałem szuranie, jakby wielki kształt przesuwał się między drzewami. Słyszałem trzask łamanych pni, jęk ziemi, mój synu, światła domu nawiedzały mnie czasem w mroku. - Ojciec się poci, ma czerwone policzki, wargi nabiegłe krwią. - Szedłem nocą lasem i nagle pyk, zapala się światło w oknie, oknie, którego przecież nie ma, tam pobiegłem, okno oddalało się, kluczyło, jakby miało nogi. Nigdy go nie dopadłem. Ale pamiętam pomarańczowy prostokąt z ludzkim cieniem, samą głową. Ta głowa

patrzyła wprost na mnie, wiedziałem to, mimo że widziałem sam kształt, bez oczu.

Bierze oddech, drży, jakby powietrze, które wciąga do płuc, było lodowate.

- Budziłem się w bunkrze i widziałem tamte ściany, drzwi, których nie było, i okno właśnie, za nim las. Ludzi, którzy już pomarli, rodziców, znajomych, snujących się między drzewami. Byli płascy, wiesz? - rzuca. - Jak kartki papieru, o rozmazanych konturach. Nogi kończyły się im w kolanach.

* * *

Dziś zastaję ojca bawiącego się pistoletem. Czasem tak robi. Siada za swoim wielkim biurkiem ze smarem i szmatkami, rozkłada colta i pucuje. Udaje tak pochłoniętego, że mnie nie zauważa, choć musiał słyszeć, jak otwieram cztery zamki, odkładam klucze, taszcę siaty z zakupami i cały zasapany zdejmuję buty, nalewam sobie wody i pytam, czy też chce. Dopiero teraz, gdy stoję w progu gabinetu, podnosi głowę, udając zdziwienie. Składa błyskawicznie colta i obraca w dłoni.

- Jest wciąż sprawny - oświadcza. - Mimo swoich pięćdziesięciu lat. Mógłbym wyjść teraz i kogoś zastrzelić. Amerykanie umieli robić broń. Niemcy mieli rakiety. Sowietci czołgi. A Amerykanie spluwy. Nie znajdziesz lepszego do dziś.

Zastanawiam się czasem, czy ten cyrk nie odbywa się po to, bym poczuł strach, że tato się zastrzeli. To byłoby do niego podobne, w swojej głowie wciąż nosi mundur i wcale nie jest siwy, osłabnie więc ostatecznie, nie da się wziąć do szpitala, po prostu siądzie za biurkiem i palnie sobie w łeb. Bardziej jeszcze podobne do taty jest jednak bawienie się spluwą celem wywołania we mnie lęku. Mam pomyśleć: kiedyś wejdę do gabinetu i zastanę tatę w dwóch częściach, ciało na fotelu i mózg na ścianie. Wtedy zrobi mi się strasznie, smutno i pożałuję, że nie poświęcałem mu więcej czasu.

- Chcesz wiedzieć, skąd go mam? Skąd polski oficer zdobył zachodni pistolet w czterdziestym dziewiątym? Zdobył? Władze mi go dały - mówi z dumą. - Po wojnie większość z naszego oddziału włączyła się do nowych struktur. „Adam”, wiadomo, poszedł do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Starym Sączu. Ja sam miałem dosyć, czułem, że będę bardziej przydatny jako publicysta i pisarz. Pojechałem do Krakowa, tam dali mi pracę i mieszkanie, powiem ci, że wygodnie mi się żyło. Na początku siedziałem w „Echu Krakowa”, potem przeszedłem do cenzury, próbowałem ułożyć sobie życie. Nowe realia trochę mnie rozczarowały. Wydaje mi się jednak - zawiesza głos - że miałem, po prostu, zbyt wysokie oczekiwania. Wobec siebie, wobec ludzi. Próbowałem pisać. Przyjaciele namawiali mnie na wspomnienia z czasów wojny, uznałem, że to jeszcze za wcześnie, ledwo umilkły działa.

Lepiej byłoby dać ludziom coś jasnego, myślałem, coś na czasie, coś, co przywróciłoby mi nadzieję. Myślałem o powieści obyczajowej, dziejącej się na Ziemiach Odzyskanych. Chciałem nawet pojechać tam, zrobić kilka reportaży. Miałoby to szanse powodzenia. Wtedy odezwał się „Zdzichu”.

„Zdzich”, czyli Stanisław Wałach. „Straszliwy pułkownik Wałach”, jak na niego mówiono.

- „Zdzicha” znałem jeszcze z wojny. Krępy facet o pociągłej twarzy i z falą ciemnych włosów opadających na czoło. Wiecznie zadzierał głowę, jakby chciał zrekompensować sobie niski wzrost. Polubiłem go. Twardy, zasadniczy. Tobie by się nie spodobał - mruga. - Ostatni raz widziałem go w zimie ostatniego roku wojny. Wiedziałem, że pracował w Limanowej, a potem przeniósł się do Krakowa, gdzie walczył z bandami. Każdy by się pokruszył na takim człowieku. Aż wiosną czterdziestego dziewiątego „Zdzichu” zgłosił się do mnie. Osobiście, co mnie bardzo zdziwiło. Poszliśmy na wódkę.

Nalewa jeszcze koniaku, sobie mniej, ledwo moczy wargi, pewno celebrytuje wspomnienie tamtego pijaństwa. Mówi już ciszej, zmęczyła go tamta historia. Dłonie krążą po stole, chwytają brzegi teczek i karteluszków.

- W tych czasach „Zdzichu” najgorszą robotę miał za sobą. Zlikwidował „Wiarusów”, bandytów od „Ognia” i „Harnasia”, sam omal nie zginął w okrażeniu. Szanowałem go jak diabli. Usiadł naprzeciw mnie, dzieliła nas butelka, polał, nie pytał, co u mnie, co robię i tak dalej, natychmiast przeszedł do rzeczy: „Potrzebujemy was, towarzyszu”, tak mi powiedział. Wyprostował się na krześle, czekał. Nic nie odpowiedziałem, „Zdzichu” polał znowu, wypiliśmy w milczeniu. W końcu powiedziałem, że dobrze, pomogę, jeśli będę mógł. „Zdzichu” uśmiechnął się. Zapytał: „Jak to, wy, poruczniku, nawet nie wiecie, o co chodzi, a już się zgadzacie?”. Odparłem, że nie jestem już porucznikiem, on na to: „Jesteście, jesteście i nam potrzeba, żebyście dalej byli”.

- Nigdy nie rozumiałem tych ludzi - ojciec marszczy czoło. - Bandytów leśnych. Sam żyłem w lesie, rozumiałem cel i sens walki, nie zdołałem polubić takiego życia. Inni polubili, przypominali mi ludzi, którzy spóźnili się na pociąg i pędzą po torach, zamiast poczekać na następny w świętym spokoju. Widzę ich jako młodych ludzi ogarniętych szaleństwem, nierozumiejących, że ich przygoda się skończyła. Jaka trzecia wojna światowa? Jacy Amerykanie? My, w Urzędzie Bezpieczeństwa, wiedzieliśmy, że nic takiego nie nastąpi - kręci głową. - A oni swoje. Może chcieli zbudować jakąś legendę, być jak „Harnaś” albo „Ogień”, może nie chcieli pogodzić się z tym, że wreszcie nastały spokojne czasy. Tak wtedy myślałem. - Mierzy we mnie palcem. - Powiem ci, co myślę naprawdę. Chodziło o zabijanie i

rabowanie. Pójść, ubić sobie komunistę. Napaść na sklep spółdzielczy. Pobić ormowca. A wszystko w majestacie tej przeklętej polskości - wścieka się. - Naprawdę myśleli, że jak zostawia kwit albo kartkę z wyrokiem przy trupie, to będą kimś więcej niż bandytami - tato sztywnieje, porusza szczęką, zaciska splecione dłonie i nachyla się do mnie. - Otóż, mówię ci, synu, nie byli.

Kiedy mówi o tamtych czasach, znajduję w nim nerwowość, nieustannie chciałby zerknąć za siebie, jego dłonie błądzą po stole, szukają własnego towarzystwa, odpadają od siebie, by zaraz się złączyć. Tylko głowa pozostaje nieruchoma, jakby nabita siłą na słabnący korpus.

- W rejonie Turbacza działała banda „Białego”. „Biały” to wariat był. Jak państwo ogłosiło amnestię, złożył broń ze swoim oddziałem, przyrzekł zacząć uczciwe życie. Gdzie tam - macha ręką - rok nie minął, a już był w górach. Całej broni nie oddał, zdobył nową na zabitych żołnierzach i milicjantach. Zebrał ludzi i grasował po całej Sądecczyźnie. Jak „Zdzichu” opowiadał o tych ludziach, włosy stawały mi dęba. Mordowali jak popadnie, nie tylko funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wystarczyło, by ktoś był w partii, w ORMO albo spotykał się, mniej lub bardziej formalnie, z funkcjonariuszami naszego aparatu. Zrozumieć tego nie umiałem, jak można tak wściekle wystąpić przeciw nowym czasom. Nasłuchałem się o zabitych nastolatkach, płaczących rodzinach, zwykłych rabunkach. Czy „Biały” nie rozumiał, że ci ludzie też mają swoich bliskich? Nie widział tej szansy od państwa, czemu cisnął nią w cholerę? - Przykłada dłoń do ust. - Ludzie, synku, na zawsze będą dla mnie tajemnicą.

- Był dzielny i sprytny. Znał teren. Nieustannie przerzucał siebie i kompanów pomiędzy melinami, a jak robiło się gorąco, zmykał do lasu. Ludzie się go bali, lokalny aparat nie wiedział, co robić, nawet „Zdzichu”, tak zdeterminowany w walce z bandami, był tym wyraźnie zmęczony. Wyobraź sobie, tyle lat walczysz o spokój, a tu ciągle pojawia się nowy wariat. - Bierze oddech, jest już spokojniejszy. - Zadałem więc pytanie, które pewno i ty chcesz zadać: po jaką cholerę w tym wszystkim ja? Pamiętam uśmiech „Zdzicha”. Nieodgadniony. Taki smutny. Powiedział mi, że znam jednego członka tej bandy, niejakiego „Kruka”. Chodziło o Staśka, synku. O mojego Staśka z Nowogródka.

Ze zmęczonych płuc taty wrywa się westchnienie.

- To zdumiewające, jak ludzie umieją się zmienić. Myślałem, że go znam. Pamiętam wesołego, rozsądnego chłopaka z Nowogródka, pamiętam żołnierza z Warszawy. Co się wydarzyło, jaka klepka przeskoczyła w głowie, pchając go do lasu? Co sprawia, że żołnierz staje się bandytą? W oczach „Zdzicha” dostrzegłem te same pytania. Zapytałem więc, czego

ode mnie oczekuje, choć przeczuwałem odpowiedź. „Zdzichu” się sprężył. Miałem przejść szkolenie, udać agenta rządu londyńskiego czy czegoś takiego, członka potężniejszej organizacji, pójść w las, przez Staśka dojść do „Białego” i zakończyć działanie bandy. Miałem dostać pełne wsparcie funkcjonariuszy z Krakowa i terenu, mogłem też odmówić albo wycofać się w każdej chwili. Ryzykowałem życie. Ale jakim byłbym człowiekiem, gdybym odmówił? - pyta i milknie.

Zdecydowanym ruchem podnosi się zza biurka i zmierza, jakżeby inaczej, w stronę parapetu. Opiera się łokciem, trochę nonszalancko, naprawdę opada na parapet całym ciężarem, dając odpocząć nogom. Wodzi oczami. Z tego okna nie widać Ikei, tylko domy naszego osiedla, trzypiętrowe, o czerwonych dachach ściśniętych koło siebie. Nie ma tu miejsca na żadnego ducha domu, lecz tato błednie.

- Podczas przygotowań była we mnie jakaś nadzieja. Wierzyłem, że sprawa nie musi skończyć się źle. Przecież znałem Staśka. Nie był złym człowiekiem, nie umiałem nawet wyobrazić sobie krwi na jego rękach, nawet sądziłem naiwnie, że zdołam go ocalić. Polska Ludowa, której tak nienawidził, oferowała amnestię za amnestią. Co powie, gdy moja rola wyjdzie na jaw? Znienawidzi mnie czy zrozumie? Przecież - przechyla się, niemal dotyka nosem szyby - tak naprawdę zawsze byliśmy po jednej stronie.

- Plan wykorzystywał osamotnienie bandytów. Pod koniec lat czterdziestych główne ośrodki reakcyjnego oporu zostały już rozbite, a leśni ludzie rozpaczliwie poszukiwali kontaktu. Z większą organizacją, z rządem londyńskim, przyjęliby pewno pomoc samego diabła, gdyby tylko ten zapewnił ich, że nie są sami na świecie. W ten sposób z inicjatywy „Zdzicha” powstał w Krakowie fikcyjny ośrodek konspiracyjny, niezwykle potężny, w naszej wyobraźni sięgający wpływami na całą Polskę i dalej. Sam przygotowałem kilka numerów pisma, zrobiłem ulotki i bawiłem się jak nigdy, wypisując oszczerstwa przeciwko władzy ludowej. Sam miałem być przedstawicielem tego ośrodka. Wymyślono mi biografię: miałem przedrzeć się z powstania na zachód, zaraz po wojnie wylądować w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Tam alianci mnie szkolili - opowiada z uśmiechem. - Ludzie „Zdzicha” spreparowali moje zdjęcia z amerykańskimi żołnierzami. Było to nawet zabawne, ale całe szkolenie wspominam jako wielką mordęgę. Wkuwałem strukturę organizacyjną bandy, ich zwyczaje, wzajemne niechęci i sympatie, uczyłem się o Amerykanach i życiu w powojennych Niemczech. Najtrudniej przychodziło mi przyswojenie tego paranoicznego myślenia, fałszywych nadziei, bzdur o rychłej wojnie, nienawiści do obecnego ustroju. Było mi to organicznie obce, mój synku, czułem się, jakbym nakładał na siebie cudzą skórę. Tu za ciasną, tu za luźną, nogi mi się w niej plątały. Dostałem trochę amerykańskich rzeczy: buty,

papierosy, brzytwę, dolary, a przede wszystkim...

Urywa nagle i czuję ukłucie lęku - wszystko z tobą w porządku, tato? Suwając nogami, wraca do biurka, nie siada jednak, tylko wyjmuje z szuflady pistolet. Pokazuje pełny bębenek. Colt błyszczy jak psie jaja.

- Przede wszystkim dostałem to. - Obraca broń w dłoni i odkłada, mam ją na wyciągnięcie ręki. - Tak wyposażony ruszyłem na Sądecczyznę. Było wczesne lato czterdziestego dziewiątego roku. Czuję, że to nie powinno się dziać, ludzie po pięciu latach wojny pragnęli już tylko pokoju. Dostałem dość pieniędzy, żeby nie mieć kłopotów. Wędrowałem po wsiach. Jadłem w knajpach i nieraz napotykałem ślady „Białego”. Świeże groby, wdowy w żałobie. Szeptano. Słońce zachodziło późno.

- Wreszcie uzyskałem kontakt. Oferował go chłop, chyba Maciej mu było. Współpracował z bandami jeszcze w czasach „Ognia”, jakoś mu się upiekło. Ugościł mnie. Pojawiła się butelka, piliśmy, puszczałem jakieś czkawki, bączki, aż w Maciejowym mózgu coś zaskoczyło. Jeszcze przyglądał się moim butom, koszuli, kieszeniom wypchanym, burknął coś pod nosem i karty wylądowały na stole. Ktoś z leśnych przyjdzie, zorganizujemy spotkanie. Piliśmy dalej, do nocy, nikt jednak nie przyszedł. Zapadłem w niespokojny sen, pełen ożywionych drzew, szczęknięć i szeptów. Świt zaś okazał się szary i mokry, mgła osnuła góry. Wytoczyłem się przed dom, buty natychmiast mi przemokły, zapaliłem sobie, przycupnąłem na ławie i zobaczyłem trzy sylwetki w płaszczach, wyłaniające się z mgły. Na mój widok bandyci przystanęli, podniosłem się i rozłożyłem dłonie. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście: Stasiak był z nimi, gapił się na mnie jak na ducha. Broń miał w pogotowiu, ale gdy mnie poznał, wyraźnie się rozluźnił, padliśmy sobie w ramiona. I zaraz pytania: co tu robisz, jak się znalazłeś, szukałeś nas, czy to przypadek. Maciej wypadł z chałupy, zaprosił do środka. „Swój”, mruknął, wskazując na mnie. Stasiak się radował: „No pewnie, pewnie, że swój”.

Znów podnosi broń, ogląda, drapie. Rozgląda się niespokojnie, znów oblewa go pot, więc podchodzę z chusteczką, wrywa mi ją z ręki, sam się obciera. Ma w oczach wściekłość, taką niepojętą, zgniata chusteczkę i ciska do kosza. Siada. Przykłada dłonie do czoła, tak że szare paznokcie kciuków stykają się ze sobą.

- Dostaliśmy chleba i smalcu. Zasypano mnie pytaniami. To mówię: jestem z Krakowa, z ROAK, mam znaleźć „Białego”, porozmawiać z nim, przedstawić propozycję. Niby od niechcienia wyjąłem papierośnicę, poczęstowałem szlugiem, zachodnim, izbę wypełnił walutowy dym - chciał pewno zarechotać, lecz się krztusi. - Zapytali, jaka to propozycja. Zadowolony, że idzie tak dobrze, odpowiedziałem, że to wiadomość tylko dla

„Białego”. Ale dałem do zrozumienia, że chodzi o finansowe wsparcie na teraz, być może uda się zorganizować przerzut grupy na Zachód, na szkolenie. Będą prawdziwe stopnie, będzie nowa wojna, a wtedy, ożeż, kurwa, powiesimy tych jebanych komunistów i zapanuje szczęśliwość wieczna - raduje się mój tato. - Przeliczyłem się trochę, Stasiak może by mi uwierzył, dwaj pozostali niekoniecznie. Poszeptali. Fłaszka wyjechała na stół. „Zobaczymy, co da się zrobić - usłyszałem - opowiemy o tobie «Białemu»„. Niby byli twardzi, niby nieufni, ale oczy aż im się paliły! Po miesiącach ukrywania się, lasów, chat chłopskich, życia z rabunku otwierała się szansa na normalne życie, prawdziwe wojsko. Ja im, synek, dałem poczucie realności ich mrzonek o wielkiej wojnie i wyzwoleniu. Las wypacza, mój synu, jeśli siedzisz w lesie, przestajesz rozumieć świat.

- Poszli. Spędziłem beczynn timer pół tygodnia i połapałem się, że ktoś mnie śledzi. Sprawdzali. Nic sobie z tego nie robiłem, przecież zostałem sam, bez kontaktu z urzędem, zresztą strzelanie szło bandzie lepiej niż węszenie, aż miałem ochotę odwrócić się, podejść za płot, zagaic rozmowę: „Ej, kolego, ja naprawdę jestem w porządku”. Dałem się pilnować przez kilka dni, wreszcie przyszła. Przedstawiła się jako Joanna, co nie było prawdziwym imieniem, za to wyglądała jak prawdziwa chłopka, od tyłka, szerokiego i twardego jak skała, po mocne kości, mleczarnię, jasne włosy w koku i szeroką szczękę. Usta. Te usta... - marzy mój tato. - Zaskoczyła mnie i dobrze, zobaczyła pistolet amerykański i dolary. Znam podobne spojrzenia, tylko kobiety tak umieją, oceniają, świdrują, niby mądre, naprawdę szczęśliwe, że znalazły byle jaką prawdę. Wzięła mi papierosa. Spaliła i potem powiedziała, że „Biały” czeka, „Biały” mnie przyjmie, „Biały” coś tam powie, zwariować można. Słowa składała tak nabożnie, jakby o jakiegoś świętego szło. Z lasu świętego - dopowiada. - To poszliśmy.

Tato jest zmęczony, gra tym, jak samobójca, odsłaniający i zakrywający na przemian śmiertelną ranę. Nie pozwoli sobie pomóc, jęczy, poci się i śmieje, ledwo posuwa nogami, lecz mej ręki nie chwyci, ledwo mówi, więc będzie krzyczał, sapie, to zaczyna krążyć wokół biurka, tylko ręce same ciężą ku jakiemukolwiek oparciu. Wysuwa dwa palce i dotyka nimi biurka.

- Poszliśmy w głąb lasu i dopiero potem zorientowałem się, że leśniczówka leżała o piętnaście minut drogi, my kluczyliśmy prawie dwie godziny. W pierwszej chwili się przeraziłem, bo widziana z daleka, leśniczówka żywo przypominała dom Nowakowskich. Tak samo zapuszczona, tak samo bez sensu. Z bliska natychmiast rozpoznałem różnicę. W oknach mignęły mi twarze. Szczęknęła broń. Przeraziłem się. Wiedzą, kim jestem, pomyślałem, nigdy nie opuszczę lasu. Joanna poszła przodem, zaczekałem na zewnątrz, w towarzystwie Staśka i jeszcze jednego partyzanta. Zabrali mi broń, obszukali dokładnie, znaleźli pieniądze,

pasek amerykański. Zdjęcia z Zachodu. Patrzyłem, jak to wszystko znika w torbie kolegi Staśka, zastanawiałem się: wyjdę z tej leśniczówki czy nie wyjdę. Wyło coś we mnie: zwiewaj, chłopie. Joanna wyszła i powiedziała, że „Biały” czeka w środku. Wysoki, barczysty, z krótko przystrzyżoną czarną brodą, śniady. Doprawdy, nie znalazłem w nim niczego białego.

- Trudno było. Do trwającej dwadzieścia minut rozmowy przygotowywałem się miesiąc z kawałkiem. Mówiłem oficjalnie, mocno, zwracałem się do niego pełnym stopniem i wymagałem tego samego. „Biały” lubił dominować i nie mogłem na to pozwolić. Wywaliłem kawę na ławę. Oferuję pomoc. Pieniądze. Broń z Krakowa. Stały kontakt. Przerzut na Zachód, celem przeszkolenia. W zamian koordynacja grup, sprzężenie ich z krajem, z oczekiwaniami ROAK, docelowo przeistoczenie rozsypanych band w jeden organizm zasilany londyńskim szmałem, gotowy do działań od pierwszego dnia nowej wojny. Zagadałem go. „Biały” kiwał głową, na koniec wziął dolary, przeliczył, podziękował. Potem położył mi łapę na ramieniu i rzekł: „Teraz już nie masz wyjścia, poruczniku, zostajesz z nami. Na razie”. Mnie to odpowiadało.

Zaciska usta. Jęk. Faluje mu koszula na piersi.

- Tak znowu zostałem partyzantem. Kto by pomyślał, w wolnej Polsce! Przypomniały mi się dawne czasy. Było mi trudno, nie należę, synku, do ludzi otwartych, a tu stawałem na uszach, żeby każdy mnie polubił. Oddział liczył dwunastu ludzi plus dochodzący, zaopatrzenie ze wsi. Przyglądałem się im uważnie. Chciałem zrozumieć. Nabrałem przekonania, że większość ma dosyć i gdyby tylko nam uwierzyli, cisnęliby broń w cholerę. Ilu żałowało morderstw, napadów, przez które stracili szansę na normalne życie? - Tato zastanawia się i wodzi oczyma po zdjęciach na ścianie. - Kilku z nich polubiłbym w innych okolicznościach. Był „Kwiatek”, facet o konstrukcji tura, z marynarską brodą, opowiadał mi o swoich dzieciach, a jak spojrzalesz w jego oczy, nie mogłeś uwierzyć, że jest zdolny do jakiegokolwiek zbrodni. Był „Męski”, taka nerwowa tyczka, nieustannie się śmiał i opowiadał, co to będzie, jak wróci do swoich. Czasem zapominałem, że to mordercy, zabiliby mnie pierwszego. Wiem, widziałem.

Napina swoją twarz do granic możliwości, nawet oczy mu puchną, światło ślizga się po nich jak po grzbiecie fali. Ma wargi jak z ciasta, skórę ze szmatek, trwa to tylko chwilę, bierze głęboki oddech, świszczę - i jest znów sobą, staruszkiem zawieszonym między światami.

- „Biały” kazał zastrzelić „Śmigłego”, wtedy zrozumiałem, co jest grane. Władza. Na tym kawałku ziemi, między drzewem a dołem ten człowiek miał władzę większą niż

sekretarz, niż my w urzędzie, był panem życia i śmierci, a jego koledzy wyżywali się w służalczości. Taka przygoda - marszczy brwi, nie, marszczy się cały. - Kim jednak był „Śmigły”, chłopak z pobliskiej wioski? Nie walczył na wojnie, chyba nie walczył, za młody był, albo mi się zdaje.

- Gapi się w sufit. - Lubił pracę w terenie, nigdy też nie pił, nie rozumiem dlaczego, jak można robić takie rzeczy i potem się nie urżnąć. Wykonywał wyroki i zawsze miał ten sam wyraz twarzy. Jakby spał. Nie lubiłem go, a i on odnosił się do mnie nieufnie. Miał taki dziwny wzrok, niby że próbuje cię przebić na wylot, ale gdzie tam, gówniarz i tyle. „Biały” odnosił się do niego z rezerwą, wcale się mu nie dziwię. Ktoś tam szeptał, że „Śmigły” lubi zagarnąć część rzeczy dla siebie. Pieniądze z napadów pchał do kieszeni, niby na lepsze czasy, tak mówili, ale nikt nie złapał go za rękę.

- Aż przyszła sprawa z koniem. To był czwarty mój dzień w oddziale, czułem już zmęczenie, zarazem przywykłem. - Wsłuchuję się w świszczący oddech mojego taty. - Chłop we wsi miał konia i „Śmigły” mu go zabrał. Wystawił pokwitowanie, ale bez rozkazu. To był piękny koń, wcale nie do roboty, może po jakimś oficerze, założę się, że „Śmigły” widział siebie na jego grzbiecie, jak wita defiladę wojsk angielskich. W każdym razie dopuścił się takiej samowolki, a surowość „Białego” zaskoczyła nawet mnie. - Tato unosi dłonie. - Wróciłem z patrolu, a „Śmigły” już siedział na ławie z rękami skrepowanymi na plecach. Wokoło koledzy, tacy obojętni. „Biały” przeczytał wyrok. Kula w łeb. Jak dla dezertera. Coś burzyło się we mnie, za taką niesprawiedliwość, a z drugiej strony, pomyślałem, co czekałoby tego chłopca, gdyby wpadł w nasze ręce? Przecież to morderca, mówiłem sobie, ciebie by nie oszczędził, sam by zabił za samą pogłoskę, że jesteś z urzędu. Koledzy chyba nie wiedzieli, co myśleć.

- Do dziś pamiętam twarz „Śmigłego”, poważną jak maska, nos jakby mu się wydłużył, nie odrywał spojrzenia od dowódcy, stęzał na moment, kiedy usłyszał wyrok. I zaraz się uśmiechnął. Popatrzył po zebranych, na mnie też. Poprosił o papierosa, palił szybko, jakby chciał mieć to wszystko, łącznie z życiem, za sobą. To Stasiek poszedł. Poprowadził „Śmigłego” przed sobą. „Śmigły” szedł wyprostowany i dumny, bez łzy czy skruchy, i już prawie czułem podziw dla niego. Nie - potrząsa głową - zniknęli w krzakach, jeszcze słyszałem kroki, i nagle, synku, taki straszny płacz, jeszcze dziecinny, słyszałem szelest, jakby ktoś rzucał się między krzakami, zaraz wycie, jęki, jakieś prośby po polsku. I huk! - Klaszcze w dłonie. - Odgłos upadku. Stasiek zaraz wrócił z takim dziwnym wyrazem twarzy, jakby... jakby... - tato szuka słów - przejął minę po człowieku, którego zastrzelił. Dotarła do mnie absurdalność tej sytuacji, to nie mogło się zdarzyć w normalnych czasach. Za konia.

Cholernie pięknego konia.

Tato zamyka oczy i wiem, że go widzi, kasztana z czarną grzywą, zaplątanego w leśne ostępy. Mknie pod jego powiekami w widmowym landszafcie, opromieniony krwawym słońcem, między grubymi płachtami liści, strząsa rosę, a ja orientuję się, że nie wiem, co stało się z tym zwierzęciem. Chcę zapytać, lecz tato odzywa się pierwszy:

- Nie zapomniałem, po co zjawiłem się w oddziale. Czas upływał, każdy dzień działalności bandy oznaczał udrękę dla miejscowej ludności, działaczy partyjnych, mundurowych, moich przyjaciół, kolegów z urzędu. Cokolwiek miała przynieść przyszłość, nie mogliśmy ze „Zdzichem” czekać.

I milknąc, przeczy własnym słowom, próbuje łapać równowagę i oddech, z pierwszym lepiej, z drugim już nie, szarpie się z powietrzem. Próbuje iść w stronę łózka, najpierw samodzielnie, zerka w moją stronę i widzę, że jest mu wstyd. Podaję mu rękę, bierze całe ramię i zawisa na nim, wpija mi paznokcie w ciało.

- Co ci jest, tato? - pytam.

Śmieje się, wyciąga drugą dłoń, jakby chciał pogłaskać mnie po głowie. Nie daje rady, skoncentrowany na dreptaniu. Taki właśnie jest, może mówić, siły opuszczają go w jednej chwili. Więc idzie ku łóżku, niesłychanie powoli pokonuje próg. Ja z nim. Idę. Idziemy.

* * *

Mój ojciec to nie tylko opowieści, choć czasem myślę, że składa się wyłącznie z nich. Widzę go we własnych wspomnieniach, z których wyłania się niczym czysty dźwięk z radiowych trzasków. Dzieciństwo, młodość, wspólne zabawy, kłótnie, moje życie na przekór jemu - a przecież skończyliśmy razem, w jego mieszkaniu. Pamiętam go, jaki był wcześniej, choć wydaje mi się snem.

Pierwsze wspomnienie. Mam trzy lata, czekamy z mamą, aż wróci. Pojechał z kolegami do lasu, więc będzie nieprędko, mama mówi: „Połóż się”, lecz czekam, żeby nie przegapić tej cudownej chwili. Wreszcie trzask furtki, dopadam okna i widzę tatę, jego chwiejną sylwetkę, lecz jestem zbyt mały, by pojąć przyczynę tej chwiejności. Torba przewieszona przez ramię ciągnie go ku ziemi. Już schody trzeszczą, wybiegam naprzeciw, już jestem w jego ramionach, w jego wódczanym oddechu, a on śmieje się i przytula mnie mocno. Przypadam do stołu, głową sięgam akurat ponad blat, i widzę, jak tato rozkłada mięso, czerwone jak z bajki, cały wielki rząd zajęcy odartych ze skóry. Ich zapach przyćmiewa inne, aż tato zapala papierosa, oparty o kuchenkę. Mama prosi mnie, bym poszedł już spać, odchodzę niechętnie, nakrywam się kołdrą i w jednej chwili opada mnie

straszliwe zmęczenie. Za drzwiami rodzice rozmawiają, matka przekłada mięso, poznaję po charakterystycznym klaśnięciu. Walczę z ciężeniem powiek, bo wiem, że ojciec zaraz przyjdzie ucałować mnie na dobranoc. Czekam długo. Jestem już na granicy snu, drzwi uchylają się bezgłośnie i widzę go zmierzającego w moim kierunku. Jest w nim delikatność i czułość, a ja zasypiam, nie doczekawszy się pocałunku.

Mam czternaście lat. Nerwowość okołoprzewodzkowa - już od pół roku czuję, że się ruszymy, mieszkamy akurat w Warszawie i wyjazd gdziekolwiek matka traktuje jako zsyłkę, dom aż się trzęsie od jej wrzasków, a ojciec nic, krąży między pokojami, zawieszony wśród myśli, którymi nie ma ochoty się dzielić. Nie wchodzę mu w drogę i dziwię się matce, będzie nieugięty jak zawsze. Mama idzie spać, trzaska drzwiami. Ojciec będzie spał na kanapie, pilnuje jednak, bym tego nie dostrzegł. Ułatwiam mu, znikam w pokoju i patrzę na mdłe światło zza okna, odbijające się w meblościance. Słyszę, jak ojciec wychodzi. Mieszkamy w bloku. Wstaję. Przez okno widzę, jak idzie na rympał przez trawnik, przed nim rysuje się świeżo wzniesione osiedle, bez jednego drzewa czy załamania, ot, placyk obsypany gradem dziesięciopiętrowców. Tato staje na chodniku, zapala i patrzy przed siebie, nie wiem na co, lecz pręży się dziwnie, można by pomyśleć, że zaraz natrze nań jakiś potężny przeciwnik. I naciera, właściwie wyłania się spomiędzy krzaków, ogromny gość w przyciasnym płaszczu i wojskowych butach, ojciec odpycha od siebie powietrze, raptem się kuli, gnie przez pół, jakby w brzuch dostał, cofa się tak niezdarnie, ja nie rozumiem. Tamten nic mu nie robi, nawet dłonie rozkłada i tak stoją naprzeciw siebie, człowiek i olbrzym, chłopiec i mężczyzna.

Tato zaciska wolną rękę w pięść, staje w lekkim rozkroku i na coś patrzy. Wreszcie rozluźnia się, rzuca papierosa na trawę i wraca do domu. Ostatnim, co pamiętam, jest skrzypienie kanapy. Położył się w ubraniu. Dwa tygodnie później już jestem w samochodzie, jedziemy do Łodzi, by tam zamieszkać.

Nasza pierwsza wódka i jedna z ostatnich. Tato, owszem, pił, ale nie mocno, nie jak koledzy na polowaniach. Może przez flaszkę dochodził swoich spraw. Mam osiemnastkę, siedzimy naprzeciw siebie, na stole butelka, w powietrzu dym. Mamy już wtedy nie ma. Tato przygląda mi się po swojemu, szacuje, ile we mnie już jest mężczyzny. Wciąż mocny i krępy, chłopak z dzikiego miasta, postarzał się jednak. Znajduję w nim nerwowość, wiem, przeniesiemy się znowu, odżywa we mnie nadzieja, że wreszcie dowiem się, dlaczego tak jeździmy, co, u diabła, widzi za oknem. Nie chce o tym mówić, tylko leje, przepychamy się słowami, co zrobię, jakie studia, on pomoże, synu, synu, otwierają się przed tobą najpiękniejsze lata.

- Nie zwiąż się z nikim zbyt wcześnie - mówi mi. - Będzie ci się wydawało, że spotkałeś miłość życia, ale to będzie złudzenie. Kochamy wiele razy i dlatego możemy przetrwać. Nie wierz do końca przyjaciołom, bo jesteś przystankiem na ich drodze, odpłyną i zapomną. Zarazem zabiegaj o te przyjaźnie, potem będzie za późno. Po studiach nie zawiążesz już żadnej. Każdy będzie czegoś od ciebie chciał.

Polewa mi, pije głęboko, szykuje się do czegoś, rozmowa schodzi na bzdury, aż dno błyska we flasce.

- Nikt nie jest czysty - mówi mi na koniec - ty też nie będziesz, nie ma ludzkiej siły, jakbyś się nie starał. Co nie znaczy, że masz dać sobie spokój. - Mruga szelmowsko. - Rzeczy, które teraz wydają ci się nie do przejścia, okażą się łatwe, a winy wybaczone. Ludzie umieją i chcą zapomnieć. Uważaj tylko, żebyś nie zrobił czegoś strasznego. Naprawdę strasznego - zniża głos - wtedy będzie po tobie. Chodzi o wydarzenie, co jak mór będzie ciągnąć się za tobą przez resztę życia. - Zdaje sobie sprawę, w jaki uderza patos, więc maskuje się uśmiechem. - Po co pakować się w taki szajs?

- Jaki szajs, tato? - pytam. Wówczas jeszcze chcę wiedzieć, nie dopuszczam nawet myśli, że ojciec, rozsądny człowiek, żyje w świecie upiórów, gdzie straszą żołnierze i zabici przyjaciele. Mam nawet nadzieję na szczerą odpowiedź, jakiej udziela się komuś dorosłemu. Lecz tato tylko rozlewa wódkę, starcza jej na pół kieliszka dla każdego z nas.

- Wiesz, gdzie psa pogrzebano? Co to są rzeczy straszne? To nie oczywiste draństwo. Nie przyprawienie rogów koledze, nie strzał w plecy ani pobicie żebraka - wylicza uczynki będące w jego rozumieniu szczególną niegodziwością. - To byłoby za łatwe. Kiedy szykujemy się do nich, kiedy je robimy, rzeczy straszne wydają się nam zwyczajne. Ot, takie - strzela z palców. - Dopiero potem, kiedy leżymy w łóżku, pojmujemy wagę tego, co się stało.

Przez te wszystkie lata opowieści narastały w nim stopniowo, jak rak umysłu, wyżerały wspomnienia o pracy i kumplach, mamę i nie-mamę, mnie samego, w końcu ściany i zdjęcia, aż wszystko wokół niego zaczęło drżeć w oczekiwaniu na dom, nadchodzący za oknem. Czasem ojciec wybudza się z koszmarów na jawie, mruga i zaczyna głądzić: pyta, jak u mnie w pracy, co właściwie się dzieje i kiedy przyjdę znowu, choć jestem codziennie. Wciąż wie, rozumie lepiej ode mnie, opowiada o błędach w myśleniu i tym, jak powinienem przekształcić swe życie, nim całkiem skamienieje. Mruczy przy tym i cały się spina. Jaka szkoda, że zmarła księżna Diana. Taka młoda. Taka ładna. Co tam jeszcze, synku? Zawsze już będziesz tam mieszkał, w dwóch pokojach? Co byś zrobił, gdyby nie ja? Wiadomo, że wszystko będzie twoje, ale za późno, tak zmarnować najlepsze lata w klitce, ja bym tak, synuś, nie mógł, co miałeś z życia, jak zadbałeś, ja walczyłem, robiłem co mogłem, żebyś

start miał. Nie tak. Bardziej zadbać, a nie kochać tylko siebie. Co jeszcze u ciebie, synku? Co jeszcze?

* * *

Jakaś siła rozpiera mi tatę, jego krew wrze, nogi odżyły i tato rusza się żwawo po mieszkaniu. Ta pusta siła każe mu przerzucać papiery, sprawdzać ubrania upchane po szafach, szarpać się z książkami i z uporem wodzić palcem po szybie. Tato wygląda, jakby właśnie pakował się do dalekiej drogi i nie wiedział, co zabrać ze sobą. Cudacznie wygląda w bawełnianych spodniach, hotelowych klapkach i białym podkoszulku, odsłaniającym ramiona, cudacznie ze strzępami włosów, przyglądzanymi dłońmi, cudacznie bez zębów. Cudacznie. Nie wiem, co robić, na zmianę podążam za nim w głąb tej jamy mieszkaniowej, ciemnej i smoczej, lub siadam w nieładzie i słucham jego szurania. Wyszperał pęk gazet związany sznurkiem: „Kraj Rad”, „Przekrój”, „Kobieta i Życie”. Teraz siedzi, przerzuca kolejne numery, przygląda się i składa powrotem. Oblizuje się, ruchem pełnym zniecierpliwienia odpycha całą stertę, z powrotem pochyła się i bierze pierwszą lepszą gazetę.

- Spacer? - pyta. - Kiedy pójdziemy?

Mówię, że możemy w każdej chwili. A on na to, że nie każda chwila jest dobra.

Jeszcze rzut okiem za okno, jeszcze westchnienie i zaczyna się zbierać. Odręca moją pomoc, sam zmienia spodnie, wkłada koszulę, nawet marynarkę, tylko z butami muszę pomóc. Ojciec siedzi na brzegu krzesła, próbuje manewrować stopą tak, by szybciej poszło, a ja dostrzegam, jaka ona brzydka, w ogóle do niczego niepodobna. Jak rozmiękczone drewno, guzowata gałąź. Palce takie krzywe. Żyły rysujące się pod skarpetką. Zakładam but, lecz ich nie dotykam.

- Nie zaryzykowałbym ataku na leśniczówkę, tu „Zdzichu” mnie poparł. „Biały” znał las, no i nieustannie zmienialiśmy miejsca. Spałem u chłopów, w stodołach i szałasach, czasem pod gołym niebem. Nieustannie byliśmy w ruchu, raz tu, raz tam. - Bębni palcami w brzeg krzesła. - Nie znałem żadnych planów - syczy - nic tylko pęd i wódka. Zastanawiałem się, ile tak można, nieważne, ważne, że mielibyśmy diable kłopoty z zamknięciem sensownego okrążenia.

Patrząc z dołu, widzę rzadkie włosy porastające mu podgardle.

- Mieliśmy trzy sposoby na ujęcie bandy. Ludzie „Zdzicha” otrzymali informację, że bandyci przesiadują w pobliskiej restauracji i właściciel pewno trzyma z nimi. To przycisnęli go odrobinę - mówi lekko. - Zgodził się współpracować. Ja miałem tylko ściągnąć ich wszystkich, spać i czekać. Nie podobał mi się ten pomysł, wyobraziłem sobie knajpę otoczoną

przez wojsko i milicję, pijanych bandytów, granaty, strzelaninę, siebie w tym wszystkim. „Zdzichu” mówił, że będzie dobrze, ale ryzyko moje. Zgodziłem się.

Buty już założone, tato wstaje, opiera się jedną ręką o szafkę, powolnym ruchem schyla się i poprawia sznurówkę, krew mu z twarzy odpłynęła.

- Miałem kontakt z restauratorem, uzgodniliśmy datę. „Biały” położył tamę. „Za duże ryzyko - rzekł mi. - Tu mamy jedzenie i wódkę”. Nie naciskałem, po co? Odetchnąłem nawet.

Wychodzimy. Ojciec przodem, odwraca się i ocenia, czy dobrze zamykam cztery zamki, owiewa mnie jego zapach, woń człowieka niewierzącego.

- Drugi pomysł, czyli zorganizowanie zrzutu. Mamiałem „Białego”, że mam takie możliwości. Nie chodziło o nie nawet, lecz o nadzieję. Zrzut oznaczałby, że Zachód naprawdę interesuje się bandą, a trzecia wojna wisi w powietrzu. „Zdzichu” początkowo był chętny, potem się zawahał. Koszta ogromne. Ryzyko jeszcze większe. Funkcjonariusze urzędu wraz z milicją i wojskiem zdołaliby zapewne zamknąć bandę w kordonie. Było pewne, że „Biały” podejmie walkę, nieraz przedarł się w podobnej sytuacji. Dość naszych zginęło, dość wdów widziałem na pogrzebach. Tato się smuci, winda szarpie się i staje. Wychodzimy. On przodem, spieszy ku słońcu. Idziemy między blokami, jest zielono i cudnie, dziecko buja się na oponie, tato grzebie w kieszeni i wyjmuję torebkę karmy dla kotów ściśniętą gumką recepturką. Odwraca się ku Ikei, teraz przesłoniętej siatką. Wiem, co widzi, wzdryga się, jakby go zemdlilo.

- Trzeci plan, trzeci plan - mamrocze. - Rzecz szła o to, by nie dopuścić do rozróby. Bez strzelaniny. Z zaskoczenia. Do puszkę wepchać, zdusić. Puszczą okazał się autobus. - Morduje się z gumką, za płotem miga bury kształt. - Tuśmy się namęczyli jak na przodku, ja, ludzie z Sądecczyzny, pół Krakowa, milicjanci. Każdy na uszach stawał. Najpierw nakłamałem. Obiecałem przerzut. Do Austrii i dalej. „Biały” dostał wybór: albo zostanie tam na stałe, zasili polską armię, o której marzył, a którą „Zdzichu” wymyślił. Albo wróci. Przeszkolony. Szykować piątą kolumnę na bolszewików paskudnych. - Szczerzy się, jakby miał wgrzyźć się w mięso. - Tak czy inaczej, obiecałem mu stopień oficerski, jego ludziom też, jakoś przeszło mi przez gardło, przecież te łajzy nawet żołnierza nie widziały, nie licząc Staśka. Ten był inny - otworzył torebkę - cholernie chciałem go ocalić.

Mamy koty na osiedlu, matka z dwojgiem młodych, już sporych, dziecinnie drapieżnych. Tato je dokarmia, mówi, że zabrały je do domu, przynajmniej jednego, boi się tylko, że umrze - co wtedy z kotem? „Zje mnie”, szepcze, próbuje kucnąć, rezygnuje, przekazuje mi torebkę. Sypię do miseczki, kotki już pędzą, przywołane szelestem.

- Pierwszy etap drogi mieliśmy przebyć autobusem. Kierowca był nasz, urzędu -

poprawia się tato i podaje mi buteleczkę niegazowanej mineralnej. - Niby normalny kurs, poranny, kiedy nie ma wielu pasażerów. „Zdychu” przejął autobus, wsadził naszych udających pasażerów, trzech facetów i kobietę. Dzielna, dzielna, dzielna... - zacina się w podziwie. Tymczasem nalewam wody do miseczki. Głaszczę kotka, odwdzięcza mi się obojętnym spojrzeniem. - Mówiliśmy na nią Jadźka - wspomina tato. - Takie czasy, cud, że znałem swoje własne imię. Był też podjazd, ostro w górę, droga się wiła i tam zrobiliśmy zasadzkę - patrzy na koty, milknie. I zaraz wypala: - Pytasz o moją rolę w tym wszystkim?

Nie pytam, bo znam świetnie. Kiwam tylko głową. Poznają błysk w tatowym oku, schylam się i biorę kotka na rękę. Od niedawna dają się głaskać.

- Namówić „Białego” na podróż. Pilnować, by się nie wycofał. Wsadzić wszystkich do autobusu. Siedzieć cicho i podnieść łapy do góry - wylicza. - W razie strzelaniny paść na ziemię. Rozwalić „Białego” jakby co. Nie muszę mówić, jak bardzo się bałem, nie tylko o siebie. Grałem o prywatę. Przeraziła mnie przemiana Staśka, to, kim się stał przez wojnę, ale wiedziałem dobrze, nie był zwykłym bandytą, może jego serce pamiętało czasy, kiedy służył Polsce, kiedy nosił prawdziwy mundur? Kombinowałem, jak go wyciągnąć, i przez moment myślałem, że los mi dopomógł.

Tato głaszczę kota.

- Akurat przesiedziałem z nim pół nocy przed podróżą. Usiłowałem dostrzec prawdę w jego słowach, prawdę o nim i o sobie. Czy domyśla się mojej roli? Przejrzał? Nie przejrział? Tak siedzieliśmy przed leśniczówką, pijąc niespiesznie, jakby rzeczywiście ten świat nie miał żadnej przyszłości, toczył się, miażdżąc nam grzbiety, jakby - odbiera mi kota - już nigdy nie miało wzejść słońce. „Po co to robisz? - spytał. - Będzie jeszcze jakaś Polska czy nie będzie?” „Chciałbym normalnie żyć - wyznałem mu - więc trzeba zakasać rękawy i o normalność powalczyć. Jeszcze wszystko będzie dobrze - zapewniłem. - Jeszcze tak”. „A gdybyśmy tak zostali na Zachodzie?”, zapytał nagle. Nie miał w Polsce nikogo, tylko leśnych. Odparłem: „Tak, to jakiś pomysł, zostaniemy”. I tak sobie gawędziliśmy, o Nowogródku, o wojnie, o Warszawie, której nie widziałem od czasów powstania. On widział. O ruinach mi mówił. Tylko jeden temat został martwy, takie ścierwo. Dom Nowakowskich - tato pochyla się delikatnie, styka swój nos z kocim - dom, który wędruje.

Kot wije mu się na rękach, okręca się, mruży, oczy mu błyszczą, rozciąga się nagle, wbijając pazurki w koszulę, tato syczy z bólu, nie puszcza. Tylko jeszcze się droczy, szarpie delikatnie. Kot poważnieje i patrzy na siebie.

- „Biały” dał ludziom wolną rękę. Czterech się wycofało, więc pojechaliśmy w dziewięciu. Potem złapali tę czwórkę, lecz, synku, to już inna historia. Zupełnie - potrząsa

głową. - Poszedłem z bronią i duszą na ramieniu, koło mnie Stasiak, „Biały” na przedzie. Nie masz pojęcia, jak cichy jest las na załamaniu nocy i dnia, nieruchomy, jakby wycięty z papieru, tylko mgła wisi - mówi do kota, nie do mnie. - Tylko my tam nie pasowaliśmy. Mgła wisiała, żadnego wiatru czy zwierząt, tylko cienie gdzieś w głębi. Pomroki. Nikt się nie odezwał, tacy byliśmy skupieni, a mnie wydawało się, że grzęznę w wilgotnej ziemi, zaraz zapadnę się, po kostki, po kolana. Las był lepki, aż wyszliśmy na drogę.

- Czekanie było najgorsze, nie tylko dla mnie, choć tylko ja wiedziałem naprawdę, czego oczekujemy, przyczajeni, gotowi prysnąć w krzaki. Zrobiło się szaro, „Biały” też poszarzał. Krążył. Martwiłem się, żeby nie zrobił jakiejś głupoty już w autobusie. I autobus wytoczył się z szarówki, ciężki kadłub rozświetlał mgłę. Wytracił prędkość, drzwi się otwały. Tylko pierwsze. Wchodziliśmy po kolei, kierowca - krępy facet z wąsem jak u Piłsudskiego - przyglądał się każdemu. „Biały” usiadł i zaraz ponaglił. Jechać, jechać! - wykrzykuje, nerwowy ruch płoszy kota i tato przytrzymuje go uściskiem. - Rozpoznałem swoich, Jadzka z przodu, trzech tajnych z tyłu autobusu. Usiadłem nieco z boku, chciałem, by siedzenie obok pozostało puste. Przysiadł się Stasiak. Ruszyliśmy w milczeniu.

Kot uspokaja się, zna już tę rękę, odpowiada pieszczotą, język musi drażnić, laskotać, tato walczy z uśmiechem i przegrywa.

- Ruszyliśmy w milczeniu - powtarza, ciągle się śmiejąc. Taki pogodny. - Tylko „Biały” przerywał ciszę, ponaglał i ponaglał kierowcę. Nie wiesz, do czego się spieszysz, pomyślałem. Tymczasem jaśniało, mgła szła w górę, widziałem parterowe domki, gęstniejące lasy, drogę coraz bardziej krętą. Znałem odległość od zasadzki, ale nie wiedziałem dokładnie, gdzie jest to miejsce, nigdy tam nie byłem - tłumaczy i drapie kota za uchem.

- Jechaliśmy pod górę, serpentyną, silnik burczał głośniejsz i głośniejsz. „Biały” uznał za słuszne go przekrzyczeć, wściekły na spowolnienie. Chciało mi się palić, synku. To właśnie najwyraźniej pamiętam. Wściekły głód papierosa. To dziwne, nie? Że tak mocno to zostało we mnie.

Delikatnym ruchem uwalnia kota, zwierzątko ląduje miękko na czterech łapach, odwraca się, przesyła obrażone spojrzenie i odbiega z gracją. Tato krzyżuje ręce na piersiach.

- Nareszcie, nareszcie - wyrzuca z siebie słowa - wyłonił się przystanek i samotny facet, nasz człowiek, a jakże, schylił się i zawiązał but. Taki był znak. Kierowca zwolnił i „Biały” zaczął wrzeszczeć. Za późno. Nasi już dopadli do autobusu. Kierowca już miał ręce w górze, „Biały” zbaraniał. Zbaranieliśmy wszyscy, to działo się tak szybko. Funkcjonariusze nie otworzyli ognia, krzyczeli, że trzeba się poddać, nie ma szans, jesteście otoczeni. Moment wahania. „Biały” ryknął, wyszarpnął broń, w tej też sekundzie z tylnych siedzeń zerwali się

nasi. Za późno. Już poszedł ogień, najpierw przez szyby, w pola, potem przez autobus. Padłem na ziemię. Nie wiedziałem, co robić. Stasiak ostrzeliwał się zza siedzenia, koło mnie świszczały kule i jedna z nich trafiła Jadżkę, biedną, młodą Jadżkę, która nikomu nie zawiniła, nie widziałem, jak dostaje, zobaczyłem tylko martwą głowę spadającą na podłogę. Strzały zagłuszyły odgłos upadku. Obsypało mnie szkło.

- Większość szyb poszła w momencie. Bandyci nie wiedzieli, gdzie strzelać, na zewnątrz czy zdjąć najpierw funkcjonariuszy z tyłu, ci strzelali twardo, jeden dostał, dwóch kryło się za fotelami, zza okien szedł huraganowy ogień. Terkotał karabin maszynowy. Tylko granatów czekać. W tym wszystkim był „Biały”, kompletnie pogubiony, skulony przy desce rozdzielczej. Rzucił rozpaczliwe spojrzenia to ku nam, to ku drzwiom. Podjął decyzję - lecą, lecą słowa ojca - autobus stoi, „Biały” strzelił kierowcy w głowę, zrzucił z fotela i zajął jego miejsce. Garbił się, nad głową poszła mu seria, dodał gazu, ledwo widział, autobusem rzucało jak diabli. Nasi, mam na myśli funkcjonariuszy - uściśla - najpierw walili w okna, żeby przycisnąć bandytów do podłogi. Jak „Biały” chwycił za kierownicę, celowali w opony i jeden musiał trafić, autem zarzuciło.

Tato bierze ode mnie wodę, pociąga solidny łyk. Męczy go mówienie. Idziemy w stronę bramy. Wciąż rozgląda się za kotem. Unoszę głowę i widzę dwa sokoły, wycinające ósemki pod niebem.

- Uniosłem głowę, oceniłem sytuację. Funkcjonariusze zostali w tyle, „Biały” rozpaczliwie usiłował utrzymać się drogi. Walka wciąż trwała. Nie wiedziałem, co z naszymi, z tyłu ostrzeliwał się tylko jeden, ale coś ruszało się po prawej stronie. Trzech bandytów już padło, w tym „Kwiatek” i „Męski”. Stasiak żył, nie strzelał, unosił dłonie, nie żeby się poddać, ale osłonić przed szkłem. Podjąłem decyzję, właściwie ona podjęła się sama, jeśli nawet myślałem o czymś, to już nie pamiętam. Huczało mi nad głową, huczało w sercu, zerwałem się, jakby ktoś mnie w tyłek kopnął, pierwszy strzał minął, rąbnął w przednią szybę, druga kula już „Białego” dosięgła, dokładnie w chwili, gdy odwracał głowę. Spojrzeć na mnie nie zdążył, oberwał w policzek, runął, tylko krew bryznęła. - Tato pokazuje dłońmi, jak wiele było tej krwi. - Bandyci nie wiedzieli, co robić, ten moment wahania życie mi uratował, jednemu zaś zabrał, zagapił się i dostał od funkcjonariusza z tyłu. Strzelać, nie strzelać, rozumu im brakło na sekundę i ta sekunda dała mi ocalenie.

Okolica nie sprzyja spacerom, tato nie wsiądzie do autobusu, a na taksówkę nie ma dziś ochoty, więc przechodzimy na drugą stronę i drepczemy poboczem. Podtrzymuję ojca, nie idziemy długo, jest zaraz pizzeria i tam siadamy, na słońcu, póki jeszcze można.

- Nie strzelili, choć mierzyli do mnie. „Biały”, osuwając się na podłogę, zdjął nogę z

gazu, lecz przekręcił kierownicę, siłą bezwładu, zatrzęsło, jęknęło, druga opona poszła i nagle - tato unosi dłonie - niebo było gdzieś z boku, nad nami zieleń... I nagle łup! - wykrzykuje, akurat kiedy kelnerka przynosi mu sok pomidorowy. - Polecieliśmy w rów, na bok, przejechałem przez pół autobusu, po krwi, między trupami. Upadli wszyscy, nasi, bandyci, mignęła mi głowa Jadźki. Pewno myślisz, że zapadła ciemność - uśmiecha się do mnie - ona rozblęła jak odwrotność światła. Jak grzyb. Tylko na ułamek chwili.

Ślini wargi.

- Autobus leżał na boku, tuż przede mną znajdowało się wybite okno, wiedziałem, nasi już lecą. Nie ruszałem się w obawie o życie. Widziałem bandytów gramolących się z podłogi, poranionych, połamanych, z połamanymi rękami przeskakiwali przez okna, pędzili na oślep, strzelając gdzieś poza zasięg mojego wzroku. Zauważyłem Staśka. Wyglądał, jakby w mordę dostał, policzek mu obdarło, ale nic poza tym. Więc daję znak: zostań, chłopie. Zaraz coś wymyślimy. Sięgnął po broń, więc ja wymierzyłem pierwszy. „Daj sobie spokój”, chciałem powiedzieć, tylko lufą kiwnąłem. „Idź, Stasiu. Przez okno. Ale nie tam gdzie inni. W lewo. Przez drogę. Nie bądź głupi, chłopie. Tylko pchnij pistolet w moim kierunku”. Pchnął - uzupełnia mój tato i mruży oczy. Jego słowa są jak gradobicie.

- Z każdego kąta autobusu dobiegały mnie jęki, widziałem oczy rannych i konających, o coś mnie pytały. Miałem swoje odpowiedzi. Nie dla nich. Pistolet wepchnąłem sobie za spodnie i dopiero w tej chwili pojąłem, jakie miałem szczęście. Bolało mnie żebro, udo, prawa łydka była jak napompowana, coś strzykało w barku, ale żyłem, mogłem chodzić, mogłem biec. Stasiu wyskoczył przez okno pierwszy, przywarł do ziemi i odczołgał się kilka metrów w zboże. Podążyłem za nim.

- Wystarczyło podnieść głowę, by pojąć, co się święci. Bandyci pędzili przez pole na rympał, odprowadzani ogniem. Granat poszedł, w wybuchu mignął mi krwawy strzęp. Czasem zwyczajnie nie słychać krzyku. Stasiu, idiota, chciał biec za nimi, zagroziłem bronią. W drugą stronę, w drugą stronę! - tato wygląda, jakby próbował ugasić płonąca koszulę. - Tego nie przewidzieli. Zrozum, synuś, znałem towarzyszy walki, wiedziałem, jak się mylą, za to nie miałem pojęcia, czemu robię to, co robię. Zgarbieni, przemknęliśmy przez drogę, nikt nas nie dostrzegł, padliśmy w kartofle, byle szybciej, las był bliski i daleki zarazem. Za nami wykańczali ludzi „Białego”. Stasiu oglądał się co chwilę i daję głowę, że zawróciłby i walczył, gdyby nie mój pistolet. I pośpiech go zgubił. Od lasu dzieliło nas jakieś dwadzieścia metrów. Poderwał się i popędził, pognałem za nim, nawet myślałem, że nam się upiecze. Gdzie tam! - macha ręką. - Dwie serie poszły między niebem a ziemią, trzecia, bach, prosto w niego, nad łopatką, myślałem, że padnie, ale tylko go wygięło, skulił się i popędził

dalej na płaczących się nogach. Wbiegliśmy do lasu i zrównaliśmy się ze sobą.

Obok podają pizzę, ojcowską nemezis, na drewnianym półmisku dymi ciasto, a na nim szynka i jajko w kształcie serca, papryczki i plastry ogórka, wszystko unurzane w mozzarelli i sosie pomidorowym. Ojciec wdycha zapach i kamienieje w złośliwej żarłoczności. Przypomina kastrata w burdelu. Uwielbia pizzę i nieustannie opowiada, jak to zajadał się nią w Mediolanie, pewno zaraz to powie i zacznie rozpaczać, że wszystko w życiu przychodzi zbyt wcześnie lub późno, na przykład do Polski ten kawał ciasta zawitał, kiedy tato był już stary.

- Las kłuł, pełen jałowców, krzaczysk, niskich, grubych gałęzi, z których łuszczyła się kora. Kula przeszła na wylot przez Staśka. Udawał, że jej nie ma, ale ciało wiedziało swoje, jego nogi same ugięły się, upadłby, gdyby nie ja. Ułożyłem go pod drzewem, rozerwałem koszulę, swoją i jego. Nie muszę mówić, jak paskudnie to wyglądało. Robiłem opatrunek w wielkim pośpiechu, a on nic nie mówił, tylko puszczał ustami czerwone bąbelki. Zawiązałem mocno i na próżno, takiej rany nie zaleczy się brudną szmatą. Zerknąłem. Już szli w naszą stronę. „Kim ty jesteś, czemu to zrobiłeś?”, wyszeptał wreszcie, wystarczył mój uśmiech, by zrozumiał. „Znasz ten las? - pytałem. - Którędy iść? Dasz radę. Przecież cię tutaj nie zostawię”. W odpowiedzi chwycił moje ramię, na nim zawisnął, pociągnąłem go. Nie mógł ustać na nogach. Więc mylnym tropem, w półmrok, tam gdzie gęściej - tato wskazuje na domy i osiedlową drogę gdzieś - ostro pod górę, potem skręt, i w dół. Stasiak mi ciążył, z potrzaskanymi żebrami i puchnącą nogą ledwo mogłem go utrzymać. Opatrunek przesiąkł mu krwią. Za mną brzmiały kroki, trzaskały gałęzie, raz bliżej, raz dalej, jakby nas okrążali. Nie oszukujmy się, „Zdzychowi” trochę brakowało do dobrego wikarego, i zaświtała mi myśl, że powinienem Staśka zastrzelić, ocalić przed czymś gorszym. Cóż, potem sam mógłbym palnąć sobie w głowę. Szliśmy więc najciszej, jak się dało. Pocieszałem się, że akcję obliczono na osaczenie bandytów w autobusie, nie na pościg. Może odpuszczą, myślałem, przecież „Biały” nie żyje.

Schyła głowę nad sokiem, coś mu się przypomina, coś innego, nie związanego z tą opowieścią, jakaś kobieta albo podróż, bo oczy ma mokre.

- Nie odpuścili, ale chyba zdołaliśmy ich zmylić, na jak długo, nie wiem, nie mam nawet pojęcia, ile tak szliśmy, może śniłem w tym marszu, widziałem twarze między drzewami i ogromne ptaki. Jakies głosy szeptały do mnie i znów nie wiem, w mojej głowie czy na zewnątrz. Słabłem. Dom pojawił się nagle i z początku go nie rozpoznałem. Wyłonił się z lasu, a ja o mało nie rąbnąłem w odrapaną z farby ścianę. „Stasiak - szepnąłem - nie uwierzysz, jakie mamy szczęście”. Cokolwiek widziały jego oczy, nie należało już to do tego

świata.

- Wejście znajdowało się z drugiej strony. Drzwi ustąpiły. Krzyknąłem w ciemność, żadnej odpowiedzi. Gdzie woda, gdzie posłanie? Pociągnąłem Staśka obok schodów, zaraz na prawo, tam był pokój sypialny. Zzulem mu buty. Obiecałem, że wrócę, idę tylko po wodę, jeszcze lepiej wódkę. Popędziłem do kuchni, przerzucałem talerze, przez okno mignęła mi studnia, wiadro wisiało na kołowrocie. Odetchnąłem, wyszedłem, nabrałem wody i dopiero wtedy pojąłem, gdzie jestem. - Przełyka ślinę. - To był dom Nowakowskich, przeniesiony w każdym calu i desce, z odrapaną farbą i dziurami w szybach, z charakterystycznym okapem, pod którym wisiały opustoszałe jaskółcze gniazda. Zapach kurzu dochodził aż na podwórko. Myślisz, że przetarłem oczy? Uszczypnąłem się w ramię? Szczypało bez tego, nawet więcej, z oddechem „Zdzicha” na plecach przyjąłbym każde schronienie. Jeszcze tknęło mnie, że oszalałem, lecz wewnątrz opuściły mnie wątpliwości. Ta woń... I schody ze szczerbą w miejscu stopnia. Wróciłem do Staśka. Nie byłem wcześniej w tym pokoju, pewno przeznaczano go dla gości, których Juliusz nie miał zbyt wielu. Tylko łóżko przy ścianie, niewielka szafka, okno, w lepszych czasach przysłonięte firanką. Stasiak spał. Przewróciłem go na brzuch, przemyłem ranę, obwiązałem znaną koszulą. Przynajmniej czysta była, pomyślałem. Niech on nie zbudzi się zbyt wcześnie, myślałem, niech nie pozna, gdzie naprawdę trafił. Do piekła, stary, z duchem i ubekiem. Zabawne, prawda?

Próbuję zdobyć się na uśmiech, ale nie mogę, usta mam ściśnięte, przylepione do dziąseł, zastanawiam się, jak zaczarować własne oczy, by udawały rozbawienie. Ojciec zaś rehcze, rozumiem już, że to nie mogło zdarzyć się naprawdę, przecież mówi o domu, jakby opowiadał stary film. Wiesz, co myślę, tato? Byłeś w autobusie, rozwaliliś „Białego” i padłeś na ziemię, twoi kumple resztę skuli lub zabili, a ty nawet łba nie podniosłeś. Jak naprawdę umarł Stasiak? Dostał kulkę czy go potem powiesili? Czemu, tato, nie powiesz mi prawdy?

- Wiesz, wydaje mi się, że nasze czasy kłamią - tym razem tato wskakuje na górną półkę. - Wierzymy w liczby i siłę ciężenia trochę wbrew sobie, świat naprawdę jest magicznym miejscem pełnym cudowności i jesteśmy nań gotowi, coś w nas otwiera się ku temu. Wtedy po prostu przyjąłem, że dom przyszedł, stanął na naszej drodze i dał schronienie. Jeśli się bałem, to tego nie pamiętam, ale chyba nie. Jeszcze nie - poprawia sam siebie. - Krążyłem od okna do okna z pistoletem w dłoni, patrzyłem, czy nie nadejdą, co chwilę zaglądałem do Staśka. No i oczywiście przyszli. We trzech. Znałem ich z widzenia. Wynurzyli się z lasu dokładnie naprzeciw drzwi, które, idiota, zapomniałem zamknąć. Za późno. Wahałem się, czy strzelać, jakieś szanse były, odpuściłem, wycofałem się w głąb, wcale nie dlatego, że się przestraszyłem. Ci trzej szli jak ślepcy przez lunapark, jak krowy w

szkodę, wolno i prosto na durne pyski, wsunąłem się do pokoju Staśka, straciłem ich z oczu. Myślałem, że zerkną przez okno albo choć zastukają. Oni przeszli, synuś, zrozum to - dotyka palcami policzków, ostrożnie, jakby miał tam rany. - Przeszli przez ściany niby widma, z tą samą głupią zaciętością na wiejskich ryjach. Zrozumiałem w olśnieniu - oni wciąż widzieli drzewa i krzaki, niebo zamiast sufitu, ptaka w miejsce lampy. Aż chciałem czymś w nich rzucić. Jeden wniknął nawet w schody i zlał się z nimi. Tak zniknęli. Zapomniałem o bólu, przebiegłem dom, wyrząłem z drugiej strony. Szli. Tylko jeden, chyba Romek mu było, taka tyka z bliznami po wypadku na głowie, odwrócił się, jakbym trafił go kamykiem w plecy. Gapił się wprost na moje okno i może by wrócił, gdyby nie koledzy, którzy go zawołali.

- Pomyślałem o kuli, o tym, że leci szybciej niż dźwięk i kiedy trafia w łeb, umieramy w ciszy. Nie wiemy nawet, co się dzieje. Może ja także dostałem w łeb i nawet o tym nie wiem? Przypomniałem sobie psa i ptaki. Być może, synku, życie rzeczywiście jest snem. - Tato dzieli się tą mądrością i prosi o kolejny sok. Strofuje wzrokiem kelnerkę, jego zdaniem każdy się guzdra i wlecze, pracuje źle lub zgoła wcale, zwłaszcza gdy widzi starca, który mu nie podskoczy. Wzdycha. Bębni palcami o stół. - Dotykałem ścian, przeglądałem książki, tylko na piętro nie wszedłem. Stasiak żył i potrzebował pomocy. Zmieniłem opatrunek, przemyłem znalezione wódką, nie wyglądało to najlepiej. Stasiak pożółkł. Patrzył na mnie, ale nie widział. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Wyrzywa sok kelnerce, nie pije, tylko bełta rurką.

- Potem przyszli. Czuwałem przy łóżku i musiałem przysnąć, a gdy otworzyłem oczy, było już ciemno, to znaczy ciemno na zewnątrz, w domu paliły się świece i lampy naftowe. Zobaczyłem kobietę, szczupłą, o grubych kościach, z rozpuszczonymi włosami. Twarz miała może nie smutną, ale bardzo skupioną. Czarna suknia, długa i prosta jak u derwisza, niezbyt pasowała do bladej skóry. Dziewczyna garbiła się, niosąc misę do kąpielni, i nie dostrzegłaby mnie, nawet gdybym podłożył jej nogę. Przebiegło dziecko, takie z obrazka, w samej koszuli i z bosymi stopami. Zniknęło, słyszałem tylko, jak sady susy po schodach. Stopień był czy go nie było? Pojawił się oficer w ubłoconym mundurze, na ramionach i nogawkach miał czerwone lampasy. Zaraz zdjął kurtkę. I tak się snuli.

- Nic nie mówili i unikali własnych spojrzeń, jakby ich jedno przecięcie mogło ściągnąć jakieś nieszczęścia. Kobieta weszła też do nas, jeździła po szybach i meblach czerwoną szmatą, a potem usiadła, tak, usiadła przy nieprzytomnym Staśku i otarła mu czoło gołą dłonią. Mnie nie dostrzegła, a gdy spróbowałem chwycić ją za przedramię, moje palce zatoneły w czymś gęstym i zimnym.

Mówienie sprawia tacie trudności, gardło go drapie, na czole pojawiają się

najróżniejsze barwy. Pije sok, otrząsa się, patrzy wokół i przez moment nie rozpoznaje niczego. Coś jeszcze jest nie w porządku, nie mam pojęcia co. Pożółkł? Nie. Koszulę założył na lewą stronę, guzik krzywo zapiął. Tak, tato. Opowiadaj.

- On, widzisz, przemieszczał się chaotycznie, biegał po pokojach, niby wrzeszcząc, lecz żaden dźwięk nie dobywał się z jego ust. Rozkładał broń na stole, rozkręcał i czyścił, mamrotał jak czarownica nad kotłem, potem brał rewolwer i siadał na zydłu, kołysząc się miarowo. Najbardziej przerażał mnie chłopiec. Powtarzał ruchy ojca, jakby uczył się ich latami. Patyk za szablę, klamka za pistolet, kij od miotły służył za karabin. Pruł do wrogów, a ci rzeczywiście się zjawiali. Dzieci o czarnych twarzach i długich białych zębach wypełzały spod schodów, a on, dzieciak Nowakowskich, strzelał do nich ze swych zabawek, aż znikwały.

- Tato zakreśla okrąg w powietrzu. - Na piętrze brzmiał stukot końskich kopyt, na parterze spacerowały wilki i inni żołnierze, w większości poranieni lub zgoła niekompletni, zaczynali się od tułowia lub nieśli głowy pod pachami. Swoje lub cudze, synuś - uśmiecha się, żebym nie wątpił w ten żart - swoje lub cudze.

To coś ze słońcem, myślę - ojciec wygląda nieswojo ze względu na pogodę. Jest bezchmurne popołudnie, tylko sokół, uparty w swym krążeniu, przesłania rozpaloną kulę, światło pada na profil mojego taty, bladeść skóry staje się wyraźniejsza, płaczą się na niej żyłki. Nic nowego. Jaskrawsza starość. Co jest?

- Nie wiem, jak długo byłem w domu. Podałem się rytmowi mieszkańców, wędrowałem za nimi, unikając chłopca, przynosiłem wodę dla Staśka i obmywałem mu czoło. W końcu gorączka spadła, przebudził się na moment, nie wiedział jednak, na kogo patrzeć, na mnie czy na dziewczynę, więc tylko uniósł rękę i ją sobie oglądał. Zaraz zapadł w drzemkę. Coś mówił. Rozumiały go duchy, próbowałem im go wyrwać, nie bardzo mi szło. - Tato ociera czoło, obraca twarz ku słońcu, przymyka powieki i wygląda już jak zwykle. Więc coś dzieje się z jego oczami. - Byłem zmęczony, lecz nie głodny czy senny. Obiecałem sobie, że ruszymy, jak tylko Stasiak wydobrzeje. Chciałem znaleźć wózek i go pociągnąć. Ludzie we wsi pomagali, nawet bandytom. Zwłaszcza im. Nie zajrzałem pod schody ani na górę. Pod sufitem łopotały flagi, czarne ptaki wiły gniazda wśród nich.

Już wiem, serce ściska się mocniej. Ojciec ma ogromne źrenice. Słońce świeci mocno, tato powinien mieć w oczach dwie czarne kropki, a nie plamy wielkości jednogroszówek. Jakby patrzył w ciemność.

- Stasiak przebudził się przed wieczorem, to znaczy jeśli dom Nowakowskich wiedział, co to takiego wieczór. Świat za oknem ściemniał, jakby tuszem chlapnąć, drzewa zlały się ze sobą, nie było ptaków czy wiatru. Zostałem go w pełni rozbudzonego. Badał

palcami ranę nad piersią. Zalewał go pot i chyba widział dużo więcej niż ja, odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech, poprosił o wodę. Kiedy wróciłem, siedział oparty o poduszkę i miał dwa pistolety. Jeden w dłoni, drugi na poduszce. Zgadnij, który mierzył do mnie.

- Odstawiłem wodę, dłonie uniosłem dopiero na wyraźną prośbę. Zapytałem, czy mogę usiąść, zgodził się, nie bez wahania. Łapy dalej w górze. Zapytał, kim jestem. Odpowiedziałem: „Przyjacielem, który cię uratował”. Skurczył się z bólu. Powtórzył pytanie. No to powiedziałem mu to samo, co tobie. Jestem funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa, tak, poszedłem w las, bo cię znałem i łatwiej „Biały” by mi zaufał, tak, ustawiłem sytuację z autobusem, ale, na Boga Ojca, kurwa mać, wyciągnąłem cię z tej kabały - wrzeszczy, można by pomyśleć, że Stasiak wciąż znajduje się przed nim. - „Sam cię tu zaniósłem. Byliście bandą pomyleńców, co nie zdążyli na swoje czasy, więc zamiast do Niemców pruli do komunistów, moich kolegów, milicjantów, wsparcia władzy ludowej. Stasiak, przecież tak nie można, my tu nowy kraj budujemy, tego nie odkręcisz, choćbyś wysadził się w Belwederze”. Tak mu klarowałem. Broni nie opuścił. Mówiłem dalej: „Ludzie są różni. Czasem błądzą. Żaden milicjant nie ma aureoli, co z tego, przecież taka Polska jest właśnie pełna ułomności. My tu zbudujemy lepszą. Bez Berezki Kartuskiej. Bez obozów”. Tylko się uśmieł i rzekł: „Ty sukinsynu”.

Gorzko wypowiada te słowa. Oczy ma ciemne, bez tęczy, straszne.

- Przeraziłem się, że strzeli, podniosłem ręce wyżej i wrzasnąłem, by tego nie robił, że przecież życie mi zawdzięcza. Machnął pistoletem, jęknął, rana się odezwała. Już wiedziałem. Rachował, ile w tym jego winy, czy musiał zaufać staremu przyjacielowi, a skoro mnie znał, był też jedynym facetem zdolnym do rozpoznania mojej prawdziwej roli. - „Biały” zginął przez Staśka czy przeze mnie? - pyta samego siebie i drapie własne ucho. Poprawia się na krześle, przesłania oczy przed słońcem. Wciąż czarne. Przerywa słowotok, zwalnia, czyli będzie refleksyjnie. - Czasem prawda przychodzi do nas w jednym uderzeniu. - Jego dłoń wykonuje poziomy ruch nad stołem. - Tak Stasiak w tej chwili pojął, co się naprawdę stało. Koledzy z bandy nie żyją lub są przesłuchiwani, skończyły się marzenia o wyjeździe na Zachód, awansach, białych koniach, wacie cukrowej i nowej strzelaninie z całym światem. Strzeli? Jeszcze nie. Naprawdę się bałem. Nie chciałem umrzeć w tym domu. Więc wyrzuciłem swoje asy. „Żyjesz i będzie lepiej. Wyciągnę cię. Inaczej by cię zabili, prędzej czy później. Ile zostałbyś w lesie? Do pięćdziesiątki? Myślisz, że umiałbyś rozpocząć nowe życie?” Brzydzą się tobą, mówiły oczy Staśka. W pokoju pojawiły się widma.

- Wyłaniały się ze ściany, spływały z sufitu, owinięte w chorągwie. Powietrze pachniało trupem, spomiędzy desek sypała się ziemia, na poduszce Staśka pojawiły się twarze

i czaszki. „Czy ty wiesz, gdzie jesteśmy?”, zapytałem. Kiwnął głową, a ja zrozumiałem. Wiedział i nie zabił mnie jeszcze tylko z tego powodu. W pokoju gromadzili się zmarli. Przy Staśku stanął Nowakowski z żoną i synem, jacyś rycerze, brodacze w srebrnej koronie. Diabełek podobny do małpy, wychudzony anioł, gołębie, sokoły. Chłopiec w harcerskim mundurku i niemieckim hełmie. Kosynier. Byli też „Kwiatek”, jeszcze jeden członek bandy, którego pseudonimu nie zapamiętałem, na końcu zjawił się „Biały” w mundurze porucznika, takim, po który jechał, za to z dziurą w twarzy, podobną do oparzenia po papierosie. Zgromadzili się wokół Staśka, szeptali, spoglądali to na niego, to na siebie, tylko na mnie jakoś nie chcieli. Też miałem towarzystwo. - Robi kwaśną minę, by zaraz ją przełamać. - Czerwonoarmiści, tacy, jakich widziałem podczas wojny polsko-sowieckiej w Nowogródku, obdarci, poranieni, a tu rycerz w pełnej zbroi. Król w białej peruce. Tęgi mężczyzna, z bokobrodami i w surducie, taki, co za życia pewnie procesowałby się dwie dekady o kawałek miedzy. Robotnik. Żyd i chłop. I mnóstwo, mnóstwo istot, które najchętniej widziałbym daleko od siebie: kościotrup przebrany za księdza i ksiądz przebrany za kościotrupa, rogaty bawidamek, mamunia z rozprutym brzuchem, licho. Astronom z gwiazdami zamiast oczu. Stasiek nie pozwolił mi nawet drgnąć.

To też znam, a jakże. Tato wprost kocha tę opowieść o duchach, tylko że duchy się zmieniają niczym w delirycznej wizji. Ojciec ma po swojej stronie Armię Czerwoną, Stasiek szwoleżerów, rozgrywają bitwę nad ich głowami. To znów wojowie piorą się po kudłatych łbach. Przecież kłamiesz, tato. Staśka zadreżczyła bezpieka. Bo jak? Ale ty wolisz wierzyć, że przyjaciela wziął diabeł.

- Czekali - opowiada. - Powiedziałem Staśkowi, że teraz wreszcie ma jakąś przyszłość, może iść ze mną i się zgłosić, dostanie amnestię, jeśli odda broń. Odparł, że sam powinienem wiedzieć najlepiej, co stało się z ludźmi objętymi amnestią. Albo czym się stali. „Skąd wiesz takie rzeczy?”, spytałem. Sypnął garścią nazwisk, które nic mi nie mówiły. Powiedziałem mu, jasne, ktoś kogoś kiedyś zabił, ale ilu waszych oszukało władze i wróciło w góry? „Powiedz, czemu mam cię nie zabić”. „Już ci mówiłem, Stasiu - tato małpuje głosy - nie żyłbyś, jak inni”. Widma zakotłowały się po mojej stronie, jakby stały we wrzątku. „No właśnie, oni nie żyją”. „I tak by umarli - zapewniłem - poszedłem do lasu dla ciebie. Żeby cię wyciągnąć. Co miałem zrobić?” Tak powiedziałem, choć to nie była prawda. Usłyszałem, że powinienem zostać z nimi w lesie, niejeden z urzędu przeszedł do leśnych i dobrze służył. „No dobrze, ale po co? - zapytałem. - Tu, w nowej Polsce, masz jakąś nadzieję. Zgodna, może durną, ale jednak”. - Nagle milknie i obraca się do mnie z przejęciem wypisanym na twarzy. - Ja, synku, naprawdę nie wiedziałem, jakie czasy idą. Widma krążyły między nami, dwa

przezroczyste fronty. Słyszałem ich głosy wewnątrz swojej głowy. Ich ciała zwierzały się ze sobą, pchane przez nasze słowa, aż zmieszały się zupełnie. „Opowiedz mi o Polsce - powiedział Stasiak - co to za Polska będzie, którą zbudujecie. Co to za Polska, w której będziemy żyli. Że ludzie wydają się nawzajem?” Odpowiedziałem, że jak w latach dwudziestych robili reformę rolną, też znaleźli się malkontenci. Potrząsnął bronią. „Opowiedz mi o tej Polsce, co ją zrobicie z kolegami”.

- Zobaczyłem dwie rzeczy. Stasiak zabije mnie bez wahania, ten czas w bandzie zabił w nim wszelką wdzięczność. I rana, synku, która otwarła się pod opatrunkiem. Pościel nasiąkała krwią. Dostrzegłem swoją szansę i zacząłem mówić, otoczony kordonem duchów, co może chciały mnie ochronić przed kulą, ale nie mogły. Starannie dobieierałem słowa, byle dłużej, byle przeciągnąć - nabiera powietrza i zaczyna ten monolog co zwykle: - Opowiedziałem mu o Polsce, gdzie każdy, kto mógł, odbudowywał Warszawę, nie patrząc na własne koszty, o Polsce, gdzie da się przeżyć całe życie i nie widzieć powstania, gdzie starych nie karze się za młodych, którzy się wykrwawili, o Polsce, która po tysiącu lat historii wreszcie nie jest sama i ma potężnych sojuszników na wszystkich kontynentach. Kiwał głową, patrzył z politowaniem. Taki to był mój Stasiak.

- Zwolniłem jeszcze i opowiadałem o domach, gdzie mięso dymi w niedzielę z każdego stołu, o wsiach, gdzie ludzie stanowią o sobie sami, zamiast słuchać pana i księdza. O młodych dziewczynach, których nikt nie zmusi do zamażpójścia, o rodzinach, gdzie dzieci jest dziesięcioro, więc i dziesięć pełnych talerzy, dziesięć par butów na zimę i dziesięć ławek czeka w nowo wybudowanej szkole. O wielkiej nadziei, która to urzeczywistni, o nim samym, o Staśku. „Jesteś już zdrowy, tylko czasem, w deszczowe dni, boli cię stara rana. Wybaczone ci zbrodnie i jesteś... jesteś, powiedzmy, listonoszem, tak, to dobre zajęcie, odwiedzasz ludzi i widzisz same uśmiechnięte twarze przez cały dzień. Listów jest coraz więcej, bo ludzie odnajdują się po wojnie, ale ty nie narzekasz na nadmiar pracy, przeciwnie, cieszy cię to, wracając, zaglądasz do baru na dwa głębsze i już wracasz do domu, który jest twój własny. Tam żona. Obiad z dwóch dań i wszystko jest twoje. Macie nawet radio, Stasiu. Wiesz, co jest najważniejsze? Spokój”. - Tato przerywa, milknie, patrzy po sobie. Rozpoznaje naglące potrzeby ciała. - Teraz pójdę w spokoju się odeszczać - mówi i czeka, aż się roześmieje.

Podnosi się i drepcze w głąb pizzerii, niknie za przeszklonymi drzwiami, sam przypominając ducha, poruszającego się bez odrywania stóp od ziemi. Zostaje sam z jego drugim soczkiem, na szklance błyszczą tłuszcz po palcach. Nie myślę. Przynajmniej próbuję, patrzę na czerwone dachy domów i dalej, nie widząc tam nic, co mogłoby tatę przerazić, i dochodzę do wniosku, że on przeraża samego siebie, rzeczywiście, jego stare ciało jest

domem, w którym pęta się jego upiór. Ma tam sprzęty, albumy zdjęć, obrazy, ubrania, których już nie założy, listy od dziewcząt i noże do papieru. Tłucze się po sobie samym.

Zastanawiam się, jaki był tego początek, kiedy właściwie tato stwierdził, że nie ludzie kierują jego losem, nie on sam, lecz duchy. Pamiętam, gdy byłem dzieckiem, siadał przy mnie i opowiadał baśnie o lasach pełnych czarownic, skrzatach pomagających ludziom za ogryzek sera, piernikowych chatkach, złej matce kopiającej grób na plaży dla syna-topielca. Głaskał mnie po głowie, a ja nie bałem się wcale, bo mój ojciec był przy mnie. Myślę, że już wtedy był tym owładnięty. Przypominam sobie twarz matki i znikają wszelkie wątpliwości.

Nigdy o tym nie pisał, ciekawe dlaczego. Może czuł, że czerwonemu karłowi nie wypada wypisywać bzdur o upiorach i uroczyskach, choć cenzor by puścił, tacie było wolno, tylko ludzie pukaliby się w głowę. Albo chciał zatrzymać ten świat dla siebie, raczej - wylać go na mnie i mamę. Myślę, że dlatego odeszła. Siedzę tutaj, w głowie wciąż brzmią mi jego słowa i rozumem, gdybym odpuścił, przekreślił jedną śrubkę pod czaszką, zacząłbym wierzyć. Mama trzasnęła drzwiami nie dlatego, że miała dość bzdur mojego taty. Stawały się jej częścią.

Coś długo go nie ma. Tatę drażnią ograniczenia własnej fizyczności. Byłe skurcz pęcherza podrywa go od stołu na kwadrans, poważniejsza sprawa umie zamknąć w klopie i na pół godziny. Czasem, śpiąc u niego, słyszałem, jak wstaje w nocy po trzy razy, człapie przez mieszkanie i przeklina. „Wiesz, kiedy czujesz, że pora umierać? - spytał mnie parę lat temu. - Jak twój fiut zmienia się w ścierkę”.

Fiut taty. I jego kobiety, nie wiem czemu akurat teraz o tym pomyślałem. O swoich kobietach mówił niechętnie, tych przed mamą, w czasie mamy i po mamie. Lubiły go. Lubiłyby, nawet gdyby był biedny. Zawsze wiedzie się takim gawędziarzom i chyba dlatego dogadać się nam trudno. Jak zmieniłyby się relacje erotyczne między ludźmi, gdybyśmy mogli dostrzec siebie za lat dwadzieścia, pięćdziesiąt? Wysuszoną skórę. Pomarszczone piersi. Słabe dłonie. I rzeczoną ścierkę. Gdybyśmy w łóżku widzieli starość własnych ciał. Coś za długo go nie ma.

Tato nie znosi, żeby przeszkadzać mu w łazience, z trudem wymogłem, by się nie zamykał. Teraz pewno to zrobił. Patrzę na zegarek. Dwadzieścia minut. Po brzegu jego szklanki spaceruje mucha. Zbieram nasze rzeczy, przrzucam przez ramię dwie torby i idę, mając pewność, że zderzę się w drzwiach z moim ojcem. Nic takiego. Wewnątrz pizzerii jest parno i mącznie, nieliczni klienci przy stolikach podnoszą głowy, nieliczni, bo reszta kotłuje się przy ubikacji. Pytam:

- Tam wszedł taki starszy facet?

- Pan z nim siedział - mówi facet w koszuli z tworzywa sztucznego.

Przepycham się i naciskam klamkę - tato zamknął się od środka. Pukam. Biję. Cisza. Na pewno nie wychodził? Może jednak, może drzwi się zacięły? Bzdura. Uderzam mocniej w nadziei, że zaraz zabrmi mruknięcie mojego złośliwego ojca, który chciał po prostu zakpić z mojej troski. Napieram barkiem, usiłując wypośrodkować siłę tak, by zamek poszedł, a drzwi nie odskoczyły. Facet w koszuli chce mi pomóc, tylko nie wie jak, za mało miejsca.

Tłumaczę, co się stało, chyba niepotrzebnie, wszyscy widzą, co jest grane.

- Widziałem, jak wchodził - mówi kelner. Idzie na zaplecze i wraca ze śrubokrętem krzyżakowym. Ludzie niechętnie się rozchodzą. Kelner męczy się z zamkiem, dłubie przy nim, śrubka za śrubką, ja wycofuję się na zewnątrz i dzwonię po pogotowie. Oślepia mnie słońce. Długo czekam, mówię, co się stało. Milczenie. Słyszę, że muszę podać objawy, może ojcu nic nie jest, a wysłanie karetki to poważna sprawa. Wrzeszczę. Znad stolików podnoszą się zdumione głowy. Wybieram numer prywatnego pogotowia, coś każe zerknąć mi za siebie, widzę gęstniejący tłumek, uchylone drzwi i biel kafelków. Komórka ląduje w kieszeni, już jestem, robią dla mnie przejście.

Ojciec leży pod umywalką, klozet ma między nogami, spodnie mokre, oczy półprzymknięte. Lewa ręka taty drży i wskazuje na prawą, bezwładną.

* * *

Tato leży w wojskowym szpitalu na Wrocławskiej i nie odzyskał przytomności. Wylew. Znajomy lekarz nic nie powiedział, jeszcze za wcześnie. Dobrze, że dostaliśmy się do ubikacji, jeszcze lepiej, że tato, tracąc przytomność, zamiast upaść, osunął się po ścianie. Dostałem xanax na uspokojenie i ogarnięty dziwnym, dzikim spokojem, kupiłem mu wodę, pampersy, zaraz pojedę do niego do domu zabrać trochę drobiazgu, który lubi. Zdjęcia. I brzytwę. Golę ojca prawdziwą brzytwą, nie na żyletki. Inną by się nie pozwolił.

Po zielonych alejkach szpitalnych włączą się koty. Ludzie w szlafrokach siedzą na ławkach i palą papierosy, przed kioskiem ustawiała się kolejka. Mijam idiotyczną konstrukcję, obręcz z nawleczoną siatką. Nie wiem, co to takiego, i zastanawiam się, czy przedmioty zachowały jeszcze swoje nazwy, okno jest wciąż oknem i tak dalej. Wypędzam ojca spod powiek. Ojca w piżamie, pod kołdrą, pomniejszonego i prawdopodobnie sparaliżowanego w połowie, ojca w małej sali z dwoma łózkami przedzielonymi parawanem, za którym ktoś inny umiera.

Tato zamilkł i nie wiem, czy się odezwie. Nie umiem powtórzyć jego słów. Nie chcę ich powtarzać, więc same się powtarzają: sznur i mur, brew i krew, rymuje się, pędzisz

gdzieś, tato tam leży i jest przy mnie, jak mewa i czołg, jak sen i zmrok, szpitalne ciało. Ojciec z polowania niesie ludzki łeb.

I teraz go widzę. On także mnie rozpoznaje.

Ten pajac, który pytał o tatę w instytucie, a potem zadzwonił w środku nocy, stoi naprzeciw mnie. Znow ma ten upiorny, trumienny garnitur, gasi papierosa, macha do mnie, podchodzi. Wyciąga rękę. Jestem tak skołowany, że ściskam ją mocno.

- Ojciec? - pyta.

Kiwam głową.

- Błagam pana, niech pan nie zawraca mu głowy.

- W żadnym razie. Przecież chciałem rozmawiać z panem.

Dobry jest. Bezczelny. Myślę o tym, że zaraz powinienem pojechać do taty do domu, i odpowiadam szybko:

- To patrz pan, panie Weiss, jakie masz szczęście. Dziś zabrali mi ojca. Wylew.

- Przykro mi - mówi, a w jego głosie nie ma cienia troski.

Próbuję go minąć, ale stoi mi na drodze. Kiedy zbieram się w swoim lepkiem bezwładzie, by go pchnąć, odsunąć, robi mi miejsce.

- Czy mógłbym... czy mógłbym pójść z panem? - pyta.

- Dokąd chcesz ze mną pójść?

- Chcę, żeby mi pan pokazał, panie profesorze, przed czym uciekał pański ojciec.

Zbieram się w sobie i chcę mu wygarnąć, ty gnoju głupi, on już ucieka w śmierć, ale oczy zalewa mi ławica mroczków, kolana się gną i spadam wprost na Jakuba - chwytą mnie tuż nad ziemią, obraca na plecy, widzę w jego oczach łagodną troskę, takiej nie można udawać. Chce wołać lekarza, macham ręką, że wszystko w porządku, i zalewa mnie fałszywy spokój.

Już stoję, świat się wyostrza, kolory są żywe, świat znow nabiera kształtów. Jakub mnie nie puszcza, czuję się dobrze, bezpiecznie, nie pamiętam takiego wrażenia, jakby tulił mnie ktoś bardzo bliski. Za bliski, odwykłem. Jakub chyba też to poczuł, bo puszcza mnie, stoję, durny i bezbronny, nagle rozumiem, że muszę mówić, jeśli teraz zamknę się w sobie, to będę tułał się po własnej głowie i głądził. Czy ojciec tak robił, kiedy mnie nie było?

- No dobrze - mówię. - Idziemy.

Tato niedługo umrze, przekonuję siebie, podąży za swoim światem, do kumpli, których pochował, do własnych, nieczytanych przez nikogo książek, z nikim się nie rozliczy i nie poszuka wybaczenia, tylko ta durna opowieść, te widma i domy - to jedno może ocaleć.

* * *

Kraków jest banią na nieszczęśliwe dusze nabite w butelkę. Widzę szare samochody, nierzeczywistą płaszczyznę ulicy, chodnik najeżony stłuczonym szkłem, mijają mnie ludzie i mógłbym przeniknąć przez nich, przez baby z siatami, nastolatki w spódniczkach (wnętrza ud tych dziewczyn lśnią, odbijają róż muszli, nie dla mnie te tajemnice). Za mną idzie Jakub, cień wiedziony ciekawością. W życiu nie pozwoliłbym, by zbliżył się do mnie taki cudak. A jednak idziemy.

Spoglądam za siebie i nabieram wrażenia, że szpital wojskowy wędruje za mną, tak dom Nowakowskich zjawiał się wszędzie, gdzie mój ojciec. Obracam się, kątem oka dostrzegam, jak blok mieszkalny ciemnieje, wyrasta przed nim strażnicza budka, mrugam i już wszystko jest w porządku. W głowie przewalają mi się ojcowskie opowieści i nagle ściska mnie rozpacz. Taka niestosowna. Może te historie powtarzane w kółko go zabiły? Taka klątwa.

- Mój ojciec wierzył w duchy, wie pan? Były dla niego bardziej realne niż żyjący, wszystko mu się podwracało. Czasem myślę, że to ja byłem dla niego upiorem - mówię do Jakuba, a on milczy.

Gdy jesteśmy na miejscu, otwieram bramę i puszczam Jakuba przodem.

Pokazuję mu, jak żył ojciec. Zastanawiam się, co zabrać, co zostawić, i uświadamiam sobie nagle, że przecież ojciec wcale na mnie nie czeka. Wyciągam z biurka zdjęcia. Te z lat pięćdziesiątych. Jakub ogląda każde i uśmiecha się do siebie.

- Mój ojciec jest dziwnym człowiekiem, proszę pana. Bardzo dziwnym - zaczynam, jakby chcąc usprawiedliwić tatę. - Zrobił wiele złych rzeczy w życiu. Chce pan wiedzieć? To ja panu powiem. Zresztą, pewnie pan to wie. Po wojnie wydawał partyzantów. Raz wtopił, spotkał starego przyjaciela i wciągnął w zasadzkę. Autobusem jechali. UB ich otoczyło, a mój ojciec wyprowadził swojego przyjaciela z obławy. Stasiek mu było. Trafili do domu. - W przeblysku rozsądku postanawiam zdecydować, czym był ten dom naprawdę, a raczej, że nie było go wcale. - Tato opiekował się Staśkiem, aż ten oprzytomniał i wziął go na muszkę. To był człowiek innych czasów, dla którego zdrada była zdradą, bez względu na osobiste korzyści. Nie strzelił, wahał się. Poprosił mojego ojca, żeby opowiedział mu o Polsce. Nie takiej, jaka jest, ale jaką chciałby zbudować z kolegami komunistami. Tato już wiedział, co go czeka, i dostrzegł swoją szansę. Opowiadał o szczęśliwych czasach i patrzył na Staśka. Ten wykrwawiał się powoli. Zmarł, nim tato skończył. Może dlatego mój ojciec do dzisiaj lubi opowiadać.

Tato zamknął Staśkowe oczy, wyjął mu pistolet z dłoni, chciał pogrzebać ciało, ale nie zdążył, na trupa runęła ptasia chmara i ojciec odskoczył, osłaniając oczy, a po chwili dostrzegł, że Stasiak zniknął. Zobaczył łóżko we krwi, strzępy skóry, ogryzki mięsa. I kości. Gołe kości, jakby wygrzebane spod piasku.

Jakub patrzy pytającym wzrokiem, a ja orientuję się, że milczę zbyt długo, bo opowieść, jak powiedziałby tato, snuje się we mnie.

Teraz już muszę mówić, inaczej się nie da, nie mam jednak pojęcia, od czego zacząć, nie wiem przecież, kim naprawdę był mój ojciec. Był - złapałem się na tym za późno.

Nie mogę opowiedzieć o tym, że tato wziął koc, ułożył na nim kości, zawinął i poszedł pogrzebać do lasu. Nie miał czym wykopać grobu, więc zrzucił je do rowu, zasypał cienką warstwą ziemi i wbił krzyż, choć nie wierzył w Boga.

- Tato wracał z duszą na ramieniu. Bał się, że UB mu nie odpuści. Tymczasem wszystko poszło gładko, a tato, proszę pana, został bohaterem, człowiekiem, który zlikwidował jeden z największych ośrodków zbrojnej opozycji w kraju. Miałem wtedy cztery lata, mały bajtel byłem, ale pamiętam ten dzień, kiedy do nas wrócił. A potem zaczęły się przeprowadzki. Jak się nietrudno domyślić, nie każdy był wdzięczny mojemu ojcu za to, co zrobił. Tato bał się kuli, choć nigdy się nie przyznał.

- Wie pan, co znaczyła za komuny zamiana mieszkania? Co znaczyło mieć mieszkanie? - pytam, a Jakub kiwa głową, choć pewno nie pamięta zbyt wiele. - Ojciec szalał, gdzieś wydzwaniał, nie spał, nie jadł, tylko krążył od ściany do ściany z wzrokiem takim... przejebanym. Szklistym - pomagam sobie dłońmi, chcę tę szklistość nakreślić w powietrzu. Znikał na całe dni, matka myślała, że ma kochankę, a on zwyczajnie włóczył się ulicami. Ludzie widywali go, jak snuje się, mamrocząc.

- Po pięćdziesiątym szóstym znalazł się na bocznym torze i mógł skoncentrować się na tym, co kochał naprawdę. To znaczy jeśli tato coś w ogóle kochał, to pisanie tych pieprzonych książek. Kurwa - nie poznaję sam siebie, zazwyczaj nie przeklinam. - Więc pisał, błyszczał i nas przeprowadzał. Dlaczego? Otóż wymyślił sobie, że ten dom, w którym zmarł Stasiak, wędruje za nim. Fizycznie. Szalone, nie?

Jakub kiwa głową, ale nie wygląda na zaskoczonego ani zdziwionego. Tak jakby tę historię już znał i chciał ją jeszcze usłyszeć ode mnie. Odłożył zdjęcia, usiadł na fotelu taty. Patrzę mu w oczy i robi mi się nieswojo.

- Zawsze wyglądało to w ten sam sposób. Przyjeżdżaliśmy na nowe miejsce i tato próbował nam wynagrodzić niewygody. Zabierał mnie na lody i do kina. Mamie kupował kwiaty, podjeżdżał codziennie pod pracę, znikali na całe wieczory. Dancingi. Rauty. Banalne,

prawda? Pokazywał jej życie, tak gwałtownie, jakby wydostał się z topieli i łapał powietrze. Mama piękniała wtedy i było jej dobrze. Mnie też było dobrze, nam było dobrze, ojciec się śmiał. Po roku, półtora zaczynało się od nowa. Twierdził, dużo później, że najpierw pojawiała się anomalia, czyli punkt na horyzoncie. Tato mówił o nim, że wyglądał jak martwa mucha na landszafcie. Ten punkt zbliżał się do niego, niesłuchanie powoli, skokami, tak że nigdy nie zaobserwował samego momentu ruchu. Nabierał kształtów, stawał się bliski, zmieniał się w dwupiętrowy dom.

Powinienem spakować ten drobiazg, po który przyjechałem, i wracać do szpitala. Co jest nie tak z tym młodym? Chcę go spytać, dlaczego nie notuje, ale daję spokój. Narasta we mnie rozdrażnienie. Powinienem milczeć. Zamiast tego osuwam się na krzesło i słyszę swój własny głos - jak opowiadam o wyprawie ojca ze Staśkiem i Aronem do domu Nowakowskich, o wędrującym domu, o przeprowadzkach i widmach, które zatrwały mi tatę. O odejściu mojej matki i o jej śmierci. Mówię chaotycznie, mój głos brzmi, jakby należał do kogoś innego, patrzę na poważną, zatroskaną twarz Jakuba Weissa i chce mi się śmiać. Stary człowiek opowiada młodemu o duchach.

Jak tato mnie.

* * *

Ojciec się obudził. Nie może mówić i chyba wścieka się na siebie, że zachorował. Ma sparaliżowaną prawą połowę ciała. Patrzy na mnie, ręka mu drży. Siadam przy łóżku i mówię, jak się cieszę, że widzę go żywego, że spróbuję zabrać go do domu, jak tylko będzie szansa, choć tak naprawdę wiem, że nie bardzo się da.

Zmalał o połowę, nawet jego kości sprawiają wrażenie krótszych, skóra szczelnie opina wyłysiałą czaszkę, nie ma sztucznej szczęki, wargi i policzki się zapadły. Miele językiem, lecz milczy, tylko świszczy przy każdym oddechu. Wodzi za mną wzrokiem i zaciska dłoń na moim nadgarstku. Ocieram mu głowę, unoszę delikatnie i daję pić.

Zaczynam rozumieć, że najgorsze dlań nie jest wcale unieruchomienie, ale nagłe oniemienie. Milczy, choć wszystko w nim się skręca, słowa kołaczą się w jego starej głowie. Kiwa ręką, otwieram notes, który mu przyniosłem, ledwo może utrzymać długopis. Napisał coś i podaje mi.

IDŹ TAM.

Gdzie, tato? Ten dom nie istnieje i widzisz go jedynie ty. Chcesz, żebym jechał na Wschód?

- Chodzi ci o dom? - pytam głupio. Przymyka oko. Gest zdradza zniecierpliwienie. -

Dobrze, pójdę, tato, choć nie wiem, gdzie to jest. Znajdę, choć będę musiał długo szukać. Powiedz mi tylko po co?

Nic. Złości go to pytanie. Ślina błyszczy na wyschniętej wardze. Daje znak, że chce jeszcze coś napisać. Tym razem trwa to dłużej. Zakreśla całą stronę, mocno naciska długopis, ledwo mogąc utrzymać przed nim notes. Czytam. Patrzę na zasypiającego tatę i czytam znowu.

WEŹ DESKI STAMTĄD NA MOJĄ TRUMNĘ.

Przecież chciał być skremowany.

Otwiera oko. Pisze:

OKŁAMAŁEM CIĘ TYLKO RAZ.

I niżej:

TAM JEST CO INNEGO.

Podnoszę głowę, ale ojciec już śpi i ręka mu drży. Boję się o niego i wołam lekarza, przychodzi zaraz, jest wysoki i prawie płaski, w kitlu sprawia nierzeczywiste wrażenie, pochyla się nad tatę, coś tam sprawdza, przesyła mi uspokajające spojrzenie, odkłada notes na stolik, a ja stoję w przejściu, nie wiedząc, wyjść czy zostać, przejęty myślą, że ojciec chce iść do ziemi złożony w swojej własnej opowieści.

Wracam do mieszkania ojca, ogarnąć je, zanim wróci. Tak to sobie tłumaczę. Kręcę się chwilę, po czym idę do sypialni i z nocnej szafki biorę pudełko, które tato rzekomo wziął z domu Nowakowskich i którego nigdy przy mnie nie otworzył. Jest lekkie, chropowate, potrząsam nim, nic. Przyglądam się zawiasom, malutkiemu zameczkowi i powoli przekręcam kluczyk. Parzy. Unoszę wieczko, jak najszybciej, by mieć to już za sobą. Powietrze przecina krzyk, coś pomiędzy wrzaskiem a jękiem, od którego oblewa mnie pot. Tak mógłby wyc konający, jego ból jest jak otwarta rana. Już umilkło, tylko we mnie jeszcze dzwoni. Osłupiały, trzymam pudełko. Jest puste. Zamykam i unoszę jeszcze kilkakrotnie. Głos rozbrzmiewa jeszcze raz, i jeszcze.

„W nim jest zamknięty jego krzyk”, mówi mój ojciec.

* * *

Zastanawiam się, czym różni się cisza od ciszy i czy nie przyniosłem tej od ojca, pełnej napięcia, do swojego domu. Zasypiam i jestem już gdzie indziej, a zarazem tutaj, w mojej sypialni. Są tu ze mną też inni, niewyraźni i bez twarzy, jak szepty bez słów. Ciężki dym unosi się w powietrzu, w tym dymie przemykają ptaki.

Siadam na łóżku. Odwracam głowę i widzę drzwi do szpitalnego pokoju, takiego, w którym leży tato. Nie wstaję, lecz jakaś część mnie idzie w tym kierunku, widzę teraz

jarzeniowe światło, łóżko i długi korytarz porośnięty przez drzewa. Jest Nowogródek i Warszawa, wszystko po kawałku: kamienice, gałęzie i leśne zwierzęta.

Wiem, że to tylko sen i nic nie dzieje się naprawdę.

Postanawiam się obudzić, tym razem naprawdę, co przychodzi mi z trudem. Obchodzę pokój zatopiony w półmroku, dotykam ścian, podnosi się twardy świt. Idę do kuchni zaparzyć kawę, po drodze podchodzę do okna i patrzę - żaden dom nie idzie w moją stronę.

Przerzucam gazety i postanawiam wziąć prysznic. Opłukuję się szybko, chłód działa ożywczo, zaraz mi lepiej, strumień zalewa mi twarz i czuję się jak pod wodą.

Zasiadam nad kawą, kupka świeżych rachunków straszy z drugiego końca stołu. Myślę, że w innej sytuacji nie pozwoliłbym leżeć im tak długo i że powinienem zastanowić się nad internetowym kontem. Mieszam kawę, ciemna tafla po chwili się uspokaja i widzę w niej twarz ojca.

Nie śpię, a on tam jest.

To nie odbicie czy złudzenie - tuż pod powierzchnią unosi się główka wielkości mandarynki. Ojciec otwiera usta, ma prawdziwe zęby. Powieki unoszą się powoli, mruga, jakby drażnił go ciepły płyn. Przerazenie zbiega się we mnie z dziwną myślą - powinienem wylać kawę do zlewu. Rzuca mi się na mózg, mówię sobie, a ojciec dopowiada:

- Już czuję się lepiej.

Rusza ustami, a powierzchnia kawy jest gładka. Głowa unosi się i opada, stąd wrażenie, że tonię w ciemności.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć.

- Nie powinienem kłamać - mówi ojciec.

- Nie ma sprawy.

- Powinieneś dowiedzieć się tego wcześniej.

- Może nie chciałem wiedzieć, tato?

* * *

Poszliśmy we dwóch, ja i Jakub Weiss, człowiek, który pisze książkę o moim ojcu. Teraz siedzi naprzeciw mnie, czeka, aż opowiem mu jeszcze coś o tacie.

Dziwny jest. Nawet się nie zdziwił, gdy rano do niego zadzwoniłem, choć dziwiłem się sam sobie, coś drgało we mnie i drżało, zacząłem już mówić, więc trzeba skończyć. Bo w końcu: rozbiłbym sobie łeb, gdyby Jakub mnie nie podtrzymał.

Przyjechał godzinę po moim telefonie. Poszliśmy w kierunku osiedla domków jednorodzinnych, gdzie tato miał widzieć nadchodzący dom. Weszliśmy między wąskie

ogródki, między nowe okna i ponure twarze, błyszczące samochody i matowe dzieci, w rejdach i świst poranka. Jakub bezczelnie pytał, czy nie stoi tu gdzieś stary, drewniany dom: „Wie pani, jestem etnologiem - mówił, jakby pierwszy raz słyszał takie słowo. - Chodzimy tu z profesorem za takimi nietypowymi budowlami”. Nie udawał nawet, że kłamie, patrzyli na nas jak na złodziei.

Wyszliśmy w pola, gdzieś za miastem. Pachniało tam jakoś inaczej, świeżo. Przypominam sobie teraz ten kolor łąk i nieba, które wydawało się daleko bardziej niebieskie, jakby przez noc nałożono na nie jeszcze jedną, intensywniejszą warstwę. Pewno wiatr jakiś przegnał pyły znad miasta, tak to teraz tłumaczę, wtedy byłem rzeczywiście urzeczony, szczególnie że osiedle za nami znikło szybko, znalazłem się na wielobarwnej stolnicy targanej wiatrem i wywiało ze mnie niepokój. Wróć do taty, myślałem, choć bez desek. „Już czuję się lepiej”, rzekł mi - on nie on - w filizance.

Pomyślałem, że naprawdę nam się uda, jeśli nie znaleźć dom, to doprowadzić tę historię do końca. Przed nami wyrastał las. Poczułem dziwne ukłucie w sercu - spomiędzy drzew wyłaniał się kawałek drewnianego budynku. Przyspieszyłem i pamiętam, że cieszyłem się jak dzieciak. Jakub szedł obok i o nic nie pytał. Poszliśmy wąską ścieżką koło strumienia. Najpierw zobaczyłem uszkodzoną drewnianą zastawkę na kamiennej podmurówce. Zamiast domu Nowakowskich był to stary młyn z ciemnego drewna, bez części dachu, o przegniłych deskach. Przechylał się na lewo, oparty o resztki drewnianego koła, niczym pijany olbrzym wsparty na karzełku. Dziecinna chęć pchnęła mnie, by wejść do środka. Jakub rzucił, że podłoga musi być zgniła i że mój ojciec mówił o domu, nie o młynie, więc nie ma po co wchodzić.

Drzewa były stare i skręcone ze sobą, moje buty zapadały się w ściółce i musiałem bez przerwy uważać na dziury. Znaleźliśmy starą drogę, którą chyba dawno nikt nie szedł, a już na pewno nie jechał. Czuję, jak ubywa mi lat, troski gdzieś się rozwiały, może dlatego że bardzo dawno, tak zwyczajnie, nie poszedłem do lasu. Zdziwiłem się nawet na widok sarny przebiegającej nam drogę: zatrzymała się, przekrzywiła głowę w moją stronę i dziwiliśmy się sobie nawzajem.

Zza pleców dobiegł mnie głos Jakuba: „Niech pan zobaczy, panie profesorze”. Odrzucił plecak i krążył między drzewami z nosem przy ziemi. Podeszedł do mnie, poprosił, żebym wysunął rękę. Położył na niej łuski, znalazł ich siedem. Przyjrzałem się im, nie znam się na broni, ale sprawiały wrażenie starych i na pewno nie pochodziły z pistoletu. Przeszło mi przez myśl, czy gówniarz nie przyniósł ich ze sobą. W tym momencie dostrzegłem w drzewie dziurę wielkości kuli. Pomyślałem, że to obłąd, a on powiedział:

- Takiej książki o Darskim jeszcze nie było.

Dotarł do mnie idiotyzm tej wyprawy, przypomniałem sobie ojca i to, że może chciałby mnie zobaczyć bez desek, zwłaszcza że już czuje się lepiej.

Szliśmy z powrotem wzdłuż drogi, a ja otrzepywałem się z traw, strumieni, młynów i łusek. Znow porastałem skórą człowieka, który ma bliżej niż dalej i któremu sparaliżowało szalonego ojca. Jakub, który zostawił mnie z tyłu, zatrzymał się i na coś patrzył.

Na poboczu leżał wrak autobusu. Nie miał kół ani szyb, drzwi były wylupione, rejestracja oddarta, wyrwano nawet krzesła. Sam szkielet pojazdu, wygięta blacha, oderwana maska, podziurawiony - nie rozumiałem, czemu nikt go jeszcze nie sprzątnął. Chciałem zapytać Jakuba, co o tym sądzi, ale on już poszedł dalej.

- Może umówimy się na jutro, panie profesorze? - pyta.

* * *

Już wiem. Słucham lekarza.

Jest człowiekiem z darem do przekazywania takich wieści: ma niski głos, w którym dudni współczucie, twarz poczciwego grubasa i włosy zaczesane do tyłu. Dobrze, że nie jest chirurgiem, tymi baleronami mógłby najwyżej operować słonia, takie skojarzenie przychodzi mi do głowy zaraz po jego słowach, nie wiem dlaczego, przecież nie powinno. Tato nie żyje. Zmarł w nocy, we śnie, bez bólu. O czwartej, mówi mi lekarz, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Przecież ma. Twarz w filiżance. Już było mu lepiej.

Lekarz prowadzi mnie do szpitalnego pokoju, gdzie wciąż leży tato. Jest maleńki, jego twarz wygląda, jakby zaraz miał krzyknąć. Ma posiniałe opuszki palców, a oczy są szkliste, cukierkowe, straszne, ogarnia mnie dziwna słabość, z rozpędu siadam na brzegu łóżka, dotykam mu czoła i zaraz cofam rękę. Boję się, że jeśli nacisnę mocniej, czaszka się zapadnie, za nią całe ciało i na łóżku pozostanie szmata po moim tacie.

Wychodzę, lecz chcę wybiec, za mną podąża biały cień lekarza, wbrew sobie zatrzymuję się i słucham - że serce, proszę pana, wysiadło, można było tak sądzić, wiek, proszę pana, do tego wylew, zrobiliśmy, co mogliśmy. Tak, zrobiliście. Co teraz właściwie, pytam, ojciec chciał być skremowany, pan wie, jak to się załatwia? O Katowicach słyszałem. Czy coś mówił? Panie doktorze, czy on coś powiedział?

- Nie mógł mówić - słyszę. Jak mogłem zapomnieć?

Dziękuję lekarzowi, parę sekund mi umyka i odnajduję siebie, jak trzymam jego suchą dłoń w swojej mokrej, a on uśmiecha się niezręcznie, taki wyraz twarzy może mieć człowiek, któremu depczemy po palcach w tramwaju. Zabieram rękę, chowam wstydliwie, wracam po

notes. Nie mogę go znaleźć, podnoszę pościel i zastanawiam się, czy nie podnieść też taty. Jest! Zsunął się na podłogę, podnoszę, zabieram nawet długopis. W pierwszym odruchu chcę sprawdzić od razu, lecz lepiej będzie na zewnątrz. Chowam notes do kieszeni i ruszam do wyjścia.

Coś powinno we mnie się kłębić, brzmieć, huczeć. Ale nie, tylko jakiś ciężar napiera na mnie, nogi mi się płaczą, ledwo idę. Tato mi umarł. Żadnych wspomnień, nic z dzieciństwa ani dorosłości, nawet z wczoraj, idę tak między pacjentami i pielęgniarkami, na siłę próbuję sobie przypomnieć cokolwiek, jedno wydarzenie, żeby zahaczyć o serce. Nic.

Jestem już na zewnątrz, chcę usiąść na ławce, bo kręci mi się w głowie, wydaje mi się, że idę jakoś krzywo, drogę mi przecina siwobiała strzała. Drobnutki staruszek ląduje na ławce, zakłada nogę na nogę i obraca twarz ku niebu. Odechciewa mi się siedzieć, próbuję więc iść prosto, raz-raz i widzę już szlaban, chyba zbliża się do mnie, nadziewam się, boli, odbiło - nie upadłem. Opuszczam teren szpitala i osuwam się po murze. Jest mi jednocześnie zimno i gorąco.

Notes uciska mnie w kieszeni. Otwieram, przeglądam. Na razie nic, czyli to, co już znałem, przerzucam kolejne kartki - bazgroły jak u dziecka, nieczytelne kreski w nic nie poskładane. Wreszcie jest. Na całą stronę, jedno słowo.

NADCHODZI.

Przez stronę prześwituje długopis, przewracam kartki.

KOCHAM CIĘ JUREK.

Wodzę palcami, litery mocno odcisnięto, składają się równo w to, na co tyle czekałem. Zły jestem, niepotrzebnie, nie powinienem, nie mógł powiedzieć, lecz naskrobał w ostatniej godzinie, żebym znalazł albo i nie. Najpierw musiał napisać to, co najważniejsze, nadchodzi mu dom, po niego dom, zaciskam pięść i już nie jestem sobą - płacz przemawia przeze mnie, słyszę go niczym głos obcego, szarpnięcie za szarpnięciem, szloch wyrывa mi się z brzucha. Nie mogę nawet wciągnąć powietrza, tylko tulę ten zeszyt, przechodnie zwalniają, wokół mnie gromadzi się tłumek. Ocieram twarz, unoszę dłonie w uspokajającym geście. Te kilka osób wokół mnie cofa się i chyba są rozczarowani, podnoszę się i idę dalej.

* * *

Aż dziwne, wciąż umiem się złościć.

Jakiś skurwiel koło taty robi remont, prawdziwy festiwal gwoździ i innego dziadostwa. Ledwo mogę się dostać do drzwi, wszędzie leżą stare dechy, chyba wyrwane z podłogi, za to pod sam sufit, jedna na drugiej, krzywe i brzydkie. Przedzieram się jakoś,

wsadzam klucz do zamka i słyszę telefon. Aparat jest w przedpokoju.

- Dzień dobry, panie profesorze - słyszę - znalazł pan?

Patrzę na słuchawkę, na deski w korytarzu i nic z tego nie rozumiem.

- No, śmiało - zachęca, jakby widział mnie w tej chwili. - Przydadzą się panu.

Z tymi słowami przychodzi pierwsze otrzeźwienie, mimo śmierci, mimo dziwności ostatnich dni. Co to za bzdura?

- Skąd to...?

- Powodzenia, panie profesorze - mówi Jakub i odkłada słuchawkę.

* * *

Jestem w mieszkaniu ojca, nieodwołalnie opustoszałym. Krążę po pokojach z kubkiem kawy, wtaszczyłem deski z korytarza, leżą przy kanapie. Wiem, że tutaj zasnę.

Zadziwiające, jak szybko rzeczy zmieniają się w widma. Dusze, jeśli je mamy, rozplývają się w powietrzu, wędrują do swoich nieb lub piekieł, migną nam w opowieści albo wspomnieniu, nie wychodzą jednak z grobów, nie duszą nikogo podczas snu. Zaczynam wierzyć w duchy rzeczy. Przedmiot zyskuje życie wraz ze śmiercią człowieka, który go posiadał, coś ożywa na jego płaszczyźnie. Przedmioty są jak bąble na skórze, przekłujesz i uwolnisz ropę.

Cały ten drobiazg, który zlewał się na ścianach, jest widoczny z szaloną ostrością, niemal przybliża się do mnie. Widok na zamek w Nowogródku, do niedawna wyblakły, teraz razi moje oczy feerią barw, widzę bruzdy na ceglach i kostropate pnie. Przedwojenna Warszawa ze zdjęcia niesie gwar na całe mieszkanie, brzmi jazgot żydowski, kobiece piski, terkot starych samochodów, nawet niebo wylało się z sepii w surowy błękit. Mama śmieje się z fotografii obok, takie dziwne, nie zauważyłem wcześniej, że to zdjęcie tu wisi. Oczy jej błyszczą, na ustach ma mocną szminkę, ciekawe skąd, przecież takich szminek kobiety nie używały, kiedy rodzice byli młodzi.

Na półce wszystkie okładki są inne i każda się wyróżnia, litery krzyczą do mnie, podchodzę do biblioteczki, dotykam pierwszego z brzegu grzbietu i pod moim palcem pulsują wydarzenia. Wracam więc do desek. Równej długości, powyrywane niedbale, drzazgi sterczą, ale z jednej strony są gładkie. Siadam przy nich. I przykładam głowę. Słyszę kroki, co już dawno przebrzmiały, tupot dzieci, szuranie psa. Ktoś biegnie, kto inny się skrada, dociera do mnie echo upadku.

Widzę też biurko mojego taty. Mebel się rozpiera, zawłaszczając skrawek dywanu, gdy tylko odwracam oczy. Podrósł do wysokości parapetu, trzeszczy, gwoździe się wiercą, a

sterty papierzysek ocierają się o siebie z szelestem, słyszę całe historie, nie umiem tylko zrozumieć, o czym są. Ogarnia mnie przekonanie, że zaraz cały blok uniesie się ku niebu, by odprowadzić mojego ojca. Za to z nieba sfruwa sokół i przysiada na parapecie. Uderza dziobem w szybę i zaraz zrywa się do lotu.

Wędruję wśród zdjęć, od ściany do ściany, w przeczuciu, że zaraz coś się wydarzy. Większość fotografii przedstawia żołnierzy, funkcjonariuszy, choć są też partyzanci, bandyci, jak mawiał tato, zgromadzeni wokół karabinu maszynowego. Dziewczyna oparta o płot, za nią chata. Umieję rozpoznąć ten rodzaj spojrzenia, ojciec nigdy mi o niej nie mówił. Ojciec zawsze patrzy w ten sam sposób, mrużąc lekko oczy, nagle przypominam sobie jego zapadniętą twarz, którą widziałem w szpitalu.

Oto galeria ojcowskich wspomnień sprzed wojny. Pistolet jest wyczyszczony na błysk, leży na półeczce złożony dokładnie tak, by po niego sięgnąć. Oglądam, obracam, udaje mi się otworzyć magazynek. Jest pełny. Przypominam sobie ojca, jak czyścił go nieustannie, i swoją własną myśl - on się zabije. Siądzie za biurkiem, ułoży równo papiery i palnie sobie w głowę, właśnie po to by nie konać w szpitalu. Byłoby to w jego stylu. Ludzie mi opowiadali.

Kolejny landszaft, tym razem nowogrodzki: młyn miele wodę, zanurzony w czerwieniach i żółciach wczesnej jesieni, poznaję go, choć las chyba inny, niebo też. Myślę, że wszystkie wiejskie młyny są podobne sobie, ale gdyby odnowić ten, który widziałem wczoraj, wyglądałby właśnie tak. Porównuję rozmiary koła, rozmieszczenie okien, kąt nachylenia dachu i miesza mi się w głowie. Skąd tutaj młyn spod Nowogrodka, pytam, i zaraz przychodzi myśl, że to nie żaden Nowogródek, obraz namalował przecież ktoś stąd, przed wojną.

I zdjęcie odbierające mowę... Widziałem je już wcześniej, tato pokazywał.

Widzę wyraźnie ojca-partyzanta z kolegami z Armii Ludowej na tle zimowego lasu. Tato się śmieje, niedługo będą budować nową Polskę. Tacy zmarnowani jego kumple, wąscy, mają małe głowy. Każdy trzyma broń, każdy stoi w rozkroku i zezuje na innych. Mają coś, co markuje mundury, jakieś zielone kurtki, buty watą wypchane. Tylko jeden cywil, z innej bajki, w niemodnym garniturze i koszuli. Musi marznąć na śniegu, musiałby, ale ja wiem, że nie marznie.

To Jakub Weiss.

* * *

Jestem teraz w ciemności, w dziwnym miejscu, w każdym razie - nie tutaj. Co mi się przydarzyło? Czy mówiłem sam do siebie, może dlatego ludzie tak patrzyli, a jeśli tak, to

skąd mam deski? Z kim byłem w lesie, kto pokazał mi łuski? Chcę wybiec i pytać wszystkich - widzieliście mnie z tym facetem?

Potrzebuję snu, może stąd ta ciemność. Za oknem jest cicho. Tkwię w fotelu jeszcze chwilę, obiecując sobie, jak to zaraz pójdę na wersalkę, owinę się kocem, przegnam złe sny, a cokolwiek stanie się jutro, dokona się już w słońcu. Tak właśnie będzie, tato, tak, Jakubie - zaraz pójdę i zasnę. Naprawdę zaraz. Już.

* * *

Obudziłem się i boli mnie wszystko, spodnie lepią się do ud i pierwsze, co robię, to próbuję je ściągnąć. Wiercę się, w kolanie mi strzela. Kawa rozbijała mi serce, nie wiem też, jakim cudem zdołałem zasnąć. Zerkam na zegarek.

Kładę się na plecach, gapiąc się w sufit, próbuję zdjąć jeszcze skarpetki, nie bardzo mi idzie, a nie mam ochoty siadać. Przekręcam się na brzuch i wpycham nos w poduszkę, próbuję ułożyć sobie ostatnie dni, nad którymi śmierć ojca kładzie się gęstym cieniem. Byłem na wycieczce za miastem, szukałem domu, który nie istnieje, widziałem młyn z landszaftu, a kiedy teraz zrzucałem spodnie z łóżka, usłyszałem wyraźnie, jak coś metalowego uderza o podłogę. Klucze trzymam w kurtce i nie noszę paska, więc była to łuska, którą znalazłem w lesie.

Noc zamknęła mnie w klatce, od wczoraj i jutra oddzielają mnie grube kraty, zaś teraz zniknęło, jestem nikim w nigdziebądź. Wstyd oddychać. Ojciec, wycieczka, zdjęcie Jakuba są gdzieś daleko, podobnie jak zadania na dzień jutrzejszy, załatwianie pogrzebu, telefony. Myślę o tajemnicach ujawniających się przy tej okazji: na pogrzebach rzekomo wiernych mężów pojawiają się kochanki, nad trumnę uczciwych nadpływają wierzycciele z wekslami w zębach, zrozpaczone cioty składają kwiaty na kurhanie zakonnika. Ciekawe, czego się dowiem i kogo rozpoznam. Czy koledzy z pracy, ubecy, cenzorzy, ludowi mistrzowie pióra wyleżą ze swych nor, by spotkać się jeszcze raz, pogrzebać króla i śnić o dawnych koronach? Żołnierze jacyś? Tato przeżył wszystkich.

Wzrok przywykł mi do ciemności, rzeczy nie mają już dawnej siły, są ciemne i zwykłe, opuszczone przez ducha. Tylko z deskami coś nie gra. Pchnięty nagłym impulsem gramolę się z łóżka, podchodzę - stoją przy ścianie inaczej, niż je zostawiłem, cisnąłem je niedbale, a teraz stoją w rzędzie, ściśle przylegając do siebie. Próbuję je ruszyć i nie mogę. Szarpnię, drzazga wbija mi się w palec. Wracając z łazienki, zapalam światło.

Stojące na sztorc deski przypominają fragment ściany. Zbliżam się. Widzę teraz, że weszły w tynk na trzy milimetry, nie umiem tylko odkryć rodzaju spoiwa, brak gwoździ,

zaprawy, ściany nie zrobisz na gumie arabskiej. Opanowując rosnące podniecenie, pędzę po nóż, usiłuję podważyć, końcówka ostrza strzela i śmiga koło mojej twarzy. Deska ani drgnie, odkładam nóż i się jej przyglądam. Uległa przemianie, jest gładka i nasączona ciemniejszą farbą, pojawiły się wielkie słoje. Jest też inna przemiana: symetryczna narośl na prawym brzegu. To fragment framugi okiennej. Reszty jeszcze nie ma. Ostukuję. Twarde. Pukam teraz w deskę i odgłos jest inny, jakby za nią nie było już ściany. Zbliżam nos i czuję świeże, leśne powietrze.

Mieszkanie przemienia się, a ja już wiem, co muszę zrobić.

* * *

Kiedy umiera ojciec, zaczyna się rozumieć, że przed nami w kolejce nie ma już nikogo i trzeba podejść do kasy. Zastanawiam się, jak sam będę umierał. Nie mam syna, z którym mógłbym porozmawiać, brak mi przyjaciół, którzy podtrzymałyby moje słabnące ciało. Śmierć, teraz to rozumiem, jest podwójnym odklejaniem się. Najpierw od świata. Przystajemy rozumieć telewizję, bo żadna z reklam i żaden z programów nie są już przeznaczone dla nas. Nowinki techniczne stają się obce, muzyka zmienia się w hałas, a kino w sen dzikusa.

A potem odklejamy się od siebie, ciało i umysł odmawiają posłuszeństwa, ręce, nogi, wątroba, serce podnoszą cichy bunt, z wolna pustosząc ciało. Głowa się odwraca ku przeszłości, tęskni do dzieciństwa, pamięta kąpiele w strumieniu i leśne wyprawy. Lecz człowiek, zapytany, co robił wczoraj, jedynie się rumieni. Dlatego umieramy opuszczeni, tak zmarł mój tato. Nie było mnie przy nim, myślę, nagle rozumiejąc, że czekał na to i tego potrzebował.

Idę wolno przez hipermarket, między tajemniczymi sprzętami, pchając przed sobą wózek wielkości nosorożca. Nie umiem sformułować właściwego pytania, sam nie wiem, co będę robił, i rujnuję swój budżet, ładując wszystko, co wydaje mi się potrzebne i nie budzi przerażenia.

Piła mechaniczna, szlifierka z płachtami papieru ściernego, gwoździe, trzy młotki różnej wielkości, wiertarka, wkrętarka, ćwiekownica. Płachty folii ochronnej, taśma klejąca, drabina, wiadro białej farby na wszelki wypadek.

Jestem pierwszy w kolejce, dziewczyna podnosi głowę znad terminala i obdarza mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Myślę: widzi we mnie jeszcze mężczyznę czy już nie. Ruch kartą kredytową. Chwilę później jestem na zewnątrz i zaczynam wędrowkę.

* * *

Dochodzi północ. Nowy fragment ściany jest całkiem spory, powierzchnia drewna jest gładka, a bok framugi okiennej dobrze dopasowany do reszty. Ogarnia mnie zmęczenie. Nie umiem wstać, choć powinienem.

Więc jednak muszę. Zerkam za okno, pod domem wciąż stoi opustoszały wózek. Przyjdźcie i go sobie weźcie, mówię sobie, przebierając się w dres ojca. Wyprałem mu go niedawno, ale już nie zdążył założyć.

Staję na środku sypialni. Szafkę nocną przepycham pod łóżko, biorę się do biblioteczki, już prawie jest w rogu, gdy wykonuję zbyt gwałtowny ruch i książki sypią się na podłogę. Zbieram je pospiesznie i ciskam na pościel. Zdjęcia, obrazy mogą tu zostać, mam teraz wolną przestrzeń na graty z gabinetu. Wyjmuję drzwi z zawiasów, ledwo sobie z tym radzę, gnę się pod ich ciężarem, targam je w stronę łóżka i przywalam nimi książki.

Chwytam biurko, mahoniowego potwora powstałego w czasach, gdy ludzie nie wierzyli w przeprowadzki. Szarpnięcie za szarpnięciem, ani drgnie, nie dam rady, zresztą sukinsyn nie przejdzie przez drzwi, musi zostać na środku pokoju. Co z podłogą... Co z podłogą? Przynajmniej zabiorę dywan.

Piramida na łóżku zaczyna grozić zawaleniem. Upycham pod łóżko Kawalce, Redlińskich i Putramenty, no, Ważyku, dalej, Machejku, będzie wam tam dobrze, w ciemności. Regał bez obciążenia przesuwam się z łatwością, jest zbyt wysoki i zahacza o futrynę, kładę go na sobie i próbuję pociągnąć. Idzie zaskakująco łatwo, pierwszy krok, za nim drugi, tu ciężiej, noga mnie zawiodła i rymnął zaraz za progiem, półki się wysunęły. Mogłem pomyśleć i je wyjąć. Ustawiam zwinięty dywan w wolnym miejscu. Kombinuję dalej.

Z fotelami idzie mi łatwo, lecz z szafą chyba sobie nie poradzę. Wyrzucam papierzyska, w pierwszym odruchu mam ochotę cisnąć je za okno. Obejmuję szafę i pcham ku drzwiom, próbuję ją położyć, lecz ten ciemny potwór wali się na próg. Próbuję pchać nogą, nie daję rady, kucam i się zapieram. Teraz idzie, prawie do końca, aż napotyka opór łóżka zawalonego książkami. Akurat tyle starczy, zmieściła się cała w ojcowskiej sypialni.

Wszystkie drobiazgi: obrazy i zdjęcia, dyplomy i pamiątki, ciskam ponad powaloną szafę. Tylko jedną rzecz pozostawiam, pudełko z zaklętym wrzaskiem Arona. Niosę do łazienki, zrzucam kosmetyki i robię miejsce. Dziwnie to wygląda - drewniana kostka na tle kafelków.

Nie zamierzam szukać klucza do biurka taty. Biorę młotek i śrubokręt, wyłamuję po kolei zamki. Tato nigdy nie mówił, co trzyma w biurku, czasem chciałem nawet zajrzeć po kryjomu, wiedziony dziecięcą ciekawością, dobrze, że się nie odważyłem, zawiódłbym się,

nawet rozczarował. Wyjmuję i składam obok pliki listów od kobiet, różnych, poznaję po charakterze pisma, mógłbym otworzyć i przeczytać, ta część mojego taty także jest tajemnicą. Trochę złota w atlasowym woreczku, łańcuszki, wisioriki, pierścionki, starzy ludzie ufają złotu, niedługo i ja zaufam. Dokumenty: akt własności, umowy notarialne, papiery rozwodowe, wszystkie wrzucam do sypialni. Szuflady są już puste. Wyciągam je. Biurko nawet nie drgnie. Idę po siekierę i staję naprzeciw potwora.

Ocieram usta i biorę zamach, powinienem uderzyć z boku, ostrze spada na blat, zagłębia się całe, ciemna płaszczyzna przepoławia się z jękiem. Jeszcze i jeszcze, na cztery, na osiem części, idzie zdumiewająco łatwo, siekiera wyrywa się z moich dłoni, pociągając mnie za sobą, upadam, nie puszczając trzonka, uderzam barkiem o podłogę, ląduję na kawałkach drewna. Boli. Ledwo oddycham. Odkładam siekierę, przekręcam się na plecy i długo, długo patrzę w sufit.

Już dobrze. Co większe kawałki biurka lecą do sypialni, mniejsze zawijam w dywan i siadam, podziwiając puste pomieszczenie. Deski na ścianie drżą z zadowolenia. Kleją mi się oczy. Za oknem cykają świerszcze.

* * *

Zaczynam o świcie.

Czuję się jak bokser przed walką, mięśnie mi stwardniały, siedzę w rogu pokoju na składanym stołku i walę mocną kawę. Kark mi trzaska, palce mam mocne, wyrównuję oddech, pot sunie środkiem pleców. Jem śniadanie, bułkę z pasztetem i żółtym serem, i czerwone jabłko, które wsuwam razem z ogryzkiem.

Podwijam rękawy, po chwili namysłu wkładam czapkę z daszkiem, żeby nie pobrudzić sobie włosów. Wnoszę narzędzia z piłą na czele i układam pośrodku pokoju. Mam specjalny pas, wsuwam doń młotki, śrubokręty, do przepastnej kieszeni wsypuję długie gwoździe i czuję się, jakbym miał metalowe jaja. Dobry Boże, ja naprawdę to robię.

Zaczynam od framugi w drzwiach. Stawiam deskę na sztorc, jest pogięta, nie dochodzi, ćwiekownica idzie w ruch, najpierw kilka gwoździ, żeby byle jak przyszpilić, teraz już porządnie, objeżdżam krawędzie, wbijając co łokieć długi gwóźdź, czemu towarzyszy dźwięk, jakby kropla spadła na blaszany dach.

Po czwartej, piątej desce z trudem utrzymuję ćwiekownicę, muszę używać dwóch rąk, do tego trzeba ją docisnąć, inaczej nie wystrzeli gwoździa. Zwalniam. Muszę. Odkładam narzędzie i siadam, ciemnieje mi przed oczyma. Idę do kuchni po wodę. I jeszcze jedną kawę.

Dochodzi dziewiąta - trzy godziny mordowałem się z sześcioma deskami. Ustawiam

siódmą, podpieram kolanem, chwytam ćwiekownicę, poprawiam. Trzyma się mocno. Coś we mnie chce pracować jak szalone. Nabieram wprawy i gdzieś od dwunastej pracuję z szybkością trzech desek na godzinę. Przyglądam się swojemu dziełu, ściana jest prawie skończona.

Teraz niemal słyszę deski, jak żerują, brzmi chrobot, cichutki, z trudem przebija się przez mój oddech. To dźwięk ze złego snu, jakby trupa ciągnąć przez żwir. Przegryzają martwą materię bloku, moszczą sobie w niej gniazda, by zamilknąć. Zasłuchałem się.

Gdzieś po drugiej docieram do końca ściany i pojawia się problem: muszę przyciąć zbyt szeroką deskę. Nie znam sposobu, tańczę z poziomnicą, której używam jak linijki, z metrem i jakimś sznurkiem, wreszcie rozbrzmiewa ryk piły. Deska idzie na zmarnowanie, chyba, za to umiem już ustawić blokady i wyregulować ostrze. Tnę, przybijam, pasuje, jakby została stworzona właśnie po to, by tkwić tutaj, w rogu tatowego gabinetu.

Skrećam i przede mną otwiera się nowa przestrzeń - niedługo dotrę do okna. Pocę się, zdejmuję górę od dresu i zostaję w samym podkoszulku. Ściągam rękawiczki. Przyciskam dłonie do twarzy, już pachnie lasem, już prawie jestem, przybijam znowu, szyby drżą i jedna nie wytrzymuje. Ptaki podrywają się do lotu, rozpoznaję swoje sokoły na niebie i ruszam dalej.

Robię się wściekle głodny, chcę mięsa. Prawdziwego. Wgryzłbym się w jakikolwiek ochłap, poczuł tłuszcz na podbródku, intensywny smak, obłe, ledwo pogryzione kawały sunące w dół przełyku. Mam ochotę jeść palcami, wbijać paznokcie w prążkowaną fakturę, odurzać się zapachem i mlaskać. Dzwonię po pizzę naprzeciwko, tam gdzie upadł mój tato. W moim głosie musi być coś niedobrego, facet skuczy do słuchawki.

- Mięso - mówię - dajcie mi dużo mięsa.

Człowiek nie rozumie, więc powtarzam wielkimi literami: nawalcie mi, co tylko macie, na to cienkie ciasto, szynkę, boczek, salami, ma być prawdziwa góra mięcha, rozumiesz, człowieku? I picie. Chcę wody. Tak, zapłacę, tak, szybko. Trzask słuchawki.

Wracani do pracy, nie chce mi się już robić tak dokładnie, czas ważniejszy, muszę zdążyć przed nocą, choć nie wiem dlaczego. Wbijam po osiem, dziesięć gwoździ zamiast wcześniejszych dwudziestu, przykładam ćwiekownicę niedokładnie i część się marnuje. Drewno drży, faluje niczym kisiel i zasysa gwoździe bez dźwięku czy mojej pomocy.

Akurat docinam deskę, gdy dzwoni domofon. Staję w progu, następuje bezsłowna wymiana, karton za pięćdziesiątkę, siadam na podłodze, kroki na schodach cichną, a ja mam już pełną gębę. Mięso jest wilgotne, miękkie, robię pieróg z każdego trójkąta i wpycham sobie na raz, dwa razy, krztuszę się, przełykam, wybałuszam oczy. Nie wiem nawet, kiedy

opróżniłem karton, nie jestem syty, lecz ciężki, podnoszę się z trudem, położyłbym się spać. Nie wolno mi.

Wszystko idzie gładko aż do drzwi, tu ćwiekownica nie pomoże, więc wbijam gwoździe młotkiem. Kończę i nie jestem zadowolony, porobiłem szpary na szerokość palca. Rozumiem, że same się zasklepią, wystarczy odwrócić wzrok. Ruszam dalej, trochę niespokojny, bo desek jest coraz mniej. Przed szóstą docieram do miejsca, w którym zacząłem. Został sufit i pół metra pod nim.

Muszę wyjść. Tylko na chwilę. Poczuc powietrze i kupić jedzenie. Dopiero w sklepie orientuję się, że jestem półnagi, nie wiem nawet, gdzie posiałem koszulkę, ludzie biorą mnie za robotnika i niczemu się nie dziwią. Ładuję do koszyka kurczaka, kabanosy, dwie paczki frytek mrożonych, jabłka i soki, jogurty, płatki i batony czekoladowe. Jest mi mokro, spodnie lepią się do tyłka, pot lśni na torsie, mój wygląd ożywia kasjerkę, w mętnej toni oczu chlupnęła jakaś decyzja. Kasuje mnie i podaje garść siatek jednorazowych. Nim się spakuję, krew zalewa mnie trzykrotnie, łomocze mi serce, chcę wrócić do pracy. Urządzam jednak mały bal na schodach sklepu: w ruch idą jabłka, kabanosy, nim się obejrzałem, już zjadłem, więc jeszcze baton i jogurt. Całość zalewam sokiem i nabieram ochoty na zimne frytki. Trochę mi lepiej. Muszę tylko wrócić do domu.

* * *

Jest wieczór. Zwalniam. Deski już pocięte na wymiar. Przeszkadza mi ciemność pod sufitem, nieustannie boję się, że spadnę. Oto nieznośna monotonia ruchów: ćwiekownica w rękę, deski pod pachę, wspinaczka po drabinie. Na pasku kołysze się młotek. Przykładam, strzelam z gwoździ, czasem uderzam młotkiem. Schodzę, przesuвам drabinę o krok, tak w kółko, a raczej w kwadrat. Niedługo moja praca będzie skończona.

Skończona i nieskończona - jakby nie kombinować z sufitem, nie dam sobie rady, deski są zbyt długie i ciężkie. Skupiam się więc na ścianach, ale gdy przybijam ostatnią deskę, ogarnia mnie przygnębienie. Nie dałem rady, a już noc zapada.

Pocieszenie znajduję w ruchu żywego drewna. Deski przesuują się ku sobie, zasłaniając szpary, które pozostawiłem, falują niczym brązowa maź, gęstnieją i stygną. Gładkie powierzchnie lśnią, rozkwitają na nich sęki, rozwierają się nowe pęknięcia, brzmi szuranie, jedna za drugą powoli zapadają się w tynku, moszczą się, nieruchomieją. Oddycham ciężko i piję wodę.

Jeszcze jeden wysiłek - zostało dziesięć desek. Tnę każdą na części i zabieram się do sufitu. Tak może się uda, dociskam jedną, unoszę ćwiekownicę, przykładam, trach, szybkie

cztery gwoździe. Trzyma się. Co trzy, cztery deski powinienem przestawiać drabinę, nie chce mi się, wychylam się, odrobinę za bardzo, i oszczędzam na zejściach.

Pokój pode mną wypełniają śmieci, wióry, folia, drzazgi, drabina chwieje się na nich. Trudno mi z tą ćwiekownicą, tak pokracznie się ją trzyma, marnuję gwoździe, nawet w półmroku widzę, że część desek sterczy. Mało ich. Przybijam szerzej. Nieudolnie. Nieszczelnie. Kurwa.

Jestem półprzytomny, ciemność zalewa mi oczy, wreszcie jest, ostatnia deska. Ledwo ją unoszę. Dźwigam ćwiekownicę, jakoś dobija, palcom brakuje siły do naciśnięcia spustu. Trach. Już mogę zwolnić rękę, gwóźdź ledwo siedzi, poprawię z drugiej strony, tylko troszkę się wychylę. Coś wali mnie w głowę, ćwiekownica ciągnie mnie w dół, jeszcze chcę chwycić się lampy, ale ta wymyka się z dłoni.

* * *

Nie czuję bólu, nade mną migają kolonie gwiazd.

Niesłuchanie powoli moje ciało upomina się o siebie, najpierw kostka, delikatna jak bolący ząb. Rwie mnie dół pleców. Mdłości przychodzą falą, mogę tylko poderwać się, jęknąć i puścić pawia na starą drewnianą podłogę. Od razu lepiej, tylko ten smak w ustach, przewracam się na plecy i zbieram siły.

Gwiezdne drobinki i olbrzymy, roje i samotnice unoszą się tuż nade mną, nie wiedziałem, że srebro ma tyle odcieni. Promienie księżyca tańczą na podłodze. Lampa przepadła, a w dachu straszy wielka dziura.

Przepadł dywan, piła i reszta narzędzi, nie ma już folii, drzazg i paprochów, pod palcami wyczuwam tylko gruby kurz. Siadam z ręką przy ustach, podpieram się na krześle i wstaję. Patrzę na masywny stół, trochę podobny do ojcowskiego biurka, sekretarzyk, łóżko przykryte pierzyną. Nad drewnianymi drzwiami wisi krzyż. Próbuję odnaleźć siebie lub chociaż to, co moje, zniknęła woda i jedzenie. Nie mam góry od dresu i jest mi zimno.

W miejscu hipermarketu jest teraz las, księżyc oświetla potężne drzewa. Gęstnieje w nim ciemność, wiatr ślizga się po gałęziach, zastygam z łokciami wspartymi o parapet.

Otwieram okno i chłonę niezwykły zapach - zniknęły wszystkie wonie, których na co dzień nie wyczuwamy. Olej na patelni, śmietnik, pies, nawet spodnie z przeceny, buty na lato i dziecięca piłka, wszystko to składa się na odór miasta, teraz niewyczuwalny. Wchłaniam tę rozkoszną, intensywną woń, mam ochotę przeskoczyć parapet i znaleźć się po drugiej stronie. Tylko ten chłód...

Potrzebuję okrycia i światła. W kredensie leżą tłuste świece, natykam jedną na

blaszaną podstawkę, jeszcze tylko zapalki - grubsze i dłuższe niż te, które znamy, zapalają się od razu migotliwym światłem. Wpatruję się w nie chwilę, łapię jeszcze leśny zapach i wyruszam na wędrowną po domu.

Z niskiego korytarza skręcam w pierwsze drzwi po lewej i od razu mam szczęście, to garderoba. Ktokolwiek jej używał, był biedny i zapobiegliwy, w odróżnieniu od zakurzonych półek i podłóg surduty, koszule oraz frak są czyste i świeżo pachną. Usiłuję znaleźć coś dla siebie i przypominam sobie, że kiedyś ludzie byli mniejsi. Podoba mi się biała koszula, lecz dalej mi chłodno. We frak się nie wcisnę. Wreszcie znajduję wojskową bluzę, która w nikłym świetle wydaje się czarna. Przymierzam. Z trudem zapina się na piersi, poza tym - w porządku.

Poza szafą niewiele tutaj sprzętów, tylko skromny stół i lustro, zresztą stłuczone. Dotykam ściany. Za czapą lasu dogasa miasto. Ogniki naftowe więdną po kolei, zarysy domów zlewają się z niebem, patrzę uważniej i już odróżniam górę zamkową i wyszczerbioną basztę. Wracam po świeczkę, wędruję po domu.

Tato kłamał. Tu cuchnie śmiercią, można by pomyśleć, że podłoga skrywa świeże groby. Kuchenka jest zimna, na dnie gara błysnęła tafla stęchłej wody. Stół wielki, stary, drewniany. Widzę fotografie, jakieś rodziny, żołnierze i króle, u taty wisiały podobne. Ich czerń ma odcień lasu za oknem. I jeszcze lampa naftowa, której nie umiem uruchomić, drewniana łyżka, potężna jak maczuga, i noże o drewnianych trzonkach.

Staję w korytarzu. Przyglądam się stopniom wiodącym na piętro. Wszystkie są całe, a więc nikt nie uszkodził ich podczas upadku. Tak samo okno, przez które wszedł tato, Stasiak i Aron, wciąż tkwi w nim szyba. Pokój dziecinny jest jak z opowieści: mamy łóżeczko, laleczki, żołnierzy, podnoszę oficera, ołów zaraz brudzi mi rękę. Zatrzymam go, chowam do kieszeni dresu, nie wiem przecież, co stanie się z mundurem. Przyklekam i orientuję się, że kimkolwiek był chłopiec, który tu się bawił, odszedł, nie rozegrał bitwy. Batalion piechoty broni swych przyczółków, ostrzeliwuje się z za nóg łóżka i broni pierzyny. W świetle świecy dostrzegam, że droga ku górze wiedzie przez stos ubrań, gdzie także przyczaili się żołnierze. Atak idzie spod krzesła dwoma kolumnami, wsparcie dają strzelcy z parapetu. Zabici leżą na środku podłogi. Tam był mój żołnierz. Wziąłem umarłego.

Trzask wyrywa mnie z zamyślenia, odwracam się i wybiegam na korytarz, zimny i pusty. Patrzę uważnie, co mogło się zmienić? Cofam się znowu, szukam jakiejś broni, trafiam na drąg. Przyciskam do siebie i wiem - to schody. Pękły dwa stopnie w połowie drogi. Nie mogę się oprzeć, wspinam się, patrzę - wybiła je jakaś potężna siła, jakby ktoś skoczył z samej góry.

Syknięcie. Albo wiatr. To z dołu. Dopiero w tej chwili dociera do mnie, co naprawdę się stało, gdzie jestem i albo to jest prawdą, albo wciąż leżę w gabinecie taty, dostałem w głowę i już się nie polepszy. Pamiętam nawet deskę u sufitu. Znowu syk. Jakby powietrze spuścić. Nie bez wahania przekładam rękę ze świeczką przez dziurę w stopniu, czuję chłód. Trzecie syknięcie.

Zbieram się w sobie, robię krok i zastygam z uniesionym dragiem. Boję się iść dalej. Smród staje się nie do zniesienia. Kucam. Podłoga jest czysta. Ruszam do przodu, z nosem metr nad ziemią, szukając ścierwa, natrafiam na ścianę. Nic tutaj nie ma. Deska i szczotka. Ocieram czoło, dotykam drewnianej ściany i znajduję drzwiczki. Szarpię mocno, nie chcą się otworzyć, a ja nie mam klucza. Wstaję ostrożnie, by nie walnąć głową. Odwracam się. Widzę ojca.

Tato, dziesięcioletni chłopiec w krótkich spodenkach, wyrasta przede mną, powłóczy nogą, ma brudny lub zadrapany nos. Patrzy poważnie, próbuję go obejść i doskoczyć do drzwi, zbieram siły i tato skacze, wybija się i spada, wbijając mi palce w barki, a ręce pod żebra. Tak pachnie ziemia albo zgniłe mięso, odrzuca mnie jego tchnienie, robię krok do tyłu, opieram się o ścianę. To tylko chłopiec, nie może być silniejszy ode mnie.

- Tu jest coś innego! Tu jest coś innego! - skrzeczy. Jakby jadł piach.

Nie umiałbym uderzyć dziecka, próbuję go od siebie odczepić, wbija mi w skórę ostre paznokcie. Słabo mi, niedobrze, niedobrze bardzo, od zapachu i żarcia, odchylam głowę i uderzam, czoło w czoło, mały tato puszcza, osuwa się po mnie, a ja wymiotuję. Odskakuje ze śmiechem, a ja upadam we własne wymiociny. Już rozumiem, że chłopiec, mój tato, nie chciał mojej krzywdy. Widzę jego stopy znikające w ciemności, gdy biegnie na piętro. Wołam za nim:

- Nie zrobię ci krzywdy!

Wstaję, przydeptuję świeczkę, podnoszę drag. Idę za tatą, znów słyszę trzask i spadam, stopień nie wytrzymał. Miga czarny sufit, drzwi, podłoga, lecz wciąż trzymam się poręczy. Jest mocna, inaczej, niż mówił tato, gdybym chciał, mógłbym się na niej podciągnąć. Noga utknęła mi po kolano, potem po udo, boli piekielnie, trudno mi się ruszyć, wydostać jeszcze gorzej, więc próbuję zmienić pozycję, chwytam się całego stopnia, puszczam poręcz, łapię barierkę niżej. Przechylam się do przodu i boli nieco mniej. Spodnie mam mokre. Nie wiem, czy zdołam iść.

- Pomóż mi! - wrzeszczę.

Cisza.

- Tato! Tato! - drę się jak wściekły. I wołam jeszcze kogoś: - Jakub! Kurwa! Jakub!

Poradzę sobie, tylko muszę się skupić. Delikatnie ruszam zablokowaną nogą, wyjąłbym, gdyby nie drzazga. Zaciskam palce mocniej na stopniu, dłoń wchodzi w dziurę bez kłopotu, znalazłem, chwytam, jest cienka, powinna dać się złamać, tylko boli ponad wyobrażenie. Krwawię mocniej. Niedobrze, a może dobrze, gdyby trafiła w tętnicę, już byłoby po mnie. Nie ma to jak nieszczęsne szczęście w nawiedzonym domu, tak sobie myślę, a oni przychodzą.

Jednocześnie, w całkowitej ciszy, ze wszystkich kierunków: z pokoju chłopca, z korytarza, spod schodów, przechodzą przez okna, drzwi wejściowe, przez ściany i samych siebie, wszyscy suną w moją stronę.

Jest żołnierz, niczym z rycin Grotgera, i mogę przysiąc, że nosi koszulę identyczną jak ta, którą przymierzałem wcześniej. Ma brodę, czarne, ogromne oczy i dziurę zamiast nosa, z której coś cieknie. Dwa pistolety wyrastają mu bezpośrednio z przedramion. Widmowy chłopiec, nie tato, może ten od Nowakowskich, ma kawałki metalu, po jednym w każdym oku, coś we mnie szepce, że to ołowiane żołnierzki z jego pokoju. Podchodzi do mnie, chce coś powiedzieć i z ust chlusta ciemna woda. Kobiecie, kiedyś chyba ładnej, włosy wiszą w strąkach, a jej żylasta skóra wygląda jak wywrócona na lewą stronę. Trzyma się za wielki brzuch i wrzeszczy, nie ma nóg, tylko szmaty. Za nimi majaczy stwór skręcony z ciał - przedwojenni, przerażeni ludzie wyrastają ze ślimaczego odwłoka. Szarpię z całych sił i uwalniam nogę.

Chcę biec, lecz omal nie upadam, sunę przyciśnięty do ściany. Stopień za stopniem, wspinam się na piętro. Kobieta wrzeszczy, nie rozpoznaję jej słów, nie umiem też oderwać spojrzenia i gdy jestem na górze, upadam i wrzeszczę, próbuję się podnieść, na próżno. Tutaj są nowi. Wędrują przez piętro.

Ojciec w mundurze patrzy przed siebie i mnie nie dostrzega. Ojciec, starszy pan w ciemnym garniturze, pochyla się i wypłuwa papierową kulę. Chudy, umierający tato trzyma się z boku.

Jest straszliwy major Wałach i „Biały” z dziurą w twarzy, jest Stasiak, poznaję go po ranie. U jego boku olbrzymi pies zostawia ślady smoły, jego pysk płonie. Kobieta z chłopcem dotarli do połowy schodów, Wałach prowadzi kolumnę na piętrze, zerkam w górę, nade mną krążą ptaki, chaotycznie jak ćmy, tłuką się pod sufitem. Wrzeszczę.

Jakaś część mnie jeszcze reaguje normalnie, podnoszę się, kuśtykam, pokazuję im plecy. Pierwsza myśl: skoczyć, zerkam za okno. Będzie po mnie, noga nie wytrzyma. Są blisko, nadchodzą, wciąż przybywa nowych, ojcowskie widma w domu, co go śledził. Nie mogę. Upadnę i niech mnie wezmą. Biorę głęboki oddech, patrzę na prawo i dostrzegam

drzwi, rzucam się ku nim i zamykam zasuwę za sobą, szarpnię, powinny wytrzymać.

Tu musiał być gabinet. Dziwne, że na piętrze, biurko koło biblioteczki przypomina ojcowskie, tym razem ruszam je bez większego kłopotu, zapieram się, spodnie nasiąkają krwią, w trzech pchnięciach przysuwam mebel pod klamkę, dociskam, nie rozpoznaję westchnienia, które wydobywa się ze mnie. Za oknem jest jasna leśna noc.

Moja noga spuchła, pośrodku uda tkwi kawałek drzazgi. Przeczoląguję się do parapetu, zabieram zeń butelkę, dobrze, że to dom polski. Rozbieram się do pasa, zagryzam rękaw munduru, jednym ruchem wyciągam drzazgę, co nie boli nawet w połowie tak, jak się obawiałem. Zalewam wódką ranę, ból oddaje swoje, ale teraz jest już lepiej. Zaciskam opatrunek, zamykam oczy. Leżę przez chwilę, zasłuchany w szuranie za drzwiami.

- Czekałem na pana, panie profesorze - odzywa się znajomy głos.

Nie wiem, czy powinienem cieszyć się z jego obecności, a Jakub nie daje mi okazji. Nim pojnę, co się święci, już jestem w jego mocnych ramionach, frunę przez pokój, uderzam barkiem w ścianę, osuwam się, znów jestem w ciemności. Moja noga płonie. Wycofuję się rozpaczliwie, lecz Jakub wyrasta nade mną, podnosi, uderza w twarz, ma pięść w mojej krwi. Chce mi się wymiotować, a on bije mnie w brzuch. Jego twarz jest blada niczym księżycowy kamień.

- Kim ty jesteś, człowieku? - pytam przez łzy.

- Kłątwa - odpowiada Jakub. Znów obrywam, czołgam się, spluwam. Kręci się to wszystko jak na drewnianej karuzeli.

Łypię na niego.

- Kłątwa zrodzona z gniewu oszukanego chłopca, kłątwa śmiertelnej złości. Kłątwa Arona. - Jakub klęka nade mną. - Była z nim zawsze i zabijała wszystko, czego się dotknął, skłóciła ze Staśkiem, z matką i z tobą. Dlatego jesteś tu.

Nie umiem nic odpowiedzieć i właściwie nie chcę, żeby dalej mówił. Myślę o sobie. Jak wyrwać się i uciec.

- I mamy koniec, prawdziwą kropkę za ostatnim słowem jego opowieści - mówi, zionie mi w twarz trupem. - Ona zostanie tutaj z tobą, ty z nami i będziesz taki jak my.

Zerkam w kierunku okna. Może dałbym radę. Spadłbym na miękką trawę, potem w las. Szarpnię się, lecz ciężka ręka spada mi na plecy, otrzymuję coś na kształt klapsa i Jakub wlecze mnie przez pokój ku zabarykadowanym drzwiom. Chwyta jedną ręką za blat i biurko leci w kąt.

- Jestem jego gniewem - dudni - jestem krzykiem Arona zamkniętym w pudełku.

Drzwi stoją otworem.

Jakub całuje mnie w czoło.

- Nie mogę powiedzieć, że nie ma się pan czego bać. Ale mogę powiedzieć, że zaraz będzie po wszystkim.

Zmarli stoją w korytarzu: tato w trzech osobach, Wałach, żołnierze, kobieta z czerwien w łonie i stwór przedwojenny. Moja matka. Napierają na mnie i coś żują miarowo, w ich oczach tłą się dawne pragnienia i żądze. Pragną mojego ciepła, bardziej niż czegokolwiek, mogę ich ożywić, tak jak uczynił to mój ojciec.

Kobieta oblizuje się, zamiast języka ma brzytwę. Jakub ciska mną niczym przedmiotem, ląduję pośrodku korytarza, pochylają się nade mną. Cienie głodne samych siebie, odpryski życia, widma wojen i partyzantki. Czuję na sobie zimne dłonie, gdzieś wysoko, niby martwiejące słońce, znajduje się Jakub. Syknięcie. Mlask. Słyszę nawet bicie ich serc, drewniane, jakby zeszcły patyk uderzał o drzewo, i już wszystko rozumiem. W cudownym błysku pojąłem i już się nie boję.

„Tam jest coś innego”, powiedział przecież mój tato, przecież by mnie nie okłamał.

- Was tu nie ma - mówię, krztusząc się, bezgłośnie, lecz to wystarczy. Nieruchomieją. Jakub jest płaski i papierowy. Mówię na głos: - Tu jest coś innego. Ojciec mi powiedział. Tu jest coś innego. - Wstaję, nikt nie śmie mi przeszkodzić, tak tu ciemno, pierzaści pod sufitem. - Tu jest coś innego. Tu jest coś innego.

Widma bledną i nikną, składają się w dzioby i skrzydła, mkną ku górze, nie ma już majorów, kobiet, dzieci, partyzantów, ostatni znika Jakub, na jego twarzy mignęło mi zdziwienie przemieszane z ulgą. Sплюwam. Torsje. Śmiech. Ledwo stoję, noga mi krwawi, powtarzam wciąż, już w pustym korytarzu: - Tu jest coś innego. Tu jest coś innego. Jestem ja.

* * *

Siedzę w otwartym oknie. Dom przesuwa się powoli, rozpruwa las i ludzkie osiedla.

Doprowadziłem się do porządku: nogę usztywniłem kijem od miotły, znalazłem dzban wody i przepłukałem usta. Skórę na policzku mam zdartą, lewe oko zasłania mi opuchlizna, żołądek boli, rozumiem jednak, ile miałem szczęścia i że mogło być gorzej.

Przysunąłem stół pod okno, siedzę, owiewa mnie chłodne powietrze. Skrzydła ptaków trzepoczą wokół mnie, lecz żadne nawet nie muśnie mojej twarzy. Ptaki skrzeczą. Są ich setki, różne gatunki, większość rozpoznaję: gołębie, wrony, sokoły. Jestem bardzo głodny.

Suniemy gładko przez czarnozielony ocean, drzewa kłaniają się przede mną, chłopcy odpoczywają na sianie, pojawiają się małe fiaty i syrenki, stare miasta i ropiejący obrzęk osiedli, tory kolejowe, nieludzkie równiny wojskowych lotnisk i czołgi na ulicach. Miasta

nakładają się na siebie, a w każdym znajduję ojca. Nadchodzę.

Rozpoznaję go jako punkt w ludzkim mrowiu, czerwoną krwinkę w trupim bezruchu, miota się i szarpie, między ścianą a oknem, przełamuje się, drży, poci, omal nie pożre samego siebie, nie wypłynie z siebie, by ruszyć ku mnie. On to wie, zawsze wiedział, krąży, szuka, od szyby do szyby, aż zaczyna rozumieć, że nie czas jeszcze - że trzeba jechać. Wtedy jestem już blisko, czasem na odległość przecznicy, przebijam mury spojrzeniem, by dostrzec tatę, miotającego się w mieszkaniu, jak wrzuca rzeczy do pudeł, kłóci się z mamą, wybiera, co zostaje, a co będzie zabrane, spędza chwilę z pudełkiem Arona, a potem całe wieczory stoi w oknie, sprawdzając, czy moje nadejście jest nieubłagane. Schodzi do samochodu, nieraz w środku nocy, popędza matkę i mnie, obciąża bambetlami i rusza, ucieka z miasta niczym Chrystus lub złodziej.

Podążam nieubłagane, tkwiąc w swoim oknie, czekając, aż on zjawi się w swoim, jak długo wytrzyma. Sunę zupełnie bezgłośnie, czasem powoli, niemal niedostrzegalnie, czasem znów pędzę tak, że wszystko na zewnątrz zmienia się w smugę. Obserwuję kolejne miasta: szerokie ulice Rzeszowa, Lublin z odnowioną główną ulicą i nędzą jej przecznic, pęczniejącą Warszawę z wieżami placu Zbawiciela, kamieniczkami na Hożej i Chmielnej, wódką pól mokotowskich, świeżą i wściekłą w odzyskanym życiu, kolorowy Poznań, bezbrzeżny smutek szarego Śląska - w tym wszystkim mój tato, starzejący się i coraz bardziej przerażony.

Bruzdy pokrywają mu twarz, nos się wydłuża, w uszach wyrastają włosy, cały staje się drzeniem, zapada się w sobie, z coraz większym trudem podchodzi do okna i tylko oczy robią mu się coraz większe i bardziej szalone. Rozpoznaję go, jakim nie widziałem wcześniej, skupionego nad przedmiotem, przeglądającego zdjęcia - wiem, jestem na każdym - próbującego czytać. Widzę, jak pisze, złości się na własne słowa, mnie kartkę i pojmuje, że nic z tego, widzę, jak bierze się za barki z własnym przemijaniem, płacze i niczego nie rozumie. Podzielam jego wściekłość, bezsilność zaciśniętej pięści, która nie znajdzie już przeciwnika, zgodę na nią i wreszcie spokój. Czasem, jak w tej chwili, dostrzegam cienie wychodzące z jego głowy, półludzi i zwierzęta rozpełzające się w półmroku gabinetu, poznaję, o właśnie, opowieści parzące się między sobą, oplatające meble, ściany i mojego tatę jak bluszcz.

Nadchodzę, a tato ucieka, traci siły, zgadzam się zwolnić, to już Kraków, jego mieszkanie między Ikea a torami kolejowymi. Tato jest stary i przycięty, jeszcze próbuje przewyciężyć siebie, wychodzi na spacer, mówi do siebie, śmieje się do jakiegoś niewidzialnego towarzysza, nie wiem, kim on jest, na pewno nie mną. Tato jest już żyłastą szmatą bez mięśni, coraz mocniej ciąży ku oknu, wołam go, a on oczekuje mojego nadejścia.

Wie, że już się nie przeprowadzi. Teraz jest noc, sunę między domami jednorodzinny, tam ludzie kłóca się i kochają, dzieci grają przed telewizorem, młodzi pieprzą się ukradkiem lub jawnie, w ciemności między osiedlami, w piwnicach i parkach, wyglądają wyjścia rodziców. Są jak cienie, liczy się tylko mój ojciec.

Znajduję go przemienionego. Nie chodzi o starość, strach zniknął z jego twarzy, chyba przekonywał sam siebie, że wciąż się boi, kłamał, w tej właśnie chwili dostrzegam go w oknie, przepelnionego nadzieją. Uśmiecha się, przyzywa tym uśmiechem, wędruję ku niemu, przyspieszyłbym, ale nie wolno. Tato znika z okna, cały blok przepada, w zamian pojawia się szpital.

Nadchodzi wieczór. Przenikam przez szpitalne ściany - lekarze piją w kantorku, między salami krąży pielęgniarka. Ochroniarze palą w milczeniu. Większość chorych śpi, nieliczni snują się lub próbują czytać.

W budynku na lewo od tego, gdzie czeka mój ojciec, leży łysy facet, ma może siedemdziesiątkę, choroba postarzyła go gwałtownie. Musiał być kiedyś bardzo silny, znać po dłoniach i całych zwałach skóry, wyczyszczonych z mięśni, koszulę ma rozpiętą, a włosy na piersi ogolone, chce się podnieść albo kogoś zawołać, nie umie, za to zaczyna się trząść, szarpie się na łóżku, rzuca, próbuje wstać, stoczyć się, coś odpycha, rozprostowuje palce i zaciska na powrót, mogę przysiąc, że kwiczy, a oddech zamiera mu w piersi, jakby zamrożony. Facet sztywnieje, ręka wyrzucona w powietrze opada, wraz z nią stygnąca głowa ląduje na poduszce.

Z ust mężczyzny dobywa się cień, mroczna kulka. Unosi się jakieś dwadzieścia centymetrów nad łóżkiem, rozkołysana i zdezorientowana, niespodziewanie rozwija skrzydła, wykluwa się dziób i ptak wyfruwa przez otwarte okno. Kołuje nad szpitalem i zmierza w moją stronę. Ląduje na parapecie, dziobie we framugę, czarne oczka obserwują mnie z rosnącą uwagą, by zaraz stracić zainteresowanie. Wzbija się i niknie pod sufitem, między innymi ptakami.

Tej nocy kona także drobny mężczyzna po pięćdziesiątce, musi to być zawał, facet wraca z łazienki, upada i już nie wstaje. Jeszcze dziecko umiera bezgłośnie, chuda dziewczynka, nie wiem, co jej jest: śpi, wierci się, otwiera oczy, świszczy, tak kilka minut. Ptak, który wydobył się z jej ust, jest mniejszy i bardziej ruchliwy. Nie zwraca na mnie uwagi.

Tato leży na plecach. Trudno określić, śpi czy pozostaje przytomny, co kilkanaście sekund dreszcz przeszywa jego ciało, wygina się i wytrzeszcza oczy. Nadchodzę. Dom przekracza bramę szpitala, niedostrzeżony przez ochroniarzy. Miażdżę alejki i drzewa,

przepoławiam ściany i szpitalne łóżka, niemal trącam pielęgniarkę, człapiącą bezmyślnie środkiem korytarza. Wciąż widzę ojca, napręża się, obraca głowę w moją stronę, jest już w pełni przytomny, próbuje się podnieść, lecz nie potrafi.

Nasze okna znajdują się naprzeciw siebie, moje ciut wyżej. Wciąż czuję zapach lasu pod Nowogródkiem. Ojciec mnie pościel, rusza kącikami ust, żyły pulsują na skroniach, coś rozrywa go w środku, próbuje teraz, przede mną, nie okazywać cierpienia. Niepotrzebnie, czegoż on się wstydzi? Próbuję się uśmiechnąć, dać znak - tato, trochę mi to zabrało, ale już jestem, nie wiem, czy cokolwiek pójdzie dobrze, na pewno jednak lepiej.

Najtrudniej zacząć. Pokój szpitalny mam na wyciągnięcie ręki, jednak z poranioną nogą nie umiem wejść na parapet. Tato znów wytrzeszcza oczy i wyciąga rękę. Więc szybciej. Zaciskam zęby i kładę się brzuchem na parapecie, podciągam się i sunę ku oknu ojcowej sali, domy niemal się stykają, mój jest wyżej, jadę głową w dół i chwytam białą framugę. Tato wytrzeszczony, myślę o sobie i o nim, opuszcza mnie rozsądek, przyspieszam, ląduję brodą na łóżku, tuż przy tym wychudzonym cieple, a moja noga zahacza o parapet. Tłumię krzyk. Szukam wytchnienia od bólu, tak jak dłoń tatusia szuka mojej głowy, zsuwam się z łóżka i siadam na brzegu. Bardzo ostrożnie wkładam dłoń pod jego kark i kładę sobie na kolanach, chce przekręcić się ku mnie cały, ale brakuje mu sił. Chcesz wody, tato? Czego byś chciał? Szuka notesu, ale chyba rozumie, że już jest niepotrzebny. Widzi mnie, wiem to.

Delikatnie dotykam jego twarzy, wodzę palcem po zmarszczkach i bruzdach, gładzę cienie wokół oczu i ostrą linię ust. Biorę jego głowę w swoje dłonie, jest mokra i chłodna. Nie musimy nic mówić, tato drży, porusza ustami, jakby próbował coś przełknąć, jeszcze próbuje się uśmiechnąć, nie daje rady, więc uśmiecham się za niego.

* * *

Pod sufitem szpitala kłębią się ptaki, są pierzastą, bezkształtną masą. Zdejmuję palce z powiek taty, odwracam twarz ku domowi Nowakowskich. W tej właśnie chwili jeden ptak opuszcza rój, przysiada na brzegu łóżka, patrzy na mnie, na ciało, przestępuje z nóżki na nóżkę. Jest duży i silny. Wkłada dziób między pióra na piersi, czyści się przed drogą najdłuższą z możliwych, robi jeszcze kółko nad podłogą i wyfruwa przez okno, by zlać się z siniejącym niebem.

© Copyright by Łukasz Orbitowski

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2010

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna

Dorota Wierzbicka-Sarabura

Redakcja

Joanna Mika

Korekta

Henryka Salawa, Małgorzata Wójcik

Ilustracja na okładce

Tomasz Piątkowski

Opracowanie typograficzne

Marek Pawłowski

Redakcja techniczna

Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2010

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN Sp. z o.o.

ISBN 978-83-08-04430-8